

NIEDO CZEKA NIE

GDYBY BABCIA MIAŁA
WĄSY
ANTOLOGIA
HISTORII
ALTER
NATYW
NYCH



URW2010

NIEDOCZEKANIE

Gdyby babcia miała wąsy

czyli antologia historii alternatywnych

zbiór pod redakcją Dawida Juraszka

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2015

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2015

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-125-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Patronat medialny nad antologią objęli:



FantastykaPolska.pl
Nowe oblicza literatury



www.katedra.nast.pl




ŚWIT_EBOOKÓW

Krzysztof Kochański

PAROWY HYCEL

Inżynier Edmund Zieleniewski, naukowiec i wynalazca, dyrektor Krakowskiej Fabryki Maszyn Parowych, był postawnym mężczyzną około czterdziestki. Nosił czarne wąsy, których końcówki zawijały się ku górze bez pomocy nocnej opaski, zwanej z niemiecka *binde*. Czerń wąsów była naturalna (w żadnym razie nie wymuszona modnymi pomadami), czego niestety nie dało się powiedzieć o włosach na głowie. Te zaczynała przyprószać siwizna.

– To dlatego, że wąsy są piętnaście lat młodsze – tłumaczył pan Edmund uroczym paniom od madame Isabelle. Gościnne jej progi odwiedzał regularnie, czasem z chęci własnej, a czasem z przymusu, popychany wewnętrzną dyscypliną, skoro domowy lekarz zalecił mu takie wizyty dla podtrzymania zdrowotnej kondycji.

Był poniedziałek, kiedy wynalazca zajechał automobilem na opustoszałą stację koksowniczą. Bałałajka, parowy pies Zieleniewskiego, zajmowała siedzenie pasażera, lustrując okolicę kryształowymi oczami. Metalowa szczeka psa, osadzona na pięknie grawerowanych nitach, opadła, odsłaniając żeliwną kratownicę z wybrzuszeniami w miejscach spawów, co w pewien sposób imitowało prawdziwe uzębienie.

W oczekiwaniu na pojawienie się kogoś z obsługi stacji, Zieleniewski wyciągnął cygaretkę. Nim zdążył zapalić, przy automobilu stanął rostry mężczyzna w obszernym, jednoczęściowym kostiumie mechanika. Uwadze wynalazcy nie uszło, iż człowiek ten przygląda mu się podejrzliwie.

Zieleniewski odsunął cygaretkę od ust.

– O co chodzi?

Obcesowość pytania wynikała z podejrzenia, iż pracownik stacji paliw niestosownie zwrócił uwagę na jego wymięty garnitur. Prawdopodobnie odpowiadało to stanowi faktycznemu – panie z willi madame Isabelle bywały czarująco energiczne, jednakże na takie komentarze (choćby niewyartykułowane) Zieleniewski nie zamierzał przyzwalać.

– Obok pana siedzi parowy pies. – Przygaszony głos mechanika zdawał się obwieszczać jakąś złowrogą prawdę. Bałałajka flegmatycznie obrócił łeb, wykazując zainteresowanie. Z otworu regulacji ciśnienia, umieszczonego przy oku, uniosła się smużka pary wodnej.

– Coś z nim nie tak?

Pracownik stacji zamrugał nerwowo.

– Nie tak? – ponaglił zniecierpliwiony Zieleniewski.

– Zgodnie z przepisami psom parowym wstęp na stację paliw jest zabroniony.

Wynalazca uniósł brwi.

– Ha! A od kiedyż to?

– Od dwóch dni. – Pracownik wskazał filar, na którym umieszczono stosowne ostrzeżenie.

– *Pod karą grzywny. Podpisano: Franciszek Roliński, Burmistrz* – przeczytał głośno Zieleniewski. Przeniósł wzrok na pracownika obsługi. – To co mam z nim zrobić? Zastrzelić? – spytał kąśliwie, nie precyzując, czy ma na myśli psa, czy też burmistrza Rolińskiego.

Mężczyzna rozejrzał się, jakby dla upewnienia, że na stacji nie ma nikogo prócz nich.

– Jest pan naszym stałym klientem i dobrze znam pańskiego psa – rzekł.

– Jest łagodny. Do diabła z rozporządzeniem. Wciąż są nowe i nowe, człowiek nie nadąza.

– Dziękuję – powiedział Zieleniewski, poczuwszy w duchu wstyd, iż zbyt pochopnie ocenił intencje rozmówcy. Dla załagodzenia sytuacji, wysiadł z automobilu. W palcach wciąż trzymał cygaretkę, więc pracownik stacji sięgnął po szczypce i usłużnie podsunął dymiący węgielek z koksownika

– Jak zwykle koks super, proszę pana?

– Oczywiście.

Jako konstruktor maszyn parowych Zieleniewski doskonale orientował się, że tylko paliwo wysokiej klasy dostarcza wysokotemperaturowego ciepła i nie zanieczyszcza szybów, ale odkąd produkcja parowych automobilów stała się na tyle tania, że na ich zakup stać było klasę robotniczą, należało zapewnić opał na kieszeń tych ludzi, więc jakość często pozostawiała wiele do życzenia.

– Skąd się wziął ten głupi zakaz? – zagadnął, kiedy mężczyzna w kombinezonie zakończył szuflowanie i zabrał się za przecieranie wyciorem

przewodu kominowego.

– Jak to? Nic pan nie słyszał?

– Nie.

Pracownik przeciągnął wierzchem dłoni po twarzy, zostawiając na policzku smugę sadzy.

– Na Plantach grasuje banda dzikich psów parowych – poinformował. – Mówiło się o tym już od jakiegoś czasu, ale nikogo to nie obchodziło, dopóki nie napadły na stację paliw.

– Psy parowe? Na stację paliw?! – wykrzyknął Zieleniewski. – Przecież to kompletna bzdura!

– A jednak, proszę pana – oznajmił mężczyzna pewnym głosem. – Zostaliśmy nawet przyuczeni, jak reagować w przypadku zagrożenia.

– Nonsens! – Zieleniewski wszedł do samochodu, energicznie zatraskując drzwi. Na pracownika stacji paliw spojrzał z wyrzutem. – Ktoś tu się nie zna nie tylko na mechanice maszyn, ale i na zasadach termodynamiki.

– Ale...

– Kompletna ignorancja! – zawołał, odjeżdżając.

– Przecież to nie ja! – wystękał zdezorientowany mężczyzna. – To burmistrz Roliński!

Edmund Zieleniewski już go nie słyszał. Może jedynie Bałałajka, który oglądał się za siebie, odprowadzając hałdy koksu beznamiętnie szklanym spojrzeniem.

Przed domem dyrektora Fabryki Maszyn Parowych stał służbowy samochód burmistrza Rolińskiego, wyróżniający się wymalowanym na drzwiach trójkolorowym herbem miasta z białym orłem w środku. Znużony kierowca, odziany w kraciastą marynarkę, niedbale opierał się o wypolerowaną maskę. Ożywił się, kiedy zza zakrętu wyłonił się czarny samochód z wąsatym mężczyzną przy kierownicy i parowym psem na siedzeniu dla pasażera. Wyjąwszy ręce z kieszeni, z szacunkiem czekał, aż pojazd zatrzyma się. Wtedy uklonił się, uchylając czapkę z daszkiem, wykonaną z tego samego materiału co marynarka.

– Burmistrz u mnie? Tak z samego rana? – zdziwił się Edmund Zieleniewski.

– Czeka na pana od ponad godziny – oznajmił kierowca.

Zieleniewski otworzył drzwiczki i gwizdnął na psa. Ten zareagował natychmiast, opuszczając pojazd z wątpliwą gracją spadającej z rusztowania sterty cegieł.

Wąskimi schodkami weszli do domu: pan Edmund – machając laseczką, którą nosił wyłącznie dla szyku, Bałałajka – chrzęszcząc łożyskami. Wspinanie się nie było atutem parowego psa – nad tą stroną konstrukcji Zieleniewski wciąż jeszcze pracował – za to po płaskim terenie mechaniczny zwierzak poruszał się nadzwyczaj żwawo, choć miewał kłopoty z wyhamowaniem, jeśli zanadto się rozpędził.

Udali się do salonu, gdzie – jak słusznie Zieleniewski przypuszczał – oczekiwał burmistrz Roliński. Był to otyły mężczyzna pod sześćdziesiątkę, nieefektownie i bezskutecznie maskujący łysinę zaczesanymi na pożyczkę włosami.

– Cześć, Edmundzie! – Roliński siedział w fotelu, popalając zamorskie cygaro, wzięte najpewniej z postawionego na toaletce pudełka, czego Zieleniewski nie mógł mu mieć za złe, bo przecież po to cygara tam stały. Parowy pies łakomie śledził unoszącą się smużkę dymu, grzecznie jednak tkwił przy nodze swego pana.

– Witam – odrzekł oziębło wynalazca, nie zamierzając łamać sztywnej etykiety, póki sprawa szykanowania psów parowych nie zostanie wyjaśniona. Wziął cygaro z toaletki, milcząco obciął maszynką końcówkę i zapalił. Usiadłszy na kanapie naprzeciw burmistrza, prześwietlił go zabójczym spojrzeniem.

– Szukam cię od trzech dni – oznajmił Roliński, ignorując morderczą aurę. – Gdzie się podziewałeś?

– Musiałem odprężyć się trochę u madame Isabelle... – Pomiędzy brwiami wynalazcy pojawiła się pionowa zmarszczka. – To trwało trzy dni? – spytał retorycznie. – Faktycznie potrzebowałem odpoczynku! – Machnął ręką, odzyskując rezon. – Nieważne. Istotne, że teraz, kiedy znów jestem w formie i gotów do pracy dwadzieścia godzin na dobę, czego się dowiaduję? No czego?

Zapadła pełna napięcia cisza, podczas której mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Tak? – odezwał się wreszcie zaciekawiony burmistrz.

– Psy parowe – sapnął na wydechu Zieleniewski. – Stacje paliw. Rozporządzenie, które podpisałeś. Co ci strzeliło do głowy? Czy zdajesz

sobie sprawę, jakie skutki może przynieść takie nierozważne działanie?

– O! – zawołał zdziwiony burmistrz. – Wyobraź sobie, że przyjechałem właśnie...

Było to jednak wszystko, na co rozpedzony wynalazca mu pozwolił:

– Pomijając aspekt logiczny całej tej hecy – perorował, nastroszywszy czarne wąsy niczym magik w cyrku – pragnę ci uzmysłwić, że będąc udziałowcem Fabryki Maszyn Parowych, torpedujesz właśnie jej produkt. Strzelasz sobie w stopę, rzecz można! Czyżbyś zapomniał, że psy parowe są w tej chwili naszym priorytetowym przedsięwzięciem, ważniejszym nawet niż zamówienia od Hartmana, bo i zyski mogą być większe, a horyzonty na przyszłość rozleglejsze?

Rozsierdzony wziął głęboki, uspokajający oddech i dodał:

– Ni stąd, ni zowąd wydajesz sobie rozporządzenie, które podważa społeczne zaufanie do naszego produktu. Możesz mi to jakoś wyjaśnić?

– Oczywiście, że mogę – odpowiedział burmistrz Roliński, zupełnie niespieszony wybuchem współnika. Wziął ze stolika ceramiczną zapalniczkę, wielką jak cukiernica, i podstawił ją pod nos wynalazcy. – Cygaro ci zgasło – poinformował.

Zieleniewski pogardliwie zdmuchnął zapalniczkę, a wygasłe cygaro ostentacyjnie wrzucił do popielniczki. Czekał.

– Jakiś tydzień temu – podjął Roliński – do Ratusza wpłynęła skarga mieszkańców na bezdomne psy, wałęsające się po Plantach i straszące spacerowiczów, a zwłaszcza wielbicieli niedzielnej hippiki, których, pomimo postępu technicznego i coraz tańszych parowych środków lokomocji, wciąż w naszym mieście nie brakuje...

W tym momencie Edmund Zieleniewski skrzywił się kwaśno.

– Sprawa wydawała się rutynowa – kontynuował burmistrz. – Zleciłem rakarzowi eksterminację i uznałem temat za załatwiony. Tymczasem dwa dni później ów rakarz, człek bezczelny i nieokrzesany, pojawił się w Urzędzie, żądając odszkodowania za zniszczony sprzęt, automobil, a także ekstra premii za pracę w warunkach zagrażających życiu, które ponoć cudem tylko zachował. Twierdził, i teraz uważaj, Edmundzie, że sforze bezdomnych psów przewodził pies parowy!

Wynalazca nie zdołał usiedzieć w miejscu. Wstał i rozpoczął spacer po pokoju.

– Nie wyrzuciłeś kłamcy za drzwi?

- W Urzędzie Miejskim nie tak załatwiamy sprawy.
- Nawet jeśli przychodzą łgarze i naciągacze?
- Wszystko musimy sprawdzić.

Zieleniewski zatrzymał się, odwrócił w stronę rozmówcy i popatrzył zaokrąglonymi nagle oczami.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że to sprawdziłeś? – W głosie wynalazcy pojawiła się nutka niepokoju.

– A jak myślisz! – Roliński wypuścił z ust gruby obłok cygarowego dymu. – Nie tylko sprawdziłem, ale zrobiłem wszystko, żeby sprawy nie nagłaśniać. Niestety bez powodzenia. Wydawało mi się, że ułagodziłem rakarza, łajdak obiecał mi dyskrecję, ale albo słowa nie dotrzymał, albo...

– Do diabła z cholernym hyclem! – przerwał mu zdenerwowany Zieleniewski. – Mów, co z oczywistym nonsensem przewodzącego psiej bandzie parowego psa! Co się okazało?

– Posłałem po komendanta Straży Miejskiej, którego poprosiłem o zachowanie tajemnicy służbowej, a także aby zabrał ze sobą ostrą amunicję. We trójkę, to znaczy z komendantem i rakarzem, pojechaliśmy do parku na miejsce zdarzenia. Po bezdomnych psach nie było oczywiście śladu, ale... – Burmistrz Roliński wzniosł znacząco wskazujący palec. – Okazało się, że nawet jeśli rakarz koloryzował w szczegółach, to jednak w kwestii najważniejszej mówił prawdę. W miejscu, do którego nas zaprowadził, znaleźliśmy rozbitą karetkę i martwego parowego psa.

– Nieczynnego – odezwał się Zieleniewski głosem głuchym, jakby dobiegał ze studni.

– Co proszę?

– Pies parowy jest maszyną. Z tej prostej przyczyny, nawet jeżeli już takiego znaleźliście, nie mógł być martwy, lecz nieczynny.

– Oczywiście – zgodził się burmistrz. – Tak więc był nieczynny i leżał w kałuży gorącej wody, która się z niego wylała. Jak twierdzi rakarz, parowy pies szarżował na jego pojazd niczym byk na torreadora i nie sposób było uniknąć zderzenia.

Roliński westchnął, po czym założył nogę na nogę, zwracając uwagę, by nie pognieść nienagannie zaprasowanych kantów garniturowych spodni.

– I to wszystko? – zapytał Zieleniewski, niespodziewanie odprężony. W tonie jego głosu nie sposób było nie wychwycić ironii.

– Jeśli chodzi o tę akurat parową bestię, to tak. Zabraliśmy ją, leży

w dyskretnym składziku u komendanta Straży Miejskiej. Możesz sobie obejrzeć. A nawet nalegam, żebyś to uczynił.

– Obejrzę – zgodził się Zieleniewski. – Zdajesz sobie jednak sprawę, że opowiadanie raka nie dowodzi niczego, poza tym, że łajdak przejechał czyjś parowego psa i teraz łże jak z nut, żeby się wybronić. Ha? Dobrze wie, ile taki pies kosztuje!

– Również tak pomyślałem – przyznał burmistrz. – Komendant Straży Miejskiej postraszył go nawet aresztem, na wypadek gdyby właściciel psa upomniał się o swoją własność.

– I co nasz oszust na to?

– Usiłował protestować, ale w końcu się zamknął.

– A widzisz!

– Niczego nie widzę – oznajmił ponuro burmistrz. Wstał z fotela, zrównując się oczami z Zieleniewskim, po czym rzekł: – To stało się w środę, a w piątek koń księżnej Opalińskiej zrzucił ją podczas konnej przejażdżki.

Podczas wygłaszanej kwestii mężczyzna nie mrugnął ani razu, twardym spojrzeniem podkreślając wagę swoich słów.

– Nie! – zaprotestował zaniepokojony wynalazca.

– Ależ tak! – skwitował bezlitośnie Roliński. – Nie muszę chyba dodawać, gdzie księżna Opalińska jeździła i co spłoszyło jej konia?

Zapadła cisza, zakłócona jedynie delikatnym, jednostajnym sykiem nadwyżki pary wodnej, ulatniającej się z oka Bałałajki.

– Spójrz na mojego psa – odezwał się Edmund Zieleniewski, nerwowo zgniatając pomiędzy palcami końcówkę wąsa. – Pewnie zauważyłeś, że odkąd weszliśmy do pokoju, przez cały czas siedzi w tym samym miejscu. Nie ruszył się ani o centymetr. A teraz wyobraź sobie, że to nie pies, lecz zaparkowany automobil, przez zapomnienie pozostawiony z włączonym silnikiem. Co pomyślałbyś o człowieku, który podniósłby z tego powodu raban, twierdząc, że pojazd stanowi zagrożenie, bo zaraz ucieknie do miejskiego parku, by siać tam strach i spustoszenie?

– Cha, cha, cha – wydekłamał burmistrz, zachowując kamienną twarz.

– Dobrze powiedziane, ale to czysta retoryka. Można podważyć bredzenia raka, ale przecież nie słowa księżnej Opalińskiej!

– Szlag by trafił! – Zieleniewski opadł na fotel. Desperackim ruchem wziął z popielniczki odrzucone wcześniej cygaro i zapalił je od płomienia

ceramicznej zapalniczki.

– To nie wszystko – odezwał się burmistrz.

– Wiem. Podobno... hmm... zaatakowały stację paliw.

Wzniesionym ku niebu oczom wynalazcy zawtórowało westchnienie burmistrza.

– Z relacji księżnej Opalińskiej wynika, że większość bandyckiej sfory stanowiły zwykłe bezdomne psy, natomiast mechaniczne były tylko dwa, ale to właśnie one wydawały się zgrai przewodzić. Co tam wydawały się! One jej przewodziły, w tej kwestii zgodne są również zeznania innych świadków. Dotąd grałem na zwłokę, bo liczyłem, że ty coś wymyślisz. Tymczasem przepadłeś. Jak kamień w wodę.

– Za to teraz jestem do dyspozycji – oświadczył Edmund Zieleniewski, prostując się. – Dość częściej gadaniny. Zapytam krótko: czego oczekujesz?

– Wszystkiego! – Burmistrz zamachał rękami. – Zrób coś, nim sprawy na dobre wymkną się spod kontroli. Trzeba niezwłocznie wyłapać wszystkie zdziczałe psy parowe. To nie żarty!

– Uspokój się. Jeśli były dwa psy, a jednego przejechał rakaż, to znaczy, że na wolności pozostał tylko jeden.

– Niemniej jako burmistrz tego miasta nie mogę ryzykować, że w końcu zagryzie kogoś na śmierć. Na załatwienie sprawy daję ci dwa dni i niech nas obu Pan Bóg ma w opiece, jeśli w tym czasie wydarzy się nieszczęście.

Zbigniew Jaworski, młody, trzydziestotrzyletni komendant Straży Miejskiej, z ulgą przyjął pojawienie się burmistrza Rolińskiego, w dodatku w towarzystwie dyrektora Fabryki Maszyn Parowych, z którym od feralnego piątkowego wieczoru bezskutecznie usiłował się skontaktować. Szczątki parowego psa, złożone w piwnicy jego biura, spędzały mu sen z powiek. Jaworski miał podwójnie związane ręce: raz jako podwładny burmistrza, dwa jako jego powinowaty poprzez ciotkę. Gdyby nie to, już w piątek rozprawiłby się z harczącą po Plantach dziwaczną sforą. Miał ostrą broń palną i kilku ludzi, którzy z ochotą podjęliby się zadania. Nie pojmował, dlaczego burmistrz mu na to nie pozwolił.

– Prowadź! – powiedział krótko Roliński, kiedy tylko wszedł do biura, nawet się nie przywitawszy. Za jego plecami dyrektor Zieleniewski (również stary pryk, choć młodszy od pryka, którego w dzieciństwie Jaworski nazywał wujkiem), przynajmniej zdjął z głowy niemodny cylinder.

Komendant odprawił strażnika i zaprowadził gości do piwnicy. Parowy pies leżał na betonie, tak jak go rzucili po przywiezieniu z parku. Łeb miał zmiądzony wskutek samobójczej szarży na karetkę rakarza, bark pogięty, jakby podrdzewiały. Brakowało jednej łapy, która gdzieś przepadła, chyba podczas transportu, bo kiedy komendant wrócił po nią na miejsce incydentu, niczego nie znalazł.

Zieleniewski przyklęknął. Obejrzał psa dokładnie, niczym weterynarz zastanawiający się nad przyczyną zgonu zwierzęcia.

– Obudowa sprężyn nienaruszona – orzekł z niezrozumiałym dla jego towarzyszy triumfem. – Tak myślałem. Ma pan nóż? – zwrócił się do komendanta Jaworskiego, który podał mu scyzoryk.

Wynalazca odkręcił czubkiem ostrza dwie śrubki tabliczki znamionowej, po czym ją podważył. Odpadła z cichym stukiem. Przeczytał oznakowanie.

– Jeden z pierwszych egzemplarzy – powiedział, nie odwracając się. – Początkowo sprzedaż prowadziliśmy bez pośredników, więc najpewniej da się dojść, kto go nabył.

Schował tabliczkę do kieszeni i nagle znieruchomiał, wpatrzony w posadzkę. W miejscu, gdzie leżał parowy pies, podłoga była wyraźnie ciemniejsza. – A to co? – Wskazującym palcem dotknął plamy, rozmazując wilgoć.

– Pewnie z uszkodzonego kotła wylała się woda – popisał się znajomością mechaniki Jaworski.

– Nie wydaje mi się. – Zieleniewski powąchał wilgotny palec. Zmarszczył brwi. – Olej skalny – zawyrokował. Popatrzył na burmistrza. – Dziwne. W fabryce używamy wyłącznie smarów, a jeśli nawet brudnego oleju, to nigdy w takich ilościach!

Przesunął owalny kawał blachy, odsłaniając otwór po wyrwanej kończynie, Pogmerał w nim palcami, pomruczał coś do siebie, a potem wstał z posagową miną.

– Panowie! – oświadczył oficjalnym tonem. – To nie był wypadek ani błąd w sztuce inżynierskiej. Ktoś grzebał w mechanizmie tego psa. I to, co przyznaję z bólem, dość umiejętnie.

Bolesław Tołłoczko, Główny Mechanik w Krakowskiej Fabryce Maszyn Parowych, pobieżnie wsłuchiwał się w wykład, jaki jego zwierzchnik, dyrektor Zieleniewski, dawał dwóm osobnikom, których przywiódł do biura.

Starszy mężczyzna – tęgi, łysawy – wyelegantowany był jak alfons, na którego w zasadzie wyglądał, zamiast na burmistrza. Profesja młodszego przybysza, odzianego w mundur funkcjonariusza Straży Miejskiej, przynajmniej nie budziła wątpliwości.

– Wytworzona para wodna doprowadzana jest przez układ rozrządu do cylindra, w którym znajduje się dopasowany tłok. Tłok dzieli cylinder na dwie części, przednią i tylną. Wpuszczając parę pod wysokim ciśnieniem raz do przedniej części cylindra, raz do tylnej, wymuszamy ruch tłoka. Za pośrednictwem korbowodu wytworzona energia przenoszona jest na wał, a regulator odśrodkowy stabilizuje obroty zębatych kółek zamachowych. Tak to wygląda w zwykłej maszynie parowej. Ale pies parowy nie jest zwykłą maszyną. Standardowa komora spalania pełni tu jedynie funkcję ładowarki, uruchamianej w stanie spoczynku. To dlatego pies nie dymi spalinami, co umożliwia jego eksploatację w pomieszczeniach zamkniętych. Właściwym źródłem energii są SPRĘŻYNY!

Na dźwięk ostatniego słowa, celowo przez dyrektora zaakcentowanego, słuchacze podskoczyli, jakby ktoś strzelił im przy uchu z papierowej torby, przy czym miny mieli równie zdezorientowane. Wyjątkiem był Tołłoczko, który doskonale orientował się w budowie psa parowego, więc wykład dla dyletantów najzwyczajniej w świecie go nudził.

– Owe sprężyny – kontynuował dyrektor – umieszczone są w dodatkowym cylindrze, odlanym ze stopu o wyjątkowej wytrzymałości na rozciąganie, który to materiał jest moim wynalazkiem, strzeżonym patentem. A skoro zadaniem silnika parowego nie jest wprowadzenie w ruch układu napędowego, lecz podtrzymanie energii potencjalnej sprężyn, która to energia, jak wiadomo, jest proporcjonalna do kwadratu odkształcenia od położenia równowagi...

Zieleniewski niespodziewanie przerwał wywód, wiodąc oczami po słuchaczach. Na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

– Czy wyrażam się wystarczająco zrozumiale? Macie, panowie, może jakieś pytania?

Komendant Straży Miejskiej natychmiast spuścił wzrok, w skupieniu przyglądając się sękom podłogowych desek. Burmistrz Roliński przyjął pozę, jaką zazwyczaj przybierał na sesjach Rady Miejskiej, dotyczących zagadnień innych niż kwestia przyszłych wyborów.

– Opowiadam o tym wszystkim nie dlatego, żebym miał nadzieję

zatrudnić panów w mojej fabryce – tłumaczył Zieleniewski – lecz aby uzmysłwić niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo związane ze sprężynami – ośmielił się odpowiedzieć Bolesław Tołłoczko.

– Sprężyny? – ożywił się burmistrz Roliński. – Co z nimi?

Zieleniewski opuścił bezradnie ręce.

– Może ty powiedz – poprosił mechanika.

– W kieszonkowych zegarkach też jest sprężyna, choć innego rodzaju – oznajmił Tołłoczko. – Nakręcanie zegarka to nic innego, jak jej napinanie. Dzięki temu zegarek chodzi. Ale co się stanie, jeśli otworzymy tylne wieczko, nie przytrzymując sprężyny? – Mężczyzna zawiesił głos. – Tak? – podjął po chwili. – Co się wtedy stanie?

Panującą ciszę mąciło jedynie brzęczenie muchy, tłukącej się o okienną szybę.

– Napięta sprężyna sama wyskoczy z zegarka – oświadczył zrezygnowanym głosem dyrektor Zieleniewski.

– Otóż to! – przytaknął z nagłym zapalem Tołłoczko, nie zważając, iż odpowiedź nie pochodziła od żadnej z osób, do których się zwracał. – Tak samo jest ze sprężynami psa parowego. Uszkodzenie pojemnika, w którym są umieszczone, może spowodować gwałtowne ich uwolnienie. Nie muszą chyba dodawać, że efekt otwartego zegarka ulegnie zwielokrotnieniu. Otóż znam zegarmistrza, któremu zwyczajna sprężynka wybiła oko, kiedy zabrał się do pracy po pijanemu. Co tu dopiero mówić o takich sprężynach jak nasze! Uwolnione, mogą odbijać się nawet kilkanaście razy od różnych przeszkód, zmieniając przy tym kierunek, niszcząc wszystko, co napotkają po drodze, a wtedy...

– Zaraz, chwileczkę! – Burmistrz Roliński zerwał się z krzesła, z twarzą nagle poczerwieniałą. – Jak to: niszcząc? W jakim stopniu niszcząc? A jeśli trafią w człowieka!

Tołłoczko zamrugnął nerwowo. Zaniepokojony, zerknął na chmurną minę dyrektora.

– Ludzkie ciało sprężyna przetnie z precyzją chirurgicznego noża – odezwał się Zieleniewski.

– Ależ Edmundzie! – zawołał skonsternowany burmistrz. – Sprzedajesz ludziom bombę?

Komendant Straży Miejskiej drżącą ręką otarł pot z czoła, wspominając

swój niedawny zapal, niedoszły na szczescie, by z psami wlóczegami psami rozprawić się za pomoca bronii palnej.

– Jaka tam bomba! – zachnal się Zieleniewski. – Prędezej wybuchnie piec w twoim automobilu albo ciśnienie pary wodnej rozsadzi w nim rury, niż z psa parowego wydostanie się choć jedna sprężyna. Zapewniam cię, że są doskonale zabezpieczone.

– Cóż więc radzisz?

– Zdziczałego psa parowego trzeba schwytać jak najszybciej, bez rozgłosu i ofiar, z tym chyba wszyscy się zgadzamy. – Dyrektorskie spojrzenie wędrowało kolejno po każdym z zebranych, by na koniec znów spocząć na Rolińskim. – Dlatego proponuję wysłać na Planty Parowego Hycła.

– Parowy Hycel? – zdziwił się burmistrz.

– Mamy coś takiego? – zaciekawił się mechanik Tołłoczko.

– Jeszcze nie. Ale będziemy mieli. Zmontujemy go w dwa dni! – zawołał wyzywająco Zieleniewski. Pamiętając postawione przez burmistrza warunki, patrzył na niego jak na przeciwnika pistoletowego pojedynku.

– W dwa dni? – zaprotestował Tołłoczko. – Ależ jak? Panie dyrektorze, przecież to niemożliwe! A projekt techniczny? – podchwycił z nagłą nadzieją. – Przecież musi być projekt!

– Projekt jest – skomentował spokojnie Zieleniewski. Ku zdumieniu towarzystwa wyciągnął zza przepierzania samojezdną deskę kreślarską. Na gwoździkach dyndały ekierki i suwak logarytmiczny, ale to nie one przykuły uwagę zebranych, tylko rozpięta na desce dokumentacja.

– O kurtka na wacie! – wyrwało się mechanikowi, chłonaćemu rysunek okrągłymi oczami.

– No, może brakuje paru szczegółów, ale to drobiazg – dodał Zieleniewski. – Uzupełnię je w dwie godzinki.

– Jak to możliwe? – spytał burmistrz, usiłujący swym nietechnicznym umysłem wychwycić regularności w wyrysowanych ołówkiem szczegółach. Gubił się jednak w gąszczu linii i cyfr. – Masz gotową dokumentację Parowego Hycła? Tak od ręki?

– Od ręki – odparł dumnie zadowolony z siebie wynalazca.

– Zaraz! – zawołał burmistrz z nagłą podejrziwością. – Czyś ty się tego przypadkiem nie spodziewał?

– Ależ skąd! – Zieleniewski obruszył się. – To jest inny projekt. Równie

nowatorski, dlatego sędzę, że się nada. I co pan na to, panie Bolesławie? Czy zgodzi się pan ze mną, że jeśli do urządzenia domontować kabinę montowni sprężyn, powinno sprostać naszemu zadaniu?

Tołłoczko nadal błędził rozgorączkowanymi oczami po rozpiętych na desce rysunkach. Nagle zaczęło się dziać z nim coś dziwnego. Jego twarz czerwieńiała coraz bardziej z każdą chwilą, poliki nadymały się, jakby zaraz miały pęknąć. – Ależ ten projekt jest... – Mechanik z trudem łapał oddech. – Wnioskuje... że... zamierzał pan zaprojektować... – zdołał jeszcze wykrztusić, po czym zaciął się na dobre.

– Co mu się stało? – zaniepokoił się burmistrz Roliński.

– Nic takiego. – Zieleniewski machnął lekceważąco ręką. – Zapewne jest pod wrażeniem moich umiejętności projektowych. Proszę nie zwracać na niego uwagi. Ale to dobry fachowiec. Najlepszy w fabryce. Zapraszam obu panów pojutrze o tej samej porze. Parowy Hycel będzie gotowy. Nieprawdaż, panie Bolesławie?

Odpowiedziała mu cisza.

– Panie Bolesławie!

Zaafierowany mężczyzna oderwał się od deski kreślarskiej.

– Tak – rzekł z roztargnieniem. – Pojutrze. Chyba tak.

– W takim razie proszę przygotować park maszynowy.

Tołłoczko zawahał się:

– Panie dyrektorze, wspomniał pan o kabinie sprężyn, która, jak rozumiem, ma tu pracować jako demontownia. Jeśli mamy umieścić ją na tym... hmm... hyclu, to trzeba by ją najpierw zdemontować z rampy.

– Oczywiście. Proszę się tym zająć. Aha! – Dyrektor Zieleniewski wyjął z kieszeni prostokątną blaszkę i podał ją mechanikowi. – To jest tabliczka znamionowa jednego z naszych psów. – Niech pan zajrzy do działu handlowego i postara się o adres klienta, który ten egzemplarz u nas kupił. Tylko dyskretnie, panie Bolesławie, tylko dyskretnie.

– Numer seryjny KFMP-00010 – przeczytał na głos Tołłoczko. – Ależ nie muszę tego sprawdzać, panie dyrektorze. To był numer dziesiąty, jubileuszowy. Mieliśmy z tej okazji małą fetę, dlatego dobrze pamiętam kto kupił ten egzemplarz.

– Kto?!

– Obecny tutaj pan burmistrz Roliński.

– Ja? – Z całego towarzystwa burmistrz wydawał się być osobą

najbardziej zdumioną.

– Nie pamiętasz, że kupiłeś u nas parowego psa?! – zawołał zdezorientowany Zieleniewski.

– Oczywiście, że pamiętam. Kupiłem go dla swojego wnuka. Ale skąd miałem wiedzieć, że to ten? Wnuk dostał prezent i więcej go nie widziałem. Znaczy się, parowego psa, nie wnuka.

– Nic dziwnego, skoro grasował po Plantach – rzekł uszczypliwie Zieleniewski i dodał: – Mam oczywiście na myśli psa, nie twojego wnuka.

– Swojego czasu córka wspominała, że pies się popsuł – rzekł zasepiony burmistrz. – Miałem nawet zabrać go do ciebie, żebyś zobaczył, czy da się naprawić, ale jakoś o tym zapomniałem.

– Ty zapomniałeś – skomentował Edmund Zieleniewski. – Jednak wygląda na to, że ktoś inny nie zapomniał.

Wychodząc, burmistrz Roliński raz jeszcze spojrzął na deskę z dokumentacją techniczną.

– Ciekawe – mruknął.

– Co? – spytał Zieleniewski.

– Niewiele rozumiem z tych waszych inżynierskich kresek, ale kiedy na to patrzę, wiesz co mi się przypomina?

– No?

– Madame Isabelle i jej dziewczęta. Bardzo dziwne, co?

Dyrektor Edmund Zieleniewski w milczeniu przełknął ślinę.

Automobil Zieleniewskiego zatrzymał się na jednej z uliczek krakowskiego Stradomia, lecz nie wysiadł z niego ani kierowca, ani mechaniczny pies, dyszący parą na siedzeniu pasażera. Czekali. Opuścili pojazd dopiero wówczas, gdy z za zakrętu wyłoniło się inne auto, z charakterystycznym herbem Krakowa na drzwiach. Miejsca szofera nie zajmował mężczyzna w kraciastej marynarce, lecz osobiście burmistrz Roliński, co Zieleniewski przyjął z zadowoleniem. Im mniej postronnych osób zaangażowanych w sprawę, tym lepiej.

Burmistrz łąpnął oczami na boki, wygramolił się ze służbowego samochodu, po czym zamasztyłym ruchem otworzył tylne drzwiczki. Na chodnik wyskoczyła miniaturowa Rolińskiego, ubrana niemal tak samo elegancko jak jej pierwowzór.

– Mój wnuk – przedstawił dzieciaka burmistrz. – Bardzo rozgarnięty

chłopak. Czasem aż za bardzo, jak się okazuje. Uznałem, że skoro nawarzył piwa, to powinien je wypić. Niech się uczy odpowiedzialności.

Zieleniewski zlustrował elewację kamienicy.

– Jesteś pewien, że to ten adres?

– Jędrak! Ten? Odpowiadaj, huncwocie!

– Ten... – Chłopak pokornie zwiesił głowę.

Kobieta, która im otworzyła, patrzyła nieufnie. Kiedy dostrzegła zaparkowany po drugiej stronie ulicy automobil z herbem Krakowa, jej oczy stały się jeszcze bardziej nieprzyjazne. Parującej na zimnym powietrzu Bałajki nie obdarzyła większym zainteresowaniem, co świadczyło o obyciu z podobnymi wynalazkami.

– Wynajmuje pani pokoje studentom?

Gospodyni wzięła się pod boki

– No i? – Wyczekująco zawiesiła głos.

– No i bardzo dobrze. Młodzież należy wspierać. – Zieleniewski grzecznie uchylił cylindra. – Chcielibyśmy porozmawiać z jednym z nich. Nazywa się... – Zerknął na wnuka burmistrza. – Jak on się nazywa?

– Ignacy – odparł Jędrak. – Łukasiński czy Łukasiewicz, jakoś tak.

– Podobno studiuje farmację – dodał burmistrz.

– Ja tam nie wiem, co on studiuje. Ale zgadza się. Pomieszkuje tu taki. A co? Coś przeszkrobał? Ja tam za nic nie odpowiadam...

– Chcieliśmy tylko z nim porozmawiać.

– Jest przerwa semestralna, pojechał do domu.

Roliński rozejrzał się, odczekał, aż chodnikiem przejedzie cyklista, po czym wyjął portfel, z którego wyłuskał banknot.

– W takim razie... – Rozejrzał się raz jeszcze. – Chcielibyśmy rzucić okiem na jego pokój – wypalił bez dalszych ceregieli.

Spojrzenie gospodyni zmatowiało.

– Macie kwadrans – oznajmiła, chowając pieniądze. Odwróciła się, a dwóch mężczyzn, chłopiec i parowy pies podążyli z nią.

– To on. Nie mam cienia wątpliwości! – Zaaferowany Edmund Zieleniewski przeglądał zapisane maczkiem zeszyty. Na biurku leżało kilka odręcznych rysunków, również wydobytych z szuflad. – Cóż za otwarty umysł... Dociekliwy... Hmm... Ciekawe... Bardzo ciekawe...

Burmistrz machinalnie skinął głową. Z pewnym znudzeniem rozglądał się

po ciasnym pomieszczeniu.

– Sukinkot wprowadził do mechanizmu olej skalny – mruczał Zieleniewski, nisko pochylony nad studenckimi zapiskami. – Pod wpływem ciśnienia ciecz rozlała się w zamkniętej obudowie parowego psa, tworząc coś na podobieństwo krwiobiegu. – Dyrektor uniósł głowę i wbił półprzytomny wzrok w burmistrza. – Olej skalny! – wykrzyknął. – Kto by pomyślał! Takie gówienko!

Na widok nadętej twarzy burmistrza oprzytomniał, zerknął na towarzyszącego im wnuka: – Przepraszam za wyrażenie.

– Nic nie szkodzi – mruknął Jędrak, zajęty opukiwaniem parowego psa. Za każdym puknięciem ze stalowego wnętrza dobiegało spóźnione echo. – Każdy lubi eksperymentować.

– Nie, nie! – zaprotestował Zieleniewski. – Drogi chłopcze, dobry inżynier najpierw obmyśla konstrukcję, projektuje ją, a następnie wykonuje prototyp, by potem go ulepszać. To naturalna kolej procesu technologicznego.

– Ale można też przeprowadzić doświadczenie, żeby przekonać się, co z niego wyniknie.

– Tak właśnie zrobił twój przyjaciel student?

– Nie jest moim przyjacielem. Ja mu tylko sprzedałem mojego zepsutego grata. – Jędrak raz jeszcze puknął kostką palca w tors Bałałajki. – Pański pies jest o wiele lepszy, jego bym nie sprzedał. – Przebiegle zerknął na burmistrza Rolińskiego: – Dziadku, chciałbyś mieć takiego psa?

– Ja? – Burmistrz wzdrygnął się. – Żadnego psa. Nigdy więcej!

Jędrak wzruszył ramionami, ale nie wyglądał na specjalnie zmartwionego. Zapewne przywykł, iż deklaracje dziadka, który w końcu był politykiem, niewiele znaczą.

– To wszystko, co znalazłeś? – zapytał Roliński, powstrzymując Zieleniewskiego od ponownego pochylenia się nad zeszytami.

Wynalazca wyprostował się.

– Jeszcze tyle, że nasz kłopot prawdopodobnie skończy się z chwilą zlikwidowania wiadomego obiektu. Więcej przeróbek nie dokonano z powodu braku egzemplarzy eksperymentalnych. Na nasze szczęście studencka kieszonka nie jest zasobna. Ale trzeba mieć na chłopaka oko. Koniecznie muszę z nim pogadać, gdy tylko wróci. To geniusz.

– Moja w tym głowa, żeby tak się stało – oświadczył burmistrz. – A jak

tam miewa się nasz Parowy Hycel? – zapytał tonem sugerującym zajęcie się konkretnymi. – Zdązysz na czas?

Wynalazca skrzywił się, jakby mu kto nastąpił na odcisk.

– Maszyna właściwie jest gotowa, ale pojawił się pewien problem – przyznał. – Całkiem prozaiczny, wynikający z faktu, iż Parowy Hycel nie jest maszyną potrafiącą pracować samodzielnie. Wymaga, hmm... partnera.

– Jakiego znowu partnera? O czym ty mówisz?

– Nooo... kogoś, kto nim pokieruje... znaczy się...

– Potrzebny jest kierowca, jak w samochodzie. To przecież jasne. – Roliński zniecierpliwiał się. – Jaki widzisz problem?

Zieleniewski dyskretnie pochylił się nad burmistrzowym uchem.

Pogoda była wyśmienita. Na niebie świeciły gwiazdy, a księżyc w pełni doskonale udawał gazową latarnię, jedną z tych, które od początku lat trzydziestych systematycznie opanowywały nocny Kraków. Nieopodal cykały świerszcze.

– No, wreszcie! – Na widok swojego pracownika, który wyłonił się z przesłoniętej krzewami ciemnej alejki, Zieleniewski odetchnął. Pierwszy raz widział Bolesława Tołłoczka bez roboczego fartucha; w garniturze męczyzna prezentował się całkiem nieźle, choć muszka przy kołnierzyku wydawała się jednak lekką przesadą.

Parowy Hycel stał na lawecie, połyskując w świetle księżyca. Puszczając kłęby pary wodnej, czekał na odpalenie. Przez spojenia naprędcy zmontowanych blach prześwitywał żar rozgrzanego paleniska. Całość przypominała łóżko z baldachimem, który to baldachim spadł wprost na posłanie, po czym został doń przyspawany. Z boków doczepiono cztery solidne stalowe koła, z przodu wystawała wielka łapa na wysięgniku.

Bolesław Tołłoczko, Główny Mechanik Krakowskiej Fabryki Maszyn Parowych, minę miał grobową – ściślej ujmując, nie tyle kojarzyła się ona ze smutkiem żałobnika, co ze spoczywającą w trumnie tegoż smutku przyczyną.

– Panie Bolesławie, trochę więcej zapachu! – Zieleniewski uspokajająco położył dłoń na ramieniu męczyzny. – Proszę spojrzeć na to z innej, bardziej praktycznej strony. Będzie pan pierwszym na świecie człowiekiem, który zasiądzie za kierownicą Parowego Hycła. Czyż to nie pokrzepiające?

– Żałuję, że się zgodziłem – poinformował smętnie Tołłoczko. –

W dodatku, kiedy pomyślę, do jakich celów miał służyć pierwotny projekt! Zapewniam, że w normalnych okolicznościach, ja nigdy... przenigdy... Wie pan, że ja nigdy życiu nie byłem w żadnym bur...

– Ciii – przerwał mu Zieleniewski, dyskretnie wskazując palcem komendanta Straży Miejskiej, opartego o lawetę i palącego darowaną przez dyrektora cygaretkę. Odwrócił się w jego stronę.

– Możemy zaczynać? – zapytał.

– Jak najbardziej – odparł Jaworski, rozpędzając dłonią kółka z dymu, które po licznych wysiłkach udało mu się wreszcie wypuścić ze zwiniętych w rulonik warg. – Wjazdy na Planty obstawiłem swoimi ludźmi, nikt postronny nie powinien przeszkadzać.

– Doskonale! – Zieleniewski nie mógł się powstrzymać, aby nie zatrzcę rąk. Pomimo upływu lat uruchamianie każdego prototypu nieodmiennie wywoływało w nim uczucie ekscytacji.

Tołłoczko wgramolił się na lawetę i nałożył pożyczone z fabryki gogle, na co dzień używane przez objeżdżaczy automobili. Otworzył jedyne drzwiczki Parowego Hycła, odsłaniając rozświetlone czerwienią wnętrze – nie dość, że ciasne (montownia sprężyn zajmowała większość miejsca), to jeszcze z poziomym usytuowaniem fotela kierowcy. Właściwie nie był to fotel, raczej leżanka, z pikowaną tapicerką w kolorze soczystego bordo. Zanim Tołłoczko zanurzył się w trzewiach maszyny, raz jeszcze obejrzał się na dyrektora Zieleniewskiego, jakby liczył na to, że coś jednak się zmieni.

Nie zmieniło się nic.

Kiedy za bohaterskim mechanikiem zatrzasnęły się drzwiczki, w parku zapanowała cisza. Nawet świerszcze zastygły w niemym oczekiwaniu. I stało się! Parowy Hycel odpalił, wydając dźwięki, jakich nie powstydzilyby się mała lokomotywa. Z wnętrza wyłoniła się ręka Tołłoczki, poprawiająca wsteczne lustro, po czym maszyna ruszyła. Zjechała z lawety, zamigotała światłami (samego Zieleniewskiego zdumiała ich ilość; nie pamiętał, że zaprojektował ich aż tyle), po czym ruszyła, ignorując wytyczone alejki. Kiedy najechała na kosz na śmieci, rozległ się zgrzyt i kosz zniknął pod stalowymi kołami. Nim jego sprasowane szczątki zdążyły wyłonić się z tyłu, przednie koła już taranowały pieczołowicie przystrzyżone krzaki.

– Co on wyprawia?! – zawołał Jaworski. Rzucił cygaretkę i nerwowo poprawił czapkę z daszkiem, jakby przymierzał się do mandatu.

– Bez paniki – uspokoił go Zieleniewski. – Tołłoczko może nie jest

najlepszym kierowcą, prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy posiada własny automobil, ale zapewniam, że na mechanice zna się doskonale. Nie wątpię, że sobie poradzi.

Jakby na potwierdzenie jego słów, Parowy Hycel wyprostował kurs i wrócił na wysypaną żwirkiem alejkę. Z wolna oddalał się od obserwujących go mężczyzn. W pewnej chwili coś huknęło, niczym korek od szampana, i z maszyny wydobył się dym.

– Co to było? – zaniepokoił się Jaworski.

– Feromony – powiedział Zieleniewski, wpatrzony w coraz odleglejsze światła. – Zapachowe erotyczne wabiki – dodał, widząc zdezorientowaną minę komendanta. – Parowy Hycel właśnie je wypuścił. A jak pan to sobie wyobrażał? Że niby jak inaczej przywabić bandę kundli?

– Parowy pies reaguje na te...

– Feromony – odpowiedział Zieleniewski. – On nie. Ale żywe psy tak, mam nadzieję. Nasz delikwent pójdzie za sforą.

– O kurczę pieczone! – zawołał z uznaniem Jaworski. – Erotyczne feromony. Nie miałem pojęcia, że coś podobnego w ogóle istnieje!

– To pierwsza tego rodzaju próba. Nazwa nie jest jeszcze w użyciu, takie robocze hasło, szczerze mówiąc wątpię, czy się przyjmie. Feromon to trudne słowo.

Komendant wystawił nos.

– Aż tutaj je czuję, te feromony. Nawet ładnie pachną. Uff. A muszę się przyznać, że zaczynałem mieć wątpliwości. Bo przyzna pan, że trudno wyobrazić sobie, żeby taki klockowaty rakarz jak nasz złapał choćby kundla z kulawą nogą. Za przeproszeniem.

Edmund Zieleniewski pokręcił głową.

– Parowemu Hyclowi nikt się nie oprze. Na tym właśnie polegał mój pierwotny pomysł. Nie oprzeć się!

– Pierwotny?

– Ach! – Inżynier machnął ręką, z nie najlepiej udawaną obojętnością. – Nieważne.

Nagle poderwał się.

– Zaraz! – Złapał odchodzącego Jaworskiego za ramię. – Dokąd to? Gdzie się pan wybiera?

– Nooo... za hyclem.

Jaworski z lubością wziął haust powietrza. Oczy jakby zasnuły mu się

mgłą. Nozdrza zafalowały...

– Ani kroku! – rozkazał Zieleniewski. – To działają feromony. Ale pan nie jest psem, do diaska!

Jaworski oprzytomniał. Zaczerwienił się jak dzieciak.

– Myślałem, że my za nim...

– Nie za nim! Siadaj pan na ławce!

Komendant Straży Miejskiej usiadł posłusznie. Zieleniewski zajął miejsce obok.

– Co? Ciągnie pana? – zagaił ugodowo. – Mnie też ciągnie – przyznał. – Trochę. Ale czekamy. Nie ruszamy się stąd i czekamy. Jasne?

– Jasne.

– Wystarczy, że Tołłoczko ryzykuje życiem – mruknął Zieleniewski.

O drugiej nad ranem usłyszeli świst powracającego Parowego Hycla. Jakies pół godziny wcześniej rozległ się wystrzał, jak z armaty, co mocno ich zaniepokoiło. Zieleniewski żadnej armaty na Parowym Hyclu nie zaprojektował. Tym większa była ulga, że maszyna wracała.

Pojazd zatrzymał się. Sapnął gęstym obłokiem pary, a potem otworzyły się drzwiczki. W otworze najpierw pojawiły się w nogi, następnie tułów, a na koniec głowa z przekrzywionymi, zaparowanymi goglami. Włosy Tołłoczki sterczały w nieładzie, połowa z nich stała dęba.

Mężczyzna uśmiechał się.

– Wiwat! – krzyknął podniecony komendant Straży Miejskiej.

Tołłoczko nie zareagował. Nieobecny wzrokiem toczył po zasnutej nocną mgłą okolicy.

– Wszystko w porządku? – zawołał do niego Zieleniewski. – Hej tam! Panie Bolesławie!

Dopiero kiedy zamachał rękami, mechanik spojrzał w jego stronę, wciąż z tym samym, jakby przyklepionym uśmiechem. Skinął głową, a potem wskazał palcem na swoje uszy.

– Ledwie słyszę! – wrzasnął, jakby stali kilometr od niego. – Tak huknęło, że myślałem, że już po mnie! – Zeskoczył z Parowego Hycla i stanął przed dyrektorem.

– Niech pan coś powie – poprosił. – Byle co.

– Parowy Hycel jest lepszy niż sznycel – powiedział dyrektor, sam zdumiony rymem, który tak niespodziewanie mu wyszedł.

– Uff! Już lepiej. – Tołłoczko odetchnął. – Bałem się, że ogłuchłem na amen.

– Co tam się stało?

– Nie mam pojęcia. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Kiedy pojawiła się sfora, od razu dostrzegłem wśród nich naszego parowca. Miałem wrażenie, że próbuje swoich towarzyszy zawrócić. Jakby przeczuwał podstęp.

– Świadomość... – wyszeptał dyrektor Zieleniewski nawiedzonym głosem, od którego wszystkich obecnych przeszedł dreszcz. – Zrozumiałem to w chwili, gdy zobaczyłem zapiski tego studenciaka. Jego zdaniem olej skalny jest pochodzenia organicznego. Organicznego! – powtórzył. – Rozumiesz, co to może oznaczać?

– Może pan mówić głośniej? – poprosił Tołłoczko. – Wciąż nie słyszę zbyt dobrze.

– Nieważne. Nie temat na dziś. Niech pan opowiada dalej.

– Wysięgnik spisał się na medal. Magnes zadziałał. Załadowałem schwytanego parowego psa do komory montowni sprężyn. Wił się, jakby był żywy, szkoda, że pan tego nie widział. Ale ledwie zamknąłem klapę i uruchomiłem zaczep demontażu sprężyny, jak nagle coś nie huknie!

– W psie był olej skalny! – Zieleniewski uderzył się dłonią w czoło. – Oczywiście! Ciśnienie i temperatura. Jak mogłem tego nie przewidzieć!

– Potwierdziło się, że dobrze pan zaprojektował komorę sprężyn. – Tołłoczko pokiwał głową. – Inaczej zostałyby ze mnie strzępy.

– A pies?

Mechanik wzruszył ramionami.

– Po takiej eksplozji szlag go trafił. Dobrze, że zdążyłem z wyjęciem sprężyny.

– Cholera!

– To tylko stara blacha, szefie. Najważniejsza jest sprężyna, a ta została zabezpieczona. Nie ma się czym martwić.

– Dla jednych nie ma, dla drugich ma. Na szczęście jest jeszcze ten Łukasiewicz. Teraz to już koniecznie muszę z nim pogadać.

– O czym pan, szefie?

– Nieważne. – Zieleniewski przysunął się bliżej Tołłoczki. Nachylił się nad jego uchem. – A jak tam sprawy, że tak powiem... ogólnokonstrukcyjne.

Mechanik uniósł ręce, usiłując, bez większego powodzenia, przyglądać

katastrofalnie zmierzwił włosy.

– Niech to diabli! – rzekł z rozbłyskiem w oczach.

– Czyli dobrze czy źle?

– Niech to diabli! Jest pan szatanem!

Wbrew tym ostrym słowom, zupełnie nieprzystającym do stosunków dyrektor-podwładny, zmęczoną twarz mechanika rozjaśnił szelmowski uśmiech.

Madame Isabelle, właścicielka domu, który w Krakowie powszechnie nazywano jej imieniem, tkwiła znudzona w oknie, obserwując pustą ulicę. Był środek tygodnia; w takie noce powinna właściwie zamknąć lokal i pozwolić dziewczynom pospać, jednak jako osoba poważna i obowiązkowa nigdy by sobie na podobną nieodpowiedzialność nie pozwoliła. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby jakiś potrzebujący pocieszenia nieszczęśnik, zachodząc w jej skromne progi, zamiast tego na co liczył, pocałował – wyłącznie – kłamkę.

W dodatku zaczął siąpić deszcz, choć wcześniej noc była pogodna.

Ożywiła się, dostrzegłszy nadjeżdżający czarny automobil, lśniący w blasku lamp gazowych. Bezzwłocznie zeszła na dół. Otworzyła drzwi, nim dyrektor Edmund Zieleniewski zdążył pochwycić mosiężną kołatkę.

– Och! Dziś środa, a pan u nas? Cóż za niespodzianka?

– Miałem wyjątkowo ciężkie dni – wyjaśnił Zieleniewski. – Noce też zresztą. – Położył cylinder na komodzie i zdjął jesionkę, nieco wilgotną. – Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Rzekłbym nawet, że bardzo dobrze.

Jego parowy pies podązał za swoim panem krok w krok.

– Może go wytrzeć? – zaproponowała madame Isabelle, spoglądając z niepokojem na błoto, które stalowy zwierzak wniósł do pokoju.

– Sam wyschnie. Jest gorący. Go-rą-cy! – zaintonował śpiewnie rozluźniony wynalazca, co zdarzało mu się niemal wyłącznie w gościnnych progach madame Isabelle.

Puścił do gospodyni łobuzerskie oczko. Przeszli do salonu.

– Ostatnim razem obiecał mi pan Parową Kurtyzanę – upomniała się madame Isabelle, siadając na kanapie.

– Tak? – Zieleniewski zmarszczył brwi, jakby usiłował przypomnieć sobie wspomniane okoliczności.

– Opowiedziałam o tym dziewczętom. Nie były zadowolone, to

zrozumiałe, ale ja wprost nie mogę się doczekać!

– Cóż, droga pani... Hmm... Sprawa, jak się okazuje, nie jest taka prosta.

– Nie? – Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zawodu. – Panie dyrektorze! – zawołała z przyganą. – Poprzednim razem mówił pan coś innego!

Zakłopotany Zieleniewski chrząknął, pogładził palcami wąsy.

– Prawdę mówiąc, projekt techniczny miałem prawie gotowy, tylko zdjąć go z deski kreślarskiej. Jednak wynikły pewne komplikacje... z powodu których musiałem... zrezygnować...

Madame Isabelle wymownie zatrzepotała rzęsami.

– Na niepowodzenie nie miały wpływu kwestie techniczne. – Zieleniewski ożywił się. – Zdecydował aspekt estetyczny. Tak, właśnie to! Mówiąc krótko, poszło o piękno.

– Ach, o piękno?

– W rzeczy samej. Parowozy, automobile, nawet żelazne psy, wszystkie są piękne w swojej konstrukcji, starannie zaplanowane i wykonane. Niemniej jest to uroda mechaniczna, które z pięknem kobiecości nie ma nic wspólnego. Jako projektant przekonałem się, że są to dwa zupełnie różne rodzaje piękna.

Madame Isabelle, nagle zarumieniona, dystyngowanym ruchem poprawiła fryzurę, rozsiewając wokół woń perfum.

– Chyba rozumiem, co ma pan na myśli – powiedziała.

– Jestem inżynierem, człowiekiem praktycznym. Bóg niestety poskąpił mi wrażliwości artysty. W porę zorientowałem się, że to, co powstało na mojej desce kreślarskiej, jest żalostną próbą dogonienia niedoścignionego. Chyba nie chciałaby mieć pani u siebie posapującego stalowego monstrum, które zamiast dodać lokalowi charakteru, sprowadziłoby go do poziomu marnego, poplamionego smarami warsztatu mechanicznego?

– Cóż za perwersja! – wykrzyknęła przerażona madame Isabelle. – Oczywiście, że nie!

Wynalazca uklonił się.

– Dlatego zrezygnowałem, pomimo wielu wyrzeczeń. Wybacz mi pani, Królowo Tego Miasta?

– Och! Jakże mogłabym się na pana dłużej gniewać.

– Lecz nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, jakem Zieleniewski! – oznajmił dumnie wynalazca. – Kiedyś pokonam i tę barierę. Postanowiłem zająć się nieco chemią. Nauka jest wszechpotężna.

Parowy pies zaszczał z wyraźną aprobatą.

Hanna Fronczak

JEDEN NA MILION

„Gdy Metuszelach miał sto osiemdziesiąt siedem lat, urodził mu się syn Lamek. Po urodzeniu się Lameka żył jeszcze siedemset osiemdziesiąt dwa lata i miał synów i córki. Metuszelach umarł, mając ogółem dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat”¹.

Odkładam Biblię i wpatruję się w górzysty krajobraz, przesuwany się za oknami samochodu. Kierowca sprawia wrażenie, jakby nie znał rosyjskiego. Może zresztą i nie zna... W Symferopolu odebrał ode mnie walizkę, mruknął coś pod nosem i skierował się do samochodu. Zanim do niego dołączyłam, po raz kolejny musiałam uczestniczyć w odprawie. Znowu zostałam uświadomiona, jak wielki spotkał mnie zaszczyt i jak niesłychanie ważne jest zachowanie absolutnej tajemnicy. Jakbym w ciągu ostatniego tygodnia nie słyszała tego już dziesiątki razy.

W końcu mogłam zająć miejsce na tylnym siedzeniu białej łady – i ruszyliśmy. Droga z Symferopola do Eupatorii nie jest długa. Mijamy Lenskoje i Gwardenskoje, teren nieco się obniża. Niespokojnym spojrzeniem omiatam porośnięte lasem zbocza. Spoczywa na mnie wielka odpowiedzialność – i nie wzięłam jej na siebie dobrowolnie.

Początkowo pomysł wydawał mi się rewelacyjny. Oto ja, Marfa Ignatiewna Morozowa, lat trzydzieści siedem, do tej pory niewyróżniająca się niczym – może poza wzrostem i tuszą – otrzymałam szansę spotkania z żywą legendą. Potem jednak przyszły refleksje. Okres młodzięczego buntu miałam już dawno za sobą, o ile w ogóle przez niego przechodziłam. Lubiłam swoje nudne, szare życie fizjoterapeutki. Podejrzewam, że gdybym miała więcej kobiecego wdzięku albo miłszą powierzchowność – nie mówiąc już o łagodniejszym charakterze – praca w CSKA Moskwa byłaby dla mnie doskonałym punktem wyjścia do poszukiwania księcia z bajki. Los jednak obdarzył mnie wzrostem żyrafy i posturą słonia... no dobrze, tylko hipopotama. Idąc dalej tropem zwierzęcych skojarzeń, dołożył do tego charakter i powierzchowność wściekłego rottweilera. Z takim zestawem cech

wśród napakowanych testosteronem samców z klubu byłam bezpieczna jak plaster połędwicy w stołówce dla buddyjskich mnichów. Zazwyczaj mnie to cieszyło... Zazwyczaj.

Za oknami zaczyna siąpić drobny deszczyk. Staram się oddychać równo i sprawiać wrażenie spokojnej, ale chyba nie wychodzi mi to zbyt dobrze. Znow zerkam do Biblii, ale nie potrafię się skupić. To, że pozwolili mi ją zatrzymać, zakrawa na cud. Uznałam, że potraktuję to jak dobrą wróżbę.

Byli z nami od zawsze, od początku ludzkich dziejów. Wzmianki o nich spotyka się i w Biblii, i w innych archaicznych źródłach pisanych. Uczymy się o nich na lekcjach historii i biologii. Stanowią coś w rodzaju legendy, bo wszyscy o nich słyszeli, ale nikt – przynajmniej nikt spośród ludzi, których znałam – nigdy żadnego na oczy nie widział.

Długowieczni.

Skąd się biorą? Można tylko przypuszczać.

Istnieje nikłe prawdopodobieństwo kombinacji genów, która sprawi, że „wyróżniony” nią człowiek będzie miał – dajmy na to – rude włosy, smukłe ciało, krzywe nogi, niebieskie oczy i głos obejmujący swym zasięgiem dwie i pół oktawy. Pewno gdyby dobrze poszukać, przeprowadzić odpowiednie badania, udałooby się wyliczyć, jak często odpowiadające tej charakterystyce jednostki będą przychodzić na świat.

Długowieczni są wybrykiem natury – starzeją się dużo wolniej niż zwykli ludzie. Niezwykły zestaw genów i odbiegające od reguły wydzielanie niektórych hormonów sprawiają, że fizycznie stabilizują się na poziomie trzydziestu-czterdziestu lat i trwają tak... właściwie nie wiadomo ile. Istnieje teoria, że mogą żyć kilkaset lat, może pięćset, może nawet dłużej. Wobec niedostatku „materiału doświadczalnego” biologia długowiecznych wciąż w większym stopniu bardziej oparta jest na gdybaniu niż na rzetelnych przesłankach naukowych. Zwłaszcza że jest ich tak niewielu. Zwłaszcza że mamy dopiero lata 80. XX wieku, a bardziej wnikliwe badania w tej dziedzinie prowadzone są dopiero od końca drugiej wojny światowej. Najstarsi żyjący przedstawiciele tej osobliwej grupy pochodzą prawdopodobnie z XVIII wieku. Wtedy wygasły już stosy, Inkwizycja przestała tępić wszystko, co odbiegało od normy, a człowiek, który różnił się od innych, miał szansę przejść przez życie w miarę spokojnie.

Gatunek ludzki – jak każdy zresztą – nie przepada za odstępstwami od normy. Z ewolucyjnego punktu widzenia „inny” zazwyczaj znaczy „gorszy”.

Potrafię wyobrazić sobie długowiecznego żyjącego, powiedzmy, w średniowieczu. Jeśli chciałby uniknąć zdefiniowania go jako pomiotu szatana i spalenia na stosie, musiałby często zmieniać miejsce zamieszkania. Dawne czasy sprzyjały takim przenosinom, wystarczyło wymyślić sobie inne imię i nazwisko, a jeśli miało się trochę oleju w głowie i jakie takie oszczędności, osiedlenie się w innym miejscu zapewniało święty spokój na następne kilkadziesiąt lat. Podejrzewam, że jest to możliwe i dziś – oczywiście jeśli ktoś pragnie się ukryć.

Długowieczni są tacy sami jak wszyscy. Mogą umrzeć, jeśli zachorują. Nie mają szans w walce z rakiem, AIDS, dziesiątkami innych chorób. Można ich zabić. Nie mają w sobie nic nadprzyrodzonego. Z wyjątkiem tego, że unikalny koktajl genetyczny na długie wieki hamuje proces ich starzenia.

Ilu ich jest? Tego nie wiadomo. W dostępnych źródłach spotkałam informacje, że rodzi się jeden na milion. Albo jeden na pół miliona. Jeden na dwieście tysięcy, dwa miliony. Specjalistów zajmujących się długowiecznością można policzyć na palcach jednej ręki, a każdy jest przekonany, że to właśnie on ma rację. Na razie żadnemu z nich nie można ani przytaknąć, ani zaprzeczyć.

Długowieczni zawsze byli otoczeni aurą tajemniczości, nimbem romantyzmu. Trudno powiedzieć, jak odznaczyli się w odległej ludzkiej historii. W dawnych czasach podobno każdy, któremu udało się dotrzeć do pięćdziesiątki, uważany był za człowieka posuniętego w latach. A jednak niektórzy musieli żyć naprawdę długo, skoro pozostały o nich zapiski i legendy. Ile lat naprawdę miał Matuzalem? Albo Epimenides z Krety? Czy prawdziwe były plotki, jakie rozpowszechniał na swój temat hrabia de Saint-Germain? Jakie podstawy miała legenda o Ahasverusie, Żydzie Wiecznym Tułaczem? Co dało początek opowieściom o Hendriku van der Decken, Latającym Holendrze? Uchodzą za najwcześniej odnotowanych w historii długowiecznych, lecz dawne czasy z dzisiejszego punktu widzenia są tak przedziwne i niedookreślone, że równie dobrze nienaturalnie długie życie ówczesnych jednostek może być... właśnie legendą.

Im bliżej naszych czasów, tym trudniej korzystać z mimikry polegającej na zmianie personaliów i miejsca zamieszkania. Bieg dziejów pokazuje, że nie wszyscy jednak uznawali za stosowne zaprzeczanie temu, kim są. O tak, byli tacy, którzy – obdarzeni jednocześnie długowiecznością i niepospolitym umysłem – próbowali wpływać na bieg historii albo w inny sposób

odznaczyli się w dziejach naszej planety. Uczyliśmy się o nich w szkole. Włodzimierz Iljicz Ulianow – Lenin wiecznie żywy – fantasta i wizjoner, próbujący stworzyć nowe społeczeństwo, przekonać ludzi, że wie lepiej, co jest dla nich najbardziej korzystne. Obdarzony niepospolitą charyzmą, umiał porwać za sobą tych, którzy w 1917 roku wzbudzili wiadomą rewolucję. Jej efekty przeszły najśmielsze oczekiwania pomysłodawcy. Połowa Europy spłynęła krwią i na dziesięciolecia została odgradzona od reszty świata niewidzialną kurtyną, choć miłosierna konwergencja przez cały czas niemrawo starała się zacierać różnice.

A sam Lenin? Co dzieje się z Leninem? Przerażony mutacją tego, co wymyślił w dobrej wierze, wycofał się z polityki. Są nawet tacy, którzy wierzą, że uczynił to dobrowolnie. Fama głosi, że mieszka w strzeżonym przez wojsko domu gdzieś w głębi Syberii, w drewnianej stancy na stepach Ukrainy, w baśniowym pałacu na Krymie... Może nawet został przykuty do ściany Kaukazu, a sęp co rano wyjada mu wątrobę. Ilu ludzi, tyle wersji. Podobno zrobienie z nim wywiadu jest marzeniem każdego dziennikarza, wątpię jednak, żeby komukolwiek udało się go namierzyć. Świat jest wielki – i przepastny. Związek Radziecki, kolos na glinianych nogach, dołożył wszelkich starań, by zamknąć usta twórcy swojej haniebnej świetności.

Na szczęście ja nie będę robić z nim wywiadu. Odpada mi cała ta męcząca, nudna robota. Zapakowana w siermiężną ładę, mogę podziwiać szerokie bary mojego kierowcy (głowę daję, że jest chlubą specnazu; żeby tylko...) na przemian z bezludnym krajobrazem za oknem. A tymczasem kilometr za kilometrem zbliżamy się do Eupatorii, urokliwego miasta nad Morzem Czarnym. Jest czerwiec, powietrze ma przejrzystość kryształu, a ja znajduję się w podróży do innego świata. Dzień, w którym otrzymałam polecenie uczestnictwa w „specjalnym projekcie rządowym”, powinnam uczcić butelką najlepszego szampana. Ale nie ucziałam.

Kogo jeszcze pamiętam z lekcji historii? Ach tak. Edward Munch. Od najwcześniejszych lat swojego życia ocierający się o śmierć, opętany przez własne malarskie wizje. Jego „Krzyk” jest chyba najczęściej kradzionym obrazem na świecie. Nieszczęsny Norweg już kilkadziesiąt lat przebywa w szpitalu psychiatrycznym. Urodził się w drugiej połowie XIX wieku, zatem ma przed sobą jeszcze kilkaset lat pełnych zwidów i koszmarów. Ciekawe, czy jest przytomny, czy też może nafaszerowany psychotropami spędza czas pogrążony w katatonii?

Też sobie znalazłam temat do rozmyślań... Ostatnie, co powinno mnie w tej chwili zajmować, to cudze szaleństwo.

Chyba powoli zbliżamy się do celu naszej podróży. Bezludne okolice ustępują miejsca z rzadka rozsianym domkom, połacie trawy, ujęte w ramki z siatki lub drewnianych sztachet, stają się ogrodami. Z oddali wionie wilgotną bryzą – Morze Czarne daje o sobie znać.

Obserwuję otoczenie z niezdrową fascynacją. Chyba powoli zaczyna do mnie docierać, w co wdepnęłam. Włącza mi się zwyczajny, ludzki instynkt samozachowawczy. Tańczę na cienkiej linii, spaceruję po ostrzu brzytwy. Jeden fałszywy ruch – i spadnę z krzykiem. Co ja tu robię? Dyskretnie wycieram spotniałe dłonie w gładki materiał spódnicy.

Samochód zatrzymuje się pod bramą sporej posiadłości. Do Eupatorii pozostało jeszcze około trzydziestu kilometrów. Ogrodzenie wysokie na trzy metry, zwieńczone drutem kolczastym, przy wjeździe wartownia... Wypisz wymaluj obóz koncentracyjny. Na bramie tabliczka z enigmatycznym napisem: „Ośrodek Wypoczynkowy im. Róży Luksemburg”. Kierowca podaje wartownikowi plik papierów, przez chwilę cicho konferują, wreszcie brama rozwiera się i wjeżdżamy w szeroką aleję, ocienioną szpalerem akacji. Całą siłą woli staram się odgrywać zachwycone dziecko, naiwną kobietę, przed którą rozwarły się podwoje wiodące do żywej legendy.

Bo w Ośrodku Wypoczynkowym im. Róży Luksemburg wypoczywa tylko jeden pensjonariusz. Wypoczywa bezustannie od jakichś sześćdziesięciu lat, pod pilną strażą, otoczony wielkim – jak na nasz kraj – luksusem. Do jego dyspozycji są willa z basenem, salka gimnastyczna, prywatny kucharz i trzy zmiany uzbrojonych po zęby chłopaków z „Gryfa”, więziennego oddziału specnaz. Jedna zmiana odpoczywa, jedna czuwa na służbie, jedna pozostaje w gotowości. Na jednej zmianie cztery osoby.

I cała ta obsada śledzi każdy krok drogiego gościa. Wszyscy, łącznie z kucharzem. Wliczając w to mnie, nową fizjoterapeutkę, do obsługi jednego człowieka ściągnięto tu ponad piętnaście osób. Wiwat wolność i równość, wiwat sprawiedliwość społeczną, wiwat nasz ukochany kraj, egalitarny zakątek jednakowych szans dla wszystkich obywateli!

A przede wszystkim – wiwat Włodzimierz Iljicz Ulianow, honorowy gość, drogi pensjonariusz, Lenin wiecznie żywy. Ojciec radzieckiej rewolucji, pomnik naszych czasów. Historia to jednak wredna suka, pomniki z czasem stają się niewygodne. Jeśli nie mogą pozostawać na widoku,

a niszczyć ich mimo wszystko nie należy, trzeba odstawić je do magazynu, niech pokrywają się kurzem. Nie powiem, magazyn całkiem okazały – wypielęgnowane trawniczki (ciekawe, kto je strzyże i podlewa, o ogrodniku nie było mowy, czyżby brudzili sobie ręczki chłopaki ze specnazu?), uroczy domek o frontonie z kolumienkami, basen połyskujący błękitem kafelków, sosnowo-brzozowy zagajnik. I prawie perfekcyjnie ukryty w nim barak, minikoszary dla strażników. Żyć, nie umierać.

W przypadku najbardziej kłopotliwego rosyjskiego długowiecznego ostatnie zdanie nabiera niezamierzenie gorzkiego wydźwięku.

Dwie godziny później padam na łóżko w przydzielonym mi pokoiku i wbijam wzrok w ukośny sufit. Jak się okazuje, mojego nowego podopiecznego poznam późnym wieczorem. Z jednej strony – chciałabym zamienić się w ptaka i wyfrunąć przez okno. Z drugiej – nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wezmę się za robotę. Nie przyjechałam tu po to, by robić za dekoracyjną figurę. Socrealizm ukochał wprawdzie monumentalne kariatydy, ale ja pomnikiem nie jestem i nigdy nim nie zostanę.

Tatús Sowieckij Sojuz opiekuje się człowiekiem, który go stworzył. Teraz już za późno, żeby po cichu przejechać mu nożem po gardziółku, być może ku żalowi niektórych. Kiedy w 1918 roku Dora Frumkin strzelała do Lenina, jego polityczni spadkobiercy po cichu już skakali sobie do oczu o schedę po wodzu. Był doskonałym „zapalnikiem”, umiał porwać masy i wzniecić rewolucję. Każdy burzliwy proces powinien jednak jak najszybciej się zakończyć, ustępując miejsca błogiemu dostatkowi. A dostatek ów to wspaniała wylęgarnia, gdzie w zacisznych pokojach państwowych instytucji roją się mali biurokraci, każdy spowity w kokon okólników, zarządzeń, instrukcji i zwykłej ludzkiej bezmyślności.

Trzeba przyznać: Dora zrobiła kawałek dobrej roboty. Kule z jej pistoletu nie musiały zabijać wodza, wystarczy, że na długie miesiące usunęły go ze sceny politycznej. Wujaszek Stalin zajął się przywódcą rewolucji najlepiej, jak umiał. Ofiarował mu piękny dom, gdzie w odosobnieniu, bez zgubnych emocji tego świata mógł leczyć rany i pod okiem lekarza przychodzić do zdrowia. Kojące powietrze znad Morza Czarnego przynosiło Leninowi życie i wytchnienie, Ośrodek Wypoczynkowy im. Róży Luksemburg przytulił go jak matka. Spoza okalających willę zarośli nie było widać kordonu wojska ani zasieków. Myślę, że początkowo ranny przywitał

nową sytuację z pewną ulgą. Nie to, żeby chciał wieść życie zakładnika własnej idei. Może po prostu, zwyczajnie miał dość walki, którą przegrywał. Walki o władzę, wojnę o czystość poglądów, zmagania z biurokracją. Z sukcesorami, którym na sukcesję nie chciało się czekać. A potem zrobił wszystkim niespodziankę: okazał się długowiecznym.

Urodził się w roku 1870, dziś liczy sobie sto jednaście lat. Niedługo dowiem się, jak wygląda. W każdą rocznicę rewolucji październikowej „Prawda” zamieszcza zdjęcie z lat 20. oraz publikuje ciepłe wspomnienie o bohaterze sprzed dziesięcioleci, a w miarę upływu lat notki prasowe stają się piękniejsze i bardziej czułe. Co dziś się dzieje z Ulianowem – tego nie wie nikt. Podejrzewam, że ilu obywateli naszego pięknego kraju, tyle teorii. Otoczony wianuszkami urodziwych kobiet dzień i noc oddaje się rozpuście. Pisze powieści kryminalne i wydaje je pod pseudonimem. Ożenił się i spłodził gromadkę rumianych, pucułowatych Leninków. Pobierał nauki u buddyjskiego mędrca, pragnąc jak najszybciej zapaść w nirwanę. Zwariował i spędza dni zakutany w kaftan bezpieczeństwa. Niedługo się przekonam.

Dzisiaj kordonu wojska i zasieków już nie ma. Nie są potrzebne, jedna dobrze wycelowana rakietą perfekcyjnie załatwi sprawę. Spoglądam na zegarek – jest osiemnasta dwadzieścia. Najwyższy czas się ruszyć. O osiemnastej trzydzieści pięć dowiem się, co dalej.

O osiemnastej trzydzieści zajmuję pozycję obok drabinki umożliwiającej zejście do basenu. Usilnie staram się sprawiać wrażenie prowincjuszki oszołomionej przepychem tego świata. Stuloną dłońią osłaniam przed wiatrem ognik papierosa – obok leżaków i stolika jakaś myśląca dobra dusza zainstalowała popielniczkę.

Zapatrzona w przestrzeń nie słyszę cichych kroków.

– Zdrastwujcie, Marfa Ignatiewna – słowa eksplodują nad moim ramieniem jak huk wystrzału. – Patrzycie na chmury? To najciekawszy spektakl na naszej planecie i nigdy się nie powtarza.

Oblewa mnie zimny pot. Odwracam się powoli ku stojącemu za mną mężczyźnie.

Jest wysoki, czyli mniej więcej mojego wzrostu. Pseudocywilny strój – spodnie z kieszeniami na udach, czarna koszulka, kurtka z pagonami. Ciężkie buty, tiubitejka tkwi na głowie, założona zawadiacko na bakier. Oliwkowa

cera, haczykowany nos, spojrzenie węża. Po trzydziestce, być może w moim wieku. Przystojniaczek. Starszyna – co najmniej. A możliwe, że i lejtnant.

– I niepotrzebny im autor scenariusza – dopowiadam słowa hasła. Ciekawe, co za poeta je wymyślił?

– Nazar Baszirowicz Aliganow, szef ochrony na zmianie – mężczyzna przedstawia się, wyciągając rękę. Chyba jednak patrzy na mnie odrobinę z dołu. – Przejdźmy się pod drzewami – proponuje swobodnym tonem. – Nasz podopieczny trenuje wieczorami w sali gimnastycznej. Alona, wasza poprzedniczka, zajmowała się nim wieczorami.

– A właściwie dlaczego wyjechała? – Pogawędka przybiera formę steku banałów. I tak ma być, na użytek ewentualnego podsłuchu. Przyjmuję, że pod drzewami jest „czysto”, inaczej Nazar znalazłby inne miejsce na rozmowę.

– Kłopoty rodzinne – odpowiada krótko.

Podążając za nim, po raz kolejny zastanawiam się, jaki zasięg ma właściwie nasza akcja. Kim są ci „my” – przynajmniej częściowo mogę się domyślać. Kiedy otrzymałam propozycję uczestnictwa w całej tej operacji, nie było czasu na zastanowienie. Podejrzewam także, że była to propozycja nie do odrzucenia; w razie odmowy moje ciało wyłowiono by z rzeki Moskwy po kilku dniach. Och, cóż za niepowetowana strata, jeszcze młoda kobieta, całe życie przed nią, komuż się naraziła...?

Rozumiem, że była im potrzebna wtyczka. Mam nieskazitelną przeszłość, odpowiednie pochodzenie, należę, brałam udział, zbyt wnikliwych pytań nikomu nie zadawałam. Nieszkodliwa ze mnie istota, fizjoterapeutka-masażystka, jeden wielki nikt. Osoba z tła, takich jak ja się nie zauważa. Każda wtyczka jednakowoż ma konkretne zastosowanie, czemuś służy. Moi tajemniczy mocodawcy muszą mieć długie ręce – zorganizowanie „kłopotów rodzinnych” nieznaney mi Alony i zastąpienie jej „swoim człowiekiem” to nie w kij dmuchał. Tylko że ja nie mam pojęcia, jaka jest moja rola, bo nie wątpię, że chodzi o coś innego niż masowanie przetrenowanych mięśni towarzysza Lenina. Nie jestem szpiegiem, matka natura nie wyposażyła mnie w kuszące ciało, strzelam kiepsko, aczkolwiek mięśnie wyrobione przez dwadzieścia lat uprawiania zawodu sprawiają, że potrafię niezłe przywalić. Na terenie Ukraińskiej SSR nigdy do tej pory nie byłam, terenu nie znam, zgubiłabym się tu jak dziecko w lesie. Skoro jednak mnie wybrali, muszę przedstawiać sobą jakąś wartość.

Nazar stąpa miękko jak kot. Opiera się plecami o pień smukłej brzozy

i spogląda na mnie wzrokiem wypranym z wszelkich emocji.

– Na zmianie zawsze chodzimy po dwóch – komunikuje; najwyraźniej nie ma zamiaru bawić się w zbędne wstępy. – Rosjanin i Kawkaziec. – Nie mam wątpliwości, do której grupy on się zalicza. – Przed przyjazdem zostałaś wprowadzona w specyfikę struktury armii, wiesz więc, że pilnujemy się nawzajem. Kiedy wieczorem spotkasz się z Ulianowem, przekażesz mu, że dziś w nocy zostanie uwolniony.

Słucham?! Uwolniony? Nie jestem w stanie się odezwać.

– Na mojej zmianie zawsze towarzyszy mi Leonid, mój „anioł stróż” – kontynuuje Nazar. – W tej chwili siedzi w toalecie i wysrywa z siebie flaki. W pojedynkę do Lenina mogą wejść tylko dwie osoby: ty albo lekarz, Oleg Wiktorowicz. On jednak nie jest „nasz”; wszyscy lekarze, którzy tu się co jakiś czas zmieniają, to stuprocentowi Rosjanie, jesteś więc jedyną osobą, która może z nim swobodnie porozmawiać. Powiadomisz go. To jest twoje zadanie.

Odyskuję oddech, a po chwili również zdolność ludzkiej mowy.

– I właśnie dlatego – uśmiecham się wrednie – „wy”, kimkolwiek jesteście, wyłowiliście nikomu nieznaną masażystkę, zmusiliście ją do współpracy i przywieźliście w obce miejsce? Żeby powiedziała „Bądź gotowy”?

– Właśnie tak. – Mój rozmówca bez trudu wytrzymuje moje ciężkie spojrzenie.

– Wybaczcie, Nazarze Baszirowiczu – kręcę głową – ale nigdy w to nie uwierzę. Co tu się właściwie dzieje? Do czego naprawdę jestem wam potrzebna? I kim „wy” właściwie jesteście?

– A mówili, że jesteś inteligentna. – Mężczyzna wzrusza ramionami w poczuciu własnej wartości, nadęty dumą jak kocur, który właśnie zlazł z kocy. – Dodaj dwa do dwóch. Raport o stanie armii dostałaś nie po to, żeby ci się nad nim dobrze spało. – Spogląda na zegarek. – Jest osiemnasta czterdzieści siedem. Ulianow kończy trening o dwudziestej, po treningu bierze prysznic. Obaj z Leonidem przyjdziemy po ciebie o dwudziestej piętnaście, by odprowadzić cię do przebieralni przy sali gimnastycznej. Będziemy stali po drugiej stronie drzwi, on – wypowiada to słowo z szacunkiem – jest człowiekiem starej daty, nie lubi paradować półnago przed innymi mężczyznami. Masaż zazwyczaj trwa dwadzieścia minut. Będziesz miała czas, by przekazać moją wiadomość. Więcej wiedzieć nie

musisz.

Zaciskam zęby. Jeszcze się okaże, kto tu jest na bakier z inteligencją.

– Lenin wie, że organizujemy mu ucieczkę – kontynuuje Nazar – ale nie zna szczegółów. Poprzednim razem... zimą... odwołaliśmy akcję. W zamian za uwolnienie zgodził się na współpracę, lecz aż do tej chwili zgranie wszystkich elementów planu było niemożliwe. Dziś wyciągniemy go stąd do północy. A teraz wybacz... – uśmiecha się złośliwie – muszę zająć się Leonidem. Biedaczysko, chyba czymś się struł, ani chybi zjadł coś nieświeżego. To służbista jakich mało; żeby zszedł z posterunku, potrzeba chyba bomby atomowej... albo zwykłej sraczki.

Przyjacielsko, jakbyśmy znali się od piaskownicy, poklepuje mnie po ramieniu, odwraca się i odchodzi. A ja przecieram oczy. Co to za farsa?

Marszcząc czoło, ruszam do swojego pokoju. Inteligencja? Rosjanin i Kawkaziec, którzy wzajemnie się pilnują?

Do dwudziestej piętnaście pozostała nieco ponad godzina. Myśl, kobieto, myśl! Czego oni od ciebie chcą?

Raport o stanie armii...

W ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci w zasadniczy sposób zmieniła się jej struktura narodowościowa. Mówiąc po ludzku – trafiało do niej coraz mniej Rosjan. Przebrzmiały wojenne fanfary, nadeszła szara rzeczywistość. Związek Radziecki początku lat 80. nie przypomina wyśnionego socjalistycznego raj. Służba wojskowa nie jest już zaszczytem, powinnością podejmowaną ku chwale ojczyzny. Jeśli wierzyć wypowiedzianym półgębkiem uwagom tych, którzy ją zakończyli, jest morderczą harową pełną upokorzeń, bezsensownych ćwiczeń i spełniania fanaberii starszych stopniem. Kiedyś przynajmniej było tak, że poborowe świeżaki trzymały się razem, wiadomo, jechali na jednym wózku. Ale teraz...

I w tym momencie przeżywam olśnienie. Elementy układanki w mojej głowie wskakują na właściwe miejsca.

Tak, Nazarze Baszirowiczu, słusznie ci mówili. Jestem inteligentna!

Styczeń 1980 roku – bunt na tle narodowościowym w Kantemirowskiej Dywizji Pancerniej. Maj 1980 – w Tamańskiej Dywizji Zmechanizowanej. Tenże sam maj – w Ussuryjskiej Brygadzie do Zadań Specjalnych. Czerwiec tegoż roku – historia powtarza się w Noworosyjskiej i Pskowskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej. Było ich więcej, raport przytaczał tylko niektóre, niejako na marginesie stwierdzając, że mniejszych i większych ruchawek

do dziś, czyli przez półtora roku, miało miejsce około trzydziestu. Pierwszy sekretarz KC KPZR, towarzysz Leonid Breżniew, raczył zapewnić naród, że sytuacja wróciła do normy, podżegaczy wykryto, a winnych przykładnie ukarano.

O buncie w Kantemirowskiej prasa podała krótką wzmiankę: żołnierze pochodzenia muzułmańskiego upokorzyli kilkuset swoich rosyjskich kolegów, kazać się im modlić pod prawosławnym krzyżem, pierwiej zmuszając biciem do zanurzenia symbolu swej wiary w kompanijnej latrynie. Pamiętam to doniesienie – wtedy po raz pierwszy zastanowiłam się, ilu musiało być napastników, skoro liczba upokorzonych szła w setki... Inicjatorzy całej awantury zostali ukarani; być może właśnie przedsięwzięte represje stały się początkiem fali buntów. Autor informacji kładł nacisk na wyznaniową stronę zagadnienia; wiadomo, co religijne, to wsteczne, głupie i złe. Tylko – o ile dobrze pamiętam – odpowiedzialnością za upokorzenie rosyjskich szeregowców obciążano wahabitów. Skąd wahabici w Armii Radzieckiej?!

Dziewiętnasta pięć. Myśl, kobieto, myśl! Gdybym we właściwym czasie bardziej przyłożyła się do czytania tego raportu, myślenie nie szłoby mi teraz jak po grudzie!

Coś się psuje w państwie duńskim?

O islamie wiem niewiele. Moja babka ze strony ojca, Thikra Bassimowna, pochodziła z Iranu, jest prawie pewne, że przyszła na świat w rodzinie muzułmańskiej. Zmarła, kiedy miałam czternaście lat. Pamiętam ją jako zasuszoną, drobną kobiecinę, z upodobaniem przesiadującą wieczorami w cerkwi; z dziedzictwa przodków – jeśli takowe miała – nie pozostało nic.

Nie sposób zaprzeczyć, że z roku na rok słyszę o coraz większej liczbie młodych Rosjan pragnących wymigać się od służby wojskowej. Ba! Wśród moich znajomych, którzy mają synów w odpowiednim wieku, kwitnie łapownictwo. Nagle okazuje się, że z pozoru zdrowi, muskularni chłopcy mają a to płaskostopie, a to szmery w sercu, a to poważne kłopoty z zachowaniem władz umysłowych. I bynajmniej nie są to odosobnione przypadki – rodzice wręcz stawiają sobie za punkt honoru uchronienie syneczków przed bezsensowną służbą ku chwale ojczyzny. A jednak pobór odbywa się co roku i ktoś w tym wojsku służy!

Rosjanie pilnujący Kawkazców – i na odwrót?

Czyżby rzeczywiście było ich aż tylu? Tych żołnierzy z Tatarstanu, Dagestanu, Kazachstanu, Azerbejdżanu czy gdzie tam żyją muzułmanie? Z tego, co pamiętam, dla nich służba w wojsku to zaszczyt. Może tam system łapówek ma na celu posłanie do wojska młodych wyznawców islamu? Za wyróżnienie trzeba płacić – więc płacą...?

Dziewiętnasta dwadzieścia osiem.

Absurdem byłoby sądzić, że wyznawcami Allacha są tylko prości poborowi. Tiubitejka na głowie Nazara Baszirowicza nie wzięła się znikąd, a niech pękne, jeśli nie jest on co najmniej podoficerem. Skoro są podoficerowie, muszą być i oficerowie, nawet wyższych stopni, ostatecznie według raportu cały ten proces trwa już ponad dwa dziesięciolecia. Lenina „ochraniają” trzy zmiany po czterech ludzi na jednej, zatem dwanaście osób. Pilnują się nawzajem? Znaczy – połowa z nich to Kawkazcy.

Robi mi się gorąco. Do czego jest im potrzebny długowieczny Włodzimierz Iljicz Ulianow? Nie są przecież wyznawcami idei równości społecznej, do diabła!

Myśl, kobieto, myśl!

Bunt w Kantemirowskiej. Bunt w Ussuryjskiej, Noworosyjskiej i wielu innych to tylko wierzchołek góry lodowej. Wcale nie chodzi o krzyż umazany w gównie, to tylko detal z tła. A jeśli te troskliwie ukrywane – poza pierwszą – wojskowe ruchawki są istotnym odzwierciedleniem nastrojów w armii? Kto ma karabiny, ten ma władzę?

Patrzę na moje ręce – nie panuję nad nimi, zaczynają się trząść. Zamykam oczy. Wiem, że właśnie odkryłam coś istotnego.

Lenin jako przywódca dżihadu jest dla mnie do przyjęcia. To wielki człowiek, znany w całym świecie. Znany podwójnie, nie tylko jako wódz rewolucji październikowej. Jest długowiecznym, człowiekiem legendą, jednym na milion. Urodzony burzyciel, rewolucjonista z krwi i kości. Być może nieważny jest dla niego kolor flagi nieprzyjaciela, liczy się tylko to, że wskazuje kierunek i cel natarcia. Ale po co im Marfa Morozowa?! Przecież ja tu nie pasuję!

Dziewiętnasta pięćdziesiąt trzy.

Czuję, jak burczy mi w brzuchu. Jak mnie poinformowano na wstępie, posiłki wydawane są o ósmej, czternastej i dziewiętnastej. Przez „schadzkę” z Nazarem ominęła mnie kolacja. Mam w walizce jakieś herbatniki, muszę coś przekąsić. Jeśli to wszystko prawda, jutro o ósmej będę myślała

o wszystkim, tylko nie o śniadaniu. Kiedy wykańczam ostatnie ciasteczko, rozlega się pukanie do drzwi.

Dwudziesta piętnaście.

Nie wiem, kogo właściwie się spodziewałam: godnego starca z brodą po pas, natchnionego mistyka, szaleńca z oczyma płonącymi fanatyzmem? Na pewno nie uprzejmie uśmiechniętego, niewysokiego, łysawego mężczyzny w krótkich gatkach i gimnastiorce. O twarzy dokładnie takiej samej, jak na fotografii sprzed siedemdziesięciu lat.

Jeśli wierzyć temu, co mówi się o długowiecznych, przed nim jeszcze jakieś cztery stulecia. Będzie żył nawet wtedy, kiedy umrą wnuki wnuków moich prawnuków – o ile znajdzie się desperat, który zechce zrobić mi dziecko.

Kłania mi się z niedzisiejszą kurtuazją, przedstawia się – jakbym nie wiedziała, z kim mam do czynienia! – wypytuje o imię i otczestwo. Gdyby przebieralnia dysponowała niezbędnymi utensyliami, niechybnie poczęstowałby mnie herbatą. Skoro jednak nie ma tu ani elektrycznego czajnika, ani grzałki, ani samowara, uśmiecha się powściągliwie, zrzuca koszulkę i układa się na brzuchu na leżance.

Biorę się za robotę. Cóż innego mogę zrobić? Ręce mi śmigają, ugniatając zadziwiająco młode ciało wodza rewolucji. Myśli też mi śmigają, chyba nawet szybciej niż ręce. Nad rękoma panuję – nad myślami mi trudniej.

Jest wspaniale umięśniony, musiał dużo trenować ostatnimi czasy. Ostatecznie co tu można robić? W więzieniu – wprawdzie przyjemnie urządzone i z pięknym widokiem – ale jednak w więzieniu. Gimnastykować się? Spać? Pisać wiersze? Śpiewać? Układać zasady nowej rewolucji...?

– Na dziś to wszystko – przerywam milczenie, myjąc ręce pod kranem. – Czy... eee... jesteście zadowoleni z masażu?

Jak powinnam się do niego zwracać? Włodzimierzu Iljczu? Towarzyszu? A może Gospodin Lenin?

– Mówcie do mnie „towarzyszu”. – Uśmiecham się mimowolnie, opanowana wrażeniem, jakby czytał w moich myślach. – Każdy nowy, który tu przychodzi – dodaje z sarkastycznym uśmieszkiem – ma ten sam dylemat. Dobrze wam z oczu patrzy, Marfo Ignatiewna. Poświęćcie chwilę

samotnemu człowiekowi?

– Towarzyszu – prawie szeptem – dziś przed północą zostaniecie uwolnieni.

Odwraca się jak dźgnięty bagnetem.

– Dziś? – Nie mogę znieść jego wzroku, spojrzenia zwierzęcia przez sześćdziesiąt lat zamkniętego w klatce.

– Dziś – potwierdzam. – Nie pytajcie mnie, więcej nic nie wiem.

Wielki wódz światowej rewolucji odsuwa się o trzy kroki i mierzy mnie uważnym spojrzeniem.

– Nie wyglądacie na jedną z nich, Marfo Ignatiwna. Jak naprawdę macie na imię? Nie, żeby było mi to potrzebne, po prostu chciałbym wiedzieć.

– Jakich „ich”?! – Tym razem prawie krzyczę.

Cenny więzień zwleka z odpowiedzią. Naciąga gimnastiorkę i bluzę od dresu, starannie wiąże sznurówki sportowych butów, a potem, całkowicie bezsensownie, przeciska obute stopy przez wąskie nogawki treningowych spodni. W końcu podnosi wzrok.

– Postawiłem im jeden warunek – komunikuje. – Rewolucja, każda rewolucja, to krok milowy dla świata. Ale rewolucję tworzą ludzie. Burzyciele starego porządku i twórcy nowego muszą być świadomi niebezpieczeństwa, jakie im zagraża. Mój warunek brzmiał: w akcji mogą brać udział tylko osoby w pełni świadome ryzyka, gotowe umrzeć za swoją sprawę. Dlatego pytam, kim jesteście? Skąd pochodzicie? Nie wyglądacie mi na rodowitą muzułmankę... Jesteście konwertytką?

– Jestem Marfa Morozowa, córka Ignata i Inguny – mówię powoli. – Pochodzę z Moskwy. Nie mam pojęcia, co tu robię. Byłam masażystką w klubie sportowym CSKA Moskwa. To klub wojskowy. Pewnego dnia wezwał mnie towarzysz kierownik działu kadr, pułkownik Gorbowski. Wręczył plik materiałów dotyczących armii, które nic mi nie powiedziały, przekazał, że za swą nieskazitelną pracę otrzymałam wyróżnienie – przez miesiąc będę pełniła obowiązki waszej masażystki – i oddelegował tutaj, do tej rezydencji. To wszystko, co wiem.

– Jasny szlag!!! – Lenin z rozmachem uderza pięścią w ścianę; odskakuje, przestraszona jego wybuchem. – Zaufanie! Słowa! Ustalenia! Czy im się wydaje, że jestem laleczką na sznurku?! Jak możemy razem zmieniać świat, jeśli oszukują mnie przy drobiazgach, jeszcze zanim wszystko się zaczęło?!

Milczę. Mój drobny, niewysoki – i w tej chwili wściekły – rozmówca spogląda na zegarek.

– Diabli! – syczy. – Marfo Ignatiewna, proszę za mną. – Z rozmachem otwiera drzwi wiodące na korytarz, chwytając mnie za rękę i ciągnie za sobą. – Chodźmy przejść się pod drzewami, dopóki widno. – Powariowali z tym laskiem... zaraz, zaraz... tu pewno wszędzie jest podsłuch. – Skoro będziecie brali w tym udział, musicie wiedzieć. I niech piorun strzeli tę ich całą konspirację, pułkownika Gorbowskiego i klub sportowy!

Gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach, chyba mogłabym go polubić.

– Waszą poprzedniczkę, Alonę, miała zastąpić ochotniczka, samobójczyni – wyjaśnia, kiedy już znajdujemy się na dworze. – Potencjalna samobójczyni – uściśla. – W każdym planie coś może nie wypalić. – Spogląda na mnie spod oka i na moment milknie. – Siedzę tu już sześćdziesiąt lat, jak małpa w klatce, jak mucha w słoiku! – wybucha. – Znam na pamięć każde drzewo, każdy kamyczek w ogrodzie, każde włókno dywanu! Nauczyłem się siedemnastu języków, bez problemu dogadam się z Polakiem, Norwegiem, Włochem, Serbem, Arabem, może nawet z Eskimosem, gdybym chciał! To był jeden z moich warunków – kontynuuje już normalnym tonem. – Jeśli ucieczka się nie uda, chcę, żeby ktoś mnie zastrzelił. Po prostu kula w łeb, ucieknę stąd w taki czy inny sposób. Miała to zrobić ona, kobieta, którą ty nie jesteś.

Nogi uginają się pode mną i czuję, jak opadam na trawę jak dziecko, które dopiero uczy się chodzić. Ostatni element układanki właśnie wskoczył na swoje miejsce. Żegnajcie, złudzenia ogólnoludzkiej solidarności i braterstwa. Żegnaj, naiwne przeświadczenie, że „swoich” się nie zdradza, nie zostawia.

– Towarzyszu – z moich oczu płyną łzy – dziękuję. Ja już chyba wszystko wiem...

Lenin siada obok mnie w pozycji lotosu.

– Mów! – W jego głosie dźwięczy stal. Przecieram oczy i widzę w nim człowieka uczącego się życiowej mądrości od ponad stu lat.

– Ona miała was zastrzelić, prawda?

W milczeniu kiwa głową.

– A co potem? Co miało być potem... z nią?

– Przecież mówiłem – tłumaczy cierpliwie – to miała być szahidka.

Samobójczyni.

– Gdyby coś poszło nie tak – cedzę przez zęby – gdyby coś nie zagrało, wasi ochroniarze mieliby kłopoty z uciszeniem na zawsze swych rosyjskich kolegów, gdyby złapali was po drodze, ona zgodnie z umową miała was zabić i sama za to ponieść śmierć. A potem okazałoby się, że na miejsce wypoczynku towarzysza Lenina napadli muzułmańscy bandyci, a kilku z nich poległo. Być może inicjatorzy całej tej akcji zdołaliby zachować stołki i głowy, udowadniając, jak bardzo przyczynili się do stłumienia zamachu. O to chodziło? – upewniam się.

– Z grubsza właśnie o to – przytakuje.

– A więc, towarzyszu – uśmiecham się jak zmija – myślę, że poszli o krok dalej. Rewolucja z ludzką twarzą zaczęła się wcześniej, właśnie ode mnie. Po co mieliby narażać swoją siostrę w wierze? Wyszukali Bogu ducha winną Rosjankę z irańską babką, wsadzili do samochodu i kazali jechać. Tu wcale nie chodziło o to, żebym przekazała wam wiadomość – gorączkuję się – to mógł zrobić każdy z tutejszych Kawkasców, skoro Nazar mógł rozmawiać ze mną, mógłby i z wami. Oni potrzebowali kozy ofiarnej! Gdyby przyszło co do czego, zastrzeliliby i was, i mnie. Oficjalnie – kryptomuzułmanka zamordowała socjalistycznego świętego, ale na szczęście już została wyeliminowana! O tak, można powiedzieć – kończę z goryczą – że dołożyli wszelkich starań, by ograniczyć straty. Swoje straty. Obcy liczą się dla nich tyle, co muchy na ścianie.

Mój towarzysz marszczy brwi, jakby usiłnie się nad czymś zastanawiał.

– Teraz już za późno na zmiany w planie – odzywa się po chwili – teraz ważne jest, żeby ucieczka się udała. Och, jak ja mam dość, jak ja mam tego dość, potąd, potąd, o! – Przeciąga palcem po żylastej szyi. – Ludzie! Nic się nie zmienili przez ostatnie sześćdziesiąt lat, obietnice, honor, to wszystko furda! Ważne są własne interesy, gra o dominację, jakby nie było można po prostu współpracować! Od tej pory – porzuca ceremonialne formy grzecznościowe – jesteś pod moją opieką. Za twoje bezpieczeństwo Nazar odpowiada głową. Wariant B, w którym miałem zostać miłosiernie zabity, uznaję za niebyły. Jeśli ktokolwiek dotknie cię choćby palcem, osobiście wpakuję w niego cały magazynek. À propos – masz broń?

– Masażystce pistolet niepotrzebny. – Krzywię się.

– Plan zakłada – rozpoczyna z namysłem Lenin – opanowanie przez „naszych” kilku strategicznych celów z bazą raketową włącznie. Jeśli

wszystko pójdzie gładko, po prostu wsiądziemy do samochodów i odjedziemy w bezpieczne miejsce.

– Kto: „my”? – przerywam mu bezceremonialnie.

– Muzułmańscy żołnierze z „Gryfa”, którzy mnie pilnowali, i ja. Teraz także i wy. – Wzburzenie już mu przeszło, powrócił do kurtuazyjnych form wypowiedzi. – Dostaniecie kałasza... Umiecie się nim posługiwać?

– O tyle, o ile – stwierdzam. – W klubie przeszłam szkolenie wojskowe.

– Przez cały czas trzymajcie się mnie – instruuje. – Teraz się podniesiemy – sprężyście zrywa się na równe nogi, po czym kurtuazyjnym gestem podaje mi dłoń – i wrócimy do domu. Słońce już dawno zaszło, pozostaje niewiele czasu. Niech szlag trafi dyscyplinę, zapraszam na moją kwaterę. A kiedy po nas przyjdą, trzymajcie mnie za rękaw. Oczywiście w przenośni. – Uśmiecha się.

– Towarzyszu – pytam, nie mając odwagi podnieść wzroku – dlaczego tak się o mnie troszczycie?

Zatrzymuje się.

– Marfo Ignatiewna – mówi miękko – o tym, że mogę żyć pół millennium, dowiedziałem się nie tak dawno. Od długiego czasu wiedziałem, że się nie starzeję, najpierw uznałem, że tak po prostu jest. Istnieją pięćdziesięciolatekowie, którzy wyglądają na trzydziestolatek. Żyłem w izolacji, ale co jakiś czas dostawałem gazety. Uczyłem się obcych języków, nie musiałem polegać tylko na naszych, radzieckich. Zawsze znalazł się chętny, który mógł mi je przeschmuglować. W latach sześćdziesiątych zrobiła się głośna sprawa tego akademika z Leningradu, Artioma Zorina. To już nie jest średniowiecze, fotografia istnieje od ponad stu lat. Jeśli na zdjęciu z końca XIX wieku widnieje ten sam człowiek, który dziś, z tak samo młodą twarzą, pozuje u boku towarzysza Breżniewa, trzeba się nad tym mocno zastanowić. Przestaliśmy być traktowani jak kuriozum, doczekaliśmy się podejścia naukowego... Gdyby tylko nie było nas tak niewielu!

Jego oczy przybierają nieobecny wyraz i przez chwilę mam wrażenie, że zapomina, gdzie się znajduje.

– Widzicie – kontynuuje po chwili – przeżyłem ponad sto lat. Powoli tracę pamięć, i tak chyba jest lepiej. Gdybym magazynował wszystkie wspomnienia, głowa pękłaby mi jak arbuz. Zupełnie zatarli mi się rodzice, rodzeństwo... Miałem siostry i braci, ale żeby przypomnieć sobie ich imiona,

musiałbym zajrzeć do encyklopedii. Są jednak rzeczy, które pamiętam, choćbym nie chciał.

Wokół ust pojawia mu się bolesny grymas.

– Inessa... jakąż ona była piękna! Jeśli kiedykolwiek spotkałem kobietę absolutnie oddaną, to ona nią była. Dziś wiem, że czasem nasze kochanki ofiarowują nam siebie po prostu, z porwy serca, bo tego pragną. Ale my – wzrusza ramionami – to, co ofiarowane za darmo, uważamy za pozbawione wartości. I tak też ją traktowałem, jakby była nikim. Marfo Ignatiewno... minęło siedemdziesiąt lat, a ja wciąż pamiętam wszystkie podłości, jakich ode mnie doświadczyła. Ponad pół wieku przeżyłem w odosobnieniu, za murem. Nie chciałem – wzdycha – po kolejnych siedemdziesięciu latach wspominać was jako pierwszej osoby z nowego świata, która zginęła dla mnie, nieświadoma sensu własnego poświęcenia. Każda rewolucja wymaga ofiar, ale – i tu zgadzam się z Nazarem – niech będzie ich jak najmniej. Nie chcę, byś po stu latach ciągle przede mną stała i patrzyła tak jak przed chwilą. Siedemdziesiąt lat temu za moją sprawą zginęły tysiące... Już ich opłakałem, miałem na to czas. Ale wspomnienia o tobie bym nie zniósł.

Ledwo docieramy do apartamentu Lenina (nie wiem dlaczego nazywa go „kwatery” – podejrzewam, że podobne „kwatery” mieli ich wysokośći przedrewolucyjni królowie we Francji), do pomieszczenia wpada obwieszony bronią Nazar w towarzystwie czterech mężczyzn.

– Jak sytuacja? – Włodzimierz Iljicz momentalnie dostaje czerwonych wypieków na policzkach, a głos mu drży. Nie dziwię się. Sześćdziesięcioletnia odsiadka właśnie mu się skończyła, choć być może na krótko.

– Rosjanie wyeliminowani – melduje Nazar. – Także Ajdyn, przekłety munafik², murtad³! Już od dawna go podejrzewałem! Nadeszły posiłki, oddział w sile dwudziestu ośmiu ludzi w gotowości!

– Gdzie Oleg Wiktorowicz? – Lenin wygląda na korytarz. – Miał się wam poddać. Przekonałem go, by poszedł z nami.

– Nasz lekarzyna? – Nazar prycha pogardliwie. – On już nigdy nigdzie nie pójdzie. To Rosjanin, nie potrzeba nam takiego balastu.

W oczach Lenina błyska coś straszego. Gdybym była Nazarem, zaczęłabym się bać.

– Do samochodu, szybko! – krzyczy ktoś z korytarza.

Wódz kolejnej światowej rewolucji rusza do drzwi z kocią gracją. Mijając młodego mężczyznę z krótką, czarną brodą, prawie niedostrzegalnym ruchem wyłuskuje mu pistolet z kabury i podaje mi go gestem identycznym jak instruktor na ćwiczeniach – lufą do dołu.

– Towarzyszu! – Nazar usiłuje zaprotestować, ale trzymam broń w ręce i na pewno nie dam jej sobie odebrać. – Szybciej!

– Co w kraju? Melduj!

– Baza rakietowa w naszych rękach. Stacja telewizyjna w Symferopolu w naszych rękach, z wyjątkiem niewielkich ognisk oporu miasto należy do nas. W Eupatorii dorzynamy niedobitków. Allah nad nami, Rosja pod nami!

– Wspaniale. – Lenin krzywi się, chwyta mnie za rękaw i kieruje w stronę drzwi.

Więc tak wygląda rewolucja? Podczas gdy my siedzieliśmy pod drzewkiem, w kraju dokonał się zamach stanu? Od ilu lat go przygotowywali? Jaki ma zasięg? Co ze sobą przyniesie?

Moje życie do normy już nie wróci. Żegnaj, spokojna posado, żegnaj, dawno nieodmalowana kawalerko, żegnajcie, mięśnie klubowych zawodników, które czasem nawet masowałam z przyjemnością. Teraz kulę się na tylnym siedzeniu wielkiej czarnej wołgi, a obok mnie plasuje się człowiek, który żyje ponad sto lat i wywołał dwie rewolucje. Jeden z byłych gryfowców zajmuje miejsce za kierownicą. Ruszamy – przed nami dwa samochody, za nami dwa samochody, z każdego boku po jednym. Wszystkie pełne mężczyzn pod bronią.

– Droga do Eupatorii czysta – relacjonuje Nazar z siedzenia obok kierowcy. – W mieście czekają helikoptery, zawiozą nas do Symferopola. Ty – wskazuje w moją stronę – zostajesz w Eupatorii. Oddaj broń.

– Nie – ucina Lenin. – Ona jedzie ze mną.

– Towarzyszu, zastanówcie się... – protestuje Nazar.

– Ona jedzie ze mną – powtarza spokojnie Włodzimierz Iljicz. – Będę potrzebował sekretarki.

– Praca z wami to zaszczyt – próbuje perswadować Nazar. – Będziecie mieli znakomitego sekretarza...

To, co następuje potem, jest jak koszmary sen. Siedzący obok mnie mężczyzna ruchem prestidigitatora wyjmując pistolet i bez słowa strzela

w głowę swojego szefa ochrony. Kula rozrywa czaszkę i rykoszetuje, ale nikomu nie robi krzywdy i przepada gdzieś za oknem. Kierowca na moment traci panowanie nad kierownicą, samochód tańczy po jezdni, a w eskortujących pojazdach dwadzieścia luf zwraca się w naszą stronę.

Lenin wychyla się przez roztrzaskane okno.

– Wszystko w porządku! – krzyczy. – Jedziemy dalej!

Więc jedziemy. Żołądek buntuje mi się, próbuję się powstrzymać, lecz nie daję rady, po chwili wymiotuję na podłogę. Kierowca prowadzi beznamiętnie jak robot, nie patrzy na siedzącego obok trupa z rozwaloną głową. Po mojej twarzy płyną łzy. Lenin podaje mi chusteczkę, przyjmuję ją z wdzięcznością.

– Zatrzymaj się – nakazuje kierowcy.

Zwalniamy i stajemy. To samo robi nasza obstawa. Włodzimierz Iljicz otwiera drzwi i gestem każe nam opuścić wóz. Posłuszni jego znakom, z samochodów eskorty wysiadają uzbrojeni rewolucjoniści.

– Mieliśmy małe nieporozumienie – komunikuje wódz, wskazując trupa. – Połóżcie go na poboczu albo zabierzcie do miasta i tam pochowajcie, jak sobie chcecie. Opróżnijcie jeden wóz i przesiądźcie się. Ze mną jadą Lenur, Marfa i Asłanbek. Lenur prowadzi.

– Co się dzieje? – dopytuje się czterdziestoletni mężczyzna w mundurze bez dystynkcji i szydełkowej mycce.

– Jestem przywódcą tej rewolucji, nie marionetką – cedzi Lenin. – On – ruchem głowy wskazuje samochód z martwym Nazarem – już o tym wie. A teraz w drogę!

Kontynuujemy podróż. Lenur i Asłanbek to bystre chłopaki – milczą jak zakłęci.

– Jesteś wierząca? – pyta po chwili mój obrońca.

– Nie – stwierdzam. – Nigdy nie zavracałam sobie tym głowy. Prawosławie, islam... co za różnica. Mogę ubrać się w czarną szatę i zakryć twarz; za to ostatnie paru ludzi pewno nawet mi podziękuje...

Lenin wybucha śmiechem. Coś w rodzaju stłumionego parsknięcia wydaje z siebie również kierowca.

– Mówiliście prawdę? – Nagle nabieram odwagi. – Będę waszą sekretarką?

– Będziecie moją *femme d'accompagnement* – odpowiada. – O współczesnym świecie wiem tylko tyle, ile słyszałem w radio albo

przeczytałem w gazecie. Zostaniecie moją przewodniczką po współczesności. Tym razem – prycha jak kot – ja sam będę sobie dobierał współpracowników. Ich – zatacza ręką łuk, wskazując na towarzyszących nam mężczyzn – jestem pewien. Nazar to był twardogłowy fanatyk. Już nie będzie mi przeszkadzał.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu – odzywa się Lenur zza kierownicy. W obecności wodza czuje się swobodnie, widać, że łączy ich nie tylko idea, lecz także sympatia i zaufanie. – W tamtych samochodach – wskazuje ruchem głowy – jest kilku takich jak on.

– W każdym miejscu jest kilku takich jak on. – Lenin wzrusza ramionami. – Poprzednim razem – uśmiecha się krzywo – zgubił mnie nadmierny idealizm. Ale teraz jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy, nie tysiąc dziewięćset siedemnasty. Miałem dużo czasu na rozmyślanie. Jestem bezpieczny. Wiesz dlaczego?

– Nie zabija się legendy. – Drugi z mężczyzn, Aslanbek, odwraca się w naszą stronę. Rozpoznaję w nim młodego brodacza, poprzedniego właściciela mojego pistoletu. – W ten sposób uzyskuje się męczennika, a to może tylko zaszkodzić sprawie. Wy, towarzyszu, jesteście potrzebni żywi. My cenimy mądrość i doświadczenie nabyte z biegiem lat, a kto przeżył ich więcej niż wy?

– I właśnie dlatego – Włodzimierz Iljicz uśmiecha się z zadowoleniem – jedziecie ze mną wy troje. Tym razem nie dopuszczę do tego, bym musiał obawiać się najbliższych współpracowników. Masz rację. Właśnie dlatego ja jestem wodzem. Właśnie to cenią we mnie wasi imamowie, mułłowie i inni duchowi przewodnicy.

Wjeżdżamy do Eupatorii. Widać, że przez miasto przeszła rewolucyjna zawierucha; tu i ówdzie widzę transportery opancerzone, za nasypem z gruzu majaczy lufa czołgu. Im bliżej bazy helikopterowej, tym więcej wojska na ulicy, ale budynki stoją całe, przynajmniej w polu widzenia.

W takich chwilach nie sposób nie zadumać się nad przeznaczeniem. Wczoraj o tej porze słodko spałam w hotelu w Symferopolu – nikomu nieznaną, nie pierwszej młodości i urody masażystką. Dziś wjeżdżam do Eupatorii – mimowolną uczestniczką wojskowego puczu. *Femme d'accompagnement* Wielkiego Wodza Radzieckiej Islamskiej Rewolucji Czerwcowej, towarzysza Włodzimierza Iljicza Lenina.

A oto już lotnisko. Stojące na jego płycie śmigłowce młócą powietrze

płatami turbin. Wsiadamy z samochodów i wydaje mi się, że poprzez jazgot rotorów dobiega mnie złośliwy rechot Pani Historii.

Przemysław Hytroś

JAK MACIEK WOJNĘ WYGRAŁ

Prolog

Szarzejące wieczorne niebo przeciął klucz trzech bojowych Jastrzębi. Maszyny leciały nisko. O wiele za nisko. Kilka sekund później grzmot silników spadł na zatopiony w ciszy zagajnik i spłoszył stadko dzikich kaczek, które od dłuższej chwili obserwował Maciej.

– Psiekrwie – syknął staruszek i splunął siarczyście. – Cholerni okupanci... – Chciał jeszcze dodać kilka niecenzuralnych uwag na temat matek pilotów, ale słowa uwięzły mu w gardle i rozkaszał się.

Wald-emar zapiszczał, uniósł się na pełną wysokość i podsunął Maciejowi pod nos maseczkę tlenową.

– *Wzrasta ciśnienie krwi* – zakomunikował przetworzonym cyfrowo głosem. – *Niebezpieczne stężenie...*

– A idź, cholero, ode mnie, nic mi nie jest. – Mężczyzna odtrącił chwytak i wstał gwałtownie. Zaraz jednak opadł ciężko z powrotem na ławkę i zaczął oddychać miarowo.

Automat oklapł i przybrał obrażoną pozę.

– No już, Waldek – zagadnął Maciej, gdy poczuł, że serce przestaje mu kołatać. – No już... Nie dąsaj się jak baba. Ja do ciebie nic nie mam. Taką masz robotę...

– *Spada temperatura powietrza* – ożywił się medbot. – *Potrzebne dodatkowe okrycie wierzchnie.*

– Dobrze. Dawaj ten koc, jeśli ci to poprawi humor.

Drzwi prowadzące z domu na taras rozsunęły się z cichym świstem i za plecami Macieja pojawił się chłopiec, mniej więcej trzynastoletni. Miał ciemne, krótko przystryżone włosy i mądre brązowe oczy. W drobnych dłoniach trzymał minikomputer. Obrzucił szybkim spojrzeniem wierzbowy lasek rosnący za tarasem, zatrzymał dłużej wzrok na oczku wodnym, które wyglądało jak wielka kropla rtęci, po czym podszedł do staruszka.

– Tata pyta, czy nie chcesz wrócić do środka, dziadku – powiedział

i usiadł obok Macieja. Następnie otworzył komputer i zastukał palcami w klawiaturę.

– Nie. Tu mi dobrze.

– Ale tata mówi, że to twoje dziewięćdziesiąte urodziny i powinieneś je świętować z rodziną – wyrecytowało dziecko, nie odklejając wzroku od monitora.

– Sadząc po odgłosach dobiegających z salonu, rodzina świetnie sobie radzi bez mojego udziału.

– Ale tata...

– A dajże już Szymek spokój – zniecierpliwiał się Maciej. – Jeśli tata chce ze mną porozmawiać, niech sam tu przyjdzie. Wysyłanie mediatorów nic tu nie pomoże. W zasadzie – zwrócił się do Wald-emara – zastanawiam się, czy nie powinienem usunąć go z testamentu...

Szymon wzruszył ramionami i dalej zapamiętałe bębnił w plastikowe klawisze.

Maciej patrzył przez chwilę na dziecko, po czym zagadnął:

– Co tam tak dziobiesz i dziobiesz?

– Lajkuję nową fryzurę Elki na fejsie.

Maciej uniósł brwi.

– He? Zrozumiałeś coś z tego, Waldek?

Wald-emar spojrzał na swojego podopiecznego i przekrzywił prostokątną głowę jak zdziwiony pies. Symulacja sztucznej inteligencji zakodowana w standardowym programie medycznym ograniczała jego zdolności do monitorowania parametrów życiowych pacjenta i reagowania na odchylenia od normy. Automat doszedł jednak do wniosku, że czegoś się od niego oczekuje. Wyciągnął więc w stronę starca chwytny wyposażony w maseczkę tlenową. Po chwili zastanowienia drugą trójpalczystą dłoń uzbroidł w fiolkę z wieczorną dawką witamin i zapisał pytajaco.

Maciej machnął ręką.

– Za moich czasów tego nie było.

Palce Szymona zatrzymały się nagle i chłopak spojrzał na dziadka takim wzrokiem, jakby mężczyzna powiedział jakieś bluźnierstwo.

– To w jaki sposób się dziadek komunikował z kolegami?

– No jak to jak? – zdziwił się Maciej. – Wychodziło się na podwórko i się komunikowało.

Szymon patrzył przez dłuższą chwilę w oczy dziadka, po czym wrócił

do wirtualnej konwersacji.

– Albo grało się w „Zośkę” – ciągnął starzec. – Macie tam „Zośkę” na tym fejsie? Na pewno nie – stwierdził i sięgnął po filiżankę z herbatą stojącą na wiklinowym stoliku.

Gdy przystawiał parujący napój do ust, na niebie pojawiły się kolejne trzy myśliwce. Leciąły jeszcze niżej niż poprzednie. Maciej aż podskoczył od ryku silników i upuścił filiżankę na ziemię. Delikatna porcelana stuknęła o kamienne płyty tarasu i rozpadła się na setki małych kawałków.

– Szlag! – zaklął, zapominając, że obok siedzi najmłodszy przedstawiciel rodu Dobrowolskich. – Że też musieli wybudować tę cholerną bazę właśnie w tej okolicy. Latają jak ze sraczką.

– Rodzice mówili, że rząd proponował dziadkowi mieszkanie zastępcze w mieście – przypomniał wnuk.

– Jasne, chcieli zrobić ze mnie wysiedleńca. A takiego... Może i wyprawiają z tym krajem, co chcą, ale ja tanio skóry nie sprzedam. Ech... Nie dla takiej Polski przelewaliśmy krew.

– A dla jakiej, tato?

Na taras wszedł Arek. Był wysoki i dobrze zbudowany. Cała jego postać emanowała pewnością siebie. Maciej wyglądał przy nim jak zwiędnięty i pokrzywiony krzaczek ostu.

Mężczyzna nie podszedł do ojca. Stał tuż za nim i obserwował zagajnik, z którego wieczór powoli wysysał kolory.

– Na pewno nie dla twojej – odparował starzec.

Arek westchnął.

– A co tym razem strasznego popełniłem?

– Dwa tygodnie temu nasze wojsko zajęło Bratysławę.

– To prezydent wydał rozkaz.

– Ale twoja partia popiera prezydenta. To tak, jakbyś sam je tam wysłał. Oni po prostu chcą się uwolnić od naszych wpływów. A my wkroczyliśmy tam z samolotami i czołgami, pod pretekstem obrony mniejszości polskiej na Słowacji. Wiesz, jak to się nazywa, synu? Okupacja.

– Tato, proszę cię – zirytował się Arek. – Słowacja od czterdziestu lat należy do Federacji. Przystąpiła do sojuszu dobrowolnie...

– Tak jak pozostałe kraje tego waszego „Międzymorza”. Tylko powiedz mi, synu, dlaczego Jugosławia co chwilę śle prośby o pomoc do Francji albo do Stanów Zjednoczonych? Dlaczego w Budapeszcie są organizowane

antypolskie wiece?

– To Specnaz robi prowokacje. Dobrze wiesz, że Rosja chce rozpadu Unii.

– Ha! – zachnął się Maciej. – A to dobre. Ci cholerni faszyci naprawdę zrobili ci pranie mózgu czy wychowałem idiotę? – Maciej spochmurniał i zamilkł. Po chwili dodał: – Dostaliśmy szansę i zmarnowaliśmy ją. Piłsudski wstałby z grobu, gdyby dowiedział się, w jaki sposób wykorzystano jego idee. Nie tak to miało być. Mieliśmy bronić słabszych, mieliśmy wyznaczać drogę i siać pokój. Tymczasem w imię imperializmu zaszczepiamy strach, bunt tłumimy siłą.

– Zmarnowaliśmy szansę? – oburzył się Arek. – Stworzyliśmy silne i stabilne państwo, jesteśmy liderem w produkcji nowych technologii, rozwijamy przemysł motoryzacyjny i medyczny. Mam wymieniać dalej?

– Nie musisz tego robić. – Maciej odwrócił się i popatrzył synowi prosto w oczy. – Nie jestem twoim wyborcą.

Arek nie wytrzymał spojrzenia i spuścił wzrok. Przez jakiś czas na tarasie było słycać jedynie miarowe piski Wald-emara. Nawet Szymon przestał stukać w klawiaturę i spoglądał to na ojca, to na dziadka.

– Zapomniałeś, prawda? – odezwał się w końcu Maciej. – Zapomniałeś wszystko, co ci opowiadałem. A pamiętam, jak biegałeś po tym zagajniku z drewnianym mieczykiem w ręce. Udawałeś, że jesteś rycerzem Śpiącej Armii.

– To było dawno temu, tato. Dziś już nie wierzę w bajki.

– Bajki?! – Staruszek poderwał się do góry. Rurki wpięte w jego nadgarstek naprężyły się. Wald-emar, beztriosko popiskujący obok krzesła Macieja, stracił równowagę i grzmotnął o kamienną posadzkę. Zaraz jednak stanął na swoich trzech nogach i zaświergotał z oburzeniem. – Czyli wszyscy kombatanci, którzy brali udział w bitwach, kłamia albo postradali zmysły?

– Nie twierdzą, że kłamię. Po prostu daliście się oszukać. Historycy są zgodni. Śpiąca Armia to byli przebierańcy, którzy wykorzystali legendę do celów propagandowych. Nie da się ukryć, że w pewien sposób przyczynili się do sukcesu Polski podczas wojny, ale...

– Legenda. Dobrze sobie – przerwał mu Maciej. – Coś ci powiem. Wsiadaj do swojego wypasionego Poloneza i wracaj do kumpli z partii, panie szanowny senatorze. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Po tych słowach chwycił laskę i ruszył wolnym, chwiejnym krokiem

w kierunku altanki stojącej na skraju lasu. Walde-mar potupał za nim jak miniaturowa, trójnoga żyrafa.

Gdy Maciej usiadł na oplecionej winoroślą ławeczce, wielkie pomarańczowe słońce w połowie chowało się za horyzontem.

– Legenda... – powiedział cicho i obrócił twarz ku zachodowi, pozwalając, by ostatnie ciepłe promienie gładziły mu twarz.

Czuł smutek. Jego życie dogasało, uciekało z każdym oddechem, ale nie żałował, że to już prawie koniec drogi. Dano mu czas i dwie ręce, by wykuwał los wedle woli i własnego sumienia. I nie zmarnował tego daru. Naprawił błędy, które dało się naprawić, dokończył to, co zdołał. Był gotowy. Tylko jedna myśl nie dawała mu spokoju. Legenda. Tym właśnie stała się historia życia Macieja i innych, którzy walczyli i umierali, by nadać światu nowy kształt.

– Opowiedz mi o Śpiącej Armii, dziadku.

Maciej otworzył oczy. Szymon stał obok ławki i tulił do piersi swój minikomputer. Starzec nie miał pojęcia, kiedy nadszedł. Nie słyszał kroków na brukowanej ścieżce.

– Naprawdę tego chcesz? – odparł po chwili zastanowienia i uśmiechnął się. – Przecież tata mówi, że to bajki.

– Tata mówi różne rzeczy. Często myśli, że ja jeszcze niewiele rozumiem.

– Tak bywa z dorosłymi. Nie przejmuj się. A więc chciałbyś usłyszeć o Śpiących? Dobrze. Opowiem ci. Ale – Maciej stęknął głośno i wstał – najpierw musisz coś zobaczyć.

Na tyłach altanki stała niewielka szopa. Maciej wszedł do niej, puszczając przodem ciekawskiego Wald-emara, otworzył stary kufer i zaczął grzebać w pokrytych kurzem zawiniątkach. Po chwili pojawił się w drzwiach, trzymając pod pachą podłużny przedmiot okręcony burą szmatą.

– Umiesz dochować tajemnicy, chłopcze? – zapytał konspiracyjnym tonem. – Gdyby ktoś dowiedział się, co chowam w tej szopie, miałbym nie lada kłopoty.

Szymon pokiwał twierdząco głową. Mężczyzna rozwiązał sznurek i materiał otulający przedmiot zsunął się na ziemię. W następnej chwili Maciej trzymał w ręce miecz. Broń zaśniła w ostatnich promieniach słońca i chłopiec mógłby w tamtej chwili przysiąc, że usłyszał syk światła ślizgającego się po ostrzu.

– Jacie, ale czad... – wyrwało się dziecku. Wnuk położył komputer na krawędzi ławeczki i podszedł bliżej dziadka, by przyjrzeć się pięknej broni. Był tak zafascynowany, że nie usłyszał łoskotu, z jakim jego elektroniczny „przyjaciel” uderzył o bruk.

O ścianę szopki opierało się kilka metalowych palików, które kiedyś służyły jako podpora dla szklarni. Maciej położył na ziemi laskę, ujął miecz w dwie ręce i wykonał w powietrzu niezgrabny zygzak. Przez moment nic się nie działo. A potem paliki rozpadły się jak zżęte kłosa pszenicy.

Maciej spojrział na Szymona; w jego oczach tańczyły iskry, jakby znowu miał dwadzieścia lat.

– Oto jest właśnie dowód, chłopcze – powiedział powoli – że każda legenda wyrasta z ziarna prawdy. A teraz chodź. Opowiem ci o Śpiącej Armii.

Polskie Tatry

17 Września 1940

Pocisk ze świstem przeleciał tuż obok głowy przycupniętego przy skale Maćka. Chłopak skulił się, a zaraz potem ruszył pędem w dół kamienistego zbocza. Za plecami słyszał krzyki słowackich strażników i ujadanie psów gończych.

Biegnąc na złamanie karku paskudnie stromym Szerokim Żlebem, modlił się w duchu, by nie wypatrzyły go wiecznie czuwające szwabskie karabiny, osadzone na przełęczy pod Kopą Kondracką. *Choć z dwojga złego – przemknęło mu przez myśl – lepsza śmierć od kuli niż wielogodzinne tortury w śmierdzącej krwi, urynek i strachem gestapowskiej katowni w Zakopanem.*

Na południowe stoki Suchej Doliny dotarł po dwudziestu minutach. Natychmiast wskoczył w gęstą kosodrzewinę i zaczął się czołgać. Jego jedyną szansą było dostanie się w zbawienne objęcia lasu, który wypełniał dno doliny. Już widział pojedyncze drzewa.

Zaterkotał automat. Maciej wtulił się mocniej w kłujące krzewy i zamarł. Gdzieś powyżej było słyhać niemieckie okrzyki i szczekanie wilczurów. Wyglądało jednak na to, że ścigający stracili zapal do poszukiwań.

– Tak... – powiedział cicho i uśmiechnął się. – Za ostro dla waszych podkutych buciorów. Boicie się. Tak... Bójcie się...

Odczekał jeszcze kwadrans, następnie wstał i potruczał pokracznie przygarbiony w kierunku upragnionego świerkowego schronienia. Gdy niebo

znikło zakryte zielonym sklepieniem, poczuł chwilową ulgę. Usiadł pod starym, powykręcany przez czas świerkiem i otworzył plecak. Pomacał tylną ściankę, gdzie zaszyte były listy, by upewnić się, czy morderczy bieg przez żleb nie uszkodził cennej przesyłki. Pogmerał w zakamarkach bagażu, wyciągnął butelkę wody i wypił kilka łyków.

Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu. Strażnicy w końcu nadejdą. Mają rozkazy, by dokładnie sprawdzić teren, na którym widziano kuriera. Ale las szumiał tak uspokajająco. Można było uwierzyć, że cała cholerna wojna to tylko koszmary sen. Po wielogodzinnym marszu postanowił więc na krótką chwilę zamknąć zmęczone powieki i poudawać, że jest na niedzielnej górskiej wycieczce...

Ze snu wyrwał go warkot przelatującego w pobliżu samolotu.

– Cholera! – zaklął i wstał gwałtownie. – Niedobrze, Macieju.

Dokoła panował już półmrok – przespał jakieś trzy godziny. Wyciągnął z kieszeni kurtki starą, pogniecioną mapę i rozłożył ją na ziemi. Musiał zdecydować, którą drogą dotrze do miasteczka. Zaznaczone przerywanymi liniami szlaki zupełnie go nie interesowały. Znał te góry tak dobrze, jakby był ich synem, i mógłby przejść z Kuźnic do Popradu z opaską na oczach, nie potykając się ani razu. Najważniejszymi znakami na mapie były czerwone trójkąty, oznaczające gniazda karabinów oraz miejsca, w których najczęściej pojawiały się patrole.

– Kalatówki odpadają – mruknął i przetarł dłonią twarz. – Za dużo szkopów.

Po chwili zastanowienia wybrał trasę przez Kondracką Przełęcz, która prowadziła do Doliny Małej Łąki. Co prawda była to dłuższa droga, ale dawała cień szansy na wydostanie się z opresji.

Odczekał jeszcze godzinę, aż noc całkowicie rozlała się po lesie, i ruszył na zachód, w kierunku stromych stoków Kondrackiej Kopy. Z oczywistych względów nie mógł iść wygodnym, turystycznym szlakiem, dlatego do przełęczy dotarł dopiero około północy. Było dziwnie cicho i spokojnie. Przez jakiś czas zza kępy kosodrzewiny obserwował wydeptany pas ziemi, przez który w sezonie przechodziły setki ludzi, ale nie mógł wypatrzyć strażników. Księżycowego światła nie było dość, by spenetrować złowrogi cienie czyhające za każdym głazem, i Maćkowi wydawało się, że tu i ówdzie w plamach mroku dostrzega ruch.

W końcu machnął ręką.

– Niech się dzieje, co chce – bąknął i ruszył w dół, w kierunku Głazistego Żlebu. Ledwo postawił nogę na stromym zboczu, pośliznął się na mokrej trawie i zsunął na tyłku parę metrów, strącając przy okazji kilka luźnych kamieni.

– Halt! – zabrzmiało równocześnie z kilku stron.

– Alarm!

Niemcy pojawiali się nie wiadomo skąd, zupełnie jakby wapienne chłopki nagle wypluły uzbrojonych w latarki i karabiny ludzi. Maciek wstał i ruszył pędem, chcąc dotrzeć do rumowiska skalnego, które w księżycowym blasku wyglądało jak ogromna żuchwa najeżona połamanymi i spróchniałymi zębami. Gdy pierwszy głaz był na wyciągnięcie ręki, chłopak usłyszał za plecami strzały i niemal równocześnie poczuł ostry ból w prawym udzie. Zachwiał się i runął z impetem na ziemię. Uderzenie zamroczyło go na moment. Obrócił się na plecy i spojrzał w bezchmurne, usiane gwiazdami niebo. Mógł to zakończyć, tu i teraz. Wystarczyło tylko pozostać w miejscu. Zaniechać bezsensownej ucieczki.

– No dalej, ty cholerny łamago – zbeształ sam siebie i spróbował zmusić do posłuszeństwa wyczerpane ciało. – Rusz się, bo zaraz cię dopadną.

Nagle usłyszał głuchoe tąpnięcie gdzieś pod sobą i zamarł. Wiedział, co oznacza ten dźwięk. Zdażył tylko jęknąć i ziemia otworzyła się pod nim niczym gardziel wygłodzonego potwora.

Spadał bezwładnie przez kilka sekund, a potem rąbnął o skalne podłoże. Nim zdążył zrozumieć, co się stało, zaczął się zsuwać po mokrej powierzchni, prosto w gęstą, cuchnącą zatechłym powietrzem ciemność. Ślizg trwał dosyć długo, ale w końcu udało mu się wyhamować. Leżał przez jakiś czas bez ruchu, wsłuchując się w ciszę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu mógł sobie pozwolić na kilka minut odpoczynku. Dobrze wiedział, że Niemcy za żadne skarby tu po niego nie zejdą. Nikt o zdrowych zmysłach nie wchodzi w niekończące się korytarze Czerwonych Wierchów. Chwilowo było to Maćkowi bardzo na rękę.

Niebawem wzrok chłopaka przywykł do mroku. Powoli szczegóły otaczającej go przestrzeni nabierały kształtów i odsłaniały swoje tajemnice. Wstał niemrawo i opatrzył prowizorycznym bandażem draśnięcie na udzie. Następnie, upewniwszy się, że nie ma innych poważniejszych ran, postanowił zwiedzić swoje tymczasowe schronienie. Nieliczne szczeliny w sklepieniu zapewniały minimum widoczności i po kilkunastu krokach

mógł już stwierdzić, że trafił na obrzeża ogromnej jaskini.

Gdy wyszedł z za skalnego załomu i spojrzął na dno pieczary, aż przysiadł na ziemi. To, co zobaczył, przyprawiło go o zawrót głowy.

– Nie... – wybełkotał. – Albo leżę nieprzytomny w tunelu z rozwaloną łepetyną i śnią mi się jakieś fantasmagorie, albo od upadku pomieszało mi się pod deklek...

Słaby miesięczny poblask sączący się z sufitu wydobywał z mroku sylwetki wysokich rycerzy w płytowych zbrojach. Jedni siedzieli na potężnych stworzeniach, przywodzących na myśl skrzyżowanie konia z chińskim smokiem, inni stali ze spuszczoneymi głowami, opierając się o długie włócznie. Były ich setki, a wyglądali jak posągi pogrążone w wiecznym, kamiennym śnie.

Potrząsnął kilka razy głową, pomasował skronie, ale nic to nie dało. Średniowieczne wojsko nadal tam było. W tej sytuacji miał dwa wyjścia: zawrócić i poszukać innej drogi, udając, że jaskinia jest pusta, albo zejść na dół i przyjrzeć się niezwykle zjawisku z bliska. Zdawał sobie sprawę, że to, co widzi, nie ma prawa istnieć, ale ciekawość wzięła górę i zaczął schodzić po nierównych skalnych stopniach.

W centralnym miejscu jaskini stał skalny tron, na którym siedział ni mniej, ni więcej, tylko król. Był nienaturalnie wysoki, a jego zbroję pokrywała gruba warstwa pyłu. Maciek zauważył wielki miecz, oparty o siedzisko majestatycznej postaci. Wyciągnął rękę i zrobił krok do przodu, chcąc sprawdzić ostrość pięknego oręża. Był tak zuroczony, że nie zauważył sporego kamienia, potknął się i poleciał do przodu, potrącając miecz. Zdołał złapać równowagę, ale broń zachybotła się i gruchnęła z brzękiem o skalne podłoże.

Przez chwilę nic się nie działo, ale Maciek zmartwiał i tak. A potem król poruszył się i otworzył oczy. Następnie wstał i rozejrzał się wokół. Miał dobre trzy metry wysokości i Maciek poczuł się nagle strasznie mały i samotny.

– Prze... przepraszam – wybąkał drżącym głosem. – Ja zaraz podniosę...

Król łypnął na niego jak kogut na mrówkę.

– Czy już Czas?! – zapytał grzmiącym głosem.

– Tego... – zmieszał się Maciek. – Zakłęte Wojsko? Pod Giewontem? To legenda przecież...

Wojownik pochylił się nisko i spojrzął Maćkowi prosto w twarz.

– Gadajże, człeku, czy to już Czas?!

Maciek milczał przez chwilę przestraszony. Nagle kilka trybów w jego umyśle drgnęło, a następnie ruszyło z pełną prędkością, porywając myśli jak lawina.

– Niemcy... – powiedział, cedząc słowa, jakby każda głoska ważyła tonę.

– Niemcy okupują Polskę... Niszczą kraj... Mordują niewinnych...

– Niemcy?! – zdumiał się król. – Nie może to być. Bracia! Nadszedł Czas!

Po tych słowach ruszył przed siebie. Maciek musiał uskoczyć w bok, aby uniknąć zderzenia z rycerzem. Przylgnał do skały i patrzył oszołomiony, jak zakłęte wojsko powoli ożywa. Wojownicy budzili się z trzaskiem rozprostowywanych ramion, z chrzęstem zbroi i tupotem okutych butów. Z pozornie bezwładnego morza połyskującej stali zaczęły formować się idealnie równe rzędy tarcz, włócznie i mieczy. Chłopak przeleciał wzrokiem po twarzach rycerzy. Ich rysy były dziwne; ludzkie i nieludzkie zarazem. Zupełnie jakby jakieś potężne dzikie zwierzęta zamieniły futro na zbroję, stanęły na tylnych łapach i tak już pozostały.

Król wsiadł na swojego konio-smoka, który parsknął gniewnie i orał przednimi kopytami skałę, wzniesając iskry, po czym uniósł miecz i wypowiedział tubalnym głosem kilka zdań w dziwnym, gardłowym języku. Na jego słowa piechota z włócznieami przesunęła się naprzód, za nią ustawili się konni, a na koniec wbiegali łucznicy.

– Hej, zaraz! – krzyknął Maciek, próbując przekrzyczeć zgiełk, z jakim wojsko rozpoczynało wymarsz. – A wy dokąd? Przecież mówiłem, że tam są Niemcy. Mają potężną broń, mają strzelające ogniem żelazne wozy – zaczął improwizować – mają stalowe ptaki zrzucające na miasta śmierć. Chcecie z nimi walczyć mieczami i włócznieami?

Widząc, że jego apel nie odniósł skutku, podbiegł do króla i zamachał rękami. Nagle poczuł, jak coś chwyta go za kark i unosi nad ziemię. Przefrunął w powietrzu kilka metrów i wylądował w kałuży wody sączącej się ze stalaktytów obrastających sklepienie. Sekundę później przestrzeń przed Maćkiem wypełniła ogromna postać pobrzękująca płytami przyprószonego rdzą pancerza. Osobnik pochylił się, ukazując szarą twarz pokrytą białym zarostem, grubym i szeleszczącym niczym słoma.

– Coś ty za jeden – zapytał, łypiąc złowrogo na Maćka – że ośmielasz się zwracać do naszego pana, Dalebora Wielkiego, króla Śpiącej Armii, bez

pozwolenia?

– Jestem... – zawahał się Maciek, wstając powoli z ziemi. – Jestem kurierem, członkiem ruchu oporu. Od roku przenoszę przez Tatry tajne listy, które wędrują z Warszawy do Budapesztu, i na odwrót.

– I prawisz, że Germanie wielce potężny oręż mają?

– Niewyobrażalnie. I całe mrowia rycerzy z łukami, które mogą zabijać na tysiąc kroków. Nie dacie rady. Nikt nie da...

– Ha! – zachnął się woj. Następnie poklepał lekko Maćka po ramieniu, odwrócił się i podszedł do króla.

Długo rozmawiali, gestykulując żywo i od czasu do czasu wskazując na chłopaka. Maciek nie zrozumiał jednak ani słowa; język tych dziwnych istot bardziej przypominał szum górskiego potoku, lub odgłos kamieni spadających ze zbocza, niż ludzką mowę.

W końcu słomobrody skłonił się swemu panu i wrócił do mocno już zdezorientowanego kuriera, który tak naprawdę nie wiedział, czy ma uciekać z tej jaskini i szukać pomocy w szpitalu psychiatrycznym, czy zostać i zobaczyć, co szykuje dla niego los.

– Jam jest Starowierch – przedstawił się rycerz. – Hetman wojska Delebora Wielkiego. Pójdź za mną. Mój pan historię obecnych czasów poznać pragnie, nim rozkaz wymarszu ponownie wydać postanowi.

I Maciek poszedł, i opowiedział wszystko, i szczegółów nie szczędził. Mówił o tym, jak rok wcześniej Niemcy napadli na Polskę, o rosyjskiej agresji na wschodniej granicy, o okupacji, obozach koncentracyjnych, o obojętności Francji i Anglii, które mogły stawić Hitlerowi czoło, ale tego nie zrobiły. Król i Starowierch słuchali w milczeniu, a w ich oczach raz po raz pojawiały się iskry, jak bezdźwięczne błyskawice wpadające w bezdenne górskie jeziora.

A potem, gdy skończył, na wezwanie króla z szeregów rycerzy wyszło kilku wojowników, dzierżących różnokolorowe chorągwie, z wyhaftowanymi dziwnymi geometrycznymi znakami.

– Dziękuję za twoje słowa – zwrócił się hetman do Maćka. – Wszystko nam już wiadome, teraz będziemy mogli lepiej się przygotować.

– Co teraz będzie? – zapytał chłopak.

– Długą przebyłeś drogę, a nowe wyzwania czekają. Wypocząć ci trzeba. Nam pora na naradę się udać. Gdy skończym, niewykluczone, że będę miał dla ciebie zadanie.

Po tych tajemniczych słowach Starowierch wrócił do kompanów. W pierwszej chwili Maciek chciał za nim pobiec i wymusić lub wybłagać jakieś wyjaśnienia, ale w końcu tylko machnął ręką i wdrapał się na szeroką skalną półkę, z której rozciągał się widok na całą pieczarę i Zakłętę Wojsko. O śnie nie było mowy, bo ogrom wrażeń wypełniających ostatnie godziny nie pozwolił mu wygasić skołowanych myśli. Obserwował więc to, co działo się poniżej.

Na dole zapłonęły ogniska. Żołnierze skorzystali z chwilowego rozluźnienia i skupili się w grupy. Rozbrzmiały głośnie rozmowy i śmiechy, gdzieś zaświergotał flet. Maciek zauważył, że z rąk do rąk zaczęły krążyć dziwaczne czarne kamienie przypominające węgiel, które wrzucano do ognia. Następnie jeden z rycerzy wyjmował je, rozłupywał toporem i rozdawał kolegom, którzy pałaszowali ten nietypowy posiłek ze smakiem. Chłopak mógłby przysiąc, że jaskinie wypełnił ostry zapach jakichś ziół.

Starowierch pojawił się dopiero po godzinie. Stał na półce tuż obok kuriera, rozejrzał się po pieczarze i mruknął coś niezrozumiale. Na jego twarzy malowała się zaciętość, ale również jakiś rodzaj troski, jakby hetman martwił się o każdego ze swoich wojowników z osobna.

– Kim wy jesteście? – zapytał Maciek, próbując odwlec rozmowę na temat planów jego króla.

– Niełatwe to pytanie – odparł Starowierch – szczególnie, że nie wszystkie odpowiedzi są znane nawet nam. – Usiadł na kamieniu i wyciągnął z zakamarków pancerza drewnianą fajkę i krzesiwo. Chwilę później jego głowę otoczył szary obłok dymu. – My również swoją legendę mamy. Nie dane nam było zobaczyć domu, ale mimo to widzimy go w snach. Ten skalny świat na zewnątrz trochę go przypomina, dlatego w jego to sercu chcieliśmy zasnąć.

– A co mówi wasza legenda? Gdzie jest ten... wasz dom?

Starowierch uniósł czteropalcza dłoń w stronę wyrwy w sklepieniu, gdzie było widać skrawek nocnego nieba.

– Z gwiazd? – zdziwił się Maciek.

Rycerz pokiwał głową.

– Tęgożyn! – krzyknął, wzniecając w pieczarze echo.

Po krótkiej chwili pomiędzy szeregów rycerzy wyłonił się ogromny woj i wszedł na skalny podest. Utykał na prawą nogę i kiwał się lekko na boki przy każdym kroku. Za pasem miał zatknięty pokryty runami topór.

– Tak, panie? – zapytał skrzypiącym głosem.

– Ty najlepiej z nas gawędzić umiesz. Opowiedz, o czym śni Zakłęto Wojsko, gdy czeka na przebudzenie.

Tęgożyn zmierzył Maćka wzrokiem od stóp do głów, jakby chciał sprawdzić, co tak wyjątkowego ma w sobie ten mały człowieczek, że hetman postanowił zdradzić mu najcenniejszy fragment historii swego ludu. Mimo to wykonał polecenie.

Rycerz, podobnie jak jego przywódca, posługiwał się czymś w rodzaju staropolskiej mowy. Początkowo kurier miał problem ze zrozumieniem zawilego, pełnego archaizmów języka, lecz wkrótce słowa wypowiedane dziwnie melodyjnym głosem przekształciły się w niemal rzeczywiste obrazy.

Według opowieści Tęgożyna wszystko zaczęło się wiele wieków temu, w odległym świecie, krążącym wokół pięknej gwiazdy, zwanej Samotna. Mieszkała tam istota o imieniu Seguleb, co w języku Śpiących oznacza „Ojciec”. Seguleb często opuszczał swój ukochany, zatopiony w turkusowych mgłach glob i w żelaznym rydwanie przemierzał morze pustki w poszukiwaniu innych zamieszkanym światów. Chciał poznać wszelkie istoty żyjące, by zrozumieć sens ich istnienia, a przez to zrozumieć siebie.

W końcu dotarł na Ziemię i osiadł w kraju Polan, rządzonym przez króla Chrobrusa. Choć jego poddani bali się Seguleba i uważali za demona, mądry władca przyjął wędrowca na swój dwór i traktował jak równego sobie. Spędził więc Ojciec w grodzie Gniezno siedem lat, podczas których poznawał ludzi. Im dłużej studiował ich naturę, tym bardziej był nią zafascynowany. Widział w niej strach, zło i nieposkromione żądze, ale również wielką odwagę, męstwo i poświęcenie. Cechy, które rzadko były jednoznaczne, a przede wszystkim nieposkromione jak górski wiatr. To była esencja życia. Jednak w końcu podróżnik zatęsknił za domem i postanowił wrócić do Samotnej, w której czułych objęciach kołysał się turkusowy glob. Zanim odszedł, obiecał Chrobrusowi, że ofiaruje mu armię, która pomoże mu bronić kraju i poddanych. Wiedział bowiem, że były to bardzo niespokojne czasy. Kolejni władcy państwa niemieckiego tylko czekali, by wbić pazury w kraj Polan i rozedrzeć go jak połec mięsa na talerzu.

Rydwan Ojca mógł wędrować od gwiazdy do gwiazdy w mgnieniu oka, lecz dom był tak daleko, że wędrowiec dotarł tam dopiero po dziesięciu latach. A potem w skalnych łonach potężnych Gór Odwróconych narodzili

się Śpiący Wojownicy, którzy kryli w sobie cząstkę rodzaju ludzkiego i cząstkę samego Seguleba. Stworzono ich od razu w wieku dojrzałym i z całą wiedzą potrzebną, by wypełnić zadanie, lecz umysły rycerzy były pogrążone w letargu, z którego mieli się wybudzić dopiero na Ziemi.

Tęgożyn przerwał opowieść akurat w chwili, gdy zasłuchany Maciek o bożym świecie zapomniał. Wyciągnąwszy zza pasa topór, oparł się o stylisko i długo milczał, patrząc w gwiazdy. Chłopak bardzo chciał usłyszeć dalszą część historii, ale nie miał odwagi ponaglać zatopionego w myślach rycerza.

W końcu wojownik westchnął głośno i kontynuował, a pod sklepienie popłynął nowy potok słów, malując w umyśle kuriera kolejne barwne wizje.

Śpiąca Armia przybyła na Ziemię prawie pięćdziesiąt lat po tym, jak Seguleb opuścił Gniezno. Chrobrus nie żył już od dłuższego czasu, a królem był jego syn, Mieszko Lambert. Jednak ludzie pamiętali przysięgę Ojca i powitali ich z wielką radością. Wojownicy z turkusowego globu brali udział w wielu bitwach i wielu wojnach, lecz w końcu, korzystając z dłuższego okresu pokoju, odeszli, by zasnąć i zregenerować siły. Mieli stawić się na kolejne wezwanie, gdy tylko zajdzie taka potrzeba, ale jak widać, stali się legendą, bo nikt, aż do tej nocy, nie przyszedł, by ich obudzić.

Tęgożyn zamilkł na dobre, ale jego opowieść nadal wypełniała przestrzeń wokół barda. Maciek miał przed oczami skaliste góry i głębokie kaniony turkusowego globu, widział średniowieczne Gniezno z drewnianymi domkami i kamiennymi basztami, i niezliczone szeregi Śpiącej Armii wychodzące z gigantycznego, lśniącego w słońcu pojazdu. Rycerzy było o wiele więcej niż teraz w tej jaskini.

Dopiero po długiej chwili dotarło do kuriera, że w pieczarze panuje całkowita cisza. Śpiewy i gwar w dole zamilkły, a wszystkie otoczone nimbem nostalgii głowy zwrócone były w stronę Tęgożyna. Wojownik skłonił się hetmanowi i wrócił do swoich kompanów. Starowierch odłożył fajkę, wstał i spojrział na kuriera, a w jego źrenicach tańczyły iskry, jakby oczy rycerza nagle wypełniło nocne niebo.

– Tę historię opowiedziały nam sny i my im wierzymy – powiedział. – Wierzymy też, że pewnego dnia Seguleb wróci po nas i zabierze do domu.

– No dobrze... – wydukał Maciek. – A czego oczekujecie ode mnie?

– To nie przypadek, żeś nas zbudził właśnie teraz, chłopcze. – Starowierch przyklęknął lekko, tak aby kurier nie musiał ciągle zadzierać

głowy. – Mówiłeś, że wraz z wojskiem stoi na polach pod Chochołowem.

– Tak. Przy Sarnim Wzgórzu. Ale to nie wojsko, tylko obóz szkoleniowy i składy broni. Na co dzień stacjonuje tam ze cztery tysiące żołnierzy. Znudzeni i otyli, bo regularne walki zakończyły się pół roku temu, lecz nadal mają ogromną siłę. Rozniosą was w pył – dodał i przez moment zląkł się, że obraził rycerzy.

– Gdy nastanie świt – powiedział powoli Starowierch, ignorując ostatnią uwagę Macka – poprowadzę cię do wyjścia. A potem pójdiesz do swoich braci i powiesz, że za kolejne dwa księżyce będzie wielka bitwa, gdyż Śpiący Rycerze wrócili, by wypełnić dawne obietnice.

Maciek złapał się za głowę.

– No chyba zwariowałeś... To znaczy, pan zwariował... To znaczy... Przecież nikt mi nie uwierzy!

– Uwierzą – cierpliwie sprostował hetman. – Zbierz jak najwięcej ludzi, którym ufasz, i przyjdźcie pod Sarnie Wzgórze, a obiecuję ci, że historia twego kraju zmieni się jak rzeka, która wylewa podczas powodzi.

Bitwa pod Chochołowem

21 Wrzesień, 1940 rok

– No... – bąknął Waldek i poprawił starego, niemiłosiernie odrapanego mauzera wiszącego na ramieniu. – Gdzie ci twoi rycerze?

Maciek chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko bezgłośnie otworzył i zamknął usta. Sam już nie wiedział, w co ma wierzyć. Spotkanie z królem i Starowierchem było bardzo realne, ale teraz, gdy tkwił wraz z kolegami w krzakach na zboczu Sarniego Wzgórza, nawet jemu cała historia wydawała się co najmniej lekko naciągana.

– Przyjdą, na pewno przyjdą, muszą przyjść – gorączkował się młody Arek, który chyba jako jedyny uwierzył w opowieść o Zaklętym Wojsku. Chłopak był strasznie narwany. Jego rodzice zginęli w bombardowaniach zaraz na początku wojny. Przysiągł wtedy, że będzie bił Niemców wszystkimi możliwymi sposobami, ale nikt nie traktował go poważnie ze względu na wiek. Maciek zgodził się, aby przyszedł na Sarnie Wzgórze, ale czuł się za niego odpowiedzialny. Miał nadzieję, że niedoświadczony młodzik ucieknie, jeśli dojdzie do jakiejś konfrontacji. Nie chciał mieć go na sumieniu. – Przyjdą, prawda, Maciek?

Kurier również to pytanie skwitował milczeniem. *Nie, nie przyjdą* –

pomyślał tylko.

Ale czy to wszystko mogło mu się przyśnić? Pamiętał przecież każdy szczegół i to, co było potem. Gdy hetman wyprowadził Maćka z krętych podziemnych korytarzy, chłopak od razu ruszył do Zakopanego, by przekazać listy swojemu kontaktowi, który czekał w willi „Jaszczurówka”. A potem popędził przez wyludnione miasteczko na poszukiwania kolegów, którzy w dzień byli zwykłymi obywatelami, starającymi się przetrwać w okupowanym kraju, a w nocy brali udział w różnego rodzaju akcjach dywersyjnych. Odwiedzał, kogo się dało: chłopaków z lokalnej komórki AK, członków Dywizji Górskiej... Wszyscy słuchali z zainteresowaniem do momentu, w którym Maciek zaczynał opowiadać o Śpiących. Następnie większość puknęła się wymownie w głowy lub obdarzała kolegę pewnym szczególnym rodzajem spojrzenia, które mówiło: „Chyba musisz odpocząć, chłopie”. Finalnie na Sarnim Wzgórzu pojawiło się ledwie trzydzieści osób.

Od kilku godzin obserwowali żołnierzy, krzątających się w dole między namiotami i sprzętem. Obóz był dobrze chroniony. Ze wszystkich stron otaczały go okopy, dodatkowo obłożone workami z piaskiem. Na każdym rogu stała czarna niczym spróchniały ząb wieża strażnicza, a co kilkadziesiąt metrów z gniazd cekaemów szczyrzyły się wrednie srebrne taśmy amunicji. W głębi, na umocnionym betonowymi płytami pagórku, stało rzędem kilka lśniących w słońcu panzerów. Tylko jedno porównanie przychodziło na myśl, gdy patrzyło się na obozowisko okupanta z góry: forteca nie do zdobycia.

– To głupie – podsumował w końcu zirytowany Waldek. Następnie ściągnął karabin, obwinął szarą szmatą i schował pod połę grubego, skórzanego płaszcza. – Nie wiem jak wy, chłopaki, ale ja nie mam czasu na głupoty.

– A ty dokąd? – syknął za odchodzącym partyzantem Arek.

– Zostaw go, Młody – powiedział spokojnie Maciek. – Ma rację. Zrobiłem z siebie idiotę. Zmywajmy się stąd, póki jeszcze jest czas.

I wtedy usłyszeli ten dźwięk. Wypłynął wprost z Czarciego Wąwozu, który oddzielał Sarnie Wzgórze od sąsiednich wzniesień. Był głośny, wibrujący, przywodzący na myśl powarkiwanie drapieznika szykującego się do ataku. Gdy zamilkł, jeszcze przez kilka sekund piekielne jęki wracały wraz z echem i mroziły krew w żyłach. A potem u wylotu wąwozu zobaczyli króla. Wyjechał dumnie na swoim dziwacznym stworze i zatrzymał się. Jego zbroja lśniła w słońcu jak wypolerowany soplek zastygłej rtęci.

– Oż w mordę... – wyrwało się Waldkowi.

– No... – podsumował z za jego pleców Franek.

Król przyłożył do ust długi, dziwacznie powykęcany instrument i zadał. Fala drżącego skowytu znowu wyrwała się w stronę niemieckiego obozu.

Serce Maćka biło jak oszalałe.

– Przyszli, naprawdę przyszli... – mamrotał.

Gdy wojownik zakończył swój koncert, nad polami zaległa martwa cisza. Ptaki przerwały trele, owady poznikały, nawet wiejący od samego rana wiatr ustał. A król siedział niewzruszenie w siodle i obserwował obozowisko.

Niemcy natomiast zupełnie zbaranieli. Strażnicy na rogatkach gapili się z otwartymi ustami i przecierali oczy ze zdziwienia. Żołnierze, którzy byli akurat na zewnątrz namiotów lub pełnili warty przy składach broni, zastygli w miejscu w promieniach popołudniowego słońca, jakby nagle zalał ich płynny bursztyn.

– Czego on tak sterczy i sterczy? – zniecierpliwiał się Waldek. – Za trzy minuty szwaby dojdą do siebie i wyślą go ekspresem na ten jego turkusowy glob.

– A gdzie reszta armii? – Franek wystawił głowę ponad krzewy, ale wysokie świerki porastające stoki Czarciego Wąwozu skutecznie ograniczały widoczność. – Przyszedł sam?

Jakby w odpowiedzi partyzanci usłyszeli kolejny dźwięk. Tym razem przypominał zbliżający się rój ogromnych os. Nagle zrobiło się jakby ciemniej.

– Co to jest? – zdziwił się Arek.

– Strzały... – szepnął ledwie słyszalnie Maciek.

Pierwsi padli dwaj strażnicy przy bramie wjazdowej. W jednej chwili stali jeden za drugim, pół kroku od siebie, a w następnej długa na jakieś półtora metra strzała przeszła im piersi, przyszpilając obu naraz do ziemi.

A potem w dole rozpętało się piekło. Kolejne strzały spadały jak deszcz z burzowej chmury, rażąc każdego, kto nie zdążył się schować. Zawyła syrena alarmowa, rozwrzeszczeli się dowódcy plutonów. Zaterkotały MG08 i pierwsze niedbałe serie pomknęły w kierunku króla. Kilka naboju dosięgło celu, ale pociski prześliznęły się tylko po napierśniku rycerza, krzesząc iskry i nie czyniąc mu krzywdy.

Gdy śmiercionośny deszcz ustał, Niemcy byli już na stanowiskach. Karabiny w gniazdach zyskały pełne załogi. W tyle, z głuchym łomotem,

wypuszczając kłęby czarnego dymu, odpalały czołgi. Ranni, którzy dawali znaki życia, zostali szybko zabrani do namiotów – nieprzytomnymi lub zabitymi nikt nie zwracał sobie głowy.

Nagle Delebor krzyknął coś w tym swoim chrzęszczącym języku, wyciągnął miecz i ruszył niemal od razu galopem w kierunku obozu. Za jego plecami zabrzmiał chór głosów, potężnych i groźnych jak pomruk zbliżającej się nawałnicy.

– Jest i kawaleria – powiedział Maciek, mając w pamięci formacje, które szykowały się do wymarszu z jaskini. – No to teraz się zacnie...

Kurier nie pomylił się. Kilka uderzeń serca później Czarcia Wąwóz zaczął wypluwać jeźdźców pędzących na wierzchowcach, które wyglądały jak hybrydy najlepszych arabskich koni i prehistorycznych gadów. Rycerze mieli obnażone miecze, a na plecach proporce z czarnych poszarpanych szmat, przez co upodabniali się do husarii, która trafiła do Hadesu, a później została z niego wyrzucona za złe zachowanie.

Ale Niemcy też nie próżnowali. Nim rozpędzony klin Śpiących z Deleborem na czele dotarł do bramy obozu, cztery panzery stojące na pagórku niemal równocześnie plunęły ogniem. Przez chwilę nic się nie działo, jakby czas nagle stanął, a potem lewe skrzydło galopujących wojów zatoneło w chmurze dymu i wybuchającej na wszystkie strony czarnej ziemi.

Maciek przestał na moment oddychać.

Kiedy zobaczył króla Zakłętego Wojska wychodzącego z wąwozu, uwierzył, że wreszcie nadszedł czas, by wyrównać rachunki z okupantem i pokazać mu, gdzie jego miejsce. Jednak teraz, widząc, jak kilkunastu rycerzy trafionych odłamkami wielkokalibrowych pocisków dosłownie rozpada się na ich oczach, gubiąc kończyny i zalewając polanę fioletową posoką, nadzieja go opuściła, tak jak powietrze opuszcza dziurawy balon.

Przecież wiedział, że tak będzie. Co z tego, że Śpiący byli nadnaturalnie silni, co z tego, że jechali na smokach i mieli nieziemsko twarde pancerze i miecze. Niemcy posiadali czołgi, moździerze, karabiny maszynowe, samoloty, statki, bomby i... Bóg wie, co jeszcze. W razie potrzeby ściągną na Podhale cały arsenał Rzeszy.

– Patrzcie! – krzyknął ktoś stojący za plecami Maćka. – Walą dalej!

Faktycznie, po krótkiej chwili chaosu kawaleria ponownie zwierzała szyki. Czołgi znowu wystrzeliły, kilku kolejnych wojowników straciło życie, ale Delebor już przeskakiwał drewniany szlaban, ścinając przy okazji strażnika.

Chwilę potem prawie setka konnych wpadła w roгатki niczym ogromny żelazny taran, roznosząc je w pył.

– Za mało ich – wysyczał przez zaciśnięte zęby Waldek, patrząc, jak Śpiących natychmiast otaczają dziesiątki uzbrojonych żołnierzy. – Za kilka minut będzie po wszystkim.

Panzery stoczyły się z łoskotem ze wzgórze, wieżyczki kręciły się bezradnie od celu do celu, ale w tej sytuacji nie mogły strzelać. Środek obozu wyglądał, jakby dwa różnokolorowe jeziora próbowały wchłonąć się nawzajem; ryzyko trafienia własnych żołnierzy było zbyt duże. Rycerze siekli wrogów jak rozwścieczone szerszenie, wierzchowce kopały zawzięcie i gryzły każdego, kto znalazł się w zasięgu smoczyc paszczy, ale mimo to szeregi kawalerii wyraźnie topniały. Na jeźdźców sypał się grad naboii. Panczerze, hełmy i tarcze nie mogły zatrzymać wszystkich serii karabinowych wypuszczanych z bliskiej odległości. Przez umysł Maćka przebiegła bolesna myśl: *Przegrywają...*

To, co stało się chwilę potem, kurier zapamiętał jako urwane kadry, jakby ktoś powyciągał z albumu zdjęcia, zostawiając tylko wybrane ujęcia.

Nad kłębowisko walczących, nad krzyki i wystrzały uniósł się dźwięk rogu Delebora Wielkiego, tym razem brzmiący jak basowe porykiwanie atakowanego przez hieny lwa. Z Czarciego Wąwozu wypłynął taki sam odzew, powtarzający dokładnie każdą nutę króla. A potem z niezwykłym rykiem spomiędzy drzew i krzewów wylał się na polanę potok rycerzy dzierzących miecze, dzidy i topory.

Maciek sam nie wiedział, jak to się stało, że w następnym momencie pędził w dół Sarniego Stoku, otoczony kolegami, którzy wrzeszczeli jednym głosem gromkie: „Hurrrraaaa!!!”. Z obozu musieli wyglądać śmiesznie; grupka kilkunastu chłopaków, uzbrojonych w stare karabiny lub zdobyczne lugery, biegnących na złamanie karku ze stromego zbocza, prosto w paszczę potwora. Ale partyzanci nie dbali o to, jakie wrażenie zrobią na przeciwnikach. Jedyne, na czym im zależało, to dołączyć do szeregów piechoty wdzierających się przez stratowaną bramę i wspomóc walczącą kawalerię.

Niemcy, spłoszeni nowym przeciwnikiem, nie zwrócili na nich większej uwagi. Trawiaste zbocze dosięgła jedna zezowata seria z cekaemu, ktoś biegnący obok Maćka krzyknął i padł ciężko na ziemię, ale umysł chłopaka, zatopiony w jakimś dziwnym, niemal narkotycznym stanie, rejestrował

wszystko w zwolnionym tempie. Zupełnie jakby patrzył z pozycji widza, a nie uczestnika wydarzeń.

Ocknął się dopiero na dole. Chaos, jaki panował dokoła, sprawił, że przez kilka chwil kręcił się bezradnie w miejscu, celując we wszystkie strony lufą rewolweru. Naboje z wściekłym wizgiem przelatywały mu nad głową, kreśląc w powietrzu krwawe smugi. Niemcy wrzeszczeli komendy albo rozpaczliwe „Hilfe!”. Raz po raz jakiś żołnierz walił się w piach, ugodzony strzałą lub przeszyty włócznią. Śpiący wyłaniali się z tumanów pyłu i przebiegali obok oszołomionego Maćka, siekąc nie mniej dezorientowanych wrogów mieczami i rąbiąc toporami. Wyglądali jak potężne skalne iglice, które zeszły z grani i odziały się w żywe srebro.

Nagle kurier zobaczył ogromnego wojownika, który walił prosto na niego z wielkim mieczyskiem w dłoni. Rycerz zamachnął się i chłopak przysiadł odruchowo, wtulając głowę w ramiona. Gdy sekundę później zerknął w tył, zobaczył ciało pozbawione głowy, które w drgających rękach ścisnęło karabin uzbrojony w bagnet.

– A ruszże się, człeku, bo cię ubiją! – zagrzmiał wojownik i pobiegł dalej.

Maciek posłuchał rady i popędził za nim. Biegając ślepo w kierunku najgłośniejszych odgłosów bitwy, oddał kilka strzałów, ale nie wiedział, czy to jego kule dosięgły wrogów, czy strzelali inni partyzanci. Na razie nie dostrzegł żadnego ze swoich.

Po chwili dopadł do jakiegoś drewnianego budynku. Gdzieś w pobliżu eksplodował pocisk moździerzowy, obsypując go piachem i drobnymi kamieniami. Na szczęście nie oberwał żadnym odłamkiem. Odczekał kilkanaście sekund, otarł twarz z potu i kurzu, i wyjrzał ostrożnie za krawędź ściany. Na szerokim placu pokrytym stratowaną trawą tańczyły dwa panzery, usiłując rozjechać przemykających między pojazdami ludzi. Byli to Franek, Waldek i jeszcze dwóch chłopaków. Z wieżyczki jednego z czołgów zwiślał bezwładnie operator karabinu.

– Trzymaj! – wrzasnął Waldek i rzucił Frankowi granat.

Partyzant złapał go, wyciągnął zębami zawleczkę i cisnął pocisk wprost pod gaśienice pomalowanego w tygrysie pasy wozu bojowego.

– Padnij!!

Maciek skulił się odruchowo. Huknęło tak mocno, że kurier poczuł w uszach ból. Panzer przejechał jeszcze kilka metrów, po czym lewe koło napędzające zgrzytnęło i wypadło z taśmy. Gaśienica naprężyła się i pękła

z głuchym stęknieniem. Czołg przechylił się i zaczął ryć ziemię bezradnie kręcącymi się kołami nośnymi. Wtedy jeden z chłopaków, którego imienia Maciek nie mógł sobie przypomnieć, wskoczył na dogorywający kadłub żelaznego stwora, wdrapał się na wieżyczkę i wrzucił granat do otworu wejściowego. Następnie zsunął się na przedni pancerz i już miał zeskoczyć na ziemię, gdy dosięgła go seria z automatu posłana z drugiego czołgu. Dwie sekundy później potężny odgłos wybuchu przetoczył się przez plac i panzer zamienił się w kulę ognia, buchającą na wszystkie strony krwawymi płomieniami.

Drugi wóz ruszył na oszołomionych eksplozją partyzantów. Franek wstał z ziemi i zrobił kilka chwiejnych kroków. Najwidoczniej oberwał odłamkiem, bo całą twarz miał zalaną krwią.

– Uważaj!! – krzyknął Maciek i wybiegł ze swojej kryjówki. Wiedział jednak, że jest już za późno.

Czołg sunął na Franka jak żelazna góra wypełniona furją. Jeszcze kilka metrów i młody mężczyzna zostanie rozgnieciony przez potężne łańcuchy.

I wtedy przed czołgiem wyrósł hetman Starowierch. Wziął zamach, ostrze topora załśniło w słońcu i pojazd zatrzymał się nagle w miejscu, jakby uderzył o niewidzialny mur. Błotniki zaryły w piach, tył wozu uniósł się dobry metr nad ziemię, a strzelec wyleciał ze swojego stanowiska jak wyrzucony z procy. A potem hetman uskoczył do tyłu i Maciek zobaczył, jak na kadłubie pojawia się zygzakowate pęknięcie, które rozrasta się z okropnym zgrzytem prutego metalu. Czołg wydał z siebie jęk niczym umierający prehistoryczny gad, przedni pancerz buchnął czarnym dymem i płomieniami. Po kilku chwilach z wnętrza wieżyczki wyskoczyło dwóch żołnierzy. Na jednym mundur płonął w kilku miejscach. Mężczyzna rzucił się na ziemię i zaczął turlać się w błocie, usiłując zgasić ogień. Drugi uniósł ręce do góry i ruszył w kierunku Starowiercha, powtarzając jedno zdanie:– *Ich gebe auf! Ich gebe auf!*

Hetman nie odezwał się ani słowem, tylko skinął partyzantom głową, wskoczył na swojego wierzchowca, który czekał między drewnianymi szopami, i pognał w stronę, skąd docierały odgłosy walki.

Waldek doskoczył do Niemca i wyciągnął z kabury na jego pasie lugera. Następnie podszedł do leżącego opodal strzelca i przyłożył ucho do jego ust.

– Dycha – wychrypiał. – Andrzej! Pilnuj ich.

Żołnierz, który zdołał ugasić gorejące ubranie, bez ponaglenia rzucił

w piach pistolet.

Franek zachwiał się. Maciek natychmiast podbiegł do kolegi i ujął go pod ramię.

– Pięknie wyglądasz, stary. Jak maczek na łące. Dasz radę iść?

– Prowadź do bitwy – prychnął Franek, szczerząc zęby jak ranny wilk. – Cholera – dodał, gdy szli w kierunku centrum obozu, gdzie odbywały się główne walki. – Byłem pewien, że zwariowałeś.

– Ja też – skwitował Maciek i zaśmiał się. – Widziałeś Młodego?

Franek nie zdążył odpowiedzieć, bo rozmowę przerwały dudniące dźwięki rogów Śpiących, które odezwały się naraz z kilku stron. Wibrujące niskie tony przeplatały się, wypływały jeden przed drugi, jakby brały udział w wyścigu. Gdy partyzanci wyszli zza pagórka, zobaczyli powód tego koncertu.

– O cholera... – wyrwało się Maćkowi.

Nie było już z kim walczyć. Niemcy uciekali w popłochu, przeskakując pośpiesznie rogatki, lub poddawali się, rzucając broń na ziemię. Dwa pozostałe czołgi, a raczej to, co z nich zostało, dokonywały właśnie żywota na polu bitwy. Ich widok przywodził na myśl wybebeszone żelazne smoki.

– Wygraliśmy? Koniec walki? – zapytał z niedowierzaniem Waldek.

– Jeszcze nie. Tam się coś dzieje. – Kurier wskazał miejsce, w którym rycerze ustawiali się w nieregularny okrąg. – Widzę też naszych. Chodźcie.

Wewnątrz kręgu, na zdartym do gołej ziemi placu, stał Delebor. Naprzeciw niego, ze zdobycznym mieczem w dłoni, kołysał się kipiący adrenaliną potężny żołnierz. Był niemal tak wysoki jak król. Na przedramionach, torsie i goleniach miał zamocowane metalicznie lśniące osłony, które łączyły jakieś kable i siłowniki. Chłopak nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego na wyposażeniu wroga.

Opodal mężczyzny leżały dwa trupy Śpiących.

– *Komm...* – wysyczał Niemiec i uśmiechnął się paskudnie.

Delebor spokojnie odpiął płaszcz i rzucił go jednemu ze stojących w kręgu wojów. Następnie poluzował sprzączki zbroi i zrzucił pancerz, pozbawiając klatkę piersiową ochrony. Wyciągnął miecz.

Szwab zaatakował błyskawicznie. Jednym susem doskoczył do króla i wyprowadził podstępne uderzenie od dołu. Było jasne, że oplatające jego kończyny mechanizmy zwiększają siłę i szybkość ruchów. Stał uderzyła o stal z paskudnym wibrującym dźwiękiem. Delebor sparował cios i zrobił

krok do przodu, rozpoczynając kontratak, ale ostrze wroga płynęło już, tnąc powietrze ze świstem, w kierunku jego lewego barku. Wywinął się jakimś niemożliwym ruchem i zasłonił przed uderzeniem od góry. Miecze spotkały się ponownie, krzesząc iskry. Wtedy Niemiec kopnął króla w goleń, wytrącając go z równowagi. Wojownik pochylił się do przodu, odsłaniając przed przeciwnikiem kark. Teraz wystarczyłby jeden ruch mieczem, by pozbawić Delebora głowy. Ale broń żołnierza tylko przecięła ze świstem powietrze. Przywódca Śpiącej Armii rzucił się do przodu, wpadając z impetem w przeciwnika. Upadli w piach, wzniesając tumany pyłu. Król przeturlał się po ziemi i wstał sekundę wcześniej niż Niemiec. Wyskoczył lekko do góry jak atakujący tygrys i zadał potężny cios, nie pozwalając podnieść się wrogowi. Tamten zdołał tylko unieść ramię i zasłonić się mieczem. Przyjął uderzenie, ledwo utrzymując oręż. A potem spadł na niego kolejny cios. I kolejny. Przy czwartym siłownik łączący osłonę przedramienia i bicepsa zgrzytnął i pękł. Ręka Niemca opadła bezwładnie. Próbował chwycić miecz drugą dłonią, ale Delebor pochylił się i grzmotnął go głownią w czoło. Oczy żołnierza wywróciły się do wnętrza czaszki, błyskając białkami. Walka dobiegła końca.

Chłopcy wymienili rozgorączkowane spojrzenia. I wtedy Maciek uświadomił sobie nagle, że wśród otaczających go przyjaciół nie ma Arka. Natychmiast wydostał się z kręgu i bez słowa pobiegł na pole bitwy.

Chodził długo między ciałami niemieckich żołnierzy i Śpiących, ale nie znalazł Młodego. Serce ścisnął mu strach. Wiedział, że część kolegów, która zbiegła razem z nim z Sarniego Wzgórza, już nie ujrzy następnego świtu. Ale nie był w stanie dopuścić do świadomości myśli, że nastoletni partyzant mógł zostać ranny lub zginąć.

– Arek! Arek! – wołał, w każdym zmiętoszonym cieniu na ziemi dopatrując się najgorszego.

Wtem dobiegł go cichy kaszel.

Chłopiec leżał pośród dymiących zgliszczy i patrzył w niebo niewidzącymi oczyma. Był bledszy od chmur, które przepływały nad nim nieśpiesznie.

– Arek... – Maciek pochylił się nad kolegą i potrząsnął nim lekko.

Młody zamrugał kilkakrotnie, czarne kropki źrenic rozszerzyły się i zwężyły, gdy próbował skupić wzrok.

– Maciek?

– Gdzie dostałeś?

Partyzant drżącą ręką odsłonił przesiąkniętą krwią połę kurty. Maciek syknął. Rany na brzuchu Arka nie pozostawiały złudzeń.

– Moździerz?

– Tak. Dostałem odłamkiem, zaraz gdy wbiegliśmy do obozu.

– Wylizesz się – skłamał kurier i wygrzebał z plecaka bandaż.

Arek chwycił go niespodziewanie za ramię.

– Maciek.... Przepraszam...

– Słucham? Za co ty mnie przepraszasz, chłopie? Byłeś dzielny.

– Ja... Ja nie wierzyłem. Mówiłem, że wierzę, chciałem wierzyć, ale w głębi duszy... Przecież... – Przerwał i rozkaszłał się. Spomiędzy wyschniętych warg pociekła ciemna krew. – Przecież to było niemożliwe. A potem, gdy ich zobaczyłem... Dziękuję, że mogłem zobaczyć, Maciek.

– Cicho, Arek. Nic nie mów.

– Wiesz... – ciągnął dalej chłopiec i zamknął zmęczone oczy. – Zawsze chciałem być taki jak ty. Robić coś ważnego. Przyczynić się... A teraz leżę tu i nikt nawet nie zapamięta mojego imienia.

Nagle drgawki wstrząsnęły chłopcem, dłoń zacisnęła się mocno na ramieniu Maćka. Trwało to kilkanaście sekund, a potem Arek westchnął głośno i znieruchomiał. Palce rozluźniły chwyt i ręka opadła bezwładnie na ziemię.

– Ja zapamiętam – szepnął kurier przez zaciskane z całej siły zęby.

Następnie siadł ciężko na ziemi i omiótł posępnym spojrzeniem obóz. Patrzył, jak Śpiący ustawiają jeńców w długim szeregu. Bitwa pod Chochołowem na jego oczach przechodziła do historii, ale było jasne, że to dopiero początek walki.

Spojrzał na ciało Arka. Chłopak wyglądał, jakby zapadł w cichy, spokojny sen po najcięższym dniu w swoim życiu. *Nie miał jeszcze szesnastu lat* – pomyślał z żalem Maciek i po raz pierwszy, odkąd obudził Zakłęte Wojsko, poczuł na barkach prawdziwy ciężar zdarzeń, w które został wplątany przez przedziwny kaprys losu. Był niemal pewien, że takie momenty zdarzą się jeszcze wiele razy.

W altance panowała cisza. Mimo to wydawało się, że gdzieś z oddali dobiegają echa wystrzałów, szczęk oręża i krzyki rannych.

– Dołoż do kominka, chłopcze, robi się zimno – powiedział Maciej

do wnuka i zamyślił się, patrząc, jak płomienie łapczywie liżą świeże drewno.

Wiedział, że nie powinien opowiadać o bitwie aż tak szczegółowo. Przecież słuchało go dziecko. Z drugiej strony... Wystarczyło włączyć telewizor, by do znudzenia móc oglądać śmierć zadawaną na wszelkie możliwe sposoby, hollywoodzko piękną, bezpieczną z perspektywy puchowej kanapy, podaną niczym przystawka do głównego dania. Nie... Żeby przestraszyć, lub choćby zwrócić uwagę dzisiejszych nastolatków, trzeba użyć mocniejszych argumentów. Na przykład zagrozić trwałym zablokowaniem dostępu do internetu.

– I potem skończyła się wojna? Śpiący Rycerze pokonali wszystkich Niemców?

Maciej uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie... Wojna skończyła się jakieś osiem miesięcy później. Bitwa pod Chochołowem była niczym pierwszy kamień rzucony w dół zbocza, który daje początek lawinie. Na Sarnim Stoku zjawiło się nas ledwo trzydziestu. Trzy tygodnie później pod Nowy Targ przyszło już dziesięć razy więcej ochotników. Natomiast Kraków, wraz ze Śpiącymi, wyzwalało prawie cztery tysiące partyzantów i żołnierzy Armii Krajowej. No i Warszawa. Tak... – Maciek wstał i podszedł do miecza opartego o kominek. Uniósł go, zważył w dłoni i zapatrzył się na ostrze. – W bitwie o Warszawę wziął udział sam Generał Śmigły-Rydz, który zdołał uciec z Rumunii i wrócił potajemnie do kraju. Ramię w ramię z Deleborem Wielkim prowadził nas w bój. Gdybyś tylko mógł to zobaczyć, Szymek... Mrowie lśniących zbroi, łopoczące na wietrze czarne proporce, a pośród nich nasi chłopcy z wolą walki i bezwzględną pewnością zwycięstwa malującą się na twarzach.

Wald-emar przerwał wspomnienia Macieja, delikatnie dotykając jego ramienia. Staruszek odłożył miecz i wrócił do fotela. Następnie wypił fiolkę z jakimś ciemnym napojem upichconym przez medbota. Skrzywił się z niesmakiem.

Szymon siedzący na starej skórzanej kanapie podkulił nogi i oparł głowę o poduszkę.

– Brałeś udział w każdej bitwie, dziadku?

– Tak. W każdej.

– Byłeś ranny?

– O tak... Kilka razy. Kilka razy byłem też pewien, że to już ostatni raz.

Ale dotrwałem do samego Berlina, gdzie w końcu wspomogli nas Alianci. Było ciężko, bo Niemcy wykorzystali w tej bitwie wszystkie prototypy tajnych broni; działa ultradźwiękowe, superszybkie czołgi, no i te przedziwne, zwiększające siłę skafandry. Wyposażyli w nie ponad dwustu żołnierzy. Ale i tak przegrali. Nikt nie mógł zabrać nam tego zwycięstwa. Wiele dni potem, na wspólnym wiecu, który odbył się w Warszawie, nowy rząd w obecności Delebora i jego rycerzy złożył uroczystą przysięgę, że nigdy już żaden naród na świecie nie będzie niewolony przez inny, a Polska stanie na straży tego nowego ładu. Piękne były to słowa. Tak... słowa.

– A co się potem stało ze Śpiącymi Rycerzami?

– Odeszli. Nikt nie wie gdzie. A może Seguleb wrócił i zabrał niedobitków swojej Armii na turkusowy glob? Pewnie nigdy się nie dowiemy. Zachowały się jakieś niewyraźne fotografie z bitew, krótkie fragmenty kronik filmowych, ale oczywiście, jak twierdzą obecni historycy, każdą fotografię można spreparować. A takich jak ja, którzy widzieli Śpiących na własne oczy, ubywa szybciej niż lodu w górskim jeziorze podczas roztopów. Dziś mam tylko ten miecz. Dostałem go od Starowiercha tuż przed tym, jak zniknęli. Powiedział wtedy: „Jeśli kiedykolwiek zajdzie potrzeba, by Śpiąca Armia ponownie stanęła do walki, weź ten miecz i uderz ostrzem trzy razy o ziemię, a my przybędziemy na to wezwanie”. I wiesz, chłopcze, że...

Maciej spojrzał na wnuka. Szymon miał zamknięte oczy i oddychał miarowo. Była już prawie jedenasta w nocy i zmęczenie w końcu wzięło górę nad ciałem dziecka.

– Okryj go, Waldek – poprosił mechanicznego przyjaciela.

Medbot posłusznie podszedł do kanapy i zsunął z oparcia koc, okrywając śpiącego chłopca.

Pół godziny później w altance pojawił się Arek. Zaproponował ojcu powrót do domu, ale ten machnął tylko ręką i burknął ciche „dobranoc”. Senator owinął syna kocem, wziął go na ręce i wyszedł.

Maciej wiedział, że tej nocy już nie zaśnie. Niepotrzebnie przywołał wspomnienia, które rozpały dawne emocje. Myślał głównie o przysiędze, jaką siedemdziesiąt lat temu złożył wraz ze wszystkimi zgromadzonymi na wiecu ludźmi. Wtedy wydawało się, że żadna siła nie będzie zdolna zaburzyć jej znaczenia.

A dzisiaj? Czy w dzisiejszych czasach słowa mogą jeszcze cokolwiek

znaczyć? Te wypowiedzane i te pisane? Deklaracje, przysięgi, podpisy, pieczętki... Są warte dokładnie tyle, ile fałszerz podrabiający podpis, albo prawnik, który z mysiej dziury wygrzebie paragraf stwierdzający, że pieczętka została postawiona pod nieodpowiednim kątem. Dziś „dozgonnie wierny”, jutro „zaciekle przeciwny”. We wtorek ultra prawicowy, w środę radykalnie lewicowy. W zależności jak zawieje wiatr, z kim przyjedzie ciągnąć wózek, z kim wejść w konszachty, byle tylko uratować tyłek. Ale przecież wszyscy tak robią. Przecież taki jest świat. Zawsze taki był.

– Nie – powiedział ledwie słyszalnie Maciej. – Nie zawsze.

Ale co ja mogę wiedzieć? – pomyślał gorzko. – Jestem tylko starym pierdzielem, który żyje przeszłością...

Postanowił zająć czymś umysł, aby się trochę uspokoić. Sięgnął więc po pilota leżącego na stoliku i włączył niewielki telewizor stojący w rogu pomieszczenia. Od razu pożałował, że to zrobił. Niemal na wszystkich kanałach nocny program został przerwany przez wydania specjalne wiadomości. Na dole obrazu, na jaskrawo czerwonym tle non stop przesuwiał się biały napis: „Zamieszki na ulicach Bratysławy. Siły zbrojne Unii walczą z prowokatorami. Dziesiątki rannych i zabitych...”. Maciek patrzył z odrazą, jak na kolejnych kadrach ukazują się potężne, szarozielone czołgi. Przez moment na burcie jednej z maszyn zobaczył godło: białego orła w koronie na czerwonym tle.

Coś w nim wtedy pękło.

Ukrył twarz w dłoniach. Serce waliło mu jak oszalałe, w uszach słyszał szum, jakby powietrze dokoła utonęło w radiowych zakłóceniach. Przez głowę przebiegały rozpaczliwe pytania. Jak mogło do tego dojść? Jak to się stało? W którym momencie ten cholerny kraj ubzdurał sobie, że ma prawo do rozporządzania losem innych ludzi? Gdyby tylko Śpiący tu byli... Wiedzieliby, po której stronie stanąć.

Nagle uniósł głowę i spojrzał na miecz.

– Zbieraj się Waldek – powiedział po chwili i wstał. – Czas trochę potrząsnąć tym bagienkiem.

Epilog

Szli powoli pełną ścieżką w kierunku oświetlonej potężnymi reflektorami bazy wojskowej. Na przedzie kuśtykał staruszek trzymający w dłoni długi miecz pokryty dziwnymi znakami. Tuż za nim tupał pokraczny,

przypominający małą żyrafę robot.

Kompleks przed nimi wyglądał jak miniaturowe miasto. Nocne niebo nad budynkami było szare od migocących świateł. Mimo późnej godziny na wąskich uliczkach panował ciągły ruch. Zaczynała się mobilizacja.

Dziadunio przystanął nagle i odwrócił się. Patrzył długą chwilę na pogrążony w mroku domek i niewielką altanę. W jego oczach było widać niepewność.

A potem niebo przeciął klucz wojskowych samolotów lecących na południe.

– Cholerni okupanci – syknął mężczyzna. – Chrzanić to. Jedną wojnę już w życiu wygrałem. Mogę wygrać i następną...

Po tych słowach uniósł miecz i uderzył ostrzem w ziemię po raz pierwszy.

Iwona Kowalczyk

DRAHIM

– Patrzcie, już po nim! – Karol Franciszek, któremu z emocji aż ogień biły na twarz, uchwycił siedzącego obok biskupa za rękaw.

Jego ekscelencja się zachnął, zaś stojący za ich plecami von Hasse uśmiechnął się złośliwie półgębkiem. Biskupowi najwyraźniej widowisko niezbyt przypadło do gustu, podczas gdy jego młody podopieczny napawał się nim całym sobą.

Na zamkowym dziedzińcu szczerzo niedźwiedzia. Choć po prawdzie, kto tu jest łowcą, a kto zwierzyną, trudno było w tej chwili stwierdzić. Bestia zdążyła już rozszarpać boki czterem puszczonej na nią ogarom i powalić jednego ze starościńskich dragonów. Człek ów zalał się krwią i leciał przez ręce, gdy go wyciągano za ogrodzenie, lecz przynajmniej udało mu się ujść z życiem.

Następny mógł nie mieć już tyle szczęścia. Ledwie bowiem zamierzył się włócznią, zaraz padł pod uderzeniem mocarnej łapy, która wcześniej z łatwością strzaskała drzewce. Miał wprawdzie dość przytomności umysłu, by się w porę osłonić, krzyżując przed sobą ramiona okryte kolczą koszulką, lecz niedźwiedź siadł na nim i było widać, że lada chwila zadławi go samym swoim ciężarem. Widząc to, pan Sędziwój Połowski, który z polecenia starosty trzymał pieczę nad widowiskiem, machnął czym prędzej chustą. Na ten znak pół tuzina pachołków uzbrojonych w widły rzuciło się na arenę, by ludojada odpędzić. Inni, bezpiecznie ukryci za ścianą z bierwion, którą wzniesiono wokół dziedzińca, zaczęli trzaskać w drewniane kołatki, ktoś tam nawet zadał w róg myśliwski, dołączając jego jękliwy głos do ogólnego harmidru.

Owe hałasy wywarły chyba na zwierzu większe wrażenie niżli widok zbliżających się zbrojnych, z których też, uczciwie rzekłszy, żaden się za bardzo nie wrywał do przodu. Niedźwiedź począł się cofać, już, już gotów porzucić ofiarę, gdy nieszczęśnik ów, pewien rychłego ratunku, podparł się oburącz o ziemię, zapewne po to, by czym prędzej zrzucić

z siebie przygniatające go cielsko. Tym samym błąd popełnił, straszny dla siebie w skutkach, gdyż zwierz niespodziewanie znów zamachnął się łapą, jednym ciosem rozrywając mu gardło.

Oglądający zmagania, z których część powstawała z miejsc, a wszyscy niemal to wołali słowa zachęty, to pohukiwali, to znów wydawali okrzyki zgrozy, teraz jak na komendę zamilkli. W owej chwili względnej ciszy, przerywanej jedynie drażniącym uszy klekotem drewnianych kołatek, wyraźnie dały się słyszeć słowa biskupa:

– *Ego te absolvo.*

Dostojnik z powagą uczynił znak krzyża w kierunku zbryzganej posoką areny, potem zaś schylił się, by rzec coś księciu do ucha. Tego już von Hasse nie zdołał uchwycić, ale dojrzał, iż Karol Franciszek oblał się nagłym rumieńcem.

Tymczasem niedźwiedź dał się w końcu zagonić w róg ogrodzenia, skąd śledził złym wzrokiem wysiłki ludzi, starających się jak najszybciej usunąć z areny ciało jego niedoszłego zabójcy. Von Hasse przyglądał się temu z rosnącym niesmakiem. Gdyby to od niego zależało, dawno kazałby bestię zwyczajnie ustrzelić. Tu jednak chodziło o popis rycerskiej odwagi, dlatego pewnikiem zaraz kolejny śmiałek spróbuje zakłuć zwierza włócznią. Na razie jednak wyglądało na to, że chętnych zabrakło.

Karol Franciszek, choć kolorem twarzy mniej już do gotowanego raka podobny, nadal tkwił w swoim fotelu sztywno wyprostowany, jakby kij połknął, z czego można było wnosić, że biskupia reprimenda uczyniła na nim stosowne wrażenie. Von Hasse zaśmiał się w duchu. Najjaśniejszy pan najwyraźniej nie bez powodu wybrał swemu następcy takiego towarzysza podróży. Na co dzień jego ekscelencja Heinrich Wurcel, biskup Fuldy, mógł się wydawać łagodny niczym baranek, lecz czasem umiał rzec słowo czy dwa tak, że człek z konfuzji nie wiedział, gdzie oczy podziać. I dobrze, gdyż dla każdego, kto choć parę godzin znał arcyksięcia, jasnym się stawało, że młodzieńcowi niczego bardziej nie trzeba jak porządnego przytarcia rogów.

Von Hasse, który parę tygodni przebywszy z nim w drodze, poznał go nawet lepiej, nabrał przekonania, że cesarski dziedzic jest zwyczajnie obibok, bałamut i chojrak, a jeśli między uszami ma jakąś kapkę rozumu, to nie zdążył jeszcze tego pokazać. Nie wróżyło to dobrze ani na bliską, ani tym bardziej na dalszą przyszłość, ale co robić? Prywatne zdanie dowodzącego eskortą kapitana Ludwiga von Hasse nie miało tu żadnego znaczenia. Jego

rzeczą było dowieźć arcyksięcia bezpiecznie z Wiednia do Warszawy oraz z powrotem, zahaczając o zamek Drahim, który zresztą wcale nie leżał po drodze, lecz wraz z przyległymi ziemiami stanowił bezpośrednią przyczynę całej tej nieco szalonej, w jego mniemaniu, imprezy.

Ano tak. Von Hasse westchnął bezwiednie. Doświadczony żołnierz, lecz żaden polityk, rozumiał wprawdzie wojskowe znaczenie tutejszej twierdzy, lecz pozostałe kwestie mu umykały. Przede wszystkim zaś pojąć nie umiał, dlaczego to nagle sam święty cesarz miał godzić zwaśnione strony. I czemuż, u kaduka, wysłał w tym celu do Polski syna, który, z całym poszanowaniem dla krwi jego błękitnej, umiałby należycie sprawę rozstrzygnąć chyba jedynie wtedy, gdyby go poproszono, by ocenił jakość starościńskiej piwnicy.

Kapitan zerknął na puste krzesło, na którym powinien zasiadać radca von Irrgang, druga bardzo ważna podczas tej wyprawy persona. I tu pewnikiem kryło się sedno. Obecność księcia była na pokaz, bez niego poselstwo nie miałoby takiej rangi. Jeśli już kto, to właśnie Ulrich von Irrgang, szara eminencja cesarskiego dworu, miał w głowie wszystkie szczegóły ciągnącego się niemal dekadę sporu. Człowiek ten bywał ustawicznie zapracowany. Teraz również, miał uczestniczyć w widowisku, jakie pan starosta urządzał dla uczczenia dostojnych gości, zamknął się wraz z kancelistami w drahimskim archiwum. Co jeszcze zamierzał tam znaleźć, tego von Hasse nie wiedział, ale pamiętał wygłoszone przez niego przy jakiejś okazji zdanie, jakoby niektóre bitwy łatwiej było rozstrzygnąć na swoją korzyść przy pomocy prawniczych kodeksów niżli orężnie. Zapewne. Ujrzawszy na własne oczy, jak mocną fortecą jest Drahim, od razu pojął, czemu to książe elektor, uważając twierdzę za swoją, zarazem wcale się nie kwapił, by zdobywać ją siłą. Zamiast tego zwrócił się o mediację do cesarskiego dworu i sobie jedynie znanym sposobem wyprosił zgodę, licząc zapewne, że polskiemu królowi także niezręcznie będzie podobną ideę odrzucić. I nie pomylił się Brandenburczyk w swoich rachubach. Tak więc przybyli do owego zagubionego wśród jezior i lasów zamku, mając oto okazję patrzeć, jak rozwścieczony niedźwiedź przegania po dziedzińcu starościńskich pachołków.

Bestia, od dobrej chwili pozostawiona samej sobie, znów jąła krążyć wokół areny, aż zatrzymała się naprzeciwko trybuny. Z bliska wydawała się jeszcze większa, istne leśne monstrum porośnięte zmierzwionym, ciemnobrunatnym futrem. Kiedy ryknęła, ukazując długie, pożółkłe zębiska,

von Hasse pomyślał, że sam za żadne skarby nie chciałby stanąć jej na drodze. No chyba że z dobrze podszypanym muszkietem w dłoni.

Kilka dam krzyknęło ze strachu, choć przecież na swoich miejscach były całkiem bezpieczne. Lecz czy na pewno?

Podest dla gości, jak i całą arenę, zbudowano naprędce z sosnowych bali i desek, umieszczając patrzących na podwyższeniu dostatecznie wysokim, by niedźwiedź nie mógł go dosięgnąć. Jednakże przez niedbalstwo lub zapomnienie przy samej ścianie trybuny pozostawiono sporą drewnianą skrzynię, czy może stopień, niewykorzystany w dalszej konstrukcji. Wszystko jedno, dość, że solidny i wysokości co najmniej dwóch łokci. Niedźwiedź wsparł się teraz o niego przednimi łapami i wyciągnąwszy szyję, poruszał szybko rozdętymi nozdrzami.

Niemożliwe – przemknęło kapitanowi przez głowę. – Wszak to tylko zwierz bezrozumny. Żadną miarą nie zdoła...

Więcej pomyśleć nie zdążył, bo oto futro okrywające potężne barki zafalowało, tylne łapy dołączyły do przednich, grzbiet wygiął się w pałąk i przez chwilę wyglądało to tak, jakby niedźwiedź, stanąwszy na pace, chciał zaprezentować zebrany cyrkową sztuczkę. Zaraz potem jednak wydzwignął się w pion, pazurzastymi łapami zahaczył o krawędź podestu i już był na górze, już prawie sięgał najbliższej siedzących. Ci nie czekali biernie, tylko rzucili się do ucieczki, potracając się i przewracając wzajemnie. Trybunę w mgnieniu oka wypełniła skotłowana bezładnie ciżba.

Wąskie przejście prowadzące w krużganki zatarasowano od razu, toteż von Hasse ledwie rzucił okiem, uznał sprawę za beznadziejną i popchnął księcia w przeciwnym kierunku.

Młodzieniec chyba jeszcze nie rozumiał, w jakim się pospołu z innymi znalazł niebezpieczeństwie, ale szczęśliwie nie stawiał oporu. W okropnym hałasie czynionym przez przerażonych ludzi nie dało się nawet słowa zrozumieć, więc kapitan na migi wskazał mu jedno z zamkowych okien, położone wprawdzie dobrze ponad ich głowami, lecz gdyby podstawić ławę...

Von Hasse zerknął nerwowo przez ramię. Niedźwiedź, skłębniejszy pod sobą jakiegoś szlachcica, bezskutecznie próbującego obronić się szablą, znów stanął na tylne nogi i począł rozglądać się za kolejną ofiarą.

Herr Jesus, spraw, żeby upatrzył sobie kogo innego – pomodlił się w duchu kapitan, świadom, że za plecami ma księcia, przy boku zaś tylko

cienką, paradną szpadę.

Następne chwile miał zapamiętać jako ciąg osobno przesuających się przed jego oczyma obrazów. Oto kobieta, obalona przez innych na ziemię, krzyczy, zaplątana we własne suknie. Odziany w pasiaste jedwabie gwardzista bezrozumnie tuli do piersi drzewce halabardy, danej mu chyba tylko na pokaz. Drahimski starosta, starzec, którego dwóch rękodajnych musiało pod łokcie wprowadzać po schodach, teraz odpycha rękoma poręczę fotela i staje wyprostowany, dobywszy szabli, u jego boku przyklęka młodziutki paź z króciwą w rozdygotanej dłoni. Niedźwiedź obraca się wolno i naraz von Hasse spogląda prosto w jego małe, zda się błyszczące złośliwą uciechą, oczy.

Co mógł uczynić wobec bestii przerastającej go o półtorej głowy, mocniejszej niżli trzech mężów i zbrojnej w ostre kły i pazury? Nie miał się czasu namyślać. Jedyna broń rokująca jakiegokolwiek nadzieje znajdowała się w ręku przerażonego gwardzisty. Chwycił więc za nią, wyrwał, nie napotkawszy oporu. Ciężkie ostrze przeważało mu w dłoni, ujął halabardę oburącz, nastawił.

Było to tak, jakby uderzył w mur albo raczej jakby mur się nań zwałił, gdy jakimś cudem trafił w sam środek kudłatej piersi. Niedźwiedź zaryczał z bólu i złości. Nie mogąc swego krzywdziciela dosięgnąć, począł uderzać łapami w drzewce, jak wcześniej czynił to był na arenie, ale tym razem z powodu ciężkich okuć nie zdołał go złamać. Jednakowoż broń była tępa, zatem nie uczyniła wielkiej krzywdy zwierzęciu, które wciąż pozostawało pełne wściekłego wigoru. Von Hasse, czując, jak zimny pot mu płynie po karku, ani śmiał się obejrzeć. Miał tylko w Bogu nadzieję, że przynajmniej Karol Franciszek oprzytomniał na tyle, by się do tej pory salwować ucieczką. Ramiona mdlały mu z wysiłku i już poczynał żegnać się z życiem, gdy nagle doczekał niespodziewanej pomocy.

Człek jakiś przyskoczył z boku, błysnął długim kindziałem, zatapiając go zaraz w karku zwierzęcia. I tego nie było dość, by bestię powstrzymać, ale ledwie rozwarta paszcza zwróciła się w jego stronę, ów nieznajomy prosto w nią wypalił z króciwy. Von Hasse wypuścił drzewce, gdy uwięziony na jego drugim końcu zwierz w przedśmiertnym paroksyzmie potężnie nim szarpnął, skutkiem czego kapitan, nie zdoławszy zachować równowagi, upadł w tył, mało politycznie lądując na zadku.

Niewiele go to obeszło. Rozejrzał się szybko na boki i zaklął szpetnie,

ujrzawszy, że arcyksiążę nigdzie nie uciekł. Stał ze dwa kroki od niego, plecami przyłgnąwszy do ściany, nieco zielony na twarzy, ale Bogu dziękować, cały. Dopiero wówczas kapitanowi z ulgi zrobiło się słabo.

Tymczasem jego nieoczekiwany wybawca, upewniwszy się wprzód, że bestia istotnie nie żyje, zwrócił się w jego stronę. Przysiadł na piętach i kapitan ujrzał zaskakująco niebieskie oczy, niczym dwie niezabudki, spoglądające nań z ciekawością spod smoliście czarnej czupryny. Nieznajomy przemówił najpierw w swoim języku, potem zaś, widząc, że von Hasse go nie rozumie, po niemiecku:

– Caliście? – A gdy kapitan słabo pokiwał głową: – Jestem Jędrzej Zaborski, do usług waszmości.

Jeziro nazywało się Żerdno w tutejszej mowie, a znaczyło to właśnie tyle, co Srebrne. I takież było, prawda, rozmigotane w słońcu drobnymi falami, obramowane zielenią. Trakt, którym mieli dzisiaj podążyć, wiódł po grobli, potem zaś ku wschodowi, przez lasy.

Wczesnym porankiem, gdy stało się jasne, że na księcia trzeba będzie poczekać dobrą godzinę, lub nawet dwie, von Hasse zadał sobie trud wspięcia się na jedną z zamkowych baszt. Dzięki temu miał obecnie pewien pogląd na drogę, którą im przyjdzie pokonać. Zamek Drahim położony był w wąskim przesmyku pomiędzy owym Srebrnym Jeziorem, a drugim, którego miejscowej nazwy kapitan nawet nie silił się powtórzyć, bo brzmiała tak, jakby kto napluł na rozżarzone węgle. Wzniesiony na ziemnym wale, górował nad okolicą, gdzie pierwszym, co rzucało się w oczy, była mnogość wód rozmaitych, jezior, stawów, rzeczulek, strumieni i sztucznie przekopanych kanałów. Poza tym kraj był pofałdowany, pagórzasty i w dużej części porośnięty bujnymi grądami. Łatwo zgadnąć, że ludzie więcej tu podróżowali po wodzie niżli po suchym lądzie, każdy zaś trakt, droga czy ścieżka obfitowały w liczne zakręty, nawroty i łuki, kształtem przypominając ślad węża pozostawiony na piasku. Dlatego też czas potrzebny, by dotrzeć gdziekolwiek, należało liczyć co najmniej podwójnie.

Zyskawszy tego świadomość, von Hasse zżymał się trochę na opóźnienie, lecz po prawdzie nie tyle, co przy innych okazjach. Po wczorajszej uczcie sam zbudził się z ciężką głową, poważnie nadużywszy doskonałych win pana starosty, jak również miodu, który stanowił tutejszy rarytas. Ale cóż było robić? Niedawne starcie z niedźwiedziem uczyniło wrażenie, ciągle więc ktoś

do niego podchodził i przepijał serdecznie, zaś w kraju tym, o czym von Hasse już wiedział, odmowa wspólnego spełnienia toastu stanowiła śmiertelną obrazę. Pan Zaborski, jako główny pogromca „bestyi”, znalazł się w jeszcze większych „opałach”, co, trzeba mu przyznać, przyjmował ze śmiechem, raczej podkpiwając ze swojego wyczynu, niżli się chwalać.

Przy stole posadzono ich blisko, mogli więc parę słów ze sobą zamienić. Kapitan z niejakim zdumieniem dowiedział się, iż znajomość owa, choć zawarta w niezwykłych okolicznościach, nie była całkowicie dziełem przypadku. Zaborski, dawniej towarzysz pancerny z chorągwi księcia Dominika Zasławskiego, obecnie zaś pozostający w dyspozycji pana kanclerza, został bowiem specjalnie z dworu polskiego przysłany, by do poselstwa dołączyć. Znający języki, a także świadom okolicy oraz panującego w niej obyczaju, służyć miał im wszelką pomocą i radą.

Istotnie, mową niemiecką posługiwał się biegle, z czego zawsze byłby pożytek, choć mieli w oddziale i własnych tłumaczy, zarazem sprawiając wrażenie człowieka, na którym w niejednej sytuacji można polegać. Von Hasse, nie mając wątpliwości, że w ten sposób polski kanclerz zadbał zarazem o to, by mieć swoje „oko i ucho” w cesarskim orszaku, zdziwił się jedynie, czemuż to nie spotkali się wcześniej, jeszcze podczas pobytu w stolicy.

– Nie było mnie wówczas w Warszawie – odparł na to Zaborski, rozkładając ręce. – Pan kanclerz gdzie indziej kazał ze służbą, a gdy wróciłem, musiałem gonić za wami. No i dogoniłem dopiero tutaj. List z poleceniem mam, mogę go zaraz waści okazać.

Von Hasse nie miał powodu, by w słowa szlachcica wątpić, jednakowoż pomny na obowiązek chronienia księcia, pismo przyjął i wpiersz dokładnie obejrząwszy pieczęcie, przebiegł treść wzrokiem. Znalazłszy w niej potwierdzenie wszystkiego, co wcześniej usłyszał, z zadowoleniem pokiwał głową.

– A zatem, *herr* Zaborski, witamy w kompanii – rzekł, wznosząc kielich.

Nie był to bynajmniej ostatni toast, jaki spełniono tego wieczoru, więc von Hasse, czując coraz mocniejsze łupanie w głowie, z niejaką zawiścią spoglądał na Polaka, który zszedł właśnie na dziedziniec, pogwizdując, rześki i wesolutki jak szczygieł.

Ledwie się przywitali, Zaborski wyciągnął doń oplecioną rzemieniem manierkę, przy czym znów padło owo sławetne „Na zdrowie!”.

Von Hasse aż zatrzęsł się w sobie, lecz pomny, że odmawiać nie wolno, rzekł sobie: „Raz kozie śmierć!” i łyknął solidnie. Rozkaszłał się ciężko i spłakał, doznając wrażenia, że płynny ogień wlał sobie w gardło. Po chwili jednak ów kowal, co bił mu w czaszkę od środka, zaprzestał swojej roboty i kapitan nieco przytomniej spojrzał na świat wokół siebie. Zaborski, niecnota, parskął w wąsy jak borsuk, ale trudno było się nań gniewać, zwłaszcza że lekarstwo, które zaordynował, okazało się nader skuteczne.

– Samiście się też kurowali takim sposobem? – zagadnął von Hasse, odzyskawszy nieco oddechu.

– A jakże! – Szlachcic błysnął w uśmiechu białymi zębami. – U nas w Tucholskiem każdy wie, że w podobnych okazjach dereniówka najlepsza. Wielce zacna, nieprawdaż?

Kapitan grzecznie przytaknął, w duchu przyrzekając sobie na przyszłość wszelkim sposobem owego specyfiku unikać.

– To wy nietutejsi? – zdziwił się nieco, bo podczas wczorajszej rozmowy odniósł odmienne wrażenie.

– Prawie, bo ród z tych stron się wywodzi, a dopiero dziad mój od króla jegomości Zabórz z przyległościami otrzymał, gdzie teraz mieszkamy.

– Pojmuję. Lecz wiecie, jak do onej kaplicy trafić?

– Wiem, bo byłem tam lat temu kilka. – Po jego twarzy przebiegł cień, być może owa podróż wiązała się z jakimś niemiłym wspomnieniem. Von Hasse, nie będąc z nim w konfidencji, wołał o to nie pytać. – Tak czy owak, powodu do zmartwienia nie macie, bo pan starosta Potocki daje wam przewodnika. A i miejsce jest sławne, każdy w okolicy z łatwością wskaże drogę – dokończył szlachcic już ze swoim zwykłym uśmiechem.

– Tyle że wołałbym nie ogłaszać z góry, gdzie się arcyksiążę udaje.

Zaborski skinął głową.

– Wielce to z waści strony roztropnie.

Von Hasse obrzucił go uważnym spojrzeniem. Istotnie, zabronił swoim ludziom rozpowiadać o celu dzisiejszej wycieczki. Myślał, że teraz przyjdzie mu się z tej ostrożności tłumaczyć, a tu, proszę, ów szlachcic sam przyznaje mu rację. Dlaczego?

Zanim jednak zdążył wymyślić, jakby go o to zręcznie wypytać, zjawił się przy nich pan Połowski i począł na tutejszą modłę wylewnie się witać. Kapitanowi nie bardzo było to w smak, bo przynajmniej po części jego właśnie winił za niefortunne zakończenie wczorajszej imprezy. Dlatego,

odkłoniwszy się sztywno, zagaił:

– Skądżeście, panie wojski, wzięli tego niedźwiedzia? Widziałem swego czasu kilka po różnych cyrkach w cesarstwie, ale ani w połowie tak dzikich.

Zaborski przetłumaczył, na co pan Sędziwój wyrzucił z siebie potok szybkiej wymowy, machając przy tym rękoma, podnosząc głos i co rusz chwytając się za czuprynę. Po chwili uspokoił się nieco, lecz nadal przemawiał żarliwie, jakby za wszelką cenę chciał przekonać rozmówcę. Trwało to jakiś czas. Na koniec Zaborski odpowiedział krótko, wojski zaś poczerwieniał, odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Coście mu rzekli? – zapytał zdumiony von Hasse.

– Że wybieramy się do kościoła w Czaplinku, dać na mszę za szczęśliwe ocalenie księcia i że potem go pewnie wyzwiecie na rękę.

– Baniałuki prawie! – zezłościł się von Hasse, który nie miał najmniejszego zamiaru wdawać się w awantury.

– Racja. – Szlachcic wybuchnął beztroskim śmiechem. – Darujcie. Wszystko przez jego natręctwo. Pewnikiem boi się, że obmówicie go przed starostą i dlatego wolałby mieć w was przyjaciela. Ale przecież pan na Drahimiu własnymi oczyma widział, co się tam stało, i rozum swój ma. Takóż wedle niego postąpi, jak zechce. A co do zwierza, to podobno zakupiono go na jarmarku w Będzinie, nie bardzo wiadomo, od kogo. – Zaborski się skrzywił. – Słusznieście rzekli, dziki był, jak się rzadko spotyka.

– Po prawdzie, ciekaw bym był...

Von Hasse nie miał okazji dokończyć myśli, bo w tej chwili księżę zszedł na dziedziniec, za nim świta, paziowie, wreszcie ksiądz biskup z własnymi sługami. Wszczęło się zamieszanie i trzeba było się zająć formowaniem orszaku.

Kawalkada wlokła się noga za nogą, rozciągnięta na dobre półtora strzelenia z łuku, ale też inaczej na wąskim trakcie nie było można. Mimo to kapitan czuł się dosyć spokojny, bo dopilnował i przednich, i tylnych straży, po bokach mieli z jednej strony jezioro, z drugiej zaś młaki bagniste, przez które żaden nieprzyjaciel nie zdołałby się przedrzeć. Zresztą jakież tu nieprzyjaciel, skoro tutejszymi ziemiami żelazną ręką władał sam „Rewera” Potocki, dawny hetman wojsk polskich, mąż, którego wojenna sława dawno przekroczyła granice królestwa, a któremu bał się sprzeciwić nie tylko księżę elektor, ale – jak powiadano – nawet własny monarcha. Dlatego mógł on,

wbrew zawartym przez tegoż układom, Drahim wraz z przyległościami przy polskiej koronie zatrzymać. A nowy król podobno jego zdanie popierał...

Tymczasem okolica w istocie wyglądała na całkiem spokojną. Minęli jedną wieś, gdzie chłopstwo z czapkami w ręku wyległo witać przejeżdżających. Ludzie ci nie wydawali się przestraszeni widokiem obcego wojska, zaciekawieni jedynie, zresztą może dlatego, że wśród zbrojnych widzieli także i swoich, to jest tuzin dragonów pana starosty, jadących pod własnym proporcem. W opłotkach suszono sieci, po jeziorze kręciły się liczne łodzie, od zwykłych dłubanek, po całkiem zgrabne stateczki opatrzone prostokątnymi żaglami. Na polach zieleniły się zboża, widzieli młyn i pasieki.

– Bóg błogosławi tej ziemi, wystarczy spojrzeć. – To odezwał się biskup, który dosiadając spokojnej inflanckiej kobyły, rozparł się w siodle niczym basza na otomanie i z ukontentowaniem wodził dokoła wzrokiem.

– Bo też zacnego ma gospodarza, co wasza ekscelencja sam może ocenić – odparł Zaborski, którego biskup był jakiś czas temu przywołał do swego boku. – No i czasy wreszcie spokojne, da Bóg, że takimi zostaną.

– W jego ręku jesteśmy, jak i wszelkie stworzenie. – Dostojnik z powagą pokiwał głową. – Ale nad tą okolicą szczególne błogosławieństwo świętego Eustachiusa musi być rozciągnięte.

– My ze swojska mówimy: Eustachy. – Szlachcic uśmiechnął się. – Bywa też, że chłopstwo „świętego Stacha” woła na pomoc. Prawda, tutejsi gościnnie przyjęli wędrowca, choć wątpię, by w owych czasach mieli jakiegokolwiek pojęcie, kto pod ich strzechy zawitał. Dopiero później, gdy Ojciec Święty raczył wynieść go na ołtarze, w miejscu rybackiej chałupy, w której niegdyś zimował, pobudowano świątynkę. Obaczycie ją wkrótce.

– Rad jestem z tego niezmiernie.

Następnie wdali się obaj w rozmowę o dziejach owego świętego i cudach, które ponoć swego czasu w okolicy czynił. Rzecz miała się tak, że wspomniany Eustachius, mnich z Altenburga niedaleko Koblencji, ponad trzy wieki temu przybył do Polski na zaproszenie ówczesnego króla Władysława, tegoż samego, którego poddani bez żadnego poszanowania dla majestatu zwali Łokietkiem. Późniejszy święty rozminął się jakimś sposobem z przyslaną przez króla eskortą, skutkiem czego samotnie ruszył w wędrówkę po kraju, wielu przygód doznając po drodze.

Biskupa, który sam pochodził z Koblencji, najwyraźniej bardzo

zajmowała owa historia, więc wspominał ją kilkakrotnie podczas ich własnej podróży. Von Hasse, żadnym niedowiarkiem nie będąc, czuł się jednak odrobinę znudzony tematem, więc musnąwszy bok wierzchowca ostrogą, wysforował się nieco do przodu. Miał teraz przed sobą księcia, który poprzez tłumacza wdał się w dyskusję z porucznikiem tutejszych dragonów. Rzeczą dotyczyła łowów, jakie odbywały się w okolicy. Karol Franciszek wyglądał na wielce zainteresowanego tą kwestią.

Herr Jesus – pomyślał von Hasse – teraz mu się zachce odyńca. Jakby kłopotu z onym niedźwiedziem było nie dosyć. Dobrze, jeśli sam nie zechce iść z rohatyną do lasu.

Z drugiej strony koncept nie byłby zły, gdyby pan starosta zechciał zarządzić polowanie z nagonką. Dostarczyłby w ten sposób rozrywkę księciu, który w czasie całej tej wyprawy rzetelnie się nudził. I cóż zresztą dziwnego? Młody był, rozpieszczony, to prawda, i tak nawykły do dworskich zabaw, że dawno już wyszły mu one bokiem. Ruch, pogoń za zwierzem przez leśne ostępy, wreszcie odrobina zdrowego zmęczenia – z pewnością mu nie zaszkodzą.

Trzymając się nieco z tyłu, kapitan począł rozmyślać o swoim przyszłym władcy. Bo też, gdy przyjdzie pora, Karol Franciszek zostanie po ojcu królem Austrii, Węgier i Czech. Czy również cesarzem, to się jeszcze zobaczy. Jaki zatem sens miało wplątywanie go w spór, którego każde rozstrzygnięcie w przyszłości może przynieść mu szkodę? Nieważne, że tak naprawdę nie on będzie tu decydował. Jeśli cesarz poprze brandenburskie roszczenia, może i w ten sposób zdobędzie dla potomka elektorską przychylność, lecz zarazem rozgniewa potężnego sąsiada. No i czy polski król zechce uznać niekorzystny dla siebie wyrok? A książę elektor? A gdyby król uznał to, co uczyni sławny Rewera? Znow się sprzeciwi? Jeśli tak, to pod Drahimem wkrótce załopoczą wojenne proporce. Tylko nie wiadomo, z czarnym orłem czy z białym.

Kapitan westchnął ciężko, bo od tych rozważań znow poczynała go boleć głowa. *Może tutejszy święty cokolwiek poradzi – rzekł sobie w duchu – bo doprawdy po ludzku trudno będzie to wszystko sensownie rozwiązać.* Wreszcie ocknął się z zamyślenia, usłyszawszy, że nawołują go od czoła orszaku, i popędził wierzchowca.

– Co tam na drodze? – zapytał, widząc, że to powrócił jeden z kirasjerów posłanych na szpicy.

– Grobla zerwana! – odparł ten, łapiąc oddech.

– Co, jakim sposobem? – Od prawie dwóch tygodni trwała nieprzerwanie piękna, słoneczna pogoda.

– Powiadają, że to przez bobry.

Von Hasse ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

– Jakże to?

– Bober, tak jest – poświadczył przysłany przez starostę przewodnik, posługując się łamaną niemczyzną. – Kopać nory za dużo i wtedy woda szuu.

– Zakończył gestem mającym obrazować ten proces. Kapitan z niejakim trudem nakazał sobie cierpliwość.

– Da się przejechać? – zapytał swojego żołnierza.

– Niegłęboko tam, ale konie w mule i kłodach nogi połamią.

– Aha, to trzeba będzie zawrócić.

Temu jednakże niespodziewanie sprzeciwił się książę.

– Ojciec mój nakazał mi poznawać ten kraj oraz ludzi, którzy go zamieszkują – rzekł z niezwykłą u niego powagą. – A nie dokonam tego, siedząc na zamku. Poszukajcie objazdu.

Po krótkich indagacjach okazało się, że objazd rzeczywiście istnieje. Potwierdził to zarówno przewodnik, jak i polski porucznik, a na koniec również Zaborski, choć ten ostatni z wyraźną niechęcią.

– To tylko wąska ścieżyna, najpierw przez las i pagóry, potem nad samym brzegiem jeziora – powiedział, kręcąc głową. – Wojsko pojedzie sznurem i czas się zmitręży...

– W Kątach można stanąć na popas – podrzucił usłużnie porucznik. – Całkiem grzeczną oberżę trzyma tam Żyd-arendarz.

Von Hasse ruszył, by przedstawić rzecz księciu. Zaborski tymczasem począł żywo rozprawiać ze swoim sługą, który do tej pory trzymał się z tyłu, pomiędzy czeladzią.

Ów był małego wzrostu, czarniawy, skośnooki, o twarzy płaskiej i okrągłej jak księżyc. Nosił się po polsku, jeśli nie liczyć dziwacznej, wysokiej czapki ozdobionej zasuszonymi ptasimi szponami oraz krzywego łuku, który wraz z kołczanem stale miał przewieszony przez plecy. W sumie wyglądem budził raczej odrazę, choć jedno trzeba mu było przyznać – na koniu człek ów zmieniał się w istnego centaury.

Kapitan, z ciekawości zerknąwszy raz jeszcze, pospieszył do księcia. Karol Franciszek wysłuchał relacji z lekko zmarszczoną brwią, po czym, jak można było przypuszczać, zdecydował się jechać dalej. Nikt też przeciw

temu nie oponował, nawet ksiądz biskup, któremu zależało na odwiedzeniu kościółka. Von Hasse musiał się zatem zgodzić. Pchnął jedynie posłańca do pana starosty z wiadomością, że ich powrotu nie należy oczekiwać wcześniej jak jutro. Kłopot to właściwie był żaden, a i niechęć młodzieńca do tego, by tkwić bezczynnie na zamku, dało się pojąć bez trudu. Mimo to kapitan odczuwał niezrozumiały dla niego samego niepokój.

Tak czy owak, trzeba się było cofnąć o jakieś dwie staje. Von Hasse nakazał odwrócić porządek szyku tak, że straż tylna znalazła się obecnie na szpicy. Dzięki temu mogli ruszać od razu. Objazd, o którym mówiono, łatwo było przeoczyć, gdyż okazał się niczym więcej jak polną dróżką, po przebyciu następnych kilkuset kroków zagłębiającą się w lasy. Przewodnik był jednak pewien swego, a pochód nie nastęczał aż takich uciążliwości, jak to zapowiadał Zaborski. Przynajmniej z początku. Później jednak teren stał się trudniejszy, trakt bez przerwy to wznosił się, to opadał, tak wąski przy tym, że nawet dwa wierzchowce nie mogłyby iść obok siebie. Monotonna to była wędrówka, podążali bowiem w liściastym półmroku, nie mając gdzie dalej okiem sięgnąć, za to zmuszeni bez przerwy baczyć na zwisające nisko gałęzie. Nic dziwnego więc, że każdy odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wyjechali na słońce.

Ścieżka wiodła teraz skrajem poręby kończącej się aż na brzegu jeziora, skąd zapewne spławiano pnie. Tymczasem w miejscu karczowiska rozpleniła się łąka, bujna ziołami i kwieciami i aż hucząca od pracy owadów. Opodal woda wciniała się w ląd niewielką zatoką, w dali zaś można było dostrzec zasnutą niebieską mgiełką cypel, zza którego w tej właśnie chwili wychyłała łódź z żaglem. Słowem, był to widok pełen uroku, niemal godny pędzla któregoś ze sławnych włoskich mistrzów.

Von Hasse uśmiechnął się w duchu, słysząc, że księżę domaga się, by uczyniono postój w tym miejscu. Dlaczego nie? Dnia nadal było przed nimi dosyć, przewodnik zapewniał, że do owych Kątów i tak zdążą na długo przed zmrokiem.

Kapitan zsiadł z konia i podszedł, by przytrzymać młodemu panu strzemię. Później nie umiałby rzec, co go właściwie ostrzegło. Nagły krzyk sójki w gęstwinie? Błysk słońca odbitego w metalu? A może po prostu przecucie, które kazało mu złapać księcia za kaftan i ściągnąć na ziemię w tej samej chwili, gdy nad lasem przetoczył się wystrzał.

– Jest w łodzi.

Zaborski otarł czoło rękawem. Zgubił gdzieś kołpak, a na policzku puchła mu pręga po uderzeniu gałęzią. Von Hasse, sam zgoniony jak pies, pewnie nie prezentował się lepiej.

Ścigali zamachowca pieszo, klucząc i drąc się przez chaszczce. Wszystko na nic, gdyż wywiódł ich w pole, zawróciwszy lasem na powrót ku brzegowi jeziora, gdzie czekała na niego łódź z postawionym już żaglem.

– Czekajże no! – warknął von Hasse przez zaciśnięte zęby.

Z miejsca, gdzie się zatrzymał, widział wyraźnie ciemną sylwetkę skuloną na rufie. Sięgnął po pistolet zatknięty za pas.

– Nie doniesie – mruknął Zaborski. On też nie odrywał wzroku od łódki.

Von Hasse nie silił się na odpowiedź. Wsparł broń na przedramieniu i wycelował starannie, pomodliwszy się uprzednio, by proch na panewce nie zawilgł.

– Trafiony! – Okrzyk Polaka zlał się niemal z hukiem wystrzału. Zaborski z całej siły klepnął go w ramię – A niechże was...

– Mogłem go tylko ranić.

Mężczyzna upadł na dno łodzi, która w międzyczasie oddaliła się jeszcze. O drugim strzale nie było co marzyć.

– Oby od tego zdechł! – Zaborski splunął na ziemię. – Z muszkietem się zasadził, przeklętnik.

Von Hasse kiwnął głową.

– Dlatego zdążył nam umknąć, mierzył z daleka. Widzieliście, kto to był?

– Nie, tylko że szaroburo odziany i miał ciemną kapuzę na głowie.

Von Hasse nawet tyle nie zdołał odróżnić, dla niego jedynie cień jakowys umykał między drzewami.

– Każę okolicę przeszukać, bo może ślad jaki pozostawił po sobie – zdecydował. – *Herr Gott*, komu coś takiego w ogóle przyszło do głowy?

– Jesteście pewni, że w księcia celował? – zapytał Zaborski, gdy przedzierali się z powrotem do traktu.

– Jeśli nie w niego, to we mnie. Wyraźnie poczułem, jak mi kula przeszła nad głową. A że nie przypominam sobie, bym zdążył kogo w tym kraju obrazić...

– Racja. I co teraz? Zamierzacie zawrócić do zamku?

– To oczywiste!

Zaborski zmilczał.

Wracali o wiele wolniej, tym razem uważnie patrząc pod nogi. Na rozkaz kapitana kirasjerzy przeczesywali tę połąć lasu. W końcu któryś oznajmił gromkim okrzykiem, że istotnie coś znaleziono.

– To leżało na ziemi. – Żołnierz na wyciągniętej dłoni trzymał charakterystycznie wygięty kawałek drewna okuty metalem. – Musiał nie domknąć i uciekając, zahaczył o drzewo.

Von Hasse zmarszczył brwi. On, rzecz jasna, również bez trudu rozpoznał ów przedmiot. Był to wierzch ładownicy, w której przechowywano gotowe patrony. Odkąd ich użyciem zastąpiono metodę osobnego ładowania kuli i prochu do lufy, rzecz się bardzo upowszechniła. Niemal każdy, kto posługiwał się bronią palną, miał coś podobnego przy pasie, przy czym konstrukcja pozostawała zasadniczo ta sama. Ot, krzywe drewniane pudełko, posiadające wewnątrz zagłębienia na jakiś tuzin nabojów, zamknięte klapką. Tę jednak zazwyczaj zaopatrywano w metalowe okucia oraz zdobiono. W tym przypadku herbem, który von Hasse w ciągu ostatnich dni często miał okazję widywać.

Skonsternowany, zerknął na Zaborskiego, który przez cały czas zaglądał mu przez ramię.

– Drahim – mruknął szlachcic przez zęby. Kapitanowi wydawało się, że jego ogorzała twarz nieco przybladła.

Odkrycie to mogło znaczyć wiele, lub nic zgoła, bo rozmaite części żołnierskiego rynsztunku bywały gubione lub nawet oddawane w zastaw, choć groziły za to surowe kary. Jednakowoż...

– Co myślicie? – spytał, siląc się na obojętny ton.

– Pewnie to, co i wy już zdążyliście sobie pomyśleć – odparł szlachcic ponuro. – Żeśmy nie złapali tego psubrata...

– Ano szkoda.

– Słuchajcie no, kapitanie. – Zaborski, mocno już teraz wzburzony, uchwycił go za ramię, po czym, zmitygowawszy się, odstąpił i odetchnął głęboko. – Słuchajcie – powtórzył o wiele spokojniej – rzekliście, że chcecie zawracać. Tego nie czyńcie.

– Dlaczego?

– Bo ktokolwiek to był, pewnikiem tego właśnie się po was spodziewa. Ponadto większość drogi już mamy za sobą i żadnym sposobem nie staniemy na zamku przed zmrokiem. Chcecie wraz z księciem nocować pod gołym niebem?

Rzeczywiście, wzięwszy pod uwagę, jak wyglądały tutejsze drogi, ryzykownie byłoby podróżować po nocy. A stanąć byle gdzie, w nieznanym sobie terenie, gdy w okolicy czają się zamachowcy? Trudno było nawet rozważyć taką ewentualność.

– Radzicie więc jechać dalej? – zapytał.

– Sam nie wiem, co wam doradzić. – Zaborski zmarszczył czoło w zamyśleniu. – Jeśli ktoś wiedział o grobli, to mogą już na nas czekać po drodze. Z drugiej strony ów zajazd w Kątach jest murowany. Można się z niego bronić, gdyby zaszła taka potrzeba.

Na tym w końcu stanęło. Książę, bardziej zdumiony niż wystraszony przygodą, nie oponował. Von Hasse na wszelki wypadek pchnął kilku ludzi w podjazd, reszta zaś miała wolno podążać za nimi.

– Patrzcie, tu trakt zakręca na północ. – Zaborski począł kreślić po blacie stołu palcem zmaczanym w winie. – Wystarczy skrótem przejechać przez błonia i już przed nami prosty gościniec. Przed wieczerzą staniemy na zamku.

Von Hasse kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Istny labirynt to jest, a nie kraina – sarknął.

– Tylko dla obcych.

– A owszem!

Zaborski łypnął na niego spod oka.

– Jeszcze cholera was trzęsie? – zapytał łagodnie.

Kapitan tylko odburknął coś pod nosem.

Do wsi Kąty dotarli bez przeszkód. Zajazd tutejszy istotnie okazał się przyzwoity, więc książę ulokował się w nim razem ze świtą, wojsko zaś na podwórku i w sadach. Von Hasse zajął się rozstawieniem wart, a gdy wrócił do środka, okazało się, że mimo wypadku w drodze plany na dzień jutrzejszy bynajmniej nie uległy zmianie. Próbował oponować, ale nie chciano go słuchać.

– Powinniśmy wracać najkrótszą drogą – rzekł, wciąż rozeźlony. – Ale ksiądz biskup obłąkaństwa jakiegoś dostał na punkcie owej kapliczki, co ją mamy odwiedzić! Powiada teraz, że święty Eustachius ma naszego księcia w jawnej opiece i dlatego podziękować mu trzeba. Jakby gdzie indziej nie było można!

Łyknął wina i zamilkł z tą myślą, że nie powinien wylewać żalów przed

mało znajomym człowiekiem. Najgorsze, że doskonale rozumiał, w czym rzecz, ale pojął to dopiero po fakcie. Wcale nie zdanie biskupa tu przeważało, a samego Karola Franciszka. Nie to, żeby arcyksiążę był jakoś szczególnie pobożny, lecz przez pół dnia nic innego nie słyszał, jak pochwały za swoją zimną krew i odwagę wobec przeżytego zamachu. Uwierzył chyba, więc postanowił dodatkowo ugruntować tę pochlebną opinię. Zdaniem kapitana był to przejaw najczystszej głupoty.

Zaborski być może myślał podobnie, ale nie skomentował jego wybuchu, tylko dopełnił ich kubki winem. Wyglądał przy tym, jakby ważył coś w sobie.

– O jednej rzeczy jeszcze powinniście wiedzieć – powiedział w końcu, ścisząc głos. – Posłałem przybocznego, by przyjrzał się onej grobli, którą podobno bobry porwały.

– I cóż?

– Lepiej niech sam zda sprawozdanie. Deegi!

Von Hasse drgnął, gdy sługa wysunął się z cienia. Do tej pory nawet nie zauważył, że jest w pobliżu.

Mężczyzna skłonił się, dotykając przy tym czoła i ust złączonymi palcami.

– Powiedźże panu kapitanowi, coś widział – rozkazał Zaborski.

– Tak, beju. Jamy widziałem, takie jakie zwierz ziemno-wodny kopie, ale ślady tylko człowieka. Ani łap, ani ogona, co go zwierz ciągnie za sobą...

– Co? – Von Hasse, w pierwszej chwili przede wszystkim zdumiony, że ów dzikus całkiem składnie przemawia w jego własnym języku, ocknął się szybko. – Powiadasz, że to nie bobry zniszczyły groblę?

Mężczyzna przytaknął.

– Ludzie, efendi. Ślady po sobie zatarli, ale w mule przy brzegu zostały. Czólnem porozgarniali trzciny, jeszcze nie wstały.

– Czyli niedawno. – Skonsternowany von Hasse pokręcił głową. – Pewien jesteś tego, co mówisz?

– Pewien, efendi. Ja za młodu suhaki tropił na stepie, a bywało, że i ludzi tak samo.

Zaborski odesłał sługę do stajni, po czym ścisząc głos, rzekł:

– Sami widzicie. To nie był przypadek. Ktoś chciał, byśmy okrężnym szlakiem jechali, gdzie zamachowiec mógł się łatwo zacząić.

– Jeśli ten wasz Tatar naprawdę zna się na rzeczy. Na miły Bóg, jakim

sposobem on się tak po niemiecku wyuczył?

– Kiedym jeździł z poselstwem w wasze kraje, zawsze go brałem ze sobą, więc siłą rzeczy i mowę tamtejszą poznawać musiał. I nie Tatar to jest, a Merkit, może być, że jeden z ostatnich.

– Czyli kto? – Kapitan ponownie się zdziwił, bo nigdy wcześniej nie słyszał tej nazwy.

– Plemię takowe jest w stepach na wschodzie. Lub raczej było, bo je dawno temu orda rozniosła, a kto przeżył, został siłą do ich wojska wcielony. Dajcie pokój Deegiemu, on tu nic nie ma do rzeczy.

– Prawda. – Kapitan, zafrasowany, potarł czoło. – Wróg jakiś dybie na życie księcia. Trudu sobie zadał niemało, by swoje osiągnąć. I kraj zna...

– Pomyśleliście – przerwał Zaborski – że to może sam starosta nasłał zabójcę.

Kapitan zmilczał, bo nie było sensu zaprzeczać.

– Zastanawiacie się więc, czy wobec tego nie lepiej w ogóle do zamku nie wracać, ale od razu ruszać ku zachodniej granicy.

Von Hasse zmieszał się na te słowa, bo istotnie myśl taka przyszła mu wcześniej do głowy.

– Czemu by nie? – odburknął, zły na zbytnią domyślność rozmówcy. – Tyle że księcia musiałbym chyba siłą wsadzić na konia, a po powrocie do domu najjaśniejszy pan pewnikiem kazałby mnie skrócić o głowę.

– Gdyby jego dziedzic tu zginął, też by pewnie nie okazał zachwyty.

Von Hasse uznał, że nie ma co tłumaczyć, że w takim przypadku prędzej przebiłby się własną szpadą, niżby jakiegokolwiek reakcji cesarza doczekał.

– W zdradziecki zamysł pana starosty nie wierzę – odparł, wzięwszy głęboki oddech. – Przecież jest zdrów na umyśle, dobrze wie, że w pierwszym rzędzie jego by obwiniono.

– A zaraz potem wszystkich Polaków z królem jegomością na czele – dodał Zaborski.

– Istotnie, zapewne tak by się stało.

– Lecz *cui prodest*?

– Ha! Wedle was, to by pewnikiem na korzyść księcia elektora wypadło. Co może i prawda, lecz trudno go obwiniać o zamach, gdy nie ma na to żadnego dowodu.

– Racja. Mało to wrogów na świecie? Choćby i Turczyn, który chętnie zasiałby ziarno niezgody pomiędzy chrześcijany. Z drugiej strony... macie

w ogóle pojęcie, jak doszło do tego wszystkiego?

– Niewielkie. – Von Hasse się skrzywił, nie próbując nawet ukryć niechęci, jaką w nim budziły wszelkie polityczne knowania.

– Słuchajcie więc. – Zaborski pochylił się w jego stronę. – Tu gra idzie o wyższą stawkę niżli kawałek ziemi i zamek. Rozumiecie chyba, że księżę elektor niczego bardziej nie pragnie jak złączenia swych posiadłości razem z Prusami w jedno królestwo, a gdyby tutejsze ziemie pozyskał, uczyniłby krok istotny ku temu celowi. To zaś w interesie Polski nie leży, wystarczy rzucić okiem na mapy, by pojąć dlaczego. Niemniej prawdą jest, że król nasz Brandenburczykowi był dłużny niemałą sumę stu dwudziestu tysięcy reńskich talarów. Zatem, gdy po szwedzkim najeździe skarbiec ostał się pusty i owych pieniędzy zwyczajnie nie było skąd wziąć, elektor zastaw na Drahimiu wymusił. A wiadomo przecie, że co raz oddane, łatwo odzyskać się nie da. Dlatego, zdaniem wielu, miłościwy pan w żadnym razie nie powinien był na to przystać. Po prawdzie – Zaborski westchnął – powiadają także, iż król jegomość naonczas zbyt już na zdrowiu podupadł, by należycie sprawami państwa kierować. Inaczej przecie nie oddałby także ani Lęborka, ani Bytowa, o reszcie Pomorza nie wspominając. I komu? – Zaborski aż zgrzytnął ze złości zębami. – Wasalowi własnemu, który już wcześniej go zdradził, ze Szwedem się układając.

– Zatem sądzicie, że pan Potocki słusznie uczynił z Drahimia nie ustępując? – zapytał von Hasse, wciąż nie do końca pojmując sens całego wywodu.

– I owszem. Także szczęśliwie się składa, że i król Michał przyznał mu rację. Dlatego, ledwie na tron wstąpił, zapożyczył się u italskich bankierów i należność całą Brandenburgii zapłacił. Na tym rzecz się powinna zakończyć, lecz, jak łatwo zgadniecie, księżę elektor mało był kontent.

– Bo woli waszą ziemię niżli pieniądze.

– Tak jest. Twierdzi, że pokrzywdzony został, nigdy nie otrzymawszy obiecanego zastawu.

– Pojmuję.

Von Hasse, świadom, że gdyby wysłuchać przeciwnej strony, przedstawione tu racje mogłyby wyglądać nieco inaczej, ścisnął palcami skronie.

– *Gott in Himmel!* Gdybym tylko wiedział, co mi teraz czynić wypada.

– To już wy sami musicie podjąć decyzję – odparł Zaborski. –

Jednakowoż...

– Cóż: jednakowoż?

– Chciałem tylko rzec, że ja prędzej zaufałbym honorowi Potockiego niżli Fryderyka Wilhelma.

A więc tak – rozmyślał von Hasse, późno w nocy obchodząc warty. – *Do tego się to wszystko sprowadza. Komu ufać, a kogo mieć w podejrzeniu?* Zaborski, jako Polak, musiał ciągnąć na swoją stronę, ale nie znaczyło to, że przemawiał bez racji. Wszak kapitan sam wcześniej doszedł do całkiem podobnych wniosków. Zatem należało czym prędzej zawracać na Drahim i oddać się pod opiekę pana starosty.

Mając to na uwadze, z samego rana kapitan znów próbował odwieść księcia od wcześniejszych zamysłów, lecz i tym razem niewiele wskórał. Tyle tylko, że Karol Franciszek, w gruncie rzeczy czerpiąc przyjemność z tej maskarady, zgodził się zamienić własne szaty podróżne na strój i ekwipunek zwykłego żołnierza. Dzięki temu Von Hasse, któremu podczas kiepsko przespanej nocy wciąż śnili się dybiący na życie księcia zabójcy, zyskał przynajmniej częściową ulgę dla nerwów.

Mimo to, bardziej ostrożny niż zwykle, opóźnił wyruszenie orszaku aż do chwili, gdy powróciły porosyłane bladym świtem podjazdy. Jako że nie odkryto w okolicy niczego podejrzanego, w końcu udali się w drogę i nim minęło południe, bez żadnych przeszkód dotarli na miejsce.

Kaplicę zbudowano na cyplu, który kształtem przypominając psią głowę, na jakieś półtorej staj malowniczo wcinał się w wody jeziora. Budynek, opatrzony tylko jedną szpiczastą wieżyczką, był drewniany, lecz wsparty na solidnej podmurówce z miejscowego kamienia. Ściany dawno szerniały z wiekiem, wszelako pokrycie dachu lśniło złociście świeżo kładzionym gontem. Drzwi także niedawno wymieniono, zaś prowadzącą do nich ścieżkę zagrabiono i wysypano żółciutkim piaskiem. Słowem na pierwszy rzut oka widać było, że miejsce to, choć znacznie oddalone od ludzkich siedzib, bynajmniej nie znajduje się w zaniedbaniu.

Wkrótce okazało się, że nie jest też tak całkiem bezлюдne, gdyż za kaplicą, niewidoczna od drogi, znajdowała się niewielka chałupka, w której przemieszkiwał stróż i kościelny zarazem. Człęk ten wyszedł im na powitanie, najwyraźniej uprzedzony o przybyciu dostojnych gości, bo od razu porządnie odziany w czystą sukmanę. Mimo to wizyta musiała uczynić

na nim potężne wrażenie; kłaniał się raz po raz, mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem i prawie nie śmiąc oczu od ziemi oderwać. W końcu, ujrawszy biskupa, padł na kolana i uporczywie tkwił w tej pozycji, dopóki jego ekscelencja nie raczył krzyża nad jego głową nakreślić. Potem dopiero opamiętał się nieco i pospieszył kaplicę odmykać.

Zaborski udał się za nim i powrócił z wiadomością, że proboszcz spod pobliskiego Połczyna już jedzie, na wypadek gdyby jego wysokość zapragnął mszy w kaplicy wysłuchać. Na razie zaś mogli w spokoju oglądać wnętrze.

Proste ono było i mało ozdobne, wyjąwszy sam ołtarz, który lubo, jak i cała reszta, drewniany i niezbyt imponujący rozmiarem, musiał jednak być dziełem biegłego mistrza sztuki snycerskiej. Ufundował go ponoć jeszcze poprzednik pana Potockiego na urządzie drahimskiego starosty. Przedstawienia były w nim trzy: pośrodku Bogurodzicy, niesionej przez aniołów do nieba, w prawym skrzydle świętego Wojciecha, w lewym zaś męża odzianego w biało-czarny habit cystersów z sakwą i kijem podróznym w rękę, w którym można się było domyślić świętego Eustachiusa. Wokół na ścianach porozwieszano wota, wśród których największe wrażenie czynił bogato zdobiony tatarski buńczuk.

Nic więcej do oglądania nie było, więc książe szybko się znudził i wyszedł na zewnątrz. Pozostali rzecz jasna musieli podążyć za nim, czego chyba nawet ksiądz biskup nie bardzo żałował. Von Hasse również doznał uczucia pewnego zawodu, choć sam nie wiedział, czego się wcześniej po tym miejscu spodziewał. Później zaś ogarnął wzrokiem cypel, jezioro i lasy wokół, próbując sobie wyobrazić, jak to wszystko musiało wyglądać zimą. A zwłaszcza tej zimy, ponad trzysta lat temu, gdy przybyły tu z Niemiec brat zakonny zamieszkał w chacie rybaka. O czym ci dwaj mówili ze sobą w ciągnące się bez końca dni i wieczory, gdy za ścianami lichej chałupy hulały zamiecie? A może wcale nie rozmawiali, nie znając nawzajem swojego języka?

Rozmyślenia przerwał mu turkot furmanki z niejakim trudem toczącej się wąską dróżką od podstawy półwyspu. Przepuszczono ją, gdy wartownicy ujrzeli kapłana tulącego do piersi owiniętą w ręcznik kustodię.

Duchowny, mocno posunięty już w latach, ledwie zsiadł z wozu, zaczął się gęsto tłumaczyć. Podszedł Zaborski i wsłuchawszy go, powiedział:

– Ksiądz uprasza wybaczenia, że tu na jego wysokość nie czekał. Wezwano go nagle, by ostatniego namaszczenia udzielił, co musiał przed

innymi obowiązkami postawić.

– Nic nie szkodzi, księżę proboszczu – odparł życzliwie von Hasse, po czym ruszył do księcia.

Okazało się, że owszem, Karol Franciszek mszy chętnie wysłucha, zapewne woląc to niżli, nieuchronne w przeciwnym wypadku, kazanie, jakim biskup byłby go uraczył.

Jego ekscelencja tymczasem sam pospieszył rozmówić się z księdzem, potem rzekłszy kilka słów przez tłumacza, wręczył mu nieduże, obite skórą puzderko. Kapłan zmieszał się na to i pobladł wyraźnie, lecz podarunek mocno oburącz uchwycił i czym prędzej zniknął w zakrystii.

Von Hasse, nie zdążywszy usłyszeć, o czym tam była mowa, zbliżył się do biskupa, ten zaś, nie czekając, aż kapitan go o cokolwiek zapyta, rzekł:

– Hostie to były, konsekrowane jeszcze w cesarskiej kaplicy, które często mam ze sobą na wszelki wypadek. Przykazałem księdzu surowo, by tych jedynie podczas komunii używał.

Von Hasse zdziwił się nieco.

– Wasza ekscelencja miał ważny powód? – zapytał ostrożnie.

– Tylko myśl brzydką, nie powód – odparł biskup z głębokim westchnieniem. – Przypomniało mi się, że niejaki Cesare Borgia, wiecie, ten, który był nieślubnym synem papieża Aleksandra, a ojciec mianował go kardynałem... Tenże ponoć kiedyś rozkazał... – Biskup przerwał, jakby dalsze słowa za nic nie chciały mu przejść przez usta.

Kapitan powoli zaczął rozumieć, w czym rzecz.

– Ów ksiądz nie wygląda mi na złoczyńcę, ale też pewnie własnych hostii nie trzyma pod kluczem – zauważył.

– Otóż to, otóż to. – Biskup westchnął z ulgą, wyraźnie ciesząc się, że nie musi sprawy jaśniej wyklądać. – Miejcie to na uwadze.

– Tak jest.

Von Hasse ze zmarszczonymi brwiami popatrzył za odchodzącym biskupem. Po chwili zaś zauważył, że Zaborski również mu się przygląda.

– Słyszeliście? – zapytał, choć był niemal pewien, że szlachcic nie uronił ani słowa z pospiesznie odbytej rozmowy.

Zaborski wzruszył ramionami.

– I owszem. Przyznaję również, że choć i ja wiedziałem o trucicielskich zapędach owych italskich władcyków, podobny koncept nigdy by mi nie przyszedł do głowy. Cóż, od tej pory będzie inaczej.

Słyszając te słowa, von Hasse doznał przykrego uczucia, które musiało odbić się na jego obliczu, gdyż Zaborski uśmiechnął się kwaśno.

– Nie, żebym chciał naśladować. W końcu są pewne granice tego, co człek winien uczynić nawet dla swego króla i miłej ojczyzny.

– Zgadzam się z wami.

Więcej rozmawiać nie było im dane, gdyż w tym właśnie momencie z wnętrza kaplicy dobiegło dzwonienie będące sygnałem, że msza się wkrótce rozpocznie.

Ze względu na rozmiary przybytku większa część orszaku pozostała na zewnątrz, mogąc zarazem przez otwarte drzwi odprawiania ofiary wysłuchać. Księżę, mając u boku biskupa, zasiadł na miejscu poczesnym, von Hasse zaś, jak zwykle, stanął za jego plecami. Z nawyku jął rozglądać się pilnie, czy nie dostrzeże jakiego niebezpieczeństwa, lecz wkrótce dotarło doń, że wokół nie ma nikogo poza jego własnymi zaufanymi ludźmi, bo nawet polski porucznik dragonów, a także Zaborski pozostali na zewnątrz, uprzejmie ustępując miejsca przybyszom.

Był to jeszcze jeden przejaw osławionej gościnności tego narodu, która kazała obcych traktować serdecznie, nieraz aż do przesady. Czy jednak było to szczere, czy tylko na pokaz? Tego na razie von Hasse nie umiał rozstrzygnąć, powątpiewając zarazem, czy podobne rozważania mają chociaż cień sensu, bo przecież ów wczorajszy, szczęśliwie niedoszły, zabójca nie kierował się raczej osobistą urazą.

Tylko czym? – zadał sobie w myśli pytanie. Chęcią zysku, bo sownie mu zapłacono? Albo po prostu wykonywał wydane przez kogoś innego rozkazy. A jeśli to ostatnie, kto rozkazy te wydał? Rzeczywiście brandenburski elektor, jak sądził Zaborski? A w którą stronę kierował swe podejrzenia ksiądz biskup? Dobrze byłoby się tego dowiedzieć. Von Hasse pożałował, że od razu wprost go o to nie spytał. Nic straconego, będzie miał jeszcze po temu okazję. Ale co zyska w ten sposób? Miast gubić się w jałowych domysłach, powinien czym prędzej odwieźć księcia na zamek. Potem niechże już pan Potocki sam śledzi spiski, które dzieją się tuż pod jego nosem.

Zajęty własnymi myślami kapitan niewielką uwagę zwracał na treść celebracji, za to nim msza się skończyła, miał już ułożoną w głowie powrotną marszrutę. W chwilę później okazało się jednak, że plan szybkiego powrotu spełźnie na niczym.

Przekroczywszy drzwi kaplicy, von Hasse stanął jak wryty, bo w krótkim

czasie otaczający ją teren zmienił się nie do poznania. Wszędzie kręcili się ludzie. Wkoło porozstawiano drewniane stoły, zdobiąc je w kolorowe kilimy i płótna powyciągane ze skrzyń tutejszych gospodyń, na nich zaś piętrzyło się jadło, a także liczne flaszki i dzbany. Kobiety kończyły właśnie przybierać kwiatami przedziwną jakąś konstrukcję ze wspartej na kołkach rybackiej sieci, która miała ocieniać miejsca przeznaczone dla najbardziej szacownych gości. Obok kilku grajków już wycinało skoczną melodię na gęśliki, piszczałkę i dudy. Wszystko to razem czyniło wrażenie połączonych w jedno odpustu i wiejskiego wesela. Von Hasse zbaraniał nieco, widząc dwóch chłopów toczących po murawie sporych rozmiarów beczułkę. Ksiądz, któremu podczas odprawiania mszy ze zdenerwowania trzęsły się ręce, teraz z wyraźną dumą obserwował starania swoich parafian. Oczywiście tradycja nakazywała powitać gości „chlebem i solą”.

Nie było rady, jak wziąć na cierpliwość. Von Hasse, pomodliwszy się do świętego Eustachiusza w tej właśnie intencji, ruszył między żołnierzy, by wydać im stosowne do nowych okoliczności rozkazy. Nie omieszkał zarazem przypomnieć o karach, jakie groziły za pijaństwo na służbie. Potem wrócił do boku księcia.

Wyglądało na to, że Karol Franciszek z przyjemnością zażywa niespodziewanej ludowej rozrywki, od samego początku obficie racząc się miodem i oglądając za dziewczuchami, które służyły u stołów.

– Kapitanie. – Biskup Wurcel przechylił się ku niemu przez oparcie ławy. Ścisząc głos, spytał: – Czy to aby bezpieczne, bo przecież...?

– Tak, ekscelencjo, chyba że ktoś chciałby wytruć połowę wsi z księdzem proboszczem na czele – odparł również szeptem von Hasse. – Nie o to się martwię.

– A o cóż? – Biskup, do którego ktoś właśnie przepijał, gwałtownie zamachał rękoma. – Rzekniecie mi później. Ale, słuchajcie, mój brewiarz...

Kapitan przypomniał sobie, że widział, jak biskup odkłada cenną książeczkę, z którą rzadko się był rozstawiał, na oparcie klęcznika.

– Znajdę – rzekł i wycofał się z towarzystwa.

Rzecz jasna mógł kogokolwiek posłać po zgubę, ale niewiele mając poza tym do roboty, postanowił pójść sam.

W środku zastał jedynie odzwiernego zajętego pakowaniem sprzętów kościelnych do skrzyni. Na widok kapitana mężczyzna przerwał swoje zajęcie i skłonił mu się głęboko. Von Hasse, odnalazłszy brewiarz tam, gdzie

się spodziewał, zawrócił do wyjścia, lecz wówczas jego spojrzenie padło na fragment ściany przy drzwiach ozdobiony malowidłem, którego wcześniej nie dostrzegł. Podeszedłszy bliżej, poznał, że musi być ono stare, gdyż farba gdzieś tam spękała, a deska pod spodem wyschła i wypaczyła się, jednakże sam rysunek, dzięki swojej prostocie, nadal pozostawał czytelny. Ujęty w ramy tarczy herbowej, przedstawiał on dwie postaci podążające jedna za drugą. W pierwszej, odzianej w mnisi habit z kapturem i dzierżącej krzyż w wyciągniętych dłoniach, łatwo można się było domyślić świętego, na którego cześć wystawiono kaplicę. Kim jednak był rycerz postępujący w ślad za nim?

Kościelny, widząc jego zaciekawienie, przysunął się bliżej i gdy kapitan zwrócił się ku niemu, zasypał go potokiem zupełnie niezrozumiałej wymowy. Von Hasse pokręcił głową i wyszedł z kaplicy.

Na zewnątrz ucztowano w najlepsze. Rzuciwszy dokoła okiem, von Hasse upewnił się, że jego ludzie mimo wszystko trzymają ordynek, czego niestety nie dało się powiedzieć o części polskich żołnierzy. Przy głównym stole ksiądz biskup także podejrzanie kiwał się nad swoim kielichem, natomiast ksiądz...

Nie bacząc na obecność duchownych, Karol Franciszek ściągnął na swoje kolana rozchichotaną dziewczynę i teraz szukał w jej dekolcie tego, czego tam z pewnością nie zgubił. Zniesmaczony von Hasse obejrzał się za siebie. Wobec rozgwaru i zamieszania panujących na błoni w dziwny sposób przyciągało go to miejsce pogrążone w cieniu i ciche.

Ano pewnikiem starość nie radość – rzekł sobie w duchu, choć mając lat trzydzieści cztery, wcale jeszcze nie czuł się staro. Potem coś przyszło mu do głowy i skinął na przechodzącego obok żołnierza.

Tłumacz oddziału zjawił się rozchełstany i w poplamionym sosem kaftanie, ale na szczęście trzeźwy. Za jego pośrednictwem von Hasse mógł wreszcie spytać kościelnego o obraz, który wcześniej przykuł jego uwagę.

– To *Wędrowiec*, panie – odparł ten, wyraźnie zadowolony, że znalazł słuchacza. – Znaczący klejnot takowy, co go ród jeden tutejszy od króla Władysława otrzymał.

– Czemuż wymalowano go tutaj? – zdziwił się von Hasse.

– No jakże? – Mężczyzna wyraźnie się zdumiał. – Wszak nie gdzie indziej się cała historia zaczyna. Wielmożny pan mają życzenie usłyszeć? Zaraz opowiem.

Von Hasse, siadłszy na jednej z kościelnych ław, skinął przyzwalająco ręką i kościelny jął mówić dalej:

– Tu u dobrych ludzi przezimowawszy, święty Eustachy postanowienia swego nie zmienił, by do Łądu wyruszyć, gdzie król jemu klasztor założyć nakazał. Za nic sobie miał niebezpieczeństwa podróży, choć trzeba wam wiedzieć, panie, że kraj ten nie był jak dziś, jeno prawie całkiem bezludny. A jeśli już nie sam zwierz dziki się tamtędy pałętał, to człek, jakiego byście woleli nigdy na swej drodze nie spotkać. Dlatego szaleństwem mogło się zdawać, by mąż jeden i to niezbrojny na taką wędrówkę się ważył. Lecz on miał Boga ze sobą i poszedł. Ale niedługo był sam. Znalazł się w okolicy dobry chrześcijanin, który usłyszawszy, co nasz święty przedsięwziął, sprawy swoje, dom oraz rodzinę zostawił i udał się za nim. Takoz do końca za towarzysza mu był, wspomagając i broniąc po drodze. Raz go z topieli wyciągnął, a sam przy tym mało nie poszedł na dno. Przy innej okazji przedzeń się rzucił, gdy tur rozszalały już miał świętego nadziać na rogi i wnet zwierza toporem powalił. Potem zaś jeszcze od napaści zbójców bezbożnych ocalił.

– Ho, ho, musiał być z niego chłop na schwał, nie tylko prawy chrześcijanin – zauważył von Hasse.

– Tak, panie – zgodził się skwapliwie kościelny. – Ale przecież nic by nie zdziałał bez boskiej pomocy.

– Zapewne. I cóż się stało z tym wojem? Powrócił szczęśliwie do domu?

– A jakże, panie, powrócił... – opowiadający znacząco zawiesił głos.

Von Hasse zaśmiał się i wysupłał z sakiewki srebrnego dukata.

– Naści, mów dalej.

– Bóg zapłać, wielmożny panie. Ano gdy wieść się o tych przygodach rozeszła, król go herbem, który tu widzicie na ścianie, i ziemiami nagroził. Dziś już potomkowie owego człeka w tej okolicy nie żyją, lecz ponoć...

Z tyłu nagle ktoś klasnął w ręce, na co kościelny przerwał w pół słowa, von Hasse zaś, zaskoczony, odruchowo sięgnął ku rękojeści rapiera. Był to jednak tylko Zaborski, który nadszedł tak cicho, jakby praktykował tę umiejętność u swojego dzikusia. Teraz, wsparty ramieniem o framugę przy wejściu, w zamyśleniu podkręcał węża.

Von Hasse skinął mu głową.

– Całkiem zajmująca opowieść, nieprawdaz? – zagaił. – Ale wyście pewnikiem już ją słyszeli?

– I kilka podobnych. – Zaborski zaśmiał się cicho. – Tu każdy chętnie baje o świętym Eustachym, nieraz co mu ślina na język przyniesie.

– A więc to wszystko nieprawda? – Von Hasse poczuł się nieco rozczarowany.

– Któż to może wiedzieć po tylu latach? – Szlachcic wzruszył ramionami, po czym rzekł całkiem już innym tonem: – Kapitanie, lepiej każcie swoim rozpinać płótna, bo zdaje się, że jego wysokość dziś już nigdzie dalej nie ruszy.

Kapitan, zerknąwszy przez drzwi, musiał przyznać mu rację. Zaklął szpetnie, po czym uświadomiwszy sobie, gdzie się znajduje, szybko Pana Boga w myśli przeprosił.

– Jak mus, to mus – rzekł z ciężkim westchnieniem.

Jedyną pociechę stanowił fakt, że nawet gdyby specjalnie szukał, trudno byłoby mu znaleźć lepiej chronione miejsce na obóz. Cypel, na którym wzniesiono kaplicę, z trzech stron otoczony był wodą, a z lądem złączony tak wąsko, że upilnować tego przejścia byłoby łatwo nawet z o wiele mniejszymi siłami niż te, które miał do dyspozycji. Inna rzecz, co się zdarzy, gdy jutro będą musieli ową naturalną fortecę opuścić.

Von Hasse porozysłał więc ludzi, którzy zapadłszy w przydrożnych chaszczach, przez noc całą mieli obserwować gościniec, a w razie jakiego niebezpieczeństwa dać ogniem umówione sygnały. Uczyniwszy to, uspokoił się trochę, lecz zaraz znalazł nowe zmartwienie. Całe to coraz bardziej rozochoczone chłopstwo w żadnym razie nie mogło zostać na noc w obozie, jeśli chciało się w nim choć pozór wojskowej dyscypliny utrzymać. Zarazem niepolitycznie byłoby usuwać ich siłą.

Rozwiązanie tej kwestii szczęśliwie wziął na siebie Zaborski, obiecując pomówić z proboszczem, który powinien wszak mieć jakiś wpływ na parafian. Zmitrężył na tym niemało czasu, gdyż najpierw musiał go szukać, a znalazłszy, dobudzić. Szczęściem jednak jego wysiłki odniosły skutek i przed końcem dnia dało się już zaprowadzić jaki taki porządek.

Księżcia ulokowano w postawionym dla niego namiocie, nim zdążył na dobre usnąć przy stole. Biskup odprawiał wieczorne modły w kaplicy. Warty wystawiono, a pozostali żołnierze, z umiarem zażywszy trunków, lecz za to tęgo obzarci, spoczęli przy rozpalonych ogniskach. Czeladź trochę niemrawo krzątała się wokół koni i ekwipunku.

Von Hasse obszedł posterunki, po czym sam też siadł przy ogniu

i wreszcie napił się wina. Wkrótce dołączył do niego Zaborski.

– Zapowiedzcie ludziom, by się po ciemku z dala od zachodniego krańca trzymali – rzekł, przyjmując podany mu kubek. – Ziemia tam niepewna i łatwo do wody można się zsunąć.

Von Hasse pokiwał głową.

– Prawda, już tutaj byliście.

Gdy dzień miał się ku końcowi, znad jeziora poczęły wznosić się mgły, zacierając powoli kontury brzegów. Zarazem cicho zrobiło się niepomiernie, bo nawet wiatr ustał. Ścichły też toczony wokół rozmowy.

– Dziwnie tu jakoś – zauważył von Hasse. – Spokojnie, lecz jednak... – Machnął ręką, nie bardzo umiejąc się właściwie wysłowić.

– Aha, poczuliście. – Zaborski błysnął spod kołpaka oczyma.

– Co takiego?

– To uroczysko. Miejsce, gdzie nasi przodkowie od prawieków sprawowali swoje obrzędy.

– Pogańskie? – Von Hasse się wzdrygnął.

– A jakże. W owych czasach zwali się oni Drzewianie.

– Bo do drzew się modlili? – Kapitan coś sobie przypomniał, o podobne praktyki pomawiano protoplastów dzisiejszej nacji angielskiej.

– Tego nie wiem – odparł Zaborski. – Do kamieni z pewnością, w które dusze ich przodków, a może bogów były zaklęte. Chcecie zobaczyć?

– Co takiego?

– Owe kamienie.

Von Hasse przeżegnał się szybko. Zdjął go strach, ale i ogromna ciekawość.

Po chwili, idąc za Zaborskim, już czynił sobie z jej powodu wyrzuty. Bo jakże to, żeby prawy chrześcijanin miał podobne rzeczy oglądać? Lecz z drugiej strony podobno sam Ojciec Święty miał w swoim pałacu posągi rzymskich i greckich bogów, trzymane dla ich wielkiej urody, i nikt w tym nic nagannego nie widział.

Zeszli niemal nad samą wodę i wówczas ujrzał dwa szeregi potężnych głazów, z których ostatnie niknęły pod taflą jeziora. W ich doborze i rozstawieniu od razu dało się zauważyć regularność, świadczącą o tym, że nie umieściła ich tu sama natura. Wobec gęstniejącego mroku trudno było dostrzec jakiegokolwiek szczegóły, lecz von Hasse odniósł wrażenie, że na powierzchni niektórych znajdują się dziwaczne, na poły zatarte ryty.

Zaintrygowany schylił się nad najbliższym z kamieni, powiódł palcami po liniach, które układały się w mało wyraźny kształt dwurożnego księżycy. Dalej było coś jeszcze, jakby zarys końskiej głowy, lecz jego większość ginęła pod gęstą brodą porostu, który bujnie się tutaj rozplecił. Von Hasse, niewiele myśląc, dobył sztyletu, by przy jego pomocy odsłonić resztę rysunku. Ledwie jednak ostrze dotknęło kamienia, nad jego głową rozległ się krzyk, który zmroził mu krew w żyłach, a broń sama wysunęła się z ręki.

– Dobry Boże – jęknął, w następnej sekundzie uświadomiwszy sobie błahą przyczynę swego przestachu. – Lelek kozodój przeleciał nad nami, a ja już myślałem, że to diabli idą po moją duszę. – Spróbował się zaśmiać.

– Cicho – syknął Zaborski, wskazując coś ruchem głowy.

Von Hasse spojrział i umilkł. Nie żaden nocny ptak, ale coś zupełnie innego szybowało nad wodami jeziora. A właściwie szło po nich, utkane z tumanu mgły, który z każdym krokiem coraz wyraźniej przybierał kształt na poły zwierzęcy, na poły zaś ludzki. Von Hasse poczuł, jak z przerażenia włosy mu wstają na głowie.

Zaborski natomiast, poblądłszy znacznie, nie sprawiał jednak wrażenia, jakby miał chęć rzucić się do natychmiastowej ucieczki. Zamiast tego wyciągnął zza pazuchy różaniec i pospiesznie ucałował krzyżyk, wcisnął kapitanowi w rękę.

– *Ave Maria, gratia plena...*

Von Hasse, z trudem przemógłszy ściśnięte gardło, przyłączył się do modlitwy i gdy padło ostatnie *amen*, znów jedynie bezkształtne strzępy mgły snuły się nad spokojnymi wodami jeziora.

Do obozu wracali milcząc i dopiero gdy już obaj zasiedli bezpiecznie wśród ludzi, przy jasno płonącym ognisku, von Hasse zapytał:

– Cóż to było, na miłość boską? Sam Belzebub raczył się zjawić?

– Nie, to tylko takie... Wybaczcie, nie myślałem, że dziś się akurat obudzą. – Zaborski zawahał się. – Do tej pory nie słyszałem, żeby krzywdę komuś próbowały wyrządzić, ale może być, że nie lubią dotyku żelaza.

– Kto: one? – Von Hasse wytrzeszczył oczy. – I jakże złe moce mogą się w tak świętym miejscu utrzymać?

– Ksiądz proboszcz z sakramentem już do siebie pojechał – zauważył Zaborski, skubiąc wąs w zamyśleniu. – A złe one nie są, jeno stare nad wszelkie wyobrażenie. Niektórzy na nie mówią „bożęta”. Ponoć gdy święty Eustachy pierwszy raz przybył w te strony, też je napotkał.

– Co wy prawicie? Kraj przecież od dawna chrześcijański!

– I takiz był wtedy. Ale tutejsi ludzie dalej owym bożętom znosili obiaty. Tu, do tych kamieni, i jeszcze gdzie indziej. Podobno święty ich za to nie gromił ani też starych duchów nie próbował egzorcyzmami przepędzać. Jedynie z wielką dobrocią Słowo Boże cierpliwie ogłaszał i w końcu sprawił, że ludzie się nawrócili zupełnie, a one... Cóż, powiadają, że one po prostu zasnęły.

– Dziwne to wszystko – westchnął von Hasse, uspokoiwszy się nieco.

– Ano, racja, że dziwne – zgodził się bez oporu Zaborski.

Nazajutrz wczesnym popołudniem stanęli na zamku.

Pan Stanisław „Rewera” Potocki lata, w których osobiście prowadził orężne hufce do boju, miał już dawno za sobą, lecz upływający czas nie pozbawił go bynajmniej energii. Von Hasse mógł się teraz o tym osobiście przekonać. Nie minęła godzina, jak dziedziniec zaroił się wojskiem, wkrótce też pierwsze podjazdy jęły wyjeżdżać za bramę.

Powiedzieć, że usłyszawszy o próbie zamachu, pan na Drahimiu wpadł w gniew, znaczyłoby poważnie nie dopowiedzieć kwestii. W istocie przyjął ją jako potężny despekt wyrządzony nie tylko sobie, ale całemu Królestwu Polskiemu. Nakazał więc wielką obławę w nadziei, że nawet jeśli sam zabójca już opuścił te strony, to znajdzie się przynajmniej jakiś ślad po nim, który pozwoli jego pochodzenie odgadnąć. Porozsyłał też gońców do wójtów i wioskowej starszyny z poleceniem, by donoszono niezwłocznie o wszelkich obcych, których widziano by w okolicy.

Von Hasse nie umiał zgadnąć, jaki działania te przyniosą skutek, ale lżej odetchnął, widząc, że nie pomylił się co do intencji pana starosty. Później, odebrawszy wezwanie, by stawił się przed jego obliczem, pospieszył chętnie, domyślając się, o czym może być mowa.

Pan Potocki przyjął go we własnych komnatach, urządzonych na wschodnią modłę i to z niemałym przepychem. Kapitan był pod wrażeniem, zwłaszcza gdy przyszło mu na myśl, że większość dostatków, jakie ogląda, to łupy wojenne własną ręką gospodarza zdobyte. Skłonił się dwornie i czekał, aż ten pierwszy raczy do niego przemówić. Jednak pan starosta wyraźnie nie był w nastroju do wzajemnych grzeczności.

– Pokażcie mi, coście tam w lesie znaleźli – zażądał, ledwie skinąwszy głową na powitanie.

Von Hasse, spodziewając się takiego życzenia, przyniósł był oderwany wierzch ładownicy i teraz bez oporu w ręce gospodarza złożył.

Pan Potocki, obróciwszy go w palcach, obejrzał dokładnie, po czym zwrócił i rzekł, nie kryjąc gniewu:

– Nie ma co przeczyć, że nasze. Takież nosi mój własny regiment.

– Wasza dostojność – zaczął trochę niepewnie von Hasse – żołnierski ekwipunek czasem się gubi...

– I tam znajduje, gdzie się próbowano mordu dopuścić? – warknął starosta. – Wy mi tu miodu w uszy nie kładźcie, bo najprawdziwsza prawda jest gorzka: pod własnym dachem zdracę *nescientis* hoduję!

Von Hasse nie bardzo wiedział, co na to rzec, więc tylko zgromił wzrokiem tłumacza, który przy ostatnich słowach pana starosty zaczął się jąkać ze strachu.

Tymczasem pan Połowski, również obecny w komnacie, mocno poruszony owym stwierdzeniem, wykrzyknął z emfazą:

– Niepodobna! Wszyscyśmy tutaj wierne sługi i zaufani waszej miłości.

Pan Potocki niecierpliwie machnął nań ręką.

– Zgniłe jabłko zawsze może się trafić.

Szlachcic gotów był oponować, lecz pan starosta nie dał mu przyjść do słowa. Zaraz też z komnaty go odesłał, wspomniawszy jakieś trzy beczki węgryzna, które należało wytoczyć na ucztę.

Wychodząc, Połowski obrzucił kapitana nieprzyjaznym spojrzeniem, zupełnie jakby to jemu przypisywał winę za rozzłoszczenie swojego pana.

– Tak więc, panie von Hasse – zagaił starosta, gdy pozostali, można rzec, sami, bo niemiecki tłumacz nie liczył się tu za osobną personę – nie sądźcie, że lekce sobie ważę okoliczności. Przykazałem już, by wszelkie jadło i napoje przeznaczone dla jego wysokości wpierw próbowano, bo nie wiadomo, do czego wróg się jeszcze posunie.

Von Hasse skinął głową. Jak widać ich myśli biegły zbliżonym torem. Pan Potocki zaś dodał, groźnie marszcząc krzaczaste brwi:

– Brandenburskie psy nie od dziś węszą wokół Drahimia, żadna to dla mnie nowina. Ale żeby któryś zdołał przepęłznąć do środka... Nie bójcie się, prędzej czy później go znajdę i końmi każę na dziedzińcu rozwłóczyć. Lecz do tej pory pilnie baczą na księcia.

– Tak jest, wasza dostojność.

Von Hasse uznał, że choć pan na Drahimiu nie musi mu przypominać

o obowiązku, to dobrze mieć go po swojej stronie.

Reszta dnia, jako i dzień następny upłynęły we względnym spokoju, przerwany jedynie krótkotrwałym zamieszaniem spowodowanym przyjazdem pani Brześniewskiej, wojewodziny kaliskiej, z wcale licznym orszakiem.

Widząc na dziedzińcu karocę ozdobioną złoconym herbem oraz służących w liberiach, von Hasse nabrał przekonania, że musi to być jakaś znaczna persona, i nawet zdziwił się, iż nikt wcześniej o planowanej wizycie nie wspomniał. Powiedziano mu jednak, że dama ta jest ulubioną chrześnicą pana starosty, która zwyczajnie wybrała się doń z powinszowaniem imienin. I cóż szkodzi, że prawie miesiąc przed czasem? Nic zgoła, co skwapliwie przyznaliby wszyscy, którzy ujrzeli panią Brześniewską na wieczornym bankiecie.

Von Hasse razem z innymi ledwie mógł oczy oderwać, tak nadobna to była niewiasta. Młodziutka jeszcze i żwawa niczym jelonek, umiała zarazem znaleźć się w towarzystwie, ani zbyt śmiała, ani rażąca przesadną skromnością. Widać przy tym było, że z panem Potockim w wielkiej jest konfidencji, ten zaś traktował ją niemal jak swoją rodzoną córkę.

Karol Franciszek, rzecz jasna, od pierwszej chwili pożerał ją wzrokiem.

Von Hasse dziwił się nieco, że małżonek tej pani zezwala jej na samotne podróże, na co Zaborski odparł ze śmiechem:

– Talary przeciw żołędziom, że dawno owinęła go sobie wokół palca. A wy żonaci jesteście? Nie? To jeszcze kiedyś sami się przekonacie, jak łatwo czegokolwiek białogłowie zabronić.

Widząc, jak wszyscy wokoło nadskakują pięknej wojewodzynie, von Hasse gotów był przyznać mu rację. Niejeden w dodatku popadał w zgoła komiczne zmieszanie, gdy pani raczyła obdarzyć go chwilową uwagą. Jak choćby pan Połowski, mężczyzna nie pierwszej wszak młodości, który napełniając jej puchar winem, znaczną część trunku obok uronił. Pani na szczęście usunęła się w porę, by suknię przed zalaniem uchronić, i nawet nie pogniewała się bardzo, żartem jego niezręczność zbywając. Von Hasse zauważył z niejakim przekąsem:

– Nie wiem, jakiego się pan starosta pożytku spodziewał, mianując tego szlachcica swoim podczaszym. Czego sam nie wypije, to porozlewa.

– Pewnikiem chciał mu dać jakieś lekkie zajęcie – odrzekł na to Zaborski

z miną jak na niego niezwykle poważną. – Wcześniej nic nie wiedziałem, ale teraz wstyd mi tych żartów, którem sobie jego kosztem stroił z pustoty.

– Czegoście nie wiedzieli?

– Sabiński, działomistrz tutejszy, wczoraj przy kartach mi opowiedział. Pan Sędziwój podczas szwedzkiego potopu całą rodzinę utracił, wyjąwszy córeczkę najmłodszą. Tę zaś do sióstr urszulanek na wychowanie odesłał, by dziecka własnym smutkiem nieustającym nie dręczyć. Tedy, jeśli nawet pije, to tylko, żeby ból w sercu zagłuszyć.

– Przetoczyło się przez te ziemie – rzekł w zamyśleniu von Hasse. – Ale da Bóg, że na razie będzie z tym koniec.

– Amen.

Bankiet trwał do późna, lecz tym razem von Hasse wstał niemal trzeźwy od stołu. Podpatrując sąsiada, nauczył się, jak przepijać do innych z prawie pustego kielicha, dzięki czemu z jednej strony można było uniknąć obrazy, z drugiej zaś – bólu głowy nazajutrz. Także Karol Franciszek, mając dodatkowy powód, by pokazać się z jak najlepszej strony, również zachował przykładowy umiar tak w picciu, jak i w umizgach. Słowem, wieczór okazał się całkiem udany.

Von Hasse, odprowadziwszy księcia pod drzwi jego komnaty, wracał do siebie w wyjątkowo dobrym nastroju. Co go cieszyło najbardziej, to fakt, że pan radca von Irrgang wreszcie wychynął z archiwów. Skoro zaś jego żądza wiedzy uległa zaspokojeniu, rosły nadzieje na to, że wkrótce można będzie ruszać w powrotną drogę. Wprawdzie von Hasse musiał przyznać przed sobą, że zarówno ta kraina, jak i zamieszkujący ją ludzie w pewien sposób stali mu się bliskimi, lecz wiedział, że nie prędzej odetchnie swobodnie, nim ujrzy księcia bezpiecznie przekraczającego bramę wiedeńskiego pałacu. Dlatego też, mając nadzieję na rychłe owego życzenia spełnienie, po raz pierwszy od dawna usnął spokojnie.

Jednakże długi odpoczynek nie był mu dany. Zbudził się nagle, po omacku szukając korda, w pierwszej chwili nie do końca świadom, gdzie się znajduje.

Aha, Drahim, izba przy kordegardzie – rzekł sobie, oprzytomniawszy nieco. – Ktoś się dobija do drzwi, a teraz pokojowiec się z nim wyklóca. Cóż u licha się dzieje?

Tak czy owak, nie wróżyło to niczego dobrego, więc korzystając z nikłej

poświaty wpadającej przez okno, zaczął się w pośpiechu ubierać.

Wyjrząwszy na korytarz, zastał tam Zaborskiego, i nie wiedzieć czemu nawet nieszczególnie się zdziwił. Może dopiero tym, że szlachcic wyglądał tak, jakby w ogóle nie kładł się spać, a raczej szykował do bitwy – z szablą u boku i pistoletami zatknietymi za pas.

– No, mówcie! – zażądał, niecierpliwym gestem odesławszy przelęknionego sługę do wszystkich diabłów. – Co się stało? Brandenburczycy zamek szturmują?

– Może do tego też przyjdzie. A na razie: gdzie księżę?

– Jak to?

– Bo u siebie go nie ma. A wasi ludzie biegają korytarzem jak koty, posykując po kątach.

– Czekaście.

Von Hasse zgarnął z sypialni własny rynsztunek i dopinając pas w biegu, ruszył po schodach. Zaborski pospieszył za nim.

Podczas pobytu na zamku księcia ulokowano w wysoko położonych komnatach, tak dla pięknego widoku, jak i dla bezpieczeństwa. Przed jego drzwiami przez cały czas czuwały strażę. Von Hasse nie umiał sobie wyobrazić, w jaki sposób mógł stamtąd zniknąć.

A jednak. Dotarłszy na miejsce, drzwi zastał otwarte, dwóch zbaraniałych gwardzistów obok, w środku zaś tylko służącego, któremu ze zdenerwowania trzęsły się ręce. Mimo wszystko to od niego właśnie kapitan usłyszał w miarę składną relację.

– Jego wysokość już miał się kłaść, lecz nagle kazał sobie na powrót podawać szaty – rzekł tenże. – Liścik wcześniej przeczytał...

– Jaki? Kto przyniósł?

– Wasza wielmożność, ja nie wiem. Dostałem od Hansa. – Wskazał jednego z żołnierzy.

– A ty skąd?

Nieszczęsny strażnik, już wcześniej blady jak chusta, teraz pod wzrokiem swojego dowódcy zzieleniał.

– Panie kapitanie, człek jakiś przyniósł. Tutejszy. Kilka razy powtórzył „princeps”, więc rozumiałem, że to dla księcia.

– Miał na sobie liberię? – wtrącił się naraz Zaborski.

– Nie, zwyczajnie odziany.

– I księżę tak sobie wyszedł? Puściliście samego? Co, u kaduka... – Von

Hasse musiał przerwać, bo prawie się zatchnął ze złości.

– Wasza wielmożność! Jest! – Służący, który od dobrej chwili krzątał się po komnacie, nagle z tryumfalnym okrzykiem wyciągnął skądś kartę złożoną na czworo.

– Dawaj!

Mężczyzna posłusznie wręczył mu list. Von Hasse pospiesznie przysunął się z nim do światła. Zaborski zaglądał mu przez ramię.

Cała wiadomość zawierała jedynie trzy słowa: *turrim occidentali* oraz *prima*. Zamiast podpisu w lewym rogu umieszczono wyrysowane atramentem serduszko.

– Zachodnia wieża, o pierwszej godzinie – odruchowo przetłumaczył von Hasse.

– No tak – mruknął Zaborski. – Pani Brzeźniewska po niemiecku nie mówi. Lecz cóż to w końcu jest za przeszkoda?

– Ona? – Von Hasse się skrzywił. – Nie przypuszczałbym, ale... – Pewna myśl mu przyszła do głowy. – Tu nie ma wieży.

– Zachodnia baszta, o tę pewnie chodziło. – Zaborski wydawał się zniechęcony. – Wybaczcie, niepotrzebnie zerwałem was z łoża.

Von Hasse zamyślił się. Obwiniął wartowników o zaniedbanie, lecz w gruncie rzeczy rozumiał, czemu żaden się nie sprzeciwił, gdy księżę stanowczo rozkazał im zostać. Sam też nie miał najmniejszej chęci przerywać mu schadzki. Z drugiej wszak strony...

– Trzeba sprawdzić – rzekł z ciężkim westchnieniem. – Wy nie musicie się mieszać.

Zaborski wzruszył ramionami.

– Przyda się wam asysta. Poza tym znam drogę.

Von Hasse wziął od służącego latarnię i poszli.

Od czasu gdy w wiekach średnich bracia joannici wznieśli fortecę, wielokrotnie ją przebudowywano, poprawiano i dodawano rozmaite detale. Skutkiem tego niektóre rejony zamku zmieniły się w trudny do pokonania labirynt. Nawet Zaborski, mimo że kilkakrotnie odwiedzał Drahim, raz się pomylił, skręcając w korytarz, który kończył się ścianą. Von Hasse, wiedząc, że pozostawiony sam sobie, natychmiast beznadziejnie by się zgubił, wyobraził sobie, że księżę wcale nie dotarł na umówione spotkanie, tylko nadal gdzieś tutaj się błąka. Byłoby to na swój sposób zabawne, gdyby nie wisząca nad nim groźba kolejnego zamachu.

Tymczasem chyba jednak zmierzali we właściwym kierunku. Wspinając się schodnią krętą niczym ślimacza muszla, kapitan czuł na twarzy powiew świeżego powietrza.

– Tam na górze musi być otwarty wąż – szepnął Zaborski.

– Wyszli na blanki? – spytał równie cicho von Hasse.

Pomyślał, że pani Brzeźniewska jest chyba szczególnie doprawdy niewiastą, skoro takie sobie obrała miejsce na spotkanie z kochankiem.

– Obok schodów jest składzik... Uważajcie pod nogi.

Zaborski zaklął pod nosem, najwyraźniej sam się o coś potknąwszy. Von Hasse poświecił latarnią.

– *Herr Gott!*

Najpierw ujrzał tylko parę mocno znoszonych butów z surowej skóry, a potem dopiero resztę – nienaturalnie skręcone ciało, które wciśnięto w załom muru.

Zaborski pochylił się nad nim.

– To strażnik – oznajmił ponuro. – Ktoś podciął mu gardło.

Von Hasse, zdjęty panicznym strachem o księcia, minął go bez słowa i przeskakując stopnie, pobiegł na górę.

Trafił na podest oświetlony lampą zawieszoną wysoko na haku. Okute drzwi z prawej. Krótka drabina prowadząca do otwartego wjazdu w suficie. Dwóch mężczyzn próbujących wtaszczyć tamtędy trzeciego, który im bezwładnie leciał przez ręce.

Gdy księżę wydał z siebie zduszony jęk, von Hasse – który na chwilę skamieniał wręcz z przerażenia, sądząc, że jego podopieczny nie żyje – czym prędzej rzucił mu się na pomoc.

Nie tracąc czasu na dobywanie broni, zwyczajnie zdzielił pięścią jednego ze zbirów, posyłając go pod przeciwległą ścianę. Drugi, wciąż trzymając księcia jedną ręką za kołnierz, błysnął mu przed oczyma sztyletem. Von Hasse uchylił się, sięgnął do rękojeści rapiera, lecz w tej samej chwili poprzedni jego przeciwnik zwałił mu się na plecy. Kapitan został pchnięty na dolne szczeble drabiny, te się złamały, a kiedy dla zachowania równowagi uchwycił się drąga, jego ciężar przeważył i całość runęła na ziemię. W dzikiej kotłowaniu otrzymał silny cios w żebra, lecz zerwał się szybko i w pierwszym odruchu próbował osłonić księcia. Zaraz jednak sam musiał się bronić, mając przed sobą dwóch drabów zbrojnych w ciężkie pałasze. Wówczas przyszedł mu w sukurs Zaborski, osłaniając go szablą, dzięki

czemu kapitan zdołał wreszcie wydobyć rapier. Ściął się z jednym z napastników, pozostawiając Polakowi drugiego.

Ów mężczyzna dobrze wiedział, po co trzyma broń w ręku, lecz von Hasse praktykował niegdyś pod okiem preceptorów cesarskiej armii, więc i taki przeciwnik niewiele dlań znaczył. Zepchnął go błyskawicznie w kierunku schodni. W wąskim przejściu brakowało mu nieco swobody ruchu, by przyzwolicie się złożyć do pchnięcia. Dlatego, chcąc jak najszybciej rzecz skończyć, sięgnął po pistolet, który jakimś cudem wciąż miał zatknięty za pasem. Z bliskiej odległości nie musiał nawet szczególnie celować. Zbir, trafiony w samą pierś, poleciał na dół po schodach, pewnikiem nieżywy, zanim jeszcze skończył się jego upadek.

Von Hasse, sam nieco ogłuszony hukem wystrzału, usłyszał jednak, jak Zaborski przeklina go od najgorszych, krzycząc zarazem coś o beczułce prochu do falkonetu.

Skąd proch? – pomyślał z przestachem, obracając się w koło. Nic podobnego tu przecież nie widział. – *Jest jakieś działo na blankach?*

W świetle rozkołysanej latarni ujrzał, że Zaborski przyparł już drugiego ze zbirów do ściany. Nie trzeba mu było pomocy, kapitan pospieszył więc do księcia, który wciąż leżał bez ruchu, przysypany szczątkami drabiny.

Zdążył zrobić dwa kroki, kiedy z trzaskiem otwarły się drzwi, na które do tej pory w ogóle nie zwracał uwagi. Von Hasse odskoczył, instynktownie przyjmując pozycję obronną. I nie on na tym ucierpiał, ale Zaborski, na moment odwróciwszy głowę w kierunku niespodziewanego hałasu. Jego przeciwnik skorzystał z tego, zadając mu proste cięcie przez rękę. Szlachcic upuścił szablę, lecz zaraz zwinął się w sobie, przeturlał po ziemi, zagarniając broń lewą ręką i znów stanął na nogi. Zdezorientowany tą sztuczką napastnik nie zdążył z kolejną zasłoną i padł, cięty gładko przez grdykę.

Ten, kto pojawił się w drzwiach, musiał przedtem przebywać w ciemności, bo osłonił teraz oczy przed blaskiem latarni. Dopiero gdy opuścił dłoń, von Hasse go poznał.

– Cóż wy tutaj, u diabła... – zaczął, lecz przerwał w pół słowa, gdyż pan Sędziwój Połowski, którego samo pojawienie się w tym miejscu było całkiem niezrozumiałe, uczynił oto rzecz jeszcze dziwniejszą.

Ogarnął wzrokiem całą scenę przed sobą, na chwilę zatrzymał spojrzenie na księciu, przy czym twarz jego zastygła w grymasie, który mógł znamionować zarówno rozpacz, jak i jakąś przedziwną wesołość. Potem

chwycił z haka latarnię i rzucił prosto w otwarte drzwi składu, a następnie sam się w nie cofnął.

Na krótką chwilę zapadły ciemności, potem zaś buchnęły płomienie, żywiąc się słomą, która tam zaścielała podłogę. Von Hasse ujrzał w nich stos pochodni, ułożonych schludnie pod ścianą, dwie smolne maźnice i sporych rozmiarów beczkę.

Proch!

Ledwie zdążył pomyśleć, już się rzucił ku księciu. Szarpał go i ciągnął, przerażony, że jednak nie zdąży. Zaborski mu zaczął pomagać, choć nie na wiele to się przydało, gdyż tylko jedną rękę miał sprawną. Sam chyba zdał sobie z tego sprawę, bo naraz zaprzestał wysiłków i rzucił się z powrotem w kierunku składziku, gdzie płomienie lizały już ściany.

Von Hasse próbowałby go może powstrzymać, lecz poczucie obowiązku kazało mu przede wszystkim ratować księcia. Jeszcze dwa kroki i dobrną do schodów...

Nie tyle usłyszał wybuch, co poczuł go w kościach, gdy ściany wokół zadrżały, a kamienie pod jego stopami poruszyły się nagle. Z ogromną siłą został pchnięty w dół schodni. Cisnęło nim o posadzkę i dopiero wtedy dotarł do niego huk samej eksplozji. Nim na dobre stracił świadomość, von Hasse zdołał pomyśleć, że oto cały drahimski zamek wali mu się na głowę.

Ktoś uporczywie pytał go, jak się nazywa, i von Hasse chętnie by nawet odpowiedział, byle się pozbyć natręta, lecz z jakichś powodów stale przychodziło mu na myśl nazwisko panięńskie matki, równie wszak ładne. Może ów człek też chciałby je poznać? Próbując wyjaśnić tę wielce zawiłą kwestię, kapitan poczuł się bardzo znużony, więc przymknął powieki, tylko na chwilę...

Za następnym przebudzeniem pomyślał, że tym razem musiał tego nadużyć doskonałych miódów pana starosty, gdyż okropnie łupało go w głowie. W komnacie panował półmrok, rozjaśniony jedynie blaskiem ognia płonącego w kominie, przy którym kiwał się na stołku jego własny ordynans. Von Hasse chciał go ofuknąć za przysypianie na służbie, ale nie zdążył, bo sam znów zapadł w sen.

Później znów obudziło go światło słońca wpadające przez pięknie oszklone okno. Leżał w wygodnym łóżu, przebrany w świeżą koszulę, obok na rzeźbionym stoliku pozostawiono dzban z wodą i majolikowy kubek

ozdobiony herbem Drahimia. Cóż, u licha? Nie pamiętał ani tej komnaty, ani jak się tu znalazł. Wszak ostatniej nocy kładł się chyba u siebie...

Naraz jednak, wraz z uczuciem dojmującego chłodu, wszystko doń powróciło. Starcie pod basztą, płomienie sięgające beczułki z prochem, Zaborski, który zawrócił, by wbrew rozsądkowi próbować zagasić ogień. I książę, bezwładny niczym szmaciana kukła, którego von Hasse już prawie, prawie wyciągnął na schody. Potem zaś nic.

W jednej chwili oblał się zimnym potem. Nie bacząc na ból przeszywający mu czaszkę, gwałtownie poderwał się z łoża. Zaraz jednak nogi ugięły się pod nim i z łoskotem zwałił się na podłogę. Hałas przywabił służących. Ci jęli kapitana podnosić, przy czym, nie do końca wiedząc, co się z nim dzieje, sam im raczej w tym zadaniu przeszkadzał. Ległszy znów na poduszkach, uspokoił się nieco. Za to gdy zjawił się jego adiutant, von Hasse, jakkolwiek nadal huczało mu w głowie, postanowił natychmiast go przepytac. Ku jego zdumieniu karny zazwyczaj żołnierz w odpowiedzi tylko zamamrotał coś niewyraźnie pod nosem, po czym zwyczajnie umknął z komnaty.

Żaden z pozostałych służących języka niemieckiego nie znał, więc wszelkie próby indagacji spełzły na niczym. Von Hasse, mimo żalosego stanu, w którym się najwyraźniej znajdował, już był gotów podjac kolejną próbę stanięcia na nogi, gdy ordynans powrócił, wiodąc ze sobą tłumacza oraz jeszcze jednego człeka, jak się okazało, własnego medyka pana starosty.

Doktor ów, choć jeszcze nie stary, łysy był jak jajo, nie czynił tym wszakże odstręczajacego wrażenia, mając zarazem wypisaną na twarzy życzliwość. Żwawy nad podziw, zaraz jął nad kapitanem swoje lekarskie sztuki wyczyniac, a to łapiąc za przegub, a to słuchając piersi przez trąbkę, a na koniec obmacując mu czaszkę zaskakująco silnymi palcami. Przy tym ostatnim badaniu von Hasse wszystkie gwiazdy przed oczyma zobaczył, naszły go mdłości. Splunął ciężką zólcia do pospiesznie podstawionego mu przez sługę naczynia. Medyk zacmokał, zmartwiony, a następnie począł mówić coś z wielkim ferworem. Von Hasse, niewiele lub raczej nic zgoła nie pojmując z doktorskiej łaciny, szybko stracił cierpliwość, bo też nie o własne zdrowie akurat się troskał.

– Gdzie książę? – niecierpliwie przerwał uczone wywody.

Tłumacz, nagle pobladłszy, powtórzył pytanie, doktor zaś, wyraźnie niezadowolony, pokręcił głową.

– Wam spokoju a wypoczynku teraz potrzeba – oświadczył stanowczo. – Nie wolno się ekscytować, aby krew z tego nie poszła do mózgu...

Von Hasse, chwyciwszy go garścią za odzież, na wpół uniósł się w łożu.

– Żyw czy zabity? – wychrypiał, zgoła nie poznając własnego głosu. – Mówcie, na rany Chrystusa!

– At, puście. – Doktor, miał się obrazić, łagodnie ujął go za ramiona i na powrót pchnął na posłanie. Nie napotkał przy tym oporu, bo krótkotrwały wysiłek całkiem wyczerpał kapitana. – Oszczędzić wam chciałem złych wieści, póki nie wrócicie do zdrowia, ale, jak widzę, nic z tego. Jego wysokość w wybuchu prochowym tragiczną śmierć poniósł, czemu, jak słyszałem, żadną ludzką miarą nie mogliście zapobiec.

Mówił coś jeszcze, a tłumacz skrupulatnie jego słowa przekładał, lecz von Hasse ów dwugłos począł słyszeć jakby ze znacznej oddali, bo przeszkadzał mu narastający szum w uszach. Czy oto morze podeszło pod mury Drahimia? Z tą myślą jego świadomość znów zgasła.

Nie na długo jednak tym razem. Ocknąwszy się, ujrzał siedzącego opodal biskupa Wurcla, który z pochyloną głową przebierał paciorki różańca.

– Ekscelencjo... – Zaskoczony von Hasse jął się podnosić.

– Leżcie spokojnie. – Biskup machnął ręką i sam przysunął się z krzesłem do jego posłania. – Ceremonii tu żadnych nie trzeba. I tak łaska Boża widoczna nad wami, żeście się w końcu ocknęli. – Wbrew swoim słowom duchowny minę miał wielce zafrasowaną. – Nie brakuje wam czego?

Von Hasse w milczeniu potrząsnął głową.

– Aha. – Biskup obrzucił go uważnym spojrzeniem. – Tegom się właśnie obawiał. Na desperację was wzięło. Dajcie sobie tedy powiedzieć, że zła to rzecz tak samo dla ciała, które w podobnych okolicznościach z trudem ozdrowieć może, jak i dla duszy. O wiele lepiej troski własne miłosierdziu Bożemu powierzyć, bo: „Nie moją mocą to jest, lecz Twoją, o Panie”, co się i do waszego przykładu pięknie stosuje. – Tu, zorientowawszy się najwyraźniej, że kapitan nic zgoła nie pojmuje z owego natchnionego ewangelicznym duchem wyводу, dokończył zupełnie innym już tonem: – Rzecz najzwyczajniej ujmując, nieszczęście się stało ponad wszelkie wyobrażenie, ale nie wasza w tym wina.

Von Hasse i tym razem nie odpowiedział. Biskup lekko przymarszczył brew.

– Posłuchajcie mnie tedy uważnie – zażądał. – Zło tu przyszło w postaci

knowań tak podłych, że żaden przyzwoity człek nawet pomyśleć o nich bez abominacji nie zdoła, a cóż dopiero przewidzieć. Ów nieszczęśnik Połowski, pamiętacie go przecie...?

W istocie, von Hasse pamiętał. Błysk w oku szaleńca, lampę ciśniętą ku beczce z prochem. Odruchowo się wzdrygnął.

– Otóż to. – Biskup skinął głową, jakby czytał mu w myślach. – Nie wiecie, bo i skąd, że czyn jego straszny miał jednak swoją przyczynę. Po wszystkich listy się w jego pokojach znalazły, w których wprost mu śmiercią jedyne dziecko grozono. Dobry Boże, wszystko tam było, aż dziw, że się kto nie bał napisać! I czego odeń chcą i obietnice łakome, jak to się później obojgu dostаточно żyć będzie pod elektorskim panowaniem. A tymczasem córkę, co się chowała w klasztorze, siłą mu wzięli i ukryli gdzie bądź, kosmyk włosów na dowód przysławszy.

Von Hasse syknął coś niezrozumiale przez zęby.

– Sami widzicie – dokończył biskup z ciężkim westchnieniem. – Co wobec podobnie szatańskiej intrygi mogliście byli uczynić?

Posłuchać, kiedy mnie ostrzegano – pomyślał von Hasse, ale znów zmilczał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, jego ekscelencja, przeżegnawszy pierwiej chorego, opuścił komnatę.

Von Hasse, pozostawiony sam sobie, mógł wreszcie z dość jasnym umysłem rozważyć sytuację, w której się znalazł.

Wcześniej sądził, że postępuje właściwie, teraz jednak w to zwątpił. Każde z wydarzeń, które miały miejsce, odkąd przybył wraz z księciem w te strony, po kolei stawało mu przed oczyma. Każda decyzja, jaką podjął lub której zaniechał, z perspektywy czasu wydawała się prowadzić ku katastrofie. Gdyby tylko nie był postąpił tak, a całkiem inaczej... Lecz stało się. Młody Karol Franciszek nigdy nie powróci do Wiednia. Wobec tego faktu wszelkie próby usprawiedliwiania się traciły znaczenie. Cesarz nie doczeka się syna, natomiast kapitan Ludwig von Hasse nigdy nie zdoła zmyć hańby, która przyłgnie do jego nazwiska.

Rankiem kapitański ordynans zdumiał się nieco, zastawszy swego zwierzchnika na nogach. Von Hasse odział się i ogolił przy jego pomocy, zjadł lekkie śniadanie, a następnie kazał przynieść sobie inkaust, papier i pióra. Siadł do pisania listów i oddawał się temu zajęciu aż do obiadu, który

spożył samotnie. Następnie zawezwał do siebie porucznika Hopffera.

Wysłuchawszy z uwagą raportu, dowiedział się między innymi, że wydarzenia, które rozegrały się owej fatalnej nocy, znane były postronnym tylko dzięki relacji jednego z żołnierzy, pełniących wcześniej wartę u drzwi księcia, których von Hasse tak zrugął. Tenże poszedł w ślad za nimi do baszty, lecz wciąż obawiając się gniewu dowódcy, trzymał się z tyłu i dlatego wybuch mu nie zaszkodził. On też wyciągnął kapitana spod rumowiska i jako pierwszy począł wzywać pomocy.

Pan Potocki, o wszystkim uwiadomiony, ponoć niemal oszalał z gniewu. Natychmiast odprawił z zamku panią Brześniewską, choć ta przysięgała na wszystkie świętości, że jest niewinna. Istotnie, służba i straż potwierdziły, że w nocy spała we własnej komnacie, nic o żadnym liście ani rzekomej schadzce nie wiedząc. Głowę Połowskiego, którego zmasakrowane ciało odnaleziono w baszcie, kazał starosta umieścić nad bramą, gdzie do tej pory wabiła kruki i wrony, a tych z jego służby, którzy nie umknęli od razu, wtrącił do lochu. Zwłoki Karola Franciszka, zamknięte w ocynkowanej trumnie, prowizorycznie złożono w zamkowej krypcie.

W czasie gdy von Hasse leżał niczym bez ducha, gońcy kilkakrotnie wyjeżdżali i przybywali do zamku, ale z kim ani na jaki temat pan starosta wymieniał listy, tego już Hopffer nie wiedział.

– A nasi ludzie? Co czynią? – zapytał von Hasse, gdy porucznik już skończył.

– Nic, kapitanie. Czekają rozkazów. – Hopffer zawahał się nieznacznie. – Słyszeliśmy, że za zamachem na księcia stoją Brandenburczycy, na co pan starosta ma ponoć dowody w rękę. Nie dziwota więc, że jeden z drugim chętnie by im za to odpłacił, ale zakazałem podobnego gadania, by do niesubordynacji jakiegś nie przyszło.

– Wielce roztropnie – pochwalił von Hasse. – A jakbyś postąpił dalej, gdyby to przy tobie została komenda?

Porucznik zmieszał się nieco, lecz odparł po prostu:

– Trzeba nam odwieźć jego wysokość do domu.

– Słusznie. Ale niechże jego ekscelencja biskup poczyni wpierw wszelkie potrzebne przygotowania, bo to już nie poselstwo, a kondukt żałobny ku granicy wyruszy.

– Tak jest.

– Dobrze. A teraz... – Von Hasse sięgnął po listy, które opieczątowane

czekały na stole. Wręczył je Hopfferowi. – Przechowasz je dla mnie.

Zerknąwszy na adresy, porucznik pobladł. Jedno z pism skierowane było do ich bezpośredniego dowódcy, drugie do kancelarii cesarskiej w Wiedniu, trzecie zaś do pana Huberta von Hasse w Lipsku.

– Kapitanie...

– To wszystko. Dziękuję. – Von Hasse odprawił go stanowczym gestem.

Gdy zmartwiony porucznik opuścił komnatę, von Hasse usiadł przy oknie. Miał stąd widok na dziedziniec, na którym nie działo się zgoła nic szczególnego. Szkoda, bo chętnie czymkolwiek zająłby myśli, byle nie rozpamiętywać własnej porażki. W końcu istotnie jakiś ruch na zewnątrz przykuł jego uwagę. Na dziedziniec wpadł jeździec, który zeskoczywszy z wierzchowca, zaraz gdzieś pognał. Po chwili jeszcze trzech osadziło na dziedzińcu spienione konie. Pojawiła się wokół nich czeladź, potem kilku szlachciców i zbrojnych w barwach pana starosty. Przybysze wykrzykiwali coś w podnieceniu, wskazując rękoma ku bramie. Von Hasse, odemknąwszy okno, wychylił się przez parapet, ciekaw przyczyny tego zamieszania, lecz nie rozumiejąc języka, niewiele potrafił dociec. Tyle że z pewnością musiało się wydarzyć coś ważnego.

Do komnaty wpadł zdyszany adiutant.

– Kapitanie! – wykrzyknął. – Podjazdy wróciły. Ponoć wojsko elektora idzie na Drahim!

– A Polacy?

– Szykują się do odparcia ataku.

– Wołaj Hopffera.

Gdy porucznik nadszedł, von Hasse już dopinał na biodrach pas z bronią.

– Zbierz naszych ludzi – rozkazał, nie bawiąc się we wstępy. – Wiesz, kto dowodzi obroną?

– Pan miecznik Sierawski. – Hopfferowi zabłyśły oczy.

– To weź tłumacza i kłaniaj mu się ode mnie. Niechże i nam wyznaczy miejsce na murach.

Oferta została wdzięcznie przyjęta. Świetnie wyszkoleni i zdyscyplinowani żołnierze, którymi von Hasse dowodził, budzili respekt miejscowych. Jako doświadczeni strzelcy, mogli też podczas szturmów zadawać nieprzyjacielowi dotkliwe straty. Naprawdę jednak ucieszył się pan miecznik, usłyszawszy, że jest w oddziale kilku weteranów doskonale

artyleryjskiej materii świadomych, w Drahimiu brakowało bowiem doświadczonych puszkarzy.

Sam von Hasse znalazł miejsce w obsadzie zgrabnej oktawy, którą zapewne z dużym trudem wywindowano na blanki. Działo było zdobyczne, co poznał, widząc na nim wybity znak słynnego cechu ludwisarskiego z Uppsali. Mając do pomocy kaprala Metzgera oraz dwóch tutejszych prochowych, kapitan poświęcił nieco czasu na przeciwienie niemieckich komend i rychtowanie armaty, sprawdził stan prochu, lontów i toczonych z żelaza kul. Następnie, gdy nie pozostało nic do zrobienia, jął spoglądać na trakt wiodący z północy, gdzie wkrótce spodziewano się ujrzeć nadciągającego nieprzyjaciela.

Oczekiwanie na bitwę nieraz dłużyło się nowicjuszm, lecz dla niego była to pora niezwyklej jasności umysłu. Wiedząc dobrze, czego należy się wkrótce spodziewać, ze spokojem spoglądał na pustą wciąż drogę, na jezioro, z którego w krótkim czasie zniknęły wszystkie łodzie rybackie, na lasy, kryjące w zielonym cieniu tajemnice starsze niż Drahim. Zamek przetrwa lub zostanie zburzony, natomiast krzykliwe rybitwy dalej będą ścigać się nad srebrnymi wodami, zaś bobry nie zaprzestaną wznoszenia żeremi. A owe pradawne duchy? Von Hasse był dziwnie pewny, że i one pozostaną na miejscu. Będą spały w kamieniach, niekiedy tylko ukazując się nieostrożnym wędrowcom...

– Kapitanie! – Jeden z miejscowych, wychyliwszy się mocno przez blanki, wskazywał coś wyciągniętym ramieniem.

Von Hasse klepnął go w plecy, by mu ustąpił miejsca, a następnie sam wyjrzał. Szybko zbliżający się tuman kurzu na drodze zwiastował konnicę. Wkrótce też dało się w nim wyróżnić lśnienie pancerzy i wysoko zwieńczonych hełmów. Kirasjerzy. Jadąc w szyku czwórkowym, szereg za szeregiem wyłaniali się zza zakrętu niczym pancerny wąż pełznący ku twierdzy. Był to widok na swój sposób piękny, a zarazem budzący grozę. Tego zapewne chciał brandenburski dowódca, bo jazdą wprawdzie nie zdobywa się zamków, lecz jej widok mógł zasiać strach w sercach obrońców. Jasne też się stawało, czemu wysłane przez pana starostę podjazdy wróciły w pośpiechu, nawet nie próbując zatrzymać wrogiego pochodu w drodze na zamek. W polu tym ciężkozbrojnym mogłaby sprostać najwyżej sławna polska husaria, jej zaś pan Potocki akurat nie miał do dyspozycji.

Mimo wszystko był to jedynie pokaz siły, więc von Hasse przysłoniwszy

dłonią oczy, starał się dojrzeć, co też się pojawi za nimi. A jakże! Szła i piechota, niemieccy landsknechci, muszkietierowie i pikinierzy oraz zaciężni halabardnicy w okrągłych hełmach. Za nimi jechały tabory. Obozowa czeladź tłoczyła się wokół ciężko wyładowanych wozów, które zdawały się ciągnąć za wojskiem bez końca.

A gdzie armaty? – zdumiał się w duchu von Hasse. – Nie przybyli tu przecież, by ostrzelać Drahim z muszkietów.

Niestety dalej trakt opadał w dolinę i reszta kolumny pozostawała na razie ukryta przed ich oczyma. Kapitan jął więc przyglądać się poczynaniom konnej kompanii.

Okolo pięćdziesięciu jeźdźców oddzieliło się od głównej kolumny, podjeżdżając niemal pod samą bramę. Był to wyraz sporej odwagi, gdyż łatwo mogli zostać powitani ogniem z zamkowych murów. Jednakże wyraźny rozkaz brzmiał: czekać, więc chwilowo pozostawali bezpieczni. Zerknąwszy na boki, von Hasse od razu spostrzegł, że polskich kanonierów ręce aż świerzbią do lontów. Po prawdzie, jego samego również, ale co rozkaz, to rozkaz.

Jakże butni i pewni siebie byli owi przybysze! Kity powiewające na hełmach, rozpostarte sztandary. Za brandenburskim orłem podążał drugi, w cesarskiej koronie. Na ten widok von Hasse zaklął paskudnie, życząc nagłej śmierci księciu Fryderykowi oraz wszystkim jego stronnikom. Czując krew pulsującą w głowie, ledwie zwrócił uwagę na parlamentariuszy z białą chorągwią, których po krótkiej zwłóce wpuszczono za furtę.

Ktoś go wołał ze schodni, lecz dopiero za drugim okrzykiem von Hasse pojął, że to do niego.

– Czego chcesz? – warknął, rozpoznając własnego tłumacza.

– Kapitanie! Jego dostojność pan Potocki prosi was na naradę – powtórzył tamten lękliwie.

– Dobrze, już idę. A wy miejcie baczenie – rzekł do kaprała, wskazując zgromadzone na dole wojsko.

Zszedłszy z murów, zdołał już nieco pozbierać myśli. Wątpił, by pan starosta istotnie miał go w jakiej bądź sprawie pytać o radę. Raczej pragnął mieć w jego osobie bezstronnego świadka podczas spotkania z brandenburskimi posłami. Zatem niech będzie. On także chętnie wysłucha, co mają do powiedzenia.

Gdy dotarł do komnaty audiencyjnej, zastał już na miejscu biskupa i pana

radcę, lecz nie miał nawet czasu, by się z nimi należycie przywitać, bo właśnie anonsowano nadejście posłów. Pan Potocki oczekiwał ich rozparty w fotelu, który niczym tron ustawiono na podwyższeniu krytym szkarłatnym sukniem. Otaczali go dworzanie, co znaczniejsi ze szlachty przebywającej na zamku, oraz dowódcy jego własnych oddziałów. Sam pan starosta odziany był na modłę wojskową, ale też niezmiernie bogato, z wysadzaną diamentami delią przerzuconą przez ramię, pasem wartości pomniejszej wioski i karabelą u boku, której pochwa i rękojeść aż się skrzyły od klejnotów i złocień. W innym otoczeniu to wszystko czyniłoby może wrażenie przesady, jednakże w sali, której ściany udekorowano cennymi łupami zdobytymi podczas rozlicznych wojen, stanowiło raczej swoiste memento: umiemy zwyciężać i dlatego opływamy w dostatki. Von Hasse ciekaw był, czy Brandenburczycy potrafią właściwie zrozumieć owo przesłanie.

Tak czy owak, stanąwszy przed drahimskim starostą, wysłannicy elektora znacznie spuścili z tonu. Obaj skłonili się nisko, zamiatając piórami u kapeluszy posadzkę. Potem starszy z owej dwójki, hrabia von Waldeck, wydobył pismo opatrzone ciężką pieczęcią i postąpiwszy krok ku staroście, najwyraźniej zamierzał je wręczyć. Jednakże pan Potocki isticie monarszym gestem skinął na sekretarza, ten list pośpiesznie odebrał i dopiero, z jeszcze niższym ukłonem, oddał swojemu panu. Posłowie czekali, w sali panowała cisza jak makiem zasiał, podczas gdy pan na Drahimiu bez pośpiechu najpierw oglądał, potem przełamywał pieczęcie i wreszcie czytał. Skończywszy, upuścił kartę pod nogi i ze zmarszczoną brwią ją przyglądać się obu mocno już w tej chwili zmieszonym posłom. Na koniec rzekł, nie zwracając się jednak do nich, lecz do ogółu zgromadzonych na sali:

– Mości panowie! Jego książęco-elektorska wysokość Fryderyk Wilhelm rozkazuje oto i żąda, byśmy otwarli przed jego wojskami bramy Drahimia.

Tłumacz począł jego słowa przekładać, lecz von Hasse ledwie zakończenia dosłuchał, taki wszczął się tumult pośród zebranych. Pan szambelan musiał kilkakroć końcem okutej laski uderzać w posadzkę, nim ich uciszył.

– Ponadto – rzekł pan starosta spokojnie, jakby wcale mu nie przerwano – mam niezwłocznie wydać winnych śmierci arcyksięcia Karola Franciszka, których to zbrodniarzy, wedle słów jego wysokości, znam doskonale, gdyż z mojej własnej się służby wywodzą.

Na to ostatnie stwierdzenie po komnacie rozniosły się szmery, które zaraz

umilkły, gdy pan Potocki uniósł dłoń na znak, że chce mówić dalej.

– Tyleż bym dla jego wysokości chętnie uczynił. – Tu błysnął w stronę elektorskich posłów drapieżnym uśmiechem. – Jeno kapelan mnie napomina, że każdemu należy się po śmierci chrześcijański pochówek. Lecz furda, każę zdjąć ów czerep, który wisi nad bramą, i co zostawiły wrony, niechże sobie książę elektor zabiera.

Okrutne to były słowa, wzięwszy pod uwagę, w jaki sposób nieszczęsny Połowski został zmuszony do zdrady. Mimo to kilku szlachciców parsknęło śmiechem. Jeden z posłów, czerwony na twarzy jak burak, wyraźnie szykował się do gniewnego responsu, lecz hrabia von Waldeck coś mu pośpiesznie szeptał na ucho i uspokajał. Potem sam się odezwał, cierpkim tonem, lecz grzecznie:

– Wasza dostojność, to nie pora na żarty. Mój pan, Fryderyk Wilhelm, jako elektor brandenburski i książę pruski sprawuje rządy nad ziemiami leżącymi w granicach Świętego Cesarstwa, a zatem ma pełne prawo w imieniu cesarza upominać się o sprawiedliwość.

– Tak też napisał. – Pan starosta wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć po leżącą u jego stóp kartę. Sekretarz czym prędzej ją wyręczył. – W liście opatrzonym własnoręcznym podpisem oraz pieczęcią, który oczywiście zachowam.

To ostatnie zabrzmiało jak groźba, której sensu von Hasse nie pojął, mimo iż słuchał pilnie całej rozmowy. Z posłem rzecz się miała chyba przeciwnie, gdyż lubo doskonale opanowany, nie zdołał ukryć brzydkiego grymasu, który przemknął po jego twarzy.

– Tak nagle zamilkliście – zarzucił mu pan Potocki. – A jam się spodziewałem, że teraz powiecie, czego z kolei życzy sobie lojalny wasal Rzeczypospolitej. Bo czyż książę elektor nie jest nim także? Lub może już zapomniał o złożonej przysiędze?

– Nie moją rzeczą jest tu o powinnościach mego pana rozprawiać – odparł hrabia z powagą. – Wiem jednak, że i do polskiego króla gońców niezwłocznie wyprawił, by przestrzec go przed konsekwencjami tego nieszczęsnego zdarzenia, które wasza dostojność także powinien rozważyć.

– Jakież to konsekwencje?

– Wojna z cesarstwem! – wyrwał się towarzysz pana hrabiego. – Wy poniesiecie odpowiedzialność...

Znów szum przeleciał po sali, lecz tym razem pan Potocki uciszył go

jednym spojrzeniem.

– Zatem, jeśli nie poddam Drahimia, wybuchnie wojna z cesarstwem? – Starosta potoczył dokoła wzrokiem. – Słyszeliście, waszmościowie, czym nam grozi książę elektor?

Wszyscy słyszeli. Niektórzy Polacy poczęli trzaskać szablami. Pan radca von Irrgang otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zamknął je nagle z głośnym kłapnięciem. Biskup natomiast przeżegnał się szybko.

– Musicie to wszystko, co do słowa, najjaśniejszemu panu powtórzyć – szepnął mu do ucha von Hasse.

– Jeśli tylko uniesiemy stąd cało głowy – odparł równie cicho duchowny.

– Pan Potocki obroni twierdzę.

Tymczasem słynny Rewera, powstawszy z miejsca, spoglądał z góry na posłów.

– Jako starosta drahimski z woli miłościwie nam panującego króla Michała zabraniam wam wstępu na te ziemie, które do Rzeczypospolitej Polskiej należą – oświadczył z mocą. – A zbrojną napaść przyrzekam wszelkimi siłami odpierać, krwi własnej ni waszej przy tym nie szczędząc. Taką odpowiedź zanieście swemu dowódcy.

– Ładuj!

Ledwie jeden z polskich puszkarzy cofnął się ze stemplem od działa, von Hasse rzucił się doń, wycelował i krzyknął: „Ognia!”.

Ładunek kartaczy wymiótł do czysta przestrzeń pod bramą, gdzie jeszcze przed chwilą uwijała się garstka obozowej czeladzi.

Dowodzący elektorskim wojskiem generał Krammer bez skrupułów poświęcał ciurów, którzy nie mogąc w tym terenie kopać szanćów, w zamian wznosili osłony ze skrzyń wypełnionych ziemią. Żmudna to była praca, lecz skazała na nią oblegających sama natura. Na wąskim przesmyku oddzielającym oba jeziora grunt tylko po wierzchu był suchy. Wystarczyło jednak wbić trochę głębiej łopatę, a w wykopie szybko pojawiała się woda. Z tego też właśnie powodu zamek drahimski zbudowano na wale ziemnym, usypanym ludzkimi rękoma, nim jeszcze powstało w tym miejscu pierwsze drewniane grodzisko.

Brandenburgcy musieli być tych okoliczności z góry świadomi, stąd ogromne tabory, które jakimś sposobem zdołali przeciągnąć tutejszymi krętymi drogami. Na wozach jechały głównie deski oraz faszyna, potrzebne

do wznoszenia umocnień. Wraz z wymarszem wojsk było to przedsięwzięcie, którego w żaden sposób nie dałoby się wprawić w ruch w krótkim czasie, jaki minął od śmierci księcia. Już to jedno stanowiło oczywisty dowód winy elektora, gdyby ktokolwiek żywił w tej sprawie choćby najmniejszą wątpliwość.

Czyżby więc osławiony Lis Brandenburski miał w istocie okazać się głupcem, który ufając w siłę własnych oddziałów, zapomniał, że potężniejsi od niego władcy wnet mu za jego czyny wystawią rachunek? A może właśnie nim nie był? Cóż się stanie, jeśli elektorskie wojska zdobędą Drahim? Łatwo zgadnąć, że zwycięzcy nie pozostawią przy życiu nikogo, kto mógłby później zaświadczyć o prawdzie.

A wszystko to pod świętym cesarskim sztandarem, którym księżę elektor już teraz wymachuje. *Jak własnym!* – pomyślał von Hasse. – *Bodajby szczel za to w piekle, krwawy pies i morderca!*

Wewnątrz siebie aż kipiał z gniewu, lecz potem, celując z armaty, ręce miał już całkiem spokojne. Skutkiem tego jedno z dział podtoczonych w nocy zmieniło się w stertę poskręcane metalu, a od dobrej godziny wróg nie śmiał się zbliżyć do bramy. Rzecz jasna odpowiadano ogniem, głównie z moździerzy, które zdążyły już uczynić pewne szkody pośród załogi. Von Hasse mało zwracał uwagi na sypiące skrami granaty, które raz po raz przelatywały nad jego głową. Przyjmując miejsce w jednej z obsad mających osłaniać bramę, dobrze wiedział, z jakim to się wiąże ryzykiem. Po prawdzie, sam o nie poprosił, lecz z czystym sumieniem, bo przecież nie na darmo narażał życie. Jeśli zaś dobry Bóg zechce okazać łaskawość, oszczędzając mu zarazem powrotu do domu w niesławie...

Aha, podjęli kolejną próbę. Przeciwnik wziął się wreszcie na sposób. Wypełnione ziemią skrzynie toczono na rolkach, dzięki czemu postępujący za nim ludzie zyskiwali ruchomą osłonę. Trzeba celować nisko, by ich przynajmniej zatrzymać.

Udało się, lecz rumowisko desek i piachu mogło posłużyć nieprzyjacielowi podczas następnego podejścia. Von Hasse nie miał wątpliwości, że nastąpi ono wkrótce, gdyż Brandenburczycy dysponowali ogromną przewagą zarówno w żołnierzu, jak w działach. Na korzyść obleganych przemawiało za to położenie zamku, gdyż wody dwóch jezior mocno ograniczały dostęp do jego murów. Te, choć były stare, bo wzniesione w czasach, gdy nie znano jeszcze broni ognistej, wielokrotnie wzmacniano

i poprawiano, by mogły sprostać wymogom wojny toczonej z użyciem armat. Jak długo jednak wytrzymają ostrzał prowadzony z tak bliska, tego nikt naprawdę nie wiedział.

Główna nadzieja obrońców spoczywała więc w przekonaniu, że polski król nie zostawi Drahimia na pastwę losu. Ale czy zdąży przybyć z pomocą, nim będzie za późno?

Minął kolejny dzień i nie stracili ducha, a rankiem pod bramą znów pojawili się parlamentariusze.

Pan Potocki, jak i za pierwszym razem, przyjął posłów publicznie, najwyraźniej chcąc w ten sposób okazać, że niczego nie kryje przed ludźmi, którzy swój los w jego złożyli ręce. Tym razem jednak zwyczaj ów łatwo mógł się obrócić na niekorzyść, gdyż wysłannicy elektora ni mniej, ni więcej, tylko zaprezentowali pismo od króla polskiego, w którym monarcha stanowczo nakazywał poddanie Drahimia, panu Potockiemu zaś niezwłoczne stawienie się przed sądem w Warszawie. Gdy odczytano treść listu, w sali zapadła martwa cisza, aż do chwili gdy przemówił starosta:

– Dobre konie ma książę elektor i zdolnych kurierów, że tak szybko zdążyli do Warszawy oraz z powrotem.

Posłowie nic na to nie rzekli, natomiast pan Potocki skinął na sekretarza, który już wcześniej z pietyzmem odłożył list do ozdobnej szkatuły.

– Mości panowie – zawołał, biorąc ją w dłonie – przyjrzyjcie się dobrze, bo skarb to jest teraz największy w Drahimiu. Jego musimy bronić, by mogły potem wyjść na jaw wszystkie kręactwa Brandenburczyka.

Następnie odesłał parlamentariuszy, nie chcąc już z nimi więcej rozmawiać.

Pół godziny później znów przemówiły armaty.

Mimo wysiłku obrońców nieprzyjacielowi udało się podciągnąć w pobliże murów trzy półkartauny, które czyniły znaczne spustoszenie. Jedną z nich zdołał w końcu von Hasse celnym strzałem uciszyć, lecz dopiero po tym, jak obsada mająca chronić bramę od strony zachodniej została dosłownie zmieciona w dół wraz z częścią muru oraz armatą. Pozostałe nadal pluły kulami, bezlitośnie krusząc wiekowe blanki.

W południe zniesiono na dół ciężko rannego Metzgera. Potrzaskane cegły i kamień nie dawały już niemal żadnej osłony. Wyrwę w murze łątano workami piasku, lecz mało skutecznie, gdyż ledwie kto uniósł głowę, zaraz w jego stronę leciał granat lub bito z dołu z muszkietów. Jednak von Hasse,

w przerwach między strzałami kuląc się za lawetą, nie zaprzestawał pracy. Teraz sam musiał rychtować działą, bo jeden z puszkarzy, wysłany na dół po proch, już nie powrócił. Drugi, którego odłamek granatu ugodził w nogę, nie chciał wprawdzie zejść z posterunku, lecz nie na wiele się zdawał. Von Hasse i jego odesłał więc na dół. Proch i kule przyniesiono. Uczyniło to, sapiąc z wysiłku, dwóch młodych pokojowych pana starosty.

Ogłuszony hukiem von Hasse w pewnej chwili odniósł wrażenie, że wzmaga się również ostrzał za jego plecami. Czyżby Brandenburczycy znaleźli sposób, by zaatakować od strony jeziora? Niepodobna, więc może Polacy postanowili zrobić wycieczkę? Byłoby to czyste szaleństwo, lecz czemu nie? Sam chętnie by poszedł, gdyby nie musiał pilnować bramy.

Mur pod jego nogami zatrzęsł się od kolejnego trafienia.

Wstrzeliwują się, łotry – pomyślał. – No dobrze, ale ja także.

Tym razem celował wyjątkowo długo, starannie.

Pocisk przeorał ziemną osłonę i zmieniawszy nieco tor, uderzył w koła wrogiej kartauny. Działą legło na boku, mimo wszystko nieuszkodzone.

Rozczarowany, zaklął głośno. W następnej chwili granat spadł mu pod nogi, lecz na szczęście nie wybuchł, więc von Hasse zwyczajnie kopnął go na dół.

Załadować, stempel, przybitka, podsypać prochu...

– Kapitanie von Hasse!

Zbyt zajęty, by się oglądać, tylko odmachnął ręką.

Celując wzdłuż lufy, naraz zdał sobie sprawę, że oto spogląda prosto w wylot ostatniej kartauny. Kanonier właśnie przykładął lont do armaty. Von Hasse wiedział już, że nie zdąży.

W twoje ręce, o Boże. – Nie zamierzał się cofnąć.

Ktoś chwycił go wpół, odciągnął na bok. Trafione działą odezwało się głosem pękającego dzwonu, wybuchły prochy. Dookoła fruwały kamienie i żelazne odłamki. Ich jednak osłoniła krzywizna muru.

Von Hasse w bezrozumnym gniewie z całej siły odepchnął swojego wybawcę, a następnie spojrzął mu w twarz i zamarł.

Zaborski, uśmiechnięty od ucha do ucha, w pojednawczym geście rozłożył dłonie.

Von Hasse, czując zarazem dziwną jakąś słabość w kolanach, dwa razy musiał odchrząknąć, nim zdołał ludzki głos z siebie wydobyć.

– Myślałem, żeście zginęli!

– I co? Chcieliście zaraz dołączyć? – Zaborski ogarnął wzrokiem otaczające ich gruzowisko. – Matko Święta, co się tutaj wyprawia!

Von Hasse, nagle w doskonałym humorze, roześmiał się głośno.

W następnej chwili dwa granaty, jeden po drugim, wybuchły w pobliżu, obsypując ich kamykami i pyłem. Kapitan ostrożnie wyjrzał zza węgła. Tak jak przypuszczał, działo było kompletnie rozbite.

– Nic tu po nas – zawołał, przekrzykując nieustający huk armat. – Chodźmy, nim nam odstrzelą głowy!

Zeszli do schodni, lecz po kilku krokach von Hasse musiał przystanąć. Mroczki zaczęły latać mu przed oczyma i chyba by upadł, gdyby go Zaborski nie podparł ramieniem. Szlachcic przyjrzał mu się krytycznie.

– Wyglądacie, jakbyście u Belzebuba byli w gościnie – zauważył. – I kiedyście spali ostatnio?

Von Hasse odetchnął głęboko i trochę pojaśniało mu w głowie.

– Mam ciotkę w Lipzig, starszą siostrę mej matki – odrzekł pozornie bez związku. – Zacna z niej jejmość, tylko strasznie zrzędliva.

– Proszę, jak to się niektórym dowcip wyostrzył – parsknął na to Zaborski. – A teraz siądźcie sobie na schodku i odpocznijcie chwilę, żebym was nie musiał na plecach w dół targać.

Kapitan zastosował się do tej rady, podczas gdy jego towarzysz klepał się po kieszeniach i mrucał pod nosem. Wreszcie, zrezygnowany, przysiadł obok.

– Diabli wzięli manierkę. Pewnie została w łódce.

– W jakiej znów łódce? – zdziwił się von Hasse. – Wyjeżdżaliście dokądś? Łodzią? To jakżeście zdołali powrócić, kiedy nas nieprzyjaciel tutaj oblega?

– Wyjeżdżałem na koniu, a wróciłem po wodzie. – Zaborski zaśmiał się z własnego konceptu.

– Aha, to wtedy. – Von Hasse przypomniał sobie palbę, którą słyszał od strony jeziora. – Bóg was musi mieć w szczególnej opiece, albo święty Eustachy.

Zaborski odruchowo potarł pierścień herbowy, który nosił na palcu. Widniał na nim ten sam znak, co na ścianie starego kościółka – *Wędrowiec*. Zauważywszy, że von Hasse mu się przygląda, szlachcic lekko się zmieszał.

– Niewiele umyka waszej uwadze – stwierdził. – A więc pewnie i to, że nijak mi ludzi kłuć w oczy tamtą starą historią.

– Wasza wola – zgodził się bez oporu von Hasse. – To gdzieście byli?
Zaborski westchnął.

– Tylko zachowajcie to na razie dla siebie – ostrzegł. – Ledwie pan starosta niezbite dowody zdrady elektora uzyskał, wysłał mnie do namiestnika wojsk królewskich w Janowie...

– To polskie wojsko stoi w Janowie? – przerwał mu zdumiony von Hasse. Miejscowość ta leżała może dwa dni drogi od twierdzy.

– Już nie stoi, tylko idzie na Drahim.

– Chwała Bogu!

– A jakże. Nie po to król jegomość zwoływał chorągwie, by zalegały w obozie. Rzeknę wam w zaufaniu, że nie od dziś znamy brandenburskie knowania. Wiadomo było, że prędzej czy później przyjdzie do zbrojnej rozprawy.

– Toście mi przez cały czas próbowali powiedzieć – zauważył von Hasse z goryczą. – Takoz i pan starosta. Ale nie słuchałem, póki nie było za późno.

– Za to teraz już wiecie wszystko, co trzeba. – Zaborski klepnął go w ramię. – Lepiej wam już? To chodźmy na dziedziniec. Wasz porucznik Hopffer zgrabną barykadę naprzeciw bramy ustawił. Tam każdy muszkiet i każda szabla się przyda, póki pan namiestnik nie nadejdzie z pomocą.

Do obrony owego prowizorycznie wzniesionego bastionu jednak nie doszło. Wprawdzie ze wzmocnionej żelaznymi sztabami bramy leciały już drzazgi, lecz nieprzyjaciel nagle zaprzestał ostrzału. Z murów zakrzyknięto, że nadciąga królewskie wojsko. Von Hasse, zapomniawszy o dojmującym zmęczeniu, ruszył biegiem na górę, by wraz z innymi oglądać zmagania.

I zaiste było na co popatrzeć. Wpierw skrzydlata husaria starła się z brandenburskimi kirasjerami. Ci dzielnie stawili czoła przybyszom, lecz po krótkim czasie nie wytrzymali impetu i poszli w rozsypkę. Skończyło się to serią pojedynczych potyczek, w których Polacy, widno lepiej w sztuce szermierczej wprawieni, raz po raz zyskiwali przewagę. Resztki doborowej elektorskiej chorągwi salwowały się bezładną ucieczką, mieszając przy tym szyki własnej piechocie. Z drugiej strony spadła na nieszczęsnych piechurów polska lekka jazda, wyrzynając ich niemal w pień. Na koniec pozostali przy życiu Brandenburczycy próbowali bronić się przy taborach, lecz trwało to tylko do chwili, gdy dotarła na miejsce straszna wybraniecka piechota, której sława rozniosła się już daleko poza Rzeczpospolitą. Owi wywodzący się

z gminu żołnierze dla nikogo nie mieli litości. Szybko ugasili ostatnie ogniska oporu, w pierw palbą z muszkietów, a potem wyłuskując po jednym tych, którzy się skryli pod wozy, i siekąc ich toporami.

Prawdę rzekłszy, rzeź była to straszna i generał Krammer lepiej by uczynił, o wiele wcześniej prosząc pardonu. Czy by mu go udzielono, to inna rzecz. Sądząc z zawziętości Polaków, wieść o elektorskiej zdradzie musiała już odbić się wśród wojska szerokim echem. Nim bitwa dobiegła końca, już ledwie garstka Brandenburczyków broniła się wśród ziemnych umocnień, położonych u samych stóp zamku. Stamtąd wywieszono wreszcie białą chorągiew.

Von Hasse już tego nie widział, gdyż zasnął, wsparłszy się czołem o kamienny krenelaż. Ocknął się nieco, gdy prowadzono go na dół, a potem do własnej komnaty.

Rankiem nie pamiętał, jak znalazł się w łożu, lecz mało tym faktem przejęty, zjadł ze smakiem śniadanie, po czym znowu położył się spać. Zbudzono go dopiero na ucztę.

Dotarłszy na pokoje, gdzie się ona rzecz odbywała, ujrzał von Hasse tyleż znanych sobie twarzy, co nowych, jako że pan Potocki pragnął przede wszystkim ugościć tych, którzy przybyli zamkowi z odsieczą. Na poczesnym miejscu zasiadał pan hetman Jabłonowski, a obok pułkownicy i dowódcy chorągwi.

Kapitanowi mieszały się nieco polskie nazwiska i z pewnością nieraz by jakąś niezręczność popełnił, gdyby nie Zaborski, który dzielnie go w tych okolicznościach wspomagał. Czemu jednak tak wielu z nowo przybyłych nagle pragnęło z nim zawrzeć znajomość?

– Bo powiedziano im, kto w pojedynkę obronił bramę – wyjaśnił tę wątpliwość Zaborski. – Na dodatek pan hetman właśnie listy zaciężne dla swoich dowódców podpisał. Hmm...

– Cóż „hmm”? – zaniepokoił się lekko von Hasse. Nie pierwszy raz ciążyła mu nieznanostwa tutejszych zwyczajów.

– A to, że wojsko jedynie na krótko zatrzyma się pod Drahimem, czekając na posiłki i działa. Potem ruszamy dalej.

– Jakże to?

– Ano po prostu. – Zaborski niczym wilk błysnął białymi zębami w uśmiechu. – Słyszeliście chyba, że poprzedni nasz król, niechaj spoczywa w pokoju, całe Pomorze puścił elektorowi w lenno. Inna rzecz Drahim, który

dało się z jego rąk zwyczajnie wykupić, lecz reszta... Umowa wasalna, rzecz święta, zatem szczęśliwie się składa, że elektor sam jawnie ją złamał.

– Waszym zdaniem szczęśliwie?

– Tak! – odparł z niezwykłą zaciętością w głosie Zaborski. – Żaden to przyjaciel Rzeczypospolitej, wszak ze Szwedami się na jej niekorzyść układał. Im zresztą też nie dochował wiary, tyle że za odstąpienie od tego sojuszu słono kazał sobie zapłacić.

– Słyszałem – wtrącił von Hasse.

– Kto zaś nie słyszał! Ale na tym koniec. Król odbierze elektorowi te ziemie, całkowicie będąc w swym prawie. Dlatego ruszamy zaraz na północ i, da Bóg, nie wcześniej się zatrzymamy, aż zmoczymy końskie kopyta w Bałtyku.

Na widok zaskoczonej miny swego rozmówcy, Zaborski wybuchnął śmiechem.

– Prawdę rzekłszy – dokończył – miłościwy pan od dawna tylko czekał takiej okazji. A wiecie, co w tym wszystkim najlepsze? Teraz Fryderyk Wilhelm na darmo będzie błagał cesarza o pomoc.

– Pojmuję.

Jakoż w istocie, pojmował. Całość intrygi, w którą został mimowolnie wplątany, jasno stanęła mu przed oczyma. Zdał sobie również sprawę, że ów szlachcic, z pozoru beztroski brat-łata, posiada przecież dostęp do największych państwowych tajemnic. Zatem kim naprawdę jest pan Jędrzej Zaborski?

Ważne, że przyjacielem – odpowiedział sam sobie. – *A reszta to już nie moja rzecz.*

– Ejże, śpicie z otwartymi oczyma? – Zaborski właśnie przepijał doń kubkiem wina.

– Bynajmniej. – Von Hasse ocknął się z zamyślenia i spełnił toast z uśmiechem.

– Dobrze, bo chciałem was o coś zapytać. Jak już mówiłem, są listy zaciężne, a każdy z pułkowników rad by was miał pod swoją komendą. Pójdziecie z nami? Żeby się przy okazji u elektora i o własne rachunki upomnieć?

– Z chęcią bym to uczynił, ale nie mogę. – Chwilę wcześniej nawet by nie przypuszczał, jak przykro mu będzie tej propozycji odmówić. – Muszę się stawić przed najjaśniejszym panem i karę odeń przyjąć, jak na żołnierza

przystało.

– Karę? – Zdumiony Zaborski wytrzeszczył oczy. – A za co?

Tym razem zdziwił się niezmiernie von Hasse. Obrzucił towarzysza szybkim spojrzeniem, sprawdzając, czy ten może już zdążyć się upić.

– No jakże? Przecież śmierci księcia nie zdołał zapobiec, a to...

Przerwał, bo Zaborski pobladł naraz okropnie, jakby samą Kostuchę naprzeciw siebie zobaczył.

– Co wam?

Szlachcic z hukiem odstawił kubek na stół, czerwieniejąc z kolei gwałtownie.

– Nie powiedzieli wam! Jezus, Maryja! Nic wam nie rzekli, naprawdę?

– O czym?

– Wasz książe żyje. Będzie prawie tydzień, jak siedzi w ukryciu!

Von Hasse poczuł, jakby ktoś go nagle zdzielił pięścią w żołądek. Nie uwierzył jednak. Wcale. Jakże miałby uwierzyć, skoro wcześniej zdążył się już nie tylko z dobrą sławą, ale i z życiem pożegnać? Kilka słów miałoby to wszystko odwrócić?

– Żarty takie się was trzymają? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Alboście się spili z kretelem?

– Nie! – Zaborski zerwał się z ławy. – Chodźcie ze mną. Już, zaraz!

Von Hasse poszedł. Jednocześnie powtarzał sobie w duchu, że głupotą byłoby zawierzyć tak niespodziewanej nadziei. Może Zaborski zwyczajnie oszalał? Uroił coś sobie? Lecz gdyby była to prawda...

Wymknąwszy się z głównej sali, skierowali się ku lewemu skrzydłu budowli, tam gdzie znajdowały się zamkowe warsztaty oraz pomieszczenia dla służby. Minęła ich jakaś prosto odziana kobieta, niosąca kosz wypełniony wełnianą grępliną. Zza drzwi, które zamknęła za sobą, dobiegał charakterystyczny stukot krosien.

Nadal pracują? – zdziwił się von Hasse, bo pora była już dość późna.

Z drugiej strony, wobec wielkiej liczby rannych, z pewnością pilnie potrzeba było nowych płócien oraz bandaży.

Zaborski otworzył drzwi i za nimi ukazała się salka, w której rzeczywiście z pół tuzina niewiast zajętych było przędzeniem i tkaniem. Nadzór nad nimi trzymała postawna jejmość w średnim wieku, mimo marnego oświetlenia pracowicie schylając nos nad robótką. Na widok Zaborskiego uśmiechnęła się ciepło, lecz kapitana obrzuciła wielce

podejrzliwym spojrzeniem.

Z krótkiej rozmowy, która wywiązała się między tymi dwojgiem, von Hasse zdołał wyłowić jedynie własne nazwisko. Z jakiegoś powodu uczyniło ono spore wrażenie, gdyż pani wstała pospiesznie i podeszła ku niemu z wyciągniętymi rękoma. Von Hasse schylił się nad jej dłonią, lecz wówczas jejmość ujęła go oburącz za głowę i matczynym gestem serdecznie ucałowała w czoło. Nie wiedząc, co o tym myśleć, rozejrzał się nieco spłoszony na boki i jeszcze bardziej zdumiał. Z pudła pozostawionego na stole, w którym znajdowały się motki przędzy w najrozmaitszych kolorach, wystawała bowiem rękojeść króciicy. Pani natomiast, bez dalszej zwłoki, wzięła do ręki lichtarz i poprowadziła ich ku drugim drzwiom, znajdującym się w głębi pomieszczenia. Otwierając je, znacząco przyłożyła palec do ust.

Niewielką izbę, służącą pewnie wcześniej za składzik, urządzono bardzo wygodnie. Na podłodze pysznił się barwny turecki dywan, wstawiono dwa rzeźbione fotele oraz łoże z baldachimem. Na owym łożu pochrapywał sobie w najlepsze Karol Franciszek. Podczas gdy von Hasse patrzył nań z otwartymi ustami, książę zachrapał głośniejsze, po czym przewrócił się na bok, strącając przy okazji na podłogę bogato złożony kielich.

– Widzicie, żyje – szepnął mu na ucho Zaborski. – Tyle że trudno by go było teraz dobudzić.

– Nie ma takiej potrzeby. – Von Hasse wycofał się tyłem. – Ale nie rozumiem, czemu się dalej ukrywa?

– Gdyby pokazał się ludziom na oczy, to w godzinę wiedziałby o tym nawet pomocnik zamkowego kuchcika, a do następnego wieczora pół okolicy.

– A te panny? – Kapitan obrzucił spojrzeniem młode kobiety, tylko z pozoru poświęcające się teraz swoim zajęciom. W rzeczywistości wszystkie obserwowały ich bacznie.

– Nic nie powiedzą. – Zaborski roześmiał się krótko. – Tak tu już jest. Chcesz zachować coś w tajemnicy, to postaw na strażę niewiastę. One najlepiej wiedzą, jak przypilnować sekretu.

– Niebawie!

– Może i racja, ale nie o to wam chyba szło. Jenerała Krammera dopiero jutro puszczają na parol, postanowiono więc, że lepiej, by do swego pana powrócił wciąż przekonany, że książę nie żyje. Jego wysokość co prawda nudzi się setnie, ale sam tę ideę poparł, bo spodobała mu się myśl, by

elektora wystrychnąć na dudka.

– A pewnie! Niechaj wyjdą mu bokiem własne zdradzieckie knowania.

Zaborski z zapałem przytaknął.

– No więc, panie Ludwigu, jak teraz będzie? – spytał po chwili. – Wyzwicie mnie za te wszystkie kręctwa na szable czy też....?

– Wolałbym się z wami upić.

Szlachcic, wyraźnie rozradowany, siarczyście klepnął go w ramię.

– Kamień mi zdjęliście z serca – wyznał. – Chodźmy więc. Uczta jeszcze się nie skończyła.

– Jakaście rzekli? – zapytał go von Hasse po drodze. – Zamoczyć kopyta koni w Bałtyku? Zaiste piękny to będzie widok. Tak więc, jeśli tylko księżę się zgodzi...

– Na pewno. On już tak elektora pokochał, że sam gotów was wysłać po jego skórę.

– Cóż, wszak przysięgałem bezwzględnie mu służyć...

– Tak jest! A teraz bezwzględnie musicie się napić. I ja z wami.

Z tym ostatnim stwierdzeniem von Hasse bezwzględnie nie zamierzał się spierać.

Przemysław Karbowski

KLĄTWA BISKUPA

KACZMARKA

Pilnowanie krowy zaczęło Zygmunta denerwować. Jak nie trzeba, to rogata cholera potrafi walić placek za plackiem nawet bez zbytniego obżerania się trawą; teraz mało się zielskiem nie udławi, a o wyknoceniu się ani myśli. Złośliwe bydło. Jeszcze za krzewami agrestu się schowała, żeby zmusić swojego stróża, aby wstał z progu, na którym mościł się ładny kwadrans, zanim wypracował wygodną pozycję. Przewrotny zwierzak, jak sam diabeł.

– No i? – W drzwiach stanął ojciec. – Robiła coś?

Zygmunt przecząco pokręcił głową.

– To chodź na obiad. Co tak łupnęło?

Zza obory, z okolicy wychodka dobiegł ich niewyraźny trzask zlewający się z pluskiem i przerażającym krótkim kwikiem. Zygmunt i ojciec szybko ruszyli w tamtą stronę. Szybko, a jednak zbyt wolno; nic się nie dało zrobić.

Za kibelem, nad dołem z nieczystościami stał starszy brat Zygmunta, Janek, trzymając się za łysiejącą głowę. W gnojówce, wśród połamanych żerdzi, które jeszcze przed chwilą stanowiły kratę przykrywającą kloaczny dół, tonęła świnia. Nieświadoma swoich gabarytów i wytrzymałości olchowego drewna zakończyła spacer najstraszniejszą śmiercią, jaką na bieżącą chwilę mógł sobie wyobrazić Zygmunt.

– O Jezu, Jezu! – rozszlochała się matka Zygmunta, która dołączyła do skamieniałych z trwogi synów i męża.

– Teraz to już nawet Jezu z Maryją nie pomogą – warknął ojciec przez zaciśnięte zęby. – Jak pilnowaliśmy, tak mamy. Janek, skocz po bosak i widły, Zygmunt, zaprzęgaj Baśkę, musimy wytargać to nieszczęsne stworzenie.

– Ustawcie to radio porządnie, bo mnie zaraz szlag trafi! – ofuknął

sekretarza biskup Kaczmarek, komisarz Dystryktu Kaliskiego. Niczym automat zaczął przerzucać papiery na biurku, nie zadając sobie trudu skupienia się na którymkolwiek.

Sekretarz Ptasiński pogmerał pokrętełm radioodbiornika, mamrocząc pod nosem, że i tak nic nowego nie powiedzą. Spikera dało się wreszcie wyraźnie usłyszeć:

– ...maja 1957 roku wchodzi w życie decyzja o likwidacji tego haniebnego tworu, policzka dla całego narodu polskiego, bękarta traktatu jałtańskiego, jakim dla Polski i Związku Radzieckiego był Dystrykt Kaliski, który pod płaszczykiem pomocy w odbudowie zrujnowanego przez wojnę kraju stał się zwykłym rozsadnikiem kapitalistycznej propagandy. Po dziesięciu latach nieustannej amerykańskiej prowokacji, dekadzie siania zamętu w odbudowywanej Ojczyźnie, ta wroga enklawa mocą postanowień międzynarodowych wraca w granice Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Za chwilę nadamy komunikat specjalny ministra spraw wewnętrznych Romana Romkowskiego.

– No, dzisiaj jeszcze ten nie zabrał głosu – ironicznie zauważył biskup. – Majora Yorka na którą umówiliście?

– Na osiemnastą – sprawdził w notatniku Ptasiński. – Księżę biskupie, to co teraz będzie?

– Setny raz mnie o to pytacie. Będzie to, co mówią w radio. Ewakuacja korpusu amerykańskiego, wcielenie do Polski, gwarancje bezpieczeństwa dla nas... Nie słuchaliście prezydenta? Sekretarzu!

– Książę biskup wierzy w te gwarancje bezpieczeństwa? A te tysiące ludzi?

– To nie jest kwestia wiary. Nam może i włos z głowy nie spadnie, wyjedziemy za granicę zgodnie z aneksem praskim, a ludzie... Major York gwarantuje sto pięćdziesiąt miejsc do Ameryki. Listę już ustaliliśmy. Stu pięćdziesięciu najbardziej zagrożonych, których Berman od razu postawiłby pod ścianą.

– Stu pięćdziesięciu... – powtórzył sekretarz. – A te tysiące...

– Ptasiński, ja nie mogę uratować tysięcy! Wyrobiliśmy, ile się dało, fałszywych papierów, jeśli przejdą pierwsze dwie, trzy kontrole, jeśli nauczą się nowych życiorysów, będą żyli. Tak jak ci, którzy już przedostali się do Polski. Część ucieknie, całego dystryktu nie obstawią, niektórym uda się ukryć, część wpadnie w łapy bezpieki, część trafi do więzień, część zostanie

skazana na śmierć. Ja już nie mogę nic zrobić. Cała nadzieja w zamęcie, jaki jest teraz w Polsce. Nie jesteśmy ich jedynym problemem. Wyroki w procesie krakowskim mają zapaść pojutrze. A może być naprawdę różnie.

– Myśli ksiądz biskup, że oni Gomułkę... Że się odważą?

– Ja nic nie myślę. Ja tylko wiem, że to nie jest proces za kradzież czapki śliwek.

– Dzień dobry panom szlachcicom. – Tadek zeskoczył z roweru. – Kogóż to wuj Kazimierz chowa w tak piękny dzień?

– Daruj sobie i tych szlachciców, i kolejne głupie gadki. – Ojciec Zygmunta przyklepał z wierzchu świeżą ziemię, która przykryła doczesne cielsko nieostrożnej świni. Jak zwykle Tadek wyjechał z domniemanym szlachectwem swego wuja, którego przodek podobno przepuścił pół majątku przed którymś powstaniem, a pozostałe pół skonfiskowali carscy po powstańczych harcach. Bogiem a prawdą Kazimierz Karbowski uprawiał rolę jak jego ojciec, kontusze i szable widział w księżce, ale dla okolicznych mieszkańców i krewnych żony pozostał „szlachcicem”. Niewiele sobie z tego robił, jeśli szło o zwykłe docinki, ale gdy po wojnie rozdawano poniemieckie gospodarstwa, Karbowscy razem z Krzysztoforskimi załapali się na najpośledniejsze dopiero w roku 1948, podczas gdy wszystkie Adamki, Jakóbczaki, Antosiki, Poszwy i Ciołki z racji przaśnie i ludowo brzmiących nazwisk zostali obdarowani przez PKWN już w 1945 roku. Smutne to były czasy, gdy przez nazwisko można było trzy lata biedować.

– Rzeczywiście przerąbane – spowaźniał Tadek na wieść o właśnie pochowanym zwierzaku. – Z kupy forsy nici. A tu jeszcze kontyngentami cisną. A gdzie ta krowa? Wyrwana chociaż?

Tadek, na co dzień będący bratankiem żony Kazimierza i kawałem łobuza, od święta trudnił się zaszczytnym procederem oceniania cielności krów, a w fachu tym na głowę bił większość weterynarzy i domorosłych znawców. Podobno nigdy się nie pomylił, bo też podejście miał iście profesjonalne, to znaczy nigdy nie wygłupiał się z nakładaniem gumowych rękawic, folii i tym podobnych wynalazków, tylko pakował krowie w zadek gołą rękę. Rękawice dobre są dla miastowych konowałów, zwykły mawiać, a pieniądze wezmą, nawet gdy się pomylą. Więc co to za interes? Z takiego założenia wychodzili mieszkańcy okolicznych wsi, bo Tadek kasował nieco mniej od weterynarzy, ale trzeba mu było zapewnić sporo wody i mydła

oprócz paru złotych i flaszki bimbrow. Cóż to jednak było wobec trafnej diagnozy zacielenia.

Obok pasącej się krowy widniały dwa świeże placki, okupowane przez rój much. Można było przystąpić do badania. Bydlę domowe nie wyglądało na zachwycone, gdy Tadek aż po łokieć zanurkował w krowim tyłku. Pokręcił, pomacał, pokiwał głową.

– Cielna, jako żywo.

Wszyscy odetchnęli. Jak już dzisiaj taka strata ze świnia, to chociaż pieniądze wydane na byka rozplodowca nie okazały się wyrzucone w błoto.

Mirka, siostra Zygmusia i Janka, wyniosła na dwór miednicę z ciepłą wodą i duży kawałek szarego mydła. Tadek gwizdnął przeciągle i zaczął szorować ręce.

– Kuzyneczko, tak się odstrzelić do karmienia kur? Nie wytrzymam...

Rzeczywiście, Mirka nie dość, że wyrzała na dwór w niedzielnej kiecce, to jeszcze nałożyła bynajmniej nie odpustowy pierścionek. Kazimierz lekko się zdenerwował.

– Pies cię będzie widział, jeszcze zgubisz tę biżuterię. Zamiast świni pilnować za pindraczenie się wzięła, bo Ignac dzisiaj przyjeżdża.

– Pewnie nowe wieści z dystryktu, co? – spytał Tadek w nadziei, że zostanie zaproszony na opóźniony z racji świńskiej katastrofy obiad i nasłucha się nowin od narzeczonego Mirki. – Swoją drogą, jak on dostał taką przepustkę? W głowie się nie mieści.

– Gównu cię to obchodzi – mało szlachecko odpowiedział Kazimierz. – Ile się należy, bo pewnie bardzo się spieszysz?

– Od rodziny nie będę kasował – zaperzył się Tadek. – Ale jakąś flaszeczkę bardzo chętnie.

– Uprzedzam, że nie mam bimbrow. Wino z jeżyn może być?

– Jasne. – Tadek, przybity tak ostrym potraktowaniem przez wuja, łypał na kurhanik, pod którym spoczęła świnia, i widać było, że myśli. Odebrał od ciotki Reginy siatkę z litrową butelką i wskoczył na rower.

– Mieście się, panowie. A ten burdel na podwórku moglibyście uprzątnąć, bo od razu widać, że porządki iście szlacheckie...

Kazimierz nie dał się sprowokować, co Tadka przybiło jeszcze bardziej. Ani obiadu, ani bimbrow, ani nowin, ani słownej przepychanki. Za to wuj z ironicznym uśmiechem pomachał mu na pożegnanie.

Aleksander Władimirowicz Kuzniecowa dostał takich drgawek po wczorajszym pijaństwie, jak jeszcze nigdy. Myślał, że zaraz zleci z łóżka. Co ci Amerykanie stawiali? A zadanie miał zupełnie inne. Upić Jankesów i wydobyć od nich jakieś informacje. Kto mógł przewidzieć, że to takie tęgie łby?

Kuzniecowa zaczął sobie uświadamiać, że to nie drgawki tak nim telepią, tylko ktoś mocno szarpie nim wte i wewte.

– Ile palców widzisz, ścierwo? Schlał się jak świnia! Kuzniecowa, mówię do was! Który mamy rok? No?!

Lepiej było dostać drgawek, niż podpaść lejtnantowi Rykowowi. Ten nie tylko szarpać umiał. Do łagru wysłać albo od razu do piachu – ani jedno, ani drugie nie stanowiło dla Rykowa problemu.

– Czterdziesty piąty – wyrzucił z suchego gardła Kuzniecowa. – Towarzyszu lejtnancie, palców nie widzę w ogóle...

– Bo ciemno jest, kretynie. Noc.

Rykw zapalił światło i popatrzył złośliwie, jak Kuzniecowa zasłania zmęczone po libacji oczy.

– Sokołow napruty, Tietiuchin narąbany, a wy, łeb podobno najtęższy, najebany w trzy dupy. Szykuje się piękny awans dla wszystkich trzech. Prosto z fotografii i kartografii na Kołymę. Pięknieście wydziałowi odpłacili.

Kuzniecowa zaczął trzeźwieć z przerażenia.

– Towarzyszu Rykw, ci Jankesi musieli czegoś dodać do tej wody, bo to jest niemożliwe. Nic od nich nie wydębiliśmy, bo...

– A trącał pies tych waszych Jankesów. Co wyście chcieli wydębić od tych płotek? Ile mają dzieci w Arizonie i ilu Murzynów pobili...? Dwóch tłumaczy i jakiś protokolant zafajdany. Mnie idzie o to, że wyście musieli się schlać już w podkomisji, skoro takie cuda z niej wyszły.

– Jakie cuda?

Lejtnant Rykw zdzielił Kuzniecowa otwartą dłonią i zaciągnął go do stołu. Rozłożył mapę.

– Co to jest?

– To? Nowa Polska, ta w przyszłości, co ma być... Linia Curzona, tośmy mieli wykreślić, bo polscy komuniści nie chcieli...

– Lwowa i Grodna nie chcieli rzeczywiście. Ciekawe, co na to powiedzieli Mikołajczyk z Arciszewskim? Ale to, co to jest?

– Wschodnie Niemcy. Rekompensata za ziemie utracone przez Polskę i...

– Kuzniecowa, jak wam zaraz przydzwonię, to do końca życia będziecie mówili tylko po angielsku. Co to jest? To żółte! Stettinius nasmarkał czy Churchill? Ktoś brudnym paluchem dotknął? A może jakaś ogromna mucha raczyła się zesrać? Gównem wielkim jak Kalisz i okolice? No?!

Kuzniecowa teraz dopiero załapała.

– Ach to... To ma być District Calisia, do nas to już dotarło w takiej formie. Zatwierdzone szczebel wyżej.

– Jaki szczebel wyżej, skoro już zaczęła się taka jazda, że zaczynają lecieć głowy? Moja i twoja też polecą. W jajo daliśmy się zrobić Amerykanom. Jakaś wolna strefa na dziesięć lat, co to ma być? Kolejny stan, tylko na terytorium Polski?

– Amerykanie chcą zrobić bazę dla gospodarowania pomocą dla Polski, tak zrozumiałem. Plan pomocy jest dziesięcioletni, tyle lat ma też stacjonować amerykańskie wojsko... Przecież myśmy tego nie wymyślili w podkomisji!

– I dla gospodarowania workami mąki i cukru zażyczyli sobie całego miasta i kilku okolicznych wsi? A na workach siedzieć będzie amerykański żołnierz? W sercu Polski, którą to my mamy zagospodarować? W całej Jałcie żaden kot nie może myszy złapać bez naszego przyzwolenia, a tu na własnych śmieciach Amerykanie fundują nam taki pasztet? Kuzniecowa, nie suszy was?

Kuzniecowa ze strachu zapomniał, jak bardzo go suszy.

Kazimierz patrzył bez entuzjazmu na talerz z gotowanymi ziemniakami. To nie było coś, za czym przepadał. Wyczekał moment, gdy żona odwróciła się przy kuchni, by nałożyć mięso, i przez otwarte okno wyrzucił parujący symbol Wielkopolski. W trymiga zleciało się stadko kur i na wypródki rozdziobało pożywną potrawę.

– Kawalek chleba masz? – zapytał małżonkę.

– Już zjadłeś? – zdziwiła się Regina, to znaczy znakomicie odegrała zdziwienie, bo ziemniaki zwykła nakładać Kazimierzowi tylko z obowiązku, w nadziei, że czasem, w przypływie dobrego humoru albo roztargnienia, nieopatrznie je skonsumuje.

– Swoją drogą – dodała – Tadzka trzeba było na obiad zaprosić.

– Tego jeszcze brakowało. Ja na pamięć znam tę jego głupią gadkę. A to wuj jeszcze nie obsiał, nie poraź, nie zżał, nie wykopał? A wszyscy już

obsiali. No ale widno to takie szlacheckie porządki. Ile można tego słuchać? Żeby to nie było takie nicpotem, to prasnąłby go człowiek orczykiem w łeb, ale wiesz, co mu w tym łbie siedzi?

Miał rację Kazimierz. Tadek, jako się rzekło, był niezgorszym łobuzem, co poniektórzy mieli go nawet za bandytę, gdyż zaliczył trzyletni pobyt w kamieniołomach w uznaniu zasług na polu kłusownictwa oraz epizod nożowniczy na zabawie w Będziechowie. Od zarzutu rozboju został uniewinniony, bo wraz z bratem skutecznie zastraszył głównych świadków i poszkodowanego. Tadek poprzerzucał trzy lata bazalt w Lubaniu Śląskim i wrócił do macierzy. Zresocjalizowany na miarę możliwości władzy ludowej, to znaczy wcale.

– Trafili mi się bratankowie, ale przecież rodzina...

– Nie bierz mnie, kobieto, na takie ckliwości, bo się popłaczę i mięsa nie dojem. Jest i Ignac.

W drzwiach kuchni stanął rudziejący blondyn w typie nordyckim, chyląc czoła przed pałaszującą obiad rodziną. Ucałował w rękę Reginę i Mirkę, potrząsnął prawicami Kazimierza i Janka, Zygmunia poczochnął po czuprynie i zasiadł przy stole.

– Widzę, że mam szansę załapać się dzisiaj na drugi obiad. – Uśmiechnął się. – Już nas ludzie biskupa nakarmili.

– Kolejną boazerię biskupowi kładliście? Tamta przestała mu się podobać? – spytał Kazimierz.

– Gdzie tam, trybunę zbijaliśmy na rynku. Taką konkretną, bo ma się w niedzielę nazjeżdżać tego tałatajstwa przy przekazaniu władzy Polsce. Berman, Minc, Romkowski, cały rząd prawie...

– No, najlepsi synowie narodu polskiego, jako żywo – wyzłośliwił się Kazimierz. – Piast z Piastów Piastem pogania, psiakrew... A nam dzisiaj świnia się utopiła w gnojówce.

– O! – Ignac odruchowo wlepił wzrok w sztukę mięsa na talerzu.

Janek z Zygmuntem parsknęli śmiechem.

– Nie ta akurat – pocieszył Ignaca Janek.

Wszyscy zaśmiali się mimo niewesołych okoliczności, ale nie był to kres radości. Na podwórku rozjazgotały się psy, znak, że goście u bram, a po chwili na progu ukazał się Tadek. Czerwonawy na twarzy, z pustą butelką po winie z jeżyn.

– Mógłbym dostać od wuja drugą? – wybełkotał. – Przewróciłem się na

rowerze i ta mi się wylała...

– Trochę to jednak ryzykowne, jeśli mam się podzielić własnym zdaniem.
– Mołotow przygryzł węża. – Operacja na dużą skalę.

– Nie na taką skalę operacje robiliśmy. – Rozmówca Mołotowa machnął lekceważąco ręką. – Plan jest dziecinnie prosty. Z zewnątrz ma to wyglądać, jakby pomysł faktycznie wyszedł od Amerykanów, i z tym nie powinno być problemu. Ucieszą się na tyle, że do głowy im nie przyjdzie, że faktycznie sami na to nie wpadli. Jeszcze bardziej ucieszą się Polacy, bo im się ciągle wydaje, że Roosevelt reprezentuje ich interesy, a zdążył ich sprzedać co najmniej trzykrotnie. Propagandowo urosną i jedni, i drudzy; patrzcie, jak wykiwaliśmy Sowietę! Sam Stalin oberwał od wujka Franklina! I to u siebie w domu! Mikołajczyk pęknie z dumy.

– Ale aż dziesięć lat?

– A czemu nie? Jeśli Ameryka chce futrować Polaków przez tyle lat, proszę bardzo. Wpływu na to, w czyje ręce wpadnie ta pomoc, już nie będą mieli. Mogą sobie nawet radiostację w tym Kaliszu otworzyć i sączyć kapitalistyczną propagandę na całą okolicę, dokąd sięgną ich nadajniki. Potem sobie wrócą do domu, nadajniki zwiną, szlachetną misję zakończą, a my z czym zostaniemy?

Mołotow bardzo słusznie uznał pytanie za retoryczne.

– My zostaniemy z miastem pełnym wrogiego socjalizmowi elementu, z masą nieprzekonanych co do Związku Radzieckiego. Z ludźmi, którzy nie będą przed nami i naszymi polskimi kundlami zwiewać na Zachód, bo po co? Zwieją do Kalisza, bo blisko, bo Amerykanie, bo pomoc, bo złota wolność w tym dystrykcie będzie. Będą cały czas mieli nadzieję, że wybuchnie trzecia wojna światowa, że Stany odwiną się, a oni wrócą do Lwowa. Tego Lwowa, który byłem gotów im oddać, a polscy komuniści powiedzieli „zbytek łaski”. Nie to nie...

– Ten wrogi element rząd Polski dostanie jak na tacy – zauważył Mołotow. – Krótko mówiąc, Amerykanie nie dość, że przez dziesięć lat będą ślali nam pomoc, to jeszcze zgrupują w jednym miejscu prawie wszystkich wrogów nowej Polski. Tylko trzeba będzie tę Polskę przez dziesięć lat utrzymać.

– O to niech was głowa nie boli. Nikt palcem nie kiwnie w sprawie Polaków, bo te sprawy już dawno zostały, jak sami wiecie, przesądzone,

jeszcze przed Teheranem. Nie po to szykujemy listę trzystu tysięcy repatriantów, żeby na tej liście znalazł się choćby jeden nasz wróg. Chcieliście powrotu przedwojennych obywateli, proszę bardzo. Trzeba się było w swoim czasie martwić, komu to obywatelstwo przyznajecie na prawo i lewo.

– Nie wiem, czy Polacy przełkną takie upokorzenie.

– Kto nie przełknie, ten się udławi, bądźcie pewni, Wiaczesławie Michajłowiczu. Zębami i krwią się udławi, ołowianą kulą i stalową gazrurką. Ale odwrotu już nie będzie, chyba tylko uciekać do tego Kalisza, tej małej Ameryki. Co dalej, wiadomo...

– Właśnie miałem o to spytać, dlaczego akurat Kalisz?

– Trochę z przekory. Miasto dziwne i zawsze ważne, polskie, pruskie, rosyjskie, francuskie. Ciągłe pole bitwy wywiadów. Amerykańsko-radzieckiej jeszcze tam nie było, to i będzie. Nie muszę przecież dodawać, że po dziesięciu latach połowa tych dobroczynnych Jankesów będzie naszymi agentami? Wrócą sobie do ojczyzny, a my już o nich nie zapomnimy i o sobie też nie damy im zapomnieć.

– Józefie Wissarionowiczu, jesteście genialni.

Największy, niestety, polityk XX wieku nie skomentował. Słyszał to codziennie, dawno przestał przywiązywać wagę do tego rodzaju komplementów. Sam wiedział najlepiej, że to prawda.

– Uroczystości mają być przez całą niedzielę – tłumaczył Ignac. – Wkroczy wojsko polskie i sowieckie, już się zgrupowali w Cekowie, w Opatówku, z każdej strony właściwie wejdą. Na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy uciec. Ale to bardziej takie straszenie, zaplanowali defiladę. Przecież w niedzielę nie zaczną od razu biegać po mieście z listami gończymi.

– Pewnie nie. – Kazimierz zamyślił się. – Zwłaszcza że część poszukiwanych na pewno nie żyje. Tak na moją głowę to całe miasto będzie chciało uciec. Każdego mogą złapać za dupę jako amerykańskiego agenta. Pracowałeś dla Amerykańców, wysługiwałeś się im, hajda do pierdła! O tym chyba biskup nie pomyślał? A on sam co? Prosto do Watykanu?

– Albo i do Ameryki, zostać tu, na pewno nie zostanie, tego jeszcze brakowało! Tadek, już się naoglądałeś? Dawaj, bo zniszczysz, a to od poniedziałku będzie tylko pamiątka.

– W poniedziałek to ty lepiej wyrzucić ją do Proсны. – Tadek oddał Ignacowi przepustkę. – Zapomnij, żeś to w ogóle miał.

– Ten huncwot ma rację. – Kazimierz zapalił papierosa. – Bo cię zamkną jako pomagiera biskupa i Amerykanów.

Ignac westchnął ciężko.

– I tak jestem w ewidencji. Choćbym ją zeżarł, i tak będą wiedzieli.

Wyrobienie przepustki na poruszanie się poza Dystryktem Kaliskim dla jego mieszkańców wymagało zgody władz polskich, a dokładnie Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, który bardzo chętnie takie przepustki wydawał, jeśli tylko biskup raczył zapłacić za nie w dolarach, a że duchowny miał ich ilość ograniczoną, w związku z tym Ignac sytuował się w wąskiej elicie szczęśliwców i wybranych. Przez trzy lata co prawda, ale zawsze coś.

– Ignac, a o co chodzi z tą klątwą? – zapytał niepewnie Zygmus.

– Dzieciaku, ty nie czytaj tych gazet, tylko za robotę się bierz, bo potem świnię toną – powiedział ostro Kazimierz. – Jeden głupstwa wyczytuje, drugi najchętniej by spał, a ta się stroi w dzień powszedni, nie ma komu robić. Tadek, ty już nie musisz do domu?

Bratanek Reginy ocknął się, bo już przysypiał na stole sponiewierany jeżynowym winem..

– Jasne, wuju, już mnie nie ma. Jutro do Cekowa muszę jechać w ważnej sprawie.

– Znam ja te twoje ważne sprawy. Pohandlować z wojskiem, bo amunicji brakło do sztucera? A tu jeszcze jakieś jelenie i zające błakają się po lasach.

Czy rzeczywiście zmarnowaliśmy dziesięć lat, myślał biskup Czesław Kaczmarek, siedząc w obitym jesionową boazerią gabinecie. Wszystko na to wskazuje. Daliśmy ludziom namiastkę normalnego życia, nikt nie chodził głodny, bo jedzenia z Ameryki było pod dostatkiem, handlowaliśmy z Polską tym co udało się wyprodukować w Kaliszu... I co się teraz stanie z tymi zakładami meblowymi, z włókiennictwem, z przetwórstwem mlecznym? Na wszystkim łapę położy Berman i tyle z tego będzie. A tutejsi stolarze, złote ręce po prostu. Ten, jak mu to było, no tak, Ignacy przecież, pierwsze skojarzenie z Loyolą, fachowiec jakich mało. Zapracował na tę specjalną przepustkę.

A może mi się tylko wydaje, że to życie było normalne? Może ci ludzie czuli się jak w klatce? Niewielu miało przecież przepustki do Polski. Z jednej

strony nie mogli spotykać się z rodziną w Polsce, z drugiej napłynęło tylu uciekinierów z kraju... Administrowałem, zarządzałem, a o nich chyba za mało myślałem. Teraz boją się, nie wiedzą, czego po tej Polsce mają się spodziewać, bo ona w sumie bardziej sowiecka niż niejedna republika związkowa. Stalin już o to zadbał.

– Następne rewelacje na księdza biskupa. – Sekretarz Ptasiński bez pukania wszedł do gabinetu. Podał biskupowi gazetę z Polski i pokazał, o który artykuł chodzi.

– Nic nowego w sumie. – Biskup Kaczmarek pobieżnie przejrzał tekst. – No musieli wywlec te okupacyjne historie. Czy ja coś złego zrobiłem? Mówiłem dokładnie to co Doboszyński, ekonomia krwi, nie wrzucajcie do niemieckich barów mlecznych bomb, bo za byle pruskiego chmyza odda życie wielu dobrych Polaków. Nie miałem racji?

– Doboszyński też najlepiej na tych teoriach nie wyszedł – zauważył Ptasiński. – Świeć Panie nad jego duszą.

– Zachciało mu się wracać do Polski. – Biskup wzruszył ramionami. – Nie wiedział, że kto wypalił w życiu jednego amerykańskiego papierosa, ten od razu szpieg. No jest i o szpiegostwie, jakżeby nie. A czym ja, na litość boską, mam być szpiegiem, jak zarządzam dzięki Amerykanom? Podpisał się ktoś pod tym, bo nie chce mi się czytać do końca?

– Jakiś Mazurski czy Mazowiecki, właściwie nieważne.

Biskup Kaczmarek w powojennym czasie miał okazję poznać ówczesnego ambasadora amerykańskiego Arthura Bliss Lane'a, z którym szybko znalazł wspólny język, prawie tak szybko jak znalazła biskupa bezpieka, kiedy przekazał dyplomacie raport o prowokacji kieleckiej z 1946 roku. Takie polsko-amerykańskie konfidencje na miłą śmierdziały politycznym procesem i nieuchronną karą, ale przez przypadek albo i na złość ludowej władzy Amerykanie w 1947 roku na zarządcę utworzonego mocą porozumienia jałtańskiego Dystryktu Kaliskiego zaproponowali właśnie biskupa, nad którym nagle rozpostarto międzynarodowy parasol ochronny. Duchowny biegły w tematyce Kielecczyzny zniecka został rzucony na wielkopolskie wody i prędko musiał nauczyć się nowej roli, rozumiejąc aż nadto, że na tyle dobrze rozmawiało się z nim Lane'owi, iż mocodawcy ambasadora postanowili uratować biskupa od srogiej kary z rąk Bermana i spółki. Powojenny polski rząd, w którym na trupie otrutego w 1946 Bieruta tańcowali Jakub Berman z Władysławem Gomułką,

warunkowo zgodził się na biskupa Kaczmarka w Kaliszu, bo i w sumie nie miał nic do gadania. Aneks praski do umowy jałtańskiej precyzował, że współpracowników w District Calisia Amerykanie wybiorą sobie sami. Prezydent Berman musiał odpuścić butnego biskupa i zająć się swoją robotą. W dalekowzrocznych planach kreślił rozprawienie się najpierw z frakcją premiera Gomułki, co sowieccy doradcy sugerowali nieśmiało, gdy już okaże się, że formuła współpracy desygnowanych przez Stalina aparatczyków żydowskiego pochodzenia z przedstawicielami polskiego komunizmu „ludowego” wyczerpała się.

– Boże miłosierny! – Biskup załamał ręce. – O mojej klątwie też piszą? Ptasieński, uszczypnijcie mnie, bo ja chyba śnię. Sam dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań się wypowiedział.

Rzeczywiście, na łamach gazety Jan Izydorczyk mierzył się z plotkami, którymi od miesiąca żyła Wielkopolska, że na odchodnym biskup Kaczmarek rzuci klątwę, tylko nikt dokładnie nie wiedział, jaką i na kogo. Trajlowano, że najpewniej na wojsko obstawiające dystrykt, osobną na Bermana, jakąś specjalną na Stalina, oby szczeł jak najprędzej, choć się nie zanosilo, odkąd pięknie wyautował ekipę Chruszczowa, który okazał się dla generalissimusa za cienki w uszach.

– „Nie zapominajmy – czytał na głos biskup Kaczmarek – że prości ludzie nie rozumują w tym wypadku w kategoriach ekskomuniki. Bardziej chodzi im o coś w rodzaju czaru, zaklęcia, które spowodować miałyby określone przykre skutki dla osoby obłożonej klątwą. To pokazuje, jak mimo naszych starań ciemnota i zabobon wciąż nie zostały w Polsce Ludowej wykorzenione, zwłaszcza z terenów wiejskich. Przed nami dużo pracy, ale jak pokazuje przykład Związku Radzieckiego, gdzie wielkim wysiłkiem Józefa Stalina i...”. Powiedzcie, Ptasieński, że ta Polska nie jest jakimś domem wariatów? O Gomułce i Spychalskim by się zająknęli.

– W prasie nie ma tematu. Ani słowa aż do ogłoszenia wyroku. Nikt nie wie nawet, co jest w akcie oskarżenia. Proces przecież utajniono...

– Dziwnie się plotą te polskie losy – westchnął biskup. – Pięć lat temu, gdy Gomułka podpisywał u nas umowy wymiany towarowej, mogłem mu zaproponować azyl. A ja go zapytałem, czy po wszystkim będzie dla mnie miejsce w Polsce poza więzieniem. Nie mógł mi dać gwarancji, twierdził, że póki co jest pionkiem. Doszedł do premierowania i trafił do więzienia. Lepiej było dla niego zostać tym pionkiem.

– Jak w szachach – popisał się celnym spostrzeżeniem sekretarz Ptasiński. – Doszedł na koniec planszy i został białym hetmanem. Na moment, bo dwa pola w lewo czekał czarny hetman. Wiesław nawet buławy nie powąchał i zaraz został zbity.

Psy ujadały przez pół nocy, ale Kazimierz z rodziną ani myślał wyściubiać nosa poza chałupę, by sprawdzić, co też się dzieje. Lepiej dać się okraść, niż oberwać, powtarzał, zachowawczo głaszcząc trzonek siekiery, na wypadek gdyby ewentualnym złodziejom mało było łupu w obejściu i zapragnęli przestąpić próg domostwa.

Rano okazało się, że nic nie zginęło, inwentarz odmeldował się co do sztuki podczas karmienia, ot, głupim kundlom coś się w głowach musiało poprzesztawiać.

W drodze do wychodka Kazimierza uderzyła nagła zmiana w zaaranżowanym wczoraj krajobrazie pastwiska. No tak, coś się nie zgadzało. O ile poprzedniego dnia skromny grób świni cieszył oko regularnym kształtem, o tyle dzisiaj wyglądał, jakby dobrała się do niego wataha cmentarnych hien. Z tego, co się Kazimierz orientował, świnia nie miała złotego drutu w ryju, o zębach nie wspominając, w ogóle pochowana była bez kosztowności.

– Tato, co to? – Zygmus wyhamował na zakręcie, jak i ojciec przypilony potrzebą. – To dlatego psy tak wyły. Wilki? Skąd tu wilki?

– Zwłaszcza takie na wozie jeżdżące. – Ojciec wskazał Zygmusiowi ślady na mokrej trawie. – W konika zaprzężonym.

– Tato, co się stało?

Kazimierz złapał Zygmuś za kołnierz, bo dzieciak, zagadując, wyprzedził go przed wychodkiem.

– Nic się nie stało – powiedział beztrosko, choć prawdopodobny scenariusz nocnych wydarzeń układał mu się już w głowie aż nadto wyraźnie. – Jakby kto pytał, świnia chciała wstać z martwych, ale Berman odwołał koniec świata. Szoruj do szkoły.

– Towarzyszu prezydencie, żebym ja was musiał uczyć. – Pantielejmon Ponomarienko kiwał się na krześle. – Wydziały propagandy leżą, literaci leżą, walicie na oślep, jak was tylko spuścić z oka.

– Towarzyszu generale. – Berman zacisnął wargi. – Nie sądziłem, że byle

odezwę mamy konsultować z ambasadą radziecką...

– Dajcie spokój z tym generałem, było, minęło. – Ponomarienko odchylił się na krześle tak mocno, aż Berman pomyślał, że ambasador wyrznie o ścianę. – Nie byle odezwę, a odezwę o powrocie Dystryktu Kaliskiego do macierzy. Nie będę wnikał, kto wymyślił sformułowanie „bękart traktatu jałtańskiego”, jakaś tęga głowa widocznie, ale pewne granice jednak są. Brzydka sugestia, że w Jałcie rodziły się jakieś bękarty, była zapewne niezamierzona, chodziło o podkreślenie efektu, rozumiem. Druga sprawa to proces krakowski. Zapytam brutalnie, co za debil wpadł na to, żeby wyrok ogłaszać w sobotę?

Prezydent Berman spurpurowiał na twarzy. Dostrzegł to dyplomata.

– Dajcie spokój. Przecież nie chodziło mi o szabas... Przepraszam was.

Berman spąsował jeszcze bardziej i Ponomarienko pojął, że debil od ustalania terminu wyroku właśnie przed nim siedzi.

– Idzie, towarzyszu prezydencie, o to, że jak wy w sobotę skażecie Gomułkę, to cały kraj będzie nadawał tylko o tym i mało ludzi zajmie, że Kalisz wraca do Polski w niedzielę. Propagandowo jest to złe rozwiązanie, sami rozumiecie. W niedzielę przyłączacie Dystrykt Kaliski, a wyrok w poniedziałek. Euforia z tego powodu powinna nieco przykryć los Wiesława, choćbyście go za jaja powiesili. Ma w końcu jeszcze w Polsce zwolenników. Romkowski mówił nawet o groźbie wojny domowej.

Romkowski mówić dużo i bez sensu potrafi, tylko po co się wykazuje przed ambasadorem Związku Radzieckiego, pomyślał Berman.

– Pan minister przesadził, wiem – ciągnął ambasador. – Aż tylu entuzjastów Gomułka mieć nie może li tylko z powodu wstrzymania kolektywizacji, tak jakby to on osobiście wstrzymał, śmiechu warte... Nasze propozycje są następujące. Po pierwsze wyrok na gomułkowców w poniedziałek, po drugie całą sobotę radio ma trąbić o odzyskaniu Kalisza, i zmieńcie ton, ani słowa o bękartach, kapitalistycznej propagandzie, amerykańskiej prowokacji, ludzie pamiętają tylko ostatni komunikat. Ma być prosto i rzeczowo, dziesięć lat minęło, Amerykanom wybaczymy i prosimy o wybaczenie, cała Polska wita Kaliszan, coś w tym guście, niech ci wasi literaci coś wymyślą. Jak dobrze wiosną nad Prosną i tak dalej.

Berman słuchał w milczeniu.

– Po drugie wiemy, że z ministrem Romkowskim aż palicie się do rozprawy z byłym podziemiem, którego luminarze skupili się w Kaliszu.

Wiemy, że w swojej zapalczywości jesteście w stanie już w niedzielę po południu biegać po Kaliszu od domu do domu, szukając byłych akowców, eneszetowców i kogo tam jeszcze. A ja wam mówię, nawet nie próbujcie. Wszystko ma wyglądać tak ładnie jak w tych odezwach, co je będziecie wałkować w sobotę i niedzielę. Pokój i pojednanie.

– Amerykanie na pewno zabiorą ze sobą kilku największych wrogów Polski Ludowej – odezwał się prezydent.

– Oczywiście, że zabiorą i nie kilku, a stu pięćdziesięciu. W razie jakby Romkowskiemu za naszymi plecami coś głupiego ponownie przyszło do głowy, przekażcie mu, że zestrzelenie amerykańskich samolotów nie wchodzi w grę.

– Towarzyszu ambasadorze! – Berman miał już dość upokorzeń.

– Dobra, dobra. – Ponomarienko wykonał uspokajający gest. – Minister jest człowiekiem oddanym, tylko niezbyt lotnym, poza tym o zestrzeleniu mówił w zeszłą niedzielę na bankiecie. Niby cicho i do samych swoich, a wyszło jak zawsze. Wracając do rzeczy, z odwetem wobec wrogów ludowej ojczyzny wstrzymujecie się do czasu, aż przekażemy wam listę osób, które otrzymały nową tożsamość. Biskup Kaczmarek wydał ładnych parę dolarów na świetnie podrobione papiery, aby uratować wielu waszych nieprzyjaciół, i pewnie by mu się udało. A na tej liście będziecie mieli wyraźnie napisane, że taki Zygmunt Szendzielarz pseudonim „Łupaszko” to teraz Witold Krawczyk i mieszka sobie w Kaliszu na ulicy Częstochowskiej pod numerem trzecim. Rozumiecie? W kontekście wyroku na Gomułkę bardzo głupie byłoby pośpieszne rzucanie się na ludzi, którzy walczyli z Niemcami, choć nie było im z nami po drodze, nieprawdaż?

Ambasador Ponomarienko przerażał Bermana coraz bardziej. Prezydent zaczynał powoli rozumieć żelazną logikę Sowietów. Ale odważył się zapytać:

– Jeśli można, towarzyszu ambasadorze, skąd macie tę listę?

Dawny generał-porucznik Ponomarienko zaśmiał się hałaśliwie.

– Widzę, że już się na mnie nie gniewacie? Od kapitana Neuwendyke’a.

– Od prawej ręki majora Yorka? – zdumiał się Berman.

– Niezupełnie. Major York jest leworęczny.

Żołnierzom chwilowo stacjonującym w Cekowie, w przeciwieństwie do towarzyszy broni w Opatówku, nie przydzielono do kompanii radzieckich

kolegów. Z jednej strony dobrze, gdyż wspólne pijaństwa ze wschodnimi przyjaciółmi nierzadko kończyły się zgonami, bo też nikt nigdy nie wiedział, jakie oni mają specyfiki w manierkach. Z drugiej jednak, jak się trafiło na dorzecznych Ruskich, to i weselej być mogło, bo piosenek znali multum, kuglarskich sztuczek niemało, a jak się jeszcze trafił rasowy iluzjonista w mundurze, to rozrywki bywały niezapomniane.

– Dobrze, że już jutro ta defilada. – Chorąży Łaciak zaciągnął się papierosem. – Bo już skupiliśmy chyba całutki bimber od okolicznych chłopów.

– Eee, nie wierzę. – Podporucznik Dębicki też zapalił dla towarzystwa, chociaż właściwie był niepalący. – Jakby co poniekórym przypiec podeszwy, to jeszcze niejedną flaszczynę by znaleźli. Ale jeżeli jest zakaz nękania miejscowej ludności, trzeba się stosować. Skoro już w takie przyjemności nas wpakowali, widocznie mieli powody.

– Tylko jakie? Przerzucać wojsko z Kielc do Kalisza, jakby byle pułk piechoty z okolicy nie mógł wystąpić na defiladzie?

– Wystąpią i inni, nie bój się, ale jaki będzie wydzźwięk całej tej defilady? Na trybunie Amerykanie z biskupem, miny mają nietęgę, prezydent Berman pozdrawia, wojsko maszeruje i nagle my!

– O tak, my! – powtórzył z przekąsem chorąży. – 3 Batalion 4 Pułku Piechoty imienia Ludowych Partyzantów Ziemi Kieleckiej. Patrz, biskupie, Kielecczyzna pozdrawia!

– W pięty mu pójdzie – rozmarzył się Dębicki. – Taki prztyczek w biskupi nos.

– Jaki prztyczek? Kaczmarek akurat będzie miał do tego głowę, żeby myśleć, skąd to wojsko się wzięło. Może lepiej zawołać: „biskupie, pizdzi tu w Kaliszu jak na dworcu w Kielcach”, dopiero byłby kopniak w biskupią dupę...

– Chorąży, nie dowcipkujcie mi tutaj! – Podporucznik powrócił na drogę służbową. – Mądrzejsi od was nad tym myśleli.

– Tak jest! – Chorąży Łaciak wyprężył się. – Chodźcie, podporuczniku, coś wam pokażę.

Przeszli za magazyn, gdzie Łaciak otworzył beczkę po kiszonej kapuście.

– O, kurwa! – Dębicki aż się zakrztusił papierosowym dymem. – Skąd to macie? Mimo zakazu zastrzeliliście kilku chłopów?

– Gdzie tam, wczoraj kupiłem od jednego z okolicy.

- Ale tyle kiełbasy? Przecież tym się nazre pół batalionu.
- Bez przesady. Ale należy się chociaż niektórym za udział w misji specjalnej. Na śniadanie przed defiladą jak znalazł.
- Skąd mieliście pieniądze?
- Obyło się bez pieniędzy, ale parę naboń mnie to kosztowało...

Zygmus z Jankiem od dwóch godzin znęcali się nad radioodbiornikiem, przełączając z pierwszego programu Polskiego Radia na Radio District Calisia i z powrotem w nadziei, że może dowiedzą się czegoś więcej o szczegółach jutrzejszej uroczystości, albo chociaż o powodach przesunięcia wyroku na gomułkowców na poniedziałek. Kaliskie radio o Gomułce nie mówiło wcale, za to bez przerwy powtarzało komunikat biskupa Kaczmarka o unikaniu prowokacji, o ciepłym przyjęciu nowych władz oraz zaproszenie na oficjalne uroczystości na kaliskim rynku, połączone z defiladą. W Polskim Radio za to puszczono nawet zdawkowe pochwały pod adresem Stanów Zjednoczonych, coś w rodzaju podziękowań za pomoc w wyciąganiu Polski z powojennej zapaści, a sam prezydent Jakub Berman ze ściśniętym gardłem, ale jednak, przypomniał, że Dystrykt Kaliski wyklął się na bazie porozumienia amerykańsko-radzieckiego.

– Za robotę nie macie zamiaru się brać? – zapytał synów Kazimierz. – Sieczki w głowach macie za mało, to od słuchania tego pudła będziecie mieli w sam raz. Z kogo oni głupków robią? Obsrywali tych Jankesów przez bite dziesięć lat, a dzisiaj jedni drugim słodzą tak, że porzygać się można. Jazda, krowy przewiązać!

Obrażeni bracia, oderwani od polityki krajowej i zagranicznej, wyszli wykonać ojcowskie polecenie.

Żeby z Tadka nie był łobuz czystej wody, to i powrót Dystryktu Kaliskiego do Polski przebiegłby bez ekscesów. Prezydent Berman z premierem Cyrankiewiczem, który tak skutecznie odciął się od wszelkich powiązań z gomułkowszczyzną, że od razu wskoczył w buty po towarzyszu Wiesławie, mało nie wycalowali się z biskupem Kaczmarkiem i majorem Yorkiem. Każdy z panów wygłosił przemówienie, o którego napisanie śmiało można by posądzić Pantielejmona Ponomarienkę, który, a jakże, również zaszczycił uroczystość swoją osobą, przekazując zebrany kilka ciepłych słów od samego Generalissimusa Stalina.

Cokolwiek przestraszeni, ale mimo wszystko ciekawi, mieszkańcy Kalisza, zebrani na niewielkim Rynku i poupychani w kilku prowadzących doń ulicach za wyjątkiem Kanonickiej i Mariańskiej, kwitowali każdą przemowę jednakową porcją oklasków, aby nie zostali posądzeni o sprzyjanie komukolwiek, jedynie ambasadorowi Ponomariencie klaskali nieco dłużej. Słusznie kombinowali.

O czternastej zaczęła się skromna defilada. Przymaszerowali na pożegnanie żołnierze korpusu amerykańskiego, skromny oddział Gwardii Biskupiej, bardziej myślący o tym, czy aby na pewno Amerykanie zabiorą ich ze sobą, niż o utrzymaniu kroku. Pokazali się nowym podwładnym żołnierze radzieccy przetransportowani hen, z Legicy, aż przyszła pora na Ludowe Wojsko Polskie. Do udziału w defiladzie z oddziałów obstawiających dystrykt wyznaczono przedstawicieli 12 Pułku Piechoty z Pleszewa oraz 10 Pułku Piechoty z Ostrowa Wielkopolskiego, aby przypomnieć zapomnianym, do jakiego regionu Polski wraca Kalisz. Oprócz tego, co wymyślił minister Romkowski albo ktoś o podobnej doń umysłowości, przedefilować miał 3 Batalion 4 Pułku Piechoty imienia Ludowych Partyzantów Ziemi Kieleckiej, co miało wprowadzić w konfuzję biskupa Czesława Kaczmarka, który niegdyś zostawił na Kielecczyźnie wiernych, aby służyć imperializmowi amerykańskiemu.

Żołnierze wkraczali na rynek od ulicy Kanonickiej, maszerowali przed ustawioną naprzeciwko ratusza trybuną z oficjelami i opuszczali plac ulicą Mariańską, by spokojnie przegrupować się w szyk bynajmniej nie defiladowy. Gdy ostatni pleszewski wojak zniknął z rynku, na arenę wydarzeń wkroczyć mieli wreszcie dzielni Kielczanie...

Ci jednak od samego rana nie czuli się dobrze. Większość dostała okropnych nudności i biegunki, tak że ledwo stali, a tu trzeba było jeszcze przemaszerować przed prezydentem i resztą wysokiego szczebla urzędników. Mało tego, przed Amerykanami i Rosjanami!

Podporucznik Dębicki, który miał już taką gorączkę, że ledwo widział, wprowadził batalion na rynek. Ciężko było jego podkomendnym utrzymać krok defiladowy, bo dwóch na trzech myślało tylko o tym, aby nie zwymiotować albo, co gorsza, nie nawalić w spodnie. Trzymając się za usta, na sztywnych nogach, ściskając póldupki, żołnierze Ziemi Kieleckiej wtarabanili się na rynek przed trybunę honorową, mając świadomość, że długo nie wytrzymają.

Przedstawiciele władz zdumieni się niemniej niż kaliska publika tym zataczającym się pochodem ludzi w mundurach. Biskup Kaczmarek spojrział nerwowo na swoich, niewykluczone, byłych wiernych i się zaczęło. Pierwszy rzygnął na kocie łby chorąży Łaciak. Podporucznik Dębicki nie został w tyle i przelicytował swojego podoficera ilością ładunku z wnętrzości. Większość batalionu zawróciła na Kanonicką, rozbiegając się po okolicznych bramach, wymiotując i w panice ściągając spodnie, choć co bardziej nieszczęśliwi nie zdążyli tego zrobić.

Większość obecnych Kaliszan zamarła, myśląc tylko o jednym – o klątwie biskupa, który na odchodnym postanowił pognać Ludowe Wojsko Polskie, a raczej jego kieleckich reprezentantów. Skali i potęgi zaklęcia nie spodziewał się jednak nikt z obecnych. Ludzie w przestachu zawracali z rynku do domów, za nic mając sobie obiecaną część artystyczną uroczystości, trawili się wzajemnie, przekrzykiwali o klątwie, pewni, że lada dzień wszyscy zostaną w tej sprawie oskarżeni o współudział. Co pobożniejsi recytowali fragmenty litanii, godziniek, a nawet pieśni roratnich, choć przyświecało majowe słońce. Bardziej oblatani w Piśmie Świętym nasłuchiwali, czy aby przez harmider nie przebija się odgłos trąby archanioła Gabriela. Nic z tych rzeczy. Zamieszanie, rechwach i panika trwały w najlepsze bez ingerencji sił niebieskich.

Speszeni dawni i przyszli włodarze Kalisza wymieniali nerwowe uwagi z przybocznymi i ochroną, usiłując dowiedzieć się, co się właściwie stało i dlaczego. Nikt oczywiście nie wiedział, że cały afront był dziełem Tadeka i jego brata, którzy w nocy z czwartku na piątek wykopali z Kazimierzowego pastwiska świńskiego topielca i w pocie czoła przerobili go w całości na kiełbasę, tak by nic się nie zmarnowało. Domowy wyrób Tadek wymienił w Cekowie na amunicję, którą z trudem musiał dostosować do swojego sztucera, aby zapewnić w dziecie swojej rodziny elementy dziczyzny.

Żołnierze z Kielc, nieświadomi pochodzenia kiełbasy, spałaszowali ją dziarsko na niedzielne śniadanie, jak się jednak rychło okazało, wędlina z tragicznie zmarłej świni co prawda siarką nie śmierdziała, ale piekielnej mocy już nabrała. Tak oto Tadek z bratem dostarczyli uczestnikom i świadkom kaliskiej uroczystości niezapomnianych wrażeń, a biskupa uczynili osobą władną rzucać klątwy i czary. Dobrze, że wszyscy podtruci wojacy przeżyli.

Poza bezpośrednimi świadkami kuriozalnej defilady nikt się o tym

w Polsce nie dowiedział, bo szczęściem sparaliżowanej strachem i niemocą ferajny Bermiana w odwodzie pozostawał ambasador Ponomarienko, który ze swoimi współpracownikami opracował taktykę poinformowania obywateli Polski o tym, jak przebiegło przyłączenie do niej Kalisza.

– Działo się, działało... – podsumował Kazimierz, gdy Ignac zakończył relację z wczorajszych obchodów. – A wszystko przez tego zasańca... Ja już w piątek rano wiedziałem, że ta cholera wykopała naszą świnie. Jak do niego dotrą, to czapa pewna za próbę otrucia wojska.

– Jak dotrą – powtórzył Ignac. – Póki co oni wszyscy są przekonani, że biskup faktycznie ich przeklął.

– Nie dziwię się. Ale, przysły zięciu, nikomu o tym nie mów, Zygmuśowi i Jankowi zwłaszcza. Chodźmy do domu.

Na progu machał do nich Zygmuś.

– Tata, Ignac, szybko! Jest Gomułka!

Dla średnio rozgarniętego Polaka część zarzutów dla Władysława Gomułki i jego kompanów była oczywista. Recydywa odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego, za które dekadę temu tylko pogroźono by mu palcem, próba siłowego obalenia władzy ludowej, działalność frakcyjna, konszachty z biskupem Kaczmarkiem i jego imperialistycznymi mocodawcami. Gwoździem programu była jednak okupacyjna karta. Po dwunastu latach od zakończenia wojny Gomułkę, Spychalskiego i mniejszych oskarżono o współpracę z gestapo i denuncjowanie działaczy podziemia z Armii Krajowej i innych organizacji. Sędzia w Krakowie wypunktował zbrodnie na polskich żołnierzach i partyzantach, którzy może nie myśleli po radziecku, może walkę z Niemcem pojmowali opacznie i w złym klasowym kontekście, ale jednak... O powojennych losach walczących się nie zająknął. Takiego obrotu sprawy nikt się nie spodziewał, bo też rzadko kiedy wahadło historii wychyla się aż tak bardzo.

Myślał o tym intensywnie ambasador Ponomarienko, kiwając się na krześle w warszawskim gabinecie i słuchając w radio ogłoszenia wyroku w procesie krakowskim. On, który w 1943 roku zaordynował działaczom PPR zwalczanie polskiego podziemia poprzez donosy na jego członków do niemieckich władz; który ogłosił memorandum o zintensyfikowaniu wojny partyzanckiej tak, by w niemieckich działaniach odwetowych zginęło

jak najwięcej Polaków. Bardzo ciekawy meander historii. Za to, co kiedyś nakazał Stalin, ten sam Stalin rękami Bermana karze jak najsurowiej. To, co wymyślił Stalin, przez lata funkcjonowało jako amerykański podstęp. Tylko kto to mógł wiedzieć?

Nie wiedział Gomułka ani Spychalski, nie wiedział lejtnant Rykow, skazany na karę śmierci jak przed laty w procesie Jagody i Bucharina jego stryj Aleksiej, od którego bezskutecznie zawsze starał się odcinać. Jak Aleksander Kuzniecowa, tłumacz dyplomowany, pracownik Wydziału Kartografii i Fotografii NKWD, skazany na piętnaście lat łagru.

Pantielejmon Ponomarienko wiedział, tylko jak długo można bezpiecznie żyć z taką wiedzą, myślał, słuchając radio.

Władysława Gomułkę i Mariana Spychalskiego skazano na karę śmierci. Prezydent Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Jakub Berman nie skorzystał z prawa łaski.

Stanisław Truchan
OPERACJA GRETA

Prolog

Tego się Franek nie spodziewał. Jeszcze pod koniec kwietnia był przekonany, że otwarcie Wieży Podkarpackiej, odległej o niespełna trzy kilometry od jego domu, obejrzy w telewizji, podobnie jak miliony ludzi w Polsce. Mógłby jeszcze spróbować wejść na plac u stóp tej gigantycznej konstrukcji, przypominającej sylwetką rozłożystą jodłę, ale o przeszło dwieście metrów wyższej niż paryska Wieża Eiffla – gdyby nie upór dziadka, który nie miał ochoty stać w długasných kolejkach do kasy. Niepełnoletnim, którzy przyszli bez dorosłego opiekuna, nie sprzedawano biletów. O miejscu na tarasie nie mógł nawet marzyć: to było zastrzeżone dla VIP-ów; nie każdego się wpuszcza na imprezy z udziałem samego króla. Franek chętnie zobaczyłby z bliska młodego monarchę, który w styczniu obchodził dwudzieste ósme urodziny, a w sierpniu miał świętować pięciolecie wstąpienia na tron. Adam Jerzy IV Czartoryski był niezwykle popularny. Głównie z tego powodu, że – jak to ujął pewien dziennikarz – potrafił zachować się po królewsku, unikając wyniosłości i pompy. Niestety chętnych na takie *tête-à-tête* znalazłoby się w Polsce z pięćdziesiąt milionów...

I oto w ostatni czwartek kwietnia jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że na inaugurację Wieży zaproszona zostanie delegacja obu tutejszych szkół: podstawowej i gimnazjum. Ktoś na bardzo wysokim szczeblu uznał, że tubylcom coś się od życia należy. Wzgórze, na którym wzniesiono tę ogromną budowlę – trzysta dwadzieścia jeden metrów nad poziomem morza, Franek doskonale pamiętał tę liczbę z lekcji geografii – położone było wprawdzie po wschodniej stronie Białej, ale przecież należało do wsi Jankowa. Poproszono więc dyrektorów obu szkół, by wybrali dziesiątkę najlepszych uczniów, którzy wezmą udział w uroczystości przecięcia wstęgi. Nożyce miał królowi podać sołtys Jankowej.

Na liście delegacji, pod numerem siódmym – szczęśliwa liczba! – napisane było jak byk: Franciszek Pawlik. W ten sposób niemożliwe stało się możliwe.

Gdyby ojciec żył... I dziadek – ten prawdziwy, rodzony, bo obecny był drugim mężem babki... Niestety obaj zginęli przed dziesięciu laty

w koszmarnym wypadku samochodowym w Białej Niżnej, wraz z kilkunastoma pasażerami austriackiego autokaru i trzech innych wozów. Ojciec dożył przyjazdu pogotowia, ale zmarł w karetce. W miejscu katastrofy postawiono duży stalowy krzyż. Na pewno będzie go widać z tarasu Wieży...

Mówi się trudno. Trzeba z tym żyć.

Tamta katastrofa miała swojego bohatera. Był nim pięćdziesięcioletni austriacki kierowca. Wezwał pogotowie, wyniósł kilku ciężko rannych z płonącego autobusu – a potem zmarł na atak serca. Matka, kiedy w końcu ochłonęła, próbowała się skontaktować z jego rodziną. Nie udało się. Do tej pory Pawlikowie z Jankowej wiedzieli tylko, że nazywał się Reinhardt i w młodości był podoficerem marynarki, a potem przeniósł się z Triestu do Wiednia i został kierowcą.

No cóż – ojciec i dziadek nie zobaczą Franka w telewizji, w grupie ludzi otaczających króla i jego świętę. Trzeba się z tym pogodzić i cieszyć z tego, co się ma. Ważne, że w tym właśnie dniu, w tej szczególnej chwili, znajdą się wewnątrz najwyższej budowli świata.

I oto nadszedł ten wielki dzień. Trzeciego maja, zaraz po defiladzie na Placu Dąbrowskiego w Warszawie, król Adam Jerzy IV wsiadł do helikoptera i odleciał na południe. Wybrańcy losu, których zaproszono na otwarcie Wieży, czekali już na dolnym tarasie. Wśród nich był Franek Pawlik z Jankowej i jego najbliższy przyjaciel Paweł Franczak z Lipniczki. Po górnym tarasie, na wysokości czterystu czterech metrów, kręcili się ochroniarze. Sto metrów wyżej, pod samą iglicą, czuwali kolejni trzej – uzbrojeni w broń maszynową, zaopatrzeni w lunety i inny sprzęt. Czartoryski mógł sobie być kordialnym ojcem narodu, bratającym się z każdym, kto pojawił się w polu widzenia – ale to nie zwalniało służb od obowiązku czujności.

Obok ochroniarzy, wyraźnie stremowani, stali dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach: burmistrz gminy Bobowa i sołtys Jankowej. To oni mieli podać Jego Królewskiej Mości biało-czerwoną poduszkę z nożycami.

Śmigłowiec w końcu nadleciał. W otwartych drzwiach maszyny pojawił się król. Zszedł na taras. Wziął nożyce. Przeciął biało-czerwoną wstęgę.

Droga na górny taras stanęła otworem.

Z dołu przyjechały windą napoje i przekąski. Franek i Paweł wzięli po jednej kanapce, capnęli jeszcze butelkę coca-coli, po czym podeszli do barierki. Przez chwilę kontemplowali panoramę Pogorza Rożnowskiego,

z widoczną daleko na zachodzie krętą wstęgą Dunajca, i próbowali odgadnąć, który z widocznych na horyzoncie szczytów jest Mogielicą, a który Turbaczem.

– Pałacyk Dyzmów wygląda jak domek dla lalek – stwierdził Paweł.

– No, parę lalek mają – zauważył Franek.

Lalki rzeczywiście tam były. Przed kilkunastu laty pałacyk po raz drugi zmienił właściciela i przestał być nowobogacką rezydencją. W latach trzydziestych minionego stulecia osiedlił się tutaj, wkrótce po złożeniu dymisji, słynny premier Nikodem Dyzma. Budynek zaprojektował sam Adolf Szyszko-Bohusz, a plany parku powstały na desce kreślarskiej Franciszka Szaniora. W pół wieku później Dyzmowie przeprowadzili się na Kresy, gdzieś w okolice Kołomyi czy też Kałusza. Rezydencję i park zakupił multimilioner Gwidon Czemerajda, by w roku 2000 odstąpić ją Fundacji im. Adama Czarnockiego. Fundacja urządziła tam muzeum sztuki ludowej.

Chłopcy odeszli od bariery i zaczęli okrążyć taras w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Teraz w polu widzenia nieuchronnie musiał się znaleźć stalowy krzyż w Białej Niżnej.

Franek oparł się łokciami o barierę i zamyślił się. Paweł stał obok w milczeniu. W dole krzyż błyszczał w słońcu.

Nagle ktoś Frankowi położył rękę na ramieniu.

– Tam zginął twój ojciec, tak? I chyba dziadek?

Chłopiec odwrócił się – i przez kilka sekund stał z szeroko otwartymi ustami.

– Wa... Wasza Kró... – zająknął się, słowa uwięzły mu w gardle. Wszystkiego by się spodziewał w tej chwili, ale nie tego, że stanie twarzą w twarz z monarchą. A już absolutnie nie potrafił sobie wyobrazić, że król o nim cokolwiek wie.

Oczywiście nie było dla niego tajemnicą, że panujący od pięciu lat monarcha jest człowiekiem wyjątkowo bezpośrednim, że chętnie rozmawia z przypadkowymi ludźmi i nieszczególnie się przejmuje dworską etykietą – ale skąd wiedział o istnieniu jakiegoś tam Franka Pawlika z Jankowej?

Adam Jerzy IV uśmiechnął się.

– Służby oczywiście dokładnie sprawdziły wszystkich zaproszonych na górny taras – wyjaśnił. – Zażyczyłem sobie całego dossier i od razu zwróciłem uwagę na wasze nazwiska. To dość ciekawe zestawienie: Franciszek Pawlik i Paweł Franczak... Dlatego was zapamiętałem.

Chłopcy wciąż nie wiedzieli, co powiedzieć. Elokwentny zazwyczaj Paweł zapomniał języka w gębie tak samo jak Franek, z natury mniej gadatliwy.

– A jak sobie radzicie po śmierci ojca? – zainteresował się król. Pytanie skierowane było oczywiście do Franka; ojciec Pawła żył i nieźle się miał.

– Dziękuję, nie mamy jakichś większych problemów. – Chłopcu w końcu udało się wykrztusić pełne zdanie.

– To dobrze. A ja myślę, że kiedyś się jeszcze zobaczymy. Skoro szkoła oddelegowała na otwarcie wieży najlepszych uczniów... Może w przyszłości wręczę któremuś z was jakiś order? Albo nominację profesorską? W każdym razie intuicja mi podpowiada, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie.

– Bardzo byśmy tego chcieli, Wasza Królewska Mość – zapewnił Franek.

I

Wunderwaffe. Podśluchy. Kradzież

Kapitan Reinhardt odłożył gazetę.

– Co mówisz, Rudi?

Syn włożył zakładkę do podręcznika historii i powtórzył:

– Dlaczego nie wiadomo, jaką bronią doktor Kesselring zaatakował Franciszka I i jego gości? Przecież to nie mogło być coś... coś kosmicznego! Dwieście lat temu chyba nikt nie mógłby wymyślić takiej broni jak w *Wojnach na krańcu Wszechświata*! Nawet teraz się nie da!

– A jak myślisz: czy w roku 1815 istniał sprzęt pozwalający zbadać ruiny Oranżerii?

– No wiem, nie istniał – zgodził się chłopiec. – Ale teraz...

– Już za Marii Ludwiki ruiny zostały uprzątnięte. Oranżeria została odbudowana niedługo po koronacji Napo... Franciszka II.

Rudi wzruszył ramionami.

– I po jakiego grzyba mu zmieniali imię? Miał Franciszek dopiero na drugie...

Ojciec uśmiechnął się kwaśno.

– I Austria miałyby mieć cesarza Napoleona? Nasz monarcha miałby się nazywać tak jak jego ojciec? Nikt w całej naszej historii nie spuścił nam takiego lania, w żadnej wojnie. No, może Sulejman Wspaniały... Skoro więc następca Marii Ludwiki był po kądzieli wnukiem Franciszka I...

– Który dostał w du... eee... dostał baty od Napoleona pod Austerlitz... A potem jeszcze w wojnie 1809 roku... No tak, lepiej było zapomnieć.

Rudi podrapał się po rozwichrzonej czuprynie i wrócił do kwestii tajemniczej Wunderwaffe Kesselringa.

– Ale ta broń... Przecież są dokładne opisy ataku na Oranżerię! Nie da się z nich wydu... wyde... wywnioskować, co to była za broń?

– Ja bym z tych opisów wolał nie wyciągać żadnych wniosków. – Kapitan wzruszył ramionami. – One się bardzo różnią od siebie, chociaż niby

pochodzą od naocznych świadków; a przy tym niektóre z nich to raczej poezja niż literatura faktu. I to nawet poezja surrealistyczna.

– Czyli nie dowiemy się?

– Pewnie nie. Jak wiesz, Kesselring wysadził w powietrze tę chałupę pod lasem, z której wystrzelił pocisk, i sam przy tym zginął.

– Szkoda! – westchnął Rudi.

Ojciec wzruszył ramionami jeszcze mocniej niż przed chwilą.

– Jakoś sobie radzimy bez genialnych wynalazków tego psychopaty – powiedział.

Nagle zrobiło się cicho. To w sąsiednim pokoju wyłączony został odkurzacz.

– No dobra, mogę już wrócić do siebie. – Kapitan wstał, złożył gazetę i wyszedł. W przedpokoju omal nie zderzył się z żoną, która cofała się, ciągnąc za sobą piekielną maszynę w kolorze zgniłej zieleni. Ryczący potwór na kółkach miał za chwilę wypełnić decybelami sypialnię.

Reinhardt przepuścił żonę wraz z odkurzaczem, wszedł za nią i zamknął drzwi.

– Helga, możesz mi coś powiedzieć? – zapytał.

Żona spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Już ci mówiłam: indyk będzie jutro.

Ech, te kobiety! Nie znoszą podważania ich decyzji dotyczących kuchni, nawet jeśli nikt takiej jedynie słusznej decyzji nie podważa.

– Co tam indyk. Powiedz mi... Czy ja może ostatnio mówię przez sen?

Helga jeszcze mocniej ściągnęła brwi.

– Nie zauważyłam. Dlaczego pytasz?

Kapitan zawahał się.

– Wiesz – powiedział powoli – Rudi mnie wypytuje o czasy Franciszka II...

– I to ma jakiś związek z twoim mówieniem przez sen?

– Tydzień temu, kiedy byliśmy w Eisenerz... Tak mi przyszło do głowy... Może coś mruczałem. Wiesz, na temat różnych takich, ściśle tajnych...

Żona spojrzała na niego spod oka.

– To służby teraz zajmują się historią? Pewnie z braku lepszego zajęcia.

– Czasem zajmują się czymś, co się wiąże na przykład z początkami XIX wieku – odparł wymijająco mąż. – W ubiegłym roku to była próba przemytu

obrazu Ingres'a.

– Walter, a co z tym ma wspólnego nasz Rudi?

– Mówiłem ci, że wypytuje o czasy Franciszka II.

Helga ciężko westchnęła.

– Jeszcze nie zauważyłeś, że chłopak interesuje się historią? Jaki z ciebie ojciec?

Kapitan trochę się speszył.

– Nooo... Wiem. Ale ty pracujesz w „Abakusie”. Wydajecie podręczniki. Powinnaś wiedzieć jeszcze lepiej niż ja, że Rudi jest na etapie wojny trzydziestoletniej. XVII wiek, nie XIX.

– Już dostał podręczniki na przyszły rok, nie mówiłam ci? A on oczywiście od razu zabrał się za czytanie. Teraz coś go zaintrygowało, więc pyta. To chyba normalne, nie?

– No, może masz rację. Chyba jestem przewrażliwiony. Wiesz, obsesja na punkcie tajności...

Wyszedł z sypialni, przeszedł przez pokój zwany szumnie „gabinetem” i otworzył drzwi na balkon. Był piękny majowy dzień, pogoda raczej letnia, ale znad Dunaju zawiewał chłodny wietrzyk. Reinhardt pomyślał, że przed tygodniem niepotrzebnie dał się skusić prognozom i pojechał z Rudim do Eisenerz. Tamta sobota nie była tak przyjemna, a w nocy trochę zmarzli; maj to jeszcze nie pora na sypianie pod namiotem, szczególnie w Alpach.

Po obiedzie trzeba będzie pójść na spacer.

Kapitan wyszedł na balkon – i tam dopadł go sygnał komórki.

Spojrzał na wyświetlacz. No tak, firma. Tajne służby niekoniecznie muszą mieć wolny weekend.

Odebrał. Po drugiej stronie Egon Waldorff był jak zwykle lakoniczny, ale w jego głosie dało się wyczuć niepokój.

– Walter, przyjeźdź do centrali i zgłoś się do rupieciarni. Są nowe instrukcje. To pilne. Dla ciebie w zasadzie ważne od poniedziałku, ale nigdy nic nie wiadomo.

Rupieciarnia. Czyli spece od elektroniki. Instrukcje – czyli rzecz dotyczy tajności, szyfrów i innych takich. Coś się musiało stać.

No i koniec delectowania się widokiem kwitnących czerwonych głogów.

Radio trochę chrypiało. Abbas nie wiedział, czy to wina aparatu, czy współrzędnych geograficznych: Meshhed, bądź co bądź, odległy był od

Wiednia o ładnych parę tysięcy kilometrów. Na szczęście, mimo wszystko, program pierwszy i tutaj docierał.

Abbas był od radia uzależniony. Nie potrafił normalnie funkcjonować, jeśli nie słyszał dźwięków wydobywających się z pudła z pokrętłami i antenką. Jemu, w przeciwieństwie do wielu innych ludzi, nie przeszkadzały komentarze prezenterów; miał godną pozazdrosczenia podzielność uwagi, dzięki której robił swoje – cokolwiek to było – sprawnie i bezbłędnie, a równocześnie zapamiętywał podawane przez radio informacje, i to z najdrobniejszymi szczegółami. Niektórzy – jak choćby Nizam – nazywali go z tego powodu wybrykiem natury.

Teraz Abbas czekał na zapowiedziane wcześniej przemówienie cesarza. Hafizullaha IV od zawsze darzył bezgranicznym uwielbieniem. Nie wybaczyłby sobie, gdyby nie wysłuchał niezwykle mądrych i ważnych dla całego Iranu słów wielkiego monarchy, któremu starał się służyć ze wszystkich sił. Czułby się winny co najmniej karygodnego zaniedbania, może nawet nielojalności wobec człowieka, któremu sam Allah powierzył losy narodu.

I zaczęło się. Szachinszach, stojąc na trybunie honorowej w sali posiedzeń medżlisu, wygłosił bodaj najbardziej płomienną mowę od czasu koronacji. Wezwał naród do jedności w obliczu zagrożeń, do wierności monarsze i prawdziwej wierze, do wytężonej pracy dla utrwalenia i umocnienia potęgi kraju rozciągającego się od Araratu po Kungur Tagh⁴. Zapewnił, że wszelkie knowania niewiernych, którym przewodzi Wielki Szatan zza Atlantyku, skazane są na niepowodzenie, a Iran, kolebka cywilizacji, którą stworzył Zaratustra, najszlachetniejszy z uczniów Abrahama i największy z poprzedników Mahometa, wszystko przetrwa i poprowadzi ludzkość ku światłu jedynej Prawdy...

Tym razem cesarz nie wspominał o chomeinistach. Ani słowa o przeklętych heretykach, którzy odmawiali Zaratustrze czci należnej wielkim prekursorom prawdziwej wiary: Abrahamowi, Izaakowi, Jakubowi, Mojżeszowi, Iskandarowi czy Jezusowi. Widocznie uznał tę dogorywającą sektę za niegodną najmniejszej nawet wzmianki.

Mówił za to o Indiach. O słusznym aspiracjach muzułmańskich braci znad Indusu, z Kaszmiru i ze wschodniego Bengalu. Oburzał się, krytykował i stanowczo potępiał. Zapowiadał, że Iran da odpór.

Król królów potępił też uczestników gorszących zająć w Chodźencie, Taszkencie, Bucharze i Samarkandzie. Fakt, iż potomkowie północnych Ariów, doprowadzeni do stanu wtórnego barbarzyństwa w ciągu kilku wieków panowania potomków Czyngiz-chana, wciąż ulegają szkodliwym ideom panturkizmu, uznał za wielce szkodliwy dla państwa, dla prawdziwej wiary i dla całej cywilizacji. Wezwał wszystkich praworządnych i prawowiernych Irańczyków do przeciwstawienia się zagrożeniu.

Było też w tej płomiennej mowie coś zupełnie nowego. Oto po raz pierwszy od dawna szachinszach ciepło się wyraził o jednym z państw chrześcijańskich. Pochwalił cara Gawriła.

Abbas chłonał każde słowo ukochanego monarchy, co nie przeszkadzało mu patrzeć w monitor, stukać w klawiaturę i posuwać się niestrudzenie naprzód. Wszystko wskazywało na to, że za godzinę czy dwie praca przyniesie konkretne efekty. Austriackie służby zorientowały się, że ktoś ich podsłuchuje i podgląda, próbują się zabezpieczyć – ale to im się nie uda. Jeszcze trochę i najlepsi na świecie informatycy, wiernie służący szachinszachowi, znów będą znać każdy krok tych przemądrzałych giaurów. I nie pozwolą, by tamci znaleźli TO COŚ przed nimi.

Swoją drogą, Austriacy chyba nie działają na własną rękę. To już nie czasy Metternicha, gdy Habsburgowie byli bliscy stworzenia czegoś na kształt późniejszego brytyjskiego Commonwealthu – od Tyrolu po Krym i od Dalmacji po Inflanty. To teraz niewielkie państewko, któremu na otarcie łez pozostał tytuł cesarski i widowiskowe zmiany warty przed pałacem Schönbrunn. Armia cesarska nadaje się może na defiladę, ale nie do prowadzenia wojny, chyba że z sąsiednią Słowenią albo z Liechtensteinem, z którymi jednak wojować nie ma o co. A w takim razie...

W takim razie austriackiej armii nie jest potrzebna żadna supernowoczesna technika, żadna Wunderwaffe. Za ściśle tajną akcją cesarskiego wywiadu stoi z pewnością CIA.

A skoro tak – tym gorzej dla CIA i Jankesów w ogóle.

Sala obrad medżlisu zatrzęsa się od oklasków – i w tym samym momencie Abbas poderwał się z krzesła.

– Mam was! – zawołał, patrząc roziskrzonym wzrokiem w monitor.

Zabezpieczenia centrum łączności austriackich służb specjalnych zostały złamane. Teraz tylko dobrać się do bazy danych...

Palce Irańczyka znów zatańczyły na klawiaturze...

I nagle ekran zgasł.

Co się dzieje?

Po kilkunastu sekundach monitor zajaśniał błękitną poświatą. Na ekranie pojawiły się szeregi łacińskich liter, które nie układały się w znane Abbasowi słowa.

Zaterkotała komórka. Abbas spojrział na wyświetlacz: to Hamid. Ciekawe, czemu nie przyszedł, tylko dzwoni, siedzi przecież w kanciapie na drugim końcu korytarza...

Odebrał.

– Abbas, to pułapka! Kabel z gniazdka, szybko! – Jak zwykle w chwilach zdenerwowania, Hamid mówił z pasztuńskim akcentem z okolic Kabulu, który sprawiał, że trudno go było zrozumieć. – Bo nas zaraz namierzą!

Abbas już o nic nie pytał. Posłusznie wyrwał wtyczkę.

Josef – dla wtajemniczonych Jusuf – kręcił się po parku pozornie bez celu. Przez chwilę udawał, że podgląda wiewiórki goniące się po pniu starego dębu, potem słuchał śpiewu kosa, to znów śledził spojrzeniem jakąś licealistkę w kusej spódniczce. W tym ostatnim przypadku nie musiał zresztą udawać zainteresowania; dziewczyna miała nogi, od których naprawdę trudno było oderwać wzrok. Josef, jak większość trzynastoletnich chłopców, uważał się za prawdziwego konesera, choć jego wiedza na temat płci przeciwnej była czysto teoretyczna. Teraz, kiedy ta szesnastolatka o jasnych włosach upiętych w dość nieforemny kok minęła go i skręciła w stronę fontanny, doszedł do wniosku, że ma przed sobą kandydatkę na Miss Austrii. Przez chwilę nawet zapomniał, po co przyszedł do tego parku.

Bardzo szybko jednak odzyskał przytomność umysłu. Przedmiotem jego zainteresowania – bynajmniej nie erotycznego, bo Josef nie odczuwał żadnego pociągu do własnej płci – był drobny blondynek o piwnych oczach, siedzący na ławeczce pod czerwonym bukiem w odległości około stu pięćdziesięciu metrów. Rudi Reinhardt, chłopiec z tej samej szkoły, z równoległej klasy. Josef znał go właściwie tylko z widzenia, do niedawna nie wiedział nawet, jak się nazywa – tamten był dla niego po prostu Rudim. Słyszał, że jego ojciec pracuje w jakiejś ważnej państwowej instytucji, a matka w wydawnictwie drukującym podręczniki. Dopiero w ubiegłym tygodniu powiedziano mu więcej. A nawet o wiele więcej.

To Nadir rozmawiał z nim o Rudim. Nadir – od blisko dwóch lat najwyższy autorytet dla Josefa. Większy niż zmarły przed trzema miesiącami dziadek. To on opowiadał chłopcu o Iranie, to on tłumaczył, co jest obowiązkiem każdego, kto wywodzi się od Persów, Medów, Scytów czy Sogdyjczyków. Choćby tylko po matce, jak Josef Stecker, pół-Kurd, pół-Austriak.

– Tureccy Kurdowie – przekonywał Nadir – są potomkami starożytnych Ariów, tak samo jak Persowie, Afganowie i Tadźycy. Powinni się oderwać od Turcji, ale wyłącznie po to, by dołączyć do wielkiej rodziny skupionej pod skrzydłami wielkiego szachinszacha. To powinno być waszym celem. Bo dzisiaj to Irańczycy, a nie Arabowie, dzierżą w dłoni pochodnię prawdziwej wiary. Taka jest wola Allacha i my wszyscy powinniśmy ją niestrudzenie wypełniać.

Josef oczywiście zgadzał się, że wola Allacha powinna być najwyższym prawem. Szachinszach Hafizullah IV z opowieści Nadira jawił mu się jako istota niemal boska, a w każdym razie nadludzka. Ten wielki monarcha godzien był najwyższej czci i służenie mu stanowiło wielki zaszczyt – jedyny, o jaki warto zabiegać.

Okazja, by przysłużyć się cesarzowi, niespodziewanie nadarzyła się właśnie teraz. A zadanie było dziecinnie proste. Wystarczyło obserwować tego wychuchanego jedynaka imieniem Rudi i natychmiast zawiadomić Nadira, kiedy synalek austriackiego ważniaka przyjdzie do parku. Nic wielkiego – miał po prostu wyciągnąć komórkę i puścić sygnał. Potem jeszcze drugi, kiedy już Rudi usiądzie pod swoim ulubionym bukiem w mało uczęszczanej części parku. A wiadomo, że jeśli Rudi przyjdzie do parku, to usiądzie pod tym bukiem i wsadzi nos w jakąś książkę. Robił to prawie codziennie, jeśli tylko było ciepło i nie padało.

Wyciągnie książkę czy nie wyciągnie? Może tym razem przyszedł tylko posłuchać śpiewu ptaków? W tej części parku zawsze można usłyszeć drozda albo ziębę. Na razie bawi się komórką, chyba odbiera esemesy...

Wyciągnął. Nie książkę jednak, a czytnik e-booków. Przez chwilę w skupieniu klikał w poszukiwaniu tekstu, a potem pogrążył się w lekturze.

Teraz. W dłoni Josefa po raz drugi pojawiła się komórka marki Gozdawa – najtańszy model, produkowany w polskim mieście Sandomierz. Parę ruchów kciuka i gdzieś o sto czy dwieście metrów dalej zawibrowała komórka Nadira.

Nadir był zamożnym człowiekiem, o wiele zamożniejszym niż Szirin, matka Josefa. Posługiwał się najnowszym telefonem brytyjskiej firmy Henson. I był to jego prywatny sprzęt, nie służbowy.

A cała ta akcja, choć może się kojarzyć z zabawą w piaskownicy, została zaplanowana w sposób najlepszy z możliwych. Użycie przemocy, zwykły napad w jakimś ustronnym miejscu – to nie wchodziło w grę. Tamci od razu by się domyślili, że to nie jest zwyczajna kradzież. Trzeba było kombinować inaczej. Niech myślą, że zgubił... Bo kiedy ktoś się przewraca, zawsze może mu coś wypaść z kieszeni...

I zaczęło się. Piskliwy dźwięk oderwał Rudiego od pasjonującej lektury. Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na jego źródło – gęstą koronę jodły koreańskiej o zabawnych, sterczących w górę niebieskawych szyszkach. Zaraz zobaczy światełko i podejdzie bliżej. A światełko zabłyśnie na gałęzi, która zwisa nad strumykiem...

Niespokojne dwudziestolecie Heinricha von Blumenberga – od niedawna rektora uniwersytetu w Salzburgu – było naprawdę pasjonującą lekturą. Mnóstwo faktów, o których szkolne podręczniki nawet się nie zająknęły, logicznie przedstawione łańcuchy przyczyn i skutków, do tego barwny, a zarazem prosty i klarowny styl. Tę książkę czytało się jak powieść przygodową.

Koledzy Rudiego od dawna żartowali z jego pasji. Twierdzili nawet, że popada w histerię na punkcie historii. On jednak nie zrażał się tymi docinkami. Czytał wszystko, co mu wpadło w ręce – od powieści Dumasa po biografie rzymskich cesarów i książki Waltera Morgensterna o podboju Ameryki. Ostatnio nawet – jak żartował jego najlepszy kumpel Gregor Steiner – „chodził do biblioteki częściej niż do kibla”. A tej wiosny zainteresował się czasami, gdy Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, w wyniku klęski poniesionej pod Austerlitz, stało się Cesarstwem Austrii. Okresem, który von Blumenberg nazwał „najbardziej burzliwym dwudziestolecie w dziejach ludzkości”.

Teraz Rudi ściągnął sobie wersję elektroniczną książki salzburskiego historyka i po obiedzie zaszył się w odludnym zakątku parku, by bez przeszkód oddać się lekturze. Odpalił czytnik – i natychmiast przeniósł się w czasie o dwieście lat wstecz, w tamtą burzliwą epokę, w samo oko cyklonu.

To był szalony czas. Karuzela zaskakujących wydarzeń, których wcześniej nikt nie potrafił przewidzieć ani nawet sobie wyobrazić. Austerlitz. Jena. Pokój tylżycki. Kolejna wojna z Francją, kolejna klęska. Wyprawa Napoleona na Moskwę. Berezyna. Elba. Waterloo. Kongres wiedeński. Zamach Kesselringa, który położył kres panowaniu lotaryńskiej gałęzi Habsburgów – ciężko ranna w wypadku, niepełnosprawna Maria Ludwika przez kilka lat władała państwem z wózka inwalidzkiego, po czym dołączyła do przodków w rodowej krypcie – i unicestwił rosyjskich Romanowów. Druga Smuta w Rosji. Bunt Polaków i Rusinów. Układ austriacko-pruski. Obietnica przyjęcia korony polskiej i ruskiej, złożona przez Metternicha w imieniu Marii Ludwiki. Zaniepokojony Fryderyk Wilhelm zrywa sojusz. Węgrzy buntują się przeciwko Austrii, a Słowacy, Chorwaci i Rumuni przeciwko Węgrom. Nad Bałtykiem rodzą się dwa nowe państwa, zorganizowane na wzór Szwajcarii: trójjęzyczna Litwa i pięcujęzyczne Inflanty. Wojska Metternicha cofają się, spychane od strony Śląska w kierunku Moraw przez armię Blüchera. Polacy i Rusini przybywają z odsieczą, koalicja rozbija w puch Prusaków pod Raciborzem. Generał Dąbrowski wyrąbuje sobie wąski korytarz od Bydgoszczy do Gdańska. W końcu kongres w Poczdamie, który miał się okazać tylko rozejmem...

Rudi dotarł właśnie do barwnej opowieści o tym, jak Metternich wymusił na Hohenzollernach podział państwa pomiędzy potomstwo i rodzeństwo Fryderyka Wilhelma, na otarcie łez oddając mu Suwałki (bez pytania o zdanie Polaków i Litwinów). Uśmiechnął się, czytając anegdoty o sporach, jakie toczyli między sobą polscy politycy, gdy przyszło ustalić, czy stolicą będzie Warszawa, czy może ponownie Kraków. Pewien polityk ze Śląska – Joachim von Stolzenberg, niedoszły kanclerz – twierdził ponoć, że o wyborze Warszawy zdecydował kształt granic nowego państwa na mapach. Polska – pozbawiona północno-wschodniej suwalskiej „wypustki” – miała przypominać sylwetkę warszawskiej syrenki w chwili odpoczynku po walce: Bugodniestrze od Lwowa po Gorgany jako opuszczony ogon, korytarz bydgosko-gdański jako głowa, Poznańskie jako tarcza, a korytarz głogowsko-zgorzelecki, którym Metternich oddzielił Brandenburgię od Śląska, miał przypominać opuszczoną szablę... Rudi zerknął na mapę: faktycznie, gdy się dobrze wpatrzyć w kontury, Polska wyglądała właśnie tak.

Nagle od lektury oderwał Rudiego jakiś dziwny dźwięk. W pierwszej chwili chłopiec myślał, że na którymś z najbliższych drzew śpiewa ptak, ale

natychmiast zauważył różnicę. To było raczej ciurkanie ptaszka z plastiku, tandetnej bazarowej zabawki. Podniósł głowę, ale nie udało mu się zlokalizować źródła dźwięku. Dostrzegł za to dziwne czerwone światełko wśród igliwia jodły rosnącej po drugiej stronie alejki, niemal na samym końcu najdłuższej z dolnych gałęzi. Postanowił wstać i sprawdzić, co to takiego.

Spojrzał pod nogi, by nie stracić równowagi i nie wpaść do wąskiego, ale dość głębokiego strumyczka, płynącego tuż obok jodły. Musiał znaleźć mocny, pewny punkt oparcia dla stóp. Kiedy doszedł do wniosku, że wywrotka mu nie grozi, wspiął się na palce i chwycił koniec gałęzi. Mimo woli uśmiechnął się na widok trzech niebieskawych szyszek sterczących w górę; jodły koreańskie zawsze mu się podobały. W tej chwili jednak wrażenia estetyczne nie były najważniejsze. Rudi chciał sprawdzić, co to się tak czerwono świeci na gałęzi tej jodły.

Wśród igliwia ukryty był mały aparacik przypominający trochę krokomierz, z którym pan Feldmann, sąsiad Reinhardtów, wychodził na spacer. Z tą różnicą, że krokomierz pana Feldmanna nie świecił na czerwono.

Dziwne. Po co ktoś powiesił coś takiego na gałęzi?

Rudi rozejrzał się, poszukując sprawcy tego zamieszania – kogoś, kto robi spacerowiczom dowcipy i ukradkiem obserwuje ich reakcje. Zauważył tylko jedną osobę: chłopca w swoim wieku, przykucniętego na zakręcie alejki i zapinającego rzepy lewego buta. Chłopiec kogoś mu przypominał. Czy to aby nie Josef Stecker, ten pół-Austriak, pół-Turek?

Ale po co Josef miałby wieszac na gałęzi taki aparat?

Uwagę Rudiego przykuł nagle dziwny zapach. Coś jakby woń bzu zmieszana z piwnicznym zaduchem. Co to może być?

Znienacka zakręciło mu się w głowie. Co się dzieje?

Niespodziewanie stracił równowagę i poczuł, że osuwa się w dół, na dno wąskiego parowu, którym płynął strumyk. A potem zrobiło się ciemno.

Komisarz zerknął na porucznika. Porucznik rozluźnił węzeł krawata, po czym ledwo dostrzegalnie skinął głową: „Może pan pytać, ja poczekam”.

Rudi wolałby rozmawiać z porucznikiem. To był człowiek ze ściśle tajnej instytucji, którą tata nazywał „firmą”. Obaj pracowali w tym samym budynku. A komisarz – chyba mniej ważny w tym duecie – reprezentował policję. Miał na sobie znany każdemu Austriakowi szarobłękitny mundur

z metalową gwiazdą poniżej lewego obojczyka. Policja, choć o wiele mniej tajemnicza niż „firma” – wydawała się chłopcu czymś o wiele bardziej obcym.

– A więc nie zdążyłeś zauważyć tego czegoś, co ćwierkało jak ptak? – zapytał policjant.

Rudi pokręcił głową.

– Nie, bo poczułem ten zapach. A potem... – Nie dokończył. Wymownie spojrzął na zaschniętą plamę błota na swoich spodniach.

– Jesteś pewny, że miałeś przy sobie komórkę?

– Oczywiście! – Chłopiec uznał pytanie za absurdalne. Kto wychodzi z domu bez komórki? Kto mógłby zgubić komórkę i przez godzinę tego nie zauważyć? – Zanim zacząłem czytać, odebrałem dwa esemesy.

– Przeszukaliśmy to miejsce – poinformował komisarz. – Twojej komórki nie było ani w strumieniu, ani w trawie pod drzewem. Portmonetki też nie.

– Czyli ktoś je ukraść.

– Na to wygląda. Wypadły i ktoś je zabrał, albo wyciągnął z kieszeni. Musiał być bardzo sprytny, bo nie zostawił żadnych widocznych śladów. Chyba szedł po twoich.

– Podejrzewamy, że ten ktoś dokładnie to zaplanował – odezwał się porucznik.

– Kradzież komórki?! – zdziwił się Rudi. – Specjalnie po to ktoś wieszał coś świecącego na gałęzi? I jeszcze coś innego, co ćwierkało jak ptak? A skąd... Przecież... Przecież ten ktoś musiałby mnie wcześniej obserwować! Bo skąd by wiedział, że ja tam często siedzę i czytam? I wszystko po to, żeby ukraść jedną komórkę? Ona nie jest aż tyle warta!

– Sama komórka może nie – potwierdził porucznik. – Ale dane, które można w niej znaleźć, na pewno tak. Skoro dzwonisz z niej do taty...

– Z drugiego numeru, zastrzeżonego.

– Dobry elektronik łatwo to rozgryzie. – Porucznik uśmiechnął się krzywo.

Komisarz potarł dłonią zakole po prawej stronie czoła i powiedział z namysłem:

– To bardzo prawdopodobne. Ten, kto ukraść twoją komórkę, nie chciał, żeby ktoś się domyślił, o co w tym wszystkim chodzi. Dlatego nie mógł sobie pozwolić na zwykły napad. Napady się niby zdarzają, ale lepiej nie ryzykować. Mógłbyś zapamiętać twarz napastnika. Mógłbyś krzyknąć.

Napastnik musiałby się spieszyć, zabrałby to, na czym mu najbardziej zależało, portmonetkę by zostawił. I już by było wiadomo, że chodzi o komórkę. I to nie pierwszą lepszą. Bo firma – policjant zerknął na porucznika – już jest czujna, po tych ostatnich podsłuchach...

– A teraz – wtrącił się porucznik – nie wiemy, czy komórkę i pieniądze zgubiłeś, czy ktoś je ukradł. Moglibyśmy też pomyśleć, że czerwone światełko i ćwierkający sztuczny ptaszek mogły ci się przywidzieć. Przecież straciłeś przytomność, prawda?

Rudi przytaknął.

– Czyli najpierw lekarz, klinika neurologiczna, tomografia mózgu i inne takie. Zwłaszcza że na drzewie już nikt niczego nie znalazł, poza dwoma kawałkami sznurka. Nie ma dowodów, że coś naprawdę widziałeś.

– Ale ja naprawdę...

Porucznik uśmiechnął się.

– Przecież my ci wierzymy. Te sznurki zostały przecięte ostrym narzędziem. Coś było nimi przywiązane do gałęzi. A ty, zanim straciłeś przytomność, poczułeś jakiś zapach. Potem, kiedy dzwoniłeś na komisariat, mówiłeś trochę niewyraźnie. Co z tego wynika?

– Jakiś gaz? Narkotyk?

– Właśnie. A więc, kolego, krew do analizy. Nie bój się, to prawie nie boli.

– Ja się nigdy nie bałem strzykawek! – Rudi zrobił obrażoną minę.

– To dobrze. A teraz chyba muszę ci jeszcze wyjaśnić, dlaczego tata nie przyjechał...

– Pewnie ma coś pilnego do zrobienia w firmie. Może w związku z moją komórką?

– Zgadłeś. Po tym, jak wpadłeś do rowu, a jacyś tajni agenci capnęli twoją komórkę... bo chyba tak się stało... ktoś przez blisko godzinę prawdopodobnie miał ułatwiony dostęp do naszej bazy danych. Trochę to skomplikowane, ale ten ktoś mógł się czegoś dowiedzieć. A ostatnio jest ktoś, kto się nami bardzo interesuje, a my jeszcze nie wiemy, kto i dlaczego. Wiemy tylko, że to haker albo hakerzy naprawdę wysokiej klasy.

– To teraz jeszcze pomyślmy, jak złapać tego złodzieja – odezwał się komisarz. – Moi ludzie przepytali wszystkich, którzy mniej więcej w tym czasie spacerowali po parku. Okazuje się, że nikt nic nie widział. Znaleźliśmy tylko jednego staruszka, który zapędził się na drugą stronę strumyka, ale on

przechodził tym drugim mostkiem, bliżej pagody.

– Ja właśnie dlatego tam chodzę, żeby poczytać na świeżym powietrzu – wyjaśnił Rudi. – Bo tą alejką prawie nikt nie przechodzi, jest zupełnie cicho.

– A dzisiaj? Widziałeś może kogoś?

Chłopiec w zamyśleniu potarł czoło.

– Za mostkiem... To znaczy przed mostkiem, patrząc od strony fontanny, koło czerwonych głógów stał jakiś chłopak w moim wieku. Był odwrócony plecami, ale wydawało mi się, że to Josef Stecker.

Porucznik czujnie uniósł głowę.

Rudi wyprostował się.

– Chodzi o to, że jego matka jest Turczynką? – zapytał wyraźnie podekscytowany. – Ale u nas żadnych terrorystów z Bliskiego Wschodu nigdy nie było.

– Raczej konkurencja. Ci Arabowie, jak może słyszałeś, drą koty z Irańczykami. A Iran chce przeciągnąć na swoją stronę tureckich i syromezyjskich Kurdów. Nie wiem, czy słyszałeś takie słowo: paniranizm. Frau Stecker nie jest Turczynką, ale Kurdyjką. A więc, poniekąd, rodaczką cesarza Hafizullaha, podobnie jak Persowie, Afganowie i Tadźycy.

– Pozostaje do ustalenia, czego irańscy agenci mieliby szukać w Austrii – zauważył komisarz. – My się przecież nie wtrącamy w stosunki między Iranem a Turcją i Syromezją. Potomkami wyznawców Ahuramazdy też nie jesteśmy. Ale to już – spojrzał na porucznika – wasza broszka, nie nasza. My tylko mamy złapać tego złodzieja. Jego powiązaniami międzynarodowymi zajmiecie się już wy.

Nadir wszedł do pokoju zamaszystym krokiem i pochylił się nad Josefem. Chłopiec przełknął ostatni kęs kebabu i spojrzał na niego pytająco.

– Dobrze się spisałeś, Jusuf – pochwalił go Irańczyk. – Zrobiłeś wszystko tak jak trzeba. Pomyślałeś nawet, żeby mu zabrać portmonetkę, a zegarek zostawić.

– No przecież chodziło o to, żeby to wyglądało normalnie i żeby nie było wiadomo, czy zgubił, czy mu ukradli, no nie? Zegarka szkoda, chciałbym taki mieć, ale jakbym zabrał, toby było jasne, że kradzież. I że mogło chodzić o komórkę, a nie o zegarek. A tak... Kiedy wpadł do strumyka, komórka i portmonetka mogły mu wypaść z kieszeni, zupełnie przypadkowo.

Mówiąc to, Josef ciężko westchnął. Jego matka na pewno mu takiego

zegarka nie kupi. Niezamożna imigrantka, która wyszła za mąż za wiedeńczyka obiecującego jej złote góry, solennie przyrzekającego jej ojcu przejście na islam... Która po ślubie odkryła, że małżonek to pospolity lump, a jego jedyną religią jest butelka... Który wygrał parę tysięcy w totolotka, w tajemnicy przed żoną zafundował sobie wycieczkę do Wilna czy też do Rygi, a w drodze powrotnej zginął w wypadku... Nie, jej syn takiego zegarka nigdy nie dostanie. Ani takiej komórki, jaką miał młody Reinhardt.

Nadir uśmiechnął się półgębkiem.

– Daj lewą rękę – polecił.

Josef nie rozumiał, o co chodzi, ale posłusznie podał mu lewą dłoń. Nadir jednym szybkim ruchem zapiął na jego przegubie pasek zegarka.

Chłopiec spojrzał i jego serce załomotało z radości. Zegarek był taki sam jak Rudiego.

– To też możesz sobie zabrać. – Nadir podał mu portmonetkę zabraną młodemu Reinhardtowi. – Niedużo tego, ale ci się przyda.

Profesor Seifeld poprawił okulary na nosie i strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa lekarskiego fartucha.

– Naprawdę nie ma powodów do niepokoju, Wasza Cesarska Mość. Nie trzeba popędzać agentów, wcale nie muszą się spieszyć. To tylko takie przejściowe zaburzenia...

– Przejściowe! – Karol Józef II bezceremonialnie wszedł mu w słowo. – To już prawie cztery miesiące!

Dziekan wydziału medycznego uśmiechnął się.

– Najjaśniejszy Panie, kiedy człowiek po czterdziestce budzi się rano i nic go nie boli, oznacza to, że nie żyje. A ta czterdziestka stuknęła Waszej Cesarskiej Mości już jakiś czas temu, o ile oficjalna biografia nie kłamie.

Cesarz wzruszył ramionami.

– Wy, łapiduchy, jesteście zawsze pewni swego, a potem się okazuje, że sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Ile lat trwały te wasze czary-mary, całe to rozdzielanie włosów na czworo w laboratoriach, zanim ustalono, że nie będę miał następcy? No, ile? Dziesięć czy jedenaście?

– A to już zupełnie inna sprawa. Profesor Adler tłumaczył Waszej Cesarskiej Mości, na czym polega problem. Natomiast to – Seifeld stuknął palcem w kopertę z dokumentacją – wygląda zupełnie jednoznacznie.

Ogólnie rzecz biorąc, nic Waszej Cesarskiej Mości nie grozi, trzeba tylko przestrzegać zaleceń, zażywać leki i niczym się nie przejmować. Trochę to potrwa, ale słowo „pacjent” pochodzi z łaciny i znaczy po prostu „cierpliwy” albo „znoszący coś”. A opinia publiczna, rzecz jasna, nie musi o niczym wiedzieć, bo po co? Żadnych oświadczeń i komunikatów, przecież nic się nie dzieje.

– No dobra... Niech pan wyda dyspozycje Michaelowi, ja postaram się zrobić, co każecie, nie będę stawał okoniem.

– Słuszna decyzja, Najjaśniejszy Panie. A teraz – profesor spojrzął na duży ścienny zegar – na mnie już czas. Ale proszę pamiętać: trzeba dokładnie przestrzegać zaleceń.

Karol Józef II przez chwilę patrzył w zadumie na ciężkie dębowe drzwi, które bezszelestnie zamknęły się za lekarzem, a potem wcisnął guzik interkomu.

– Jens, czy ten człowiek z *Kundschaftsgruppe*⁵ już przyszedł?

– Czeka od dziesięciu minut – zameldował kamerdyner.

– Proś do gabinetu.

Człowiek z Kundschaftsgruppe miał stopień kapitana i nazywał się Walter Reinhardt. Cesarz widział go po raz pierwszy. Dyrektor tej ściśle tajnej instytucji mówił mu, że Operacją Greta pokierować ma jakiś kapitan, podobno niezwykle utalentowany, ale do tej pory go monarsze nie przedstawił, ani nawet nie podał nazwiska. Teraz ostatni żyjący przedstawiciel rodu von Habsburg-Bonaparte miał przed sobą niespełna czterdziestoletniego mężczyznę w garniturze od Armaniego – aczkolwiek nie z tych najdroższych – i krawacie z tej samej firmy, zaopatrzonego w plik dokumentów ukrytych w czarnej teczce z prawdziwej skóry. Reinhardt sprawiał wrażenie chłodnego profesjonalisty. Mówił pełnymi, ale nieprzesadnie rozbudowanymi zdaniami. Cesarza traktował z należyтым szacunkiem, ale bez nadmiernej czołobitności, bez wtrącania co rusz to innego ozdobnika słownego służącego podkreśleniu wierności etykiecie. Chodzący konkret.

– *Mamy już pierwszy ślad – poinformował. – Udało się ustalić, że pod koniec lata 1828 roku Margaret Winkler zawiozła córkę wraz z dzieckiem do Baumgarten an der March. To jest...*

– *Wiem, mała wioska nad Morawą, przy granicy słowackiej – przerwał*

monarcha. – Gmina Weiden an der March, o ile dobrze pamiętam.

– Zgadza się. Winklerowie mieli w Baumgarten dalekich krewnych. Syn czy też zięć kuzyna dziadka Greta był tam młynarzem. Matka chciała ukryć Gretę i małego Franza gdzieś poza Wiedniem. To była w gruncie rzeczy ucieczka...

– Przed czym?

– Przed gniewem Metternicha – wyjaśnił kapitan. – Księżę kanclerz nie życzył sobie, by jego podopieczny, już wówczas dość chorowity, włóczył się nocami po najgorszych dzielnicach miasta. Dotarliśmy do pewnego listu, z którego wynika, że ludzie kanclerza nachodzili matkę i córkę, grozili im... To się stało jeszcze zanim Greta zaszła w ciążę... Przepraszam, mam na myśli oczywiście te najścia, a nie ucieczkę dziewczyny do Baumgarten.

– Skoro jednak zaszła w ciążę...

– Tak, naczelny rajfur cesarski dobrze wykonał swoje zadanie. – Reinhardt skrzywił się. – Skoro Greta się Franciszkowi II podobała, to von Neumarkt aranżował schadzki. Do czasu...

– O ile mi wiadomo, Otto von Neumarkt ciężko zachorował i mniej więcej po roku zmarł, a wtedy Franciszek II musiał się ustatkować z braku pośrednika – przypomniał sobie cesarz.

– I tu dochodzimy do sedna sprawy. To nie była żadna choroba. Von Neumarkt został uprowadzony i ciężko pobity przez agentów Metternicha, co stało się w kilka godzin po tym, jak Franciszek II odwiedził matkę swojego bastarda. Margaret Winkler znalazła ofiarę napadu pod drzwiami rodzinnego domu. Natychmiast domyśliła się, w czym rzecz. Zawiadomiła proboszcza, który zaopiekował się rannym, a sama zapakowała córkę i wnuka na wóz.

– Taaak... – Karol Józef II zabębnił palcami o blat biurka. – A więc mój korsykańsko-austriacki protoplasta został ojcem w wieku siedemnastu lat. Nie wiem czemu, ale byłem przekonany, że nasz nieznany kuzyn urodził się trochę później... Czy są jakieś dalsze tropy?

– Pracujemy nad tym – zapewnił kapitan. – Jest bardzo prawdopodobne, że Greta wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. Mamy mnóstwo starych dokumentów do przejrzania. Być może zresztą nie tylko u nas. Młynarz z Baumgarten miał szwagra w Suchohradzie...

– A granica Cesarstwa z ówczesnym Protektoratem Słowacji była czysto umowna – dokończył monarcha. – Słowacy uzyskali niepodległość dopiero w traktacie dubrownickim. To był rok 1840, całe dwanaście lat później.

– Oczywiście. Młynarz mógł ją wysłać na drugą stronę rzeki. Albo wyswatać z jakimś Słowakiem i... – Kapitan urwał i chwycił się prawą dłonią za lewy nadgarstek.

– Co się stało? – zaniepokoił się cesarz.

Kapitan cofnął dłoń i odsłonił zegarek. Na jego obudowie pulsowało rytmicznie czerwone światełko.

– Błyska i śwędzi – wyjaśnił. – W ten sposób centrala sygnalizuje przesłanie bardzo pilnej wiadomości na komórkę. Żeby nie było słycać sygnału ani wibracji. Ciekawe, co się stało? Przecież wiedzą, że jestem tutaj.

– No, no, ciekawy gadżet. Prawie jak w filmach o agencji 007. Ale proszę sprawdzić, co to takiego. Ja poczekam. To musi być jakaś bardzo ważna sprawa.

Kapitan wyciągnął komórkę i przez chwilę w skupieniu czytał esemesa. W końcu schował aparat i zamyślił się.

– Przepraszam, Wasza Cesarska Mość – powiedział po chwili. – Sprawy się komplikują.

– Cóż takiego się stało?

– Ktoś podpalił Urząd Gminy w Weiden an der March – wyjaśnił Reinhardt. – A ściślej, tę jego część, w której znajduje się archiwum. To chyba nie przypadek.

– Ale przecież wszystkie dokumenty zostały zdigitalizowane – zauważył monarcha. – I znajdują się w centralnym archiwum w Wiedniu.

– W zasadzie tak. Stare archiwa zawierają jednak mnóstwo papierów zapisanych atramentem firmy Schnitzler und Kraus, który miał pewne szczególne właściwości: po kilkudziesięciu latach wszystko, co zostało napisane tym cienkuszem, było nieczytelne. Taki dokument można odcyfrować jedynie przy użyciu technik policyjnych. Skaner tego, że tak powiem, nie łapie. Prawdopodobnie dlatego w centralnym archiwum nie znaleźliśmy nic o Winklerach. Wybieraliśmy się właśnie do Weiden z całą furgonetką sprzętu...

– Więc nie ma szans? – Cesarz wyraźnie się zasepił.

– Tego nie powiedziałem. Będziemy szukać tropów pośrednich. Może Greta zmieniła nazwisko? Gdyby poszukać chłopców, którzy byli synami nieznanymi ojców...

Karol Józef II wstał, wyszedł zza biurka i zaczął przechadzać się po gabinecie.

– Czy to ma związek z tymi tajemniczymi podsłuchami, o których wspominał dyrektor? – zapytał.

– Na pewno. To by jednak oznaczało, że komuś bardzo zależy na niepowodzeniu Operacji Greta...

– Poplecznicy jakiejś obcej dynastii, która chciałaby osadzić na naszym tronie swojego infanta? Czy może zwolennicy republiki?

Reinhardt otworzył usta, by coś powiedzieć, ale się zawahał. Cesarz spojrział na niego wyczekująco.

– Jeszcze nie wszystko powiedziałem – wyznał w końcu kapitan. – Taki szczegół, z którego może coś wynikać, ale niekoniecznie. Otóż znaleziono w Weiden odcisk buta. To o tyle ważne, że chodzi o firmę, która swoich produktów nie sprzedaje nigdzie w Europie. To był but jednej z dwóch największych firm obuwniczych Iranu, z siedzibą w Tebrizie.

– Irańczyk?! – zdumiał się monarcha. – Hafizullah miałby przeszkadzać we wstąpieniu na tron nowej gałęzi Habsburgów?! Jaki miałby w tym interes?!

– Pewien pół-Austriak, pół-Irańczyk, niejaki Josef Stecker, lat trzynaście, mógł być zamieszany w kradzież komórki mojego syna – poinformował Reinhardt. – Celu kradzieży nie muszę wyjaśniać. To się układa w pewną logiczną całość. Logiczną, co nie znaczy, że zrozumiałą. Bo faktycznie, Operacja Greta nie powinna ich interesować.

– Dziwne...

Posterunkowy Widhölzl pochylił się, by podnieść upuszczoną chusteczkę higieniczną – i nagle zamarł bez ruchu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Miałby aż takie szczęście? Minęła niespełna godzina od chwili, gdy wszystkie posterunki otrzymały zdjęcie odcisku podeszwy pewnego buta – a on, niemal dosłownie, wdepnął w taki odcisk zaraz na początku patrolu?

A to na pewno ten sam but. Logo firmy na obcasie, na podeszwie napis orientalnymi „robaczkami” od czubka aż do obcasa (albo może na odwrót), obcas po lewej stronie wyszczerbiony, tuż obok szczyby pinezka, druga pinezka wbita w pierwszą (albo może ostatnią) literę napisu, pęknięcie w poprzek podeszwy dokładnie w tym samym miejscu. Wszystko dokładnie się odcisnęło w mokrej glinie. Nie ma mowy o pomyłce. Ani też o zbiegu okoliczności: prawdopodobieństwo, że istnieją dwa prawe buty z identycznymi uszkodzeniami na spodzie, to jak trafienie szóstki w Lotto.

Rozejrzał się. Jego partner, Jens Patzold, właśnie odbierał resztę od kioskarki dwadzieścia metrów dalej. *Że też on nie może rzucić palenia... Trzeba poczekać. Na razie lepiej udawać, że niczego nie zauważył. Jeśli właściciel inkryminowanego buta jest gdzieś w pobliżu, mógłby się czegoś domyślić...*

Jens właśnie ruszył w kierunku dzikiej ścieżki przecinającej na ukos trawnik, przy którym Widhölzl przed chwilą się zatrzymał. Ten postanowił wyjść mu naprzeciw. Jens powinien przyjrzeć się śladowi najdyskretniej, jak potrafi. Trzeba go uprzedzić.

– No co jest, Leo? Co masz taką minę, jakby Rapid za chwilę strzelał karnego? – Patzold, kibic Wiener SC, nie przepuszczał żadnej okazji do podobnego przytyku.

Leo Widhölzl puścił zaczepkę mimo uszu.

– Podejdz bliżej – powiedział – i zerknij na ścieżkę. Ale tak, żeby nikt nie zauważył. Tam jest ślad buta z wyszczerbionym obcasem.

Jens bardzo przekonująco udawał, że nie patrzy na ścieżkę, ale wystarczył mu rzut oka, by skojarzyć, w czym rzecz.

– Cholera, to jest to, co na zdjęciu! Tym, które nam przysłali z Komendy Miejskiej!

– Trzeba by pstryknąć komórką i porównać... ale to na pewno ten sam but – potwierdził Leo i wyciągnął aparat. – Facet szedł w tamtą stronę. Może idź naprzód, zasłonisz mnie, żeby z tamtego bloku nie było widać.

W kilka minut później zdjęcie zostało przesłane ememesem na komisariat. Teraz wszystko było w rękach szefów. Albo ważniaków z Kundschaftsgruppe.

Abbas machnął ręką.

– Ty nie wyrzekaj na policję, policja robi to, za co jej płacą. A w Kundschaftsgruppe też nie pracują ćwoki. Ty raczej pomyśl o tym, czy nie znajdą odcisków palców Jusufa na portkach tego Rudiego. Albo na korze jodły. Bo gdyby... To wezmą chłopaka w obroty i wszystko wyśpiewa.

– Kazałem mu założyć rękawiczki – powiedział Nadir. – Wiesz, takie lateksowe, ze sklepu z chemią gospodarczą. Jusuf mówi, że tak zrobił.

– No dobra. Może tu im się trop urwie. Ale chłopak mógł się lepiej kryć. A Nizam... Można mieć pewność, że zniszczył wszystko, co miał zniszczyć? Bo skoro w nocy wydobył wszystko, co trzeba, z tych nieczytelnych szpargałów...

Nadir uśmiechnął się szeroko.

– Taaak, nasz Chemiczny Ali zasługuje na Nobla. Najpierw uziemił Rudiego tym gazem, potem popsikał stare papierzysko jakimś sprejem i od razu dało się odczytać te bazgroły pisane najgorszym atramentem świata... Ale na przyszłość powinien bardziej uważać. I Nizam też. To naprawdę cud, że ich nie zwinęli, kiedy się włamywali. W końcu urząd to nie pierwsza lepsza chałupa czy kiosk z gazetami.

– Allah był łaskawy... – Abbas powiedział to jakby bez przekonania, po czym dodał: – Ale na przyszłość trzeba bardziej liczyć na siebie, bo Allah nie jest od naprawiania naszych zaniedbań. A wracając do sprawy... Co teraz?

– Mamy ślad. Greta wyszła za mąż za syna karczmarza we wsi Sekule na Słowacji.

Abbas podrapał się po głowie.

– A skąd pewność, że dziewczyna wzięła ze sobą obraz przedstawiający Matkę Proroka Jezusa?

– Raport sporządzony dla Metternicha – wyjaśnił Nadir – mówi, że obraz zniknął z domu Winklerów. Podobno matka wygadała się sąsiadce, że dała go córce.

– Rozumiem. Ale czy to pewne, że papiery Kesselringa zostały ukryte za tym obrazem?

– Tak twierdził ten dziennikarz z Linzu, jak mu tam... Waldner chyba. To było bardzo drobiazgowe dziennikarskie śledztwo.

– Wiem, Linzer Zeitung, rok 1836. Nie wiem tylko, czy można takiemu pismakowi wierzyć.

Nadir wzruszył ramionami.

– Dowiesz się, kiedy to sprawdzimy. A zapiski Kesselringa musimy zdobyć. Kundschaftsgruppe nie może nas uprzedzić. A wiemy, że ich szukają, bo niby dlaczego tak się interesują tą Gretą Winkler?

– Jasne. I na pewno robią to na zlecenie CIA. Bo po co Austrii jakaś Wunderwaffe? Żeby zdobyć dwie bawarskie gminy i jeden kanton w Szwajcarii? Albo podbić Liechtenstein?

– Też nie wiem... O, co to, Ali już wraca?

Mężczyznę wysiadającym z żółtej warszawy kombi był na pewno Chemiczny Ali. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Zazwyczaj spokojny, niemal flegmatyczny, tym razem poruszał się wyjątkowo gwałtownie: mocno

zatrzasnął drzwiczki, ze złością kopnął sflaczałą gumową piłkę pozostawioną przez jakiegoś dzieciaka, po czym pobiegł do drzwi – on, który zazwyczaj kroczył dostojnie jak sam szachinszach w dniu święta narodowego. W minutę później wpadł do mieszkania na drugim piętrze.

– Zwinęli Nizama! – wysapał.

Abbas i Nadir zamarli.

– J-j-jak? – wykrztusił zaskoczony Abbas.

– Sam nie wiem, jak do niego trafili. Najpierw pytali, co robił ostatniej nocy w Weiden an der March, a kiedy powiedział, że nigdy w życiu tam nie był, pokazali nakaz rewizji. Wiem, że u siebie niczego trefnego nie miał, ale musieli jednak znaleźć coś podejrzanego, bo zaraz go zabrali w kajdankach.

– Cholera, niedobrze – stwierdził Nadir. – Ale przynajmniej wiadomo, że nie będzie sypał. Zresztą nie wierzę, żeby mogli mu coś udowodnić. A skoro nie udowodnią, to wypuszczą. Przecież to praworządny, demokratyczny kraj Zachodu, prawda?

Było ich dwóch: jeden ciemnowłosy i niebieskooki, ubrany w policyjny mundur z dystynkcjami podinspektora, drugi jasnowłosy o piwnych oczach, w szarym garniturze firmy Vistula. Uparli się, by zadawać w kółko te same pytania.

– Imię i nazwisko? – indagował blondyn.

– Już mówiłem. Abdellatif Daoudi. W transkrypcji francuskiej d-a-o-u-d-i.

– Co pan robi w Austrii?

– Pracuję w firmie Lenz und Lenz GmbH. Jestem kierowcą.

– A w Maghrebie mieszkał pan w...? – To szatyn w mundurze. Jasnowłosy nagle jakby stracił zainteresowanie osobą Nizama. Sprawiał teraz wrażenie nieobecnego duchem.

– Musakar. Jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Oranu. I przez jakiś czas w Bizercie koło Tunisu, ale bardzo krótko.

– Jakieś podróże zagraniczne przed przybyciem do Austrii?

– Dwa razy Francja, raz Włochy, cztery razy Libia. We Francji i we Włoszech pracowałem na czarno, też jako kierowca. W Libii odwiedzałem kuzyna.

– Francja, Włochy i Libia. Nic więcej?

– Nic więcej.

- A co pan robił tej nocy w Weiden an der March?
- Nie byłem w żadnym Weiden an der March – powtórzył Nizam po raz dziesiąty, a może jedenasty. – Nawet nie wiem, gdzie to jest.
- Ale widzę, że pan jest niewyspany – zauważył blondyn, nagle wracając do rzeczywistości.
- Miałem kurs do Triestu i z powrotem.
- Ktoś to może potwierdzić? – Znów blondyn. Teraz szatyn patrzył w sufit, jakby liczył muchy albo komary.
- Mój szef. I jego kontrahent.
- O tak, bez wątpienia potwierdzą... – mruknął mężczyzna w garniturze. Wziął do ręki maghrebski paszport Nizama, a potem sięgnął do stosu papierów na sąsiednim biurku i wyciągnął z nich dokument z okrągłą pieczęcią. Nizam rozpoznał go natychmiast: to było tłumaczenie jego świadectwa ze szkoły średniej, efekt wytężonej pracy tłumacza przysięgłego z Monachium, gdzie obecny kierowca firmy Lenz und Lenz GmbH przepracował wcześniej cztery miesiące. A więc policja zdążyła już odwiedzić pracodawcę Nizama. Ale to nic, firma nie z takimi problemami sobie radziła. Manfred Lenz to spryciarz jakich mało.
- Czy to nie dziwne, że technik elektronik podejmuje pracę jako kierowca? – zapytał facet w garniturze z Vistuli, marszcząc brwi.
- Proszę pana, Zjednoczona Republika Maghrebu to biedny kraj. Stosunkowo słabo skomputeryzowany. W ogóle słabo nasycony elektroniką. Nie dla każdego wystarcza pracy w tej branży.
- Aha, rozumiem... – Ton głosu blondyna świadczył, że jeśli nawet rozumiał, to na pewno nie uwierzył.
- To nawet brzmi przekonująco – potwierdził umundurowany szatyn. – W takim razie co pan robił tej nocy w Weiden an der March?
- Nizam sapnął jak miech kowalski.
- Przecież już mówiłem, że byłem w Trieście, a nie w żadnym Weiden – powiedział, starając się nadać głosowi brzmienie, w którym słyhać by było bezgraniczne zmęczenie z domieszką prawdziwego smutku i bólu.
- Wiemy, wiemy. To pańska oficjalna wersja, panie... eee... Daoudi. Ale nas interesuje ta druga, prawdziwa.
- Przecież mówiłem...
- Szatyn spojrział na blondyna. Ten skinął głową.
- To może teraz nas zastąpią pani komisarz Herder i pani aspirant

Kokoschka.

W chwilę później miejsce obu mężczyzn zajęły dwie młode damy, obie ciemnowłose, obie z fryzurą *à la* Jeannette Meynard. Nie przedstawiły się, ale naszywki na naramiennikach wystarczyły do ustalenia, która jest która.

Mundury na obu źle leżały. Zupełnie jakby kobiety były początkującymi aktorkami, którym po raz pierwszy przyszło zagrać role policjantek.

Aspirant Kokoschka wzięła do ręki odłożone przez jasnowłosego mężczyznę tłumaczenie świadectwa. Potem wyciągnęła ze stosu dokumentów jakiś inny papier. Temu drugiemu przyglądała się o wiele uważniej.

– Czy pan kiedykolwiek pracował w swoim zawodzie, panie Daoudi? – zapytała w końcu.

– Bardzo krótko – odpowiedział Nizam. – W Bizercie, w serwisie firmy sprowadzającej komputery z Francji.

– I nie wziął pan od nich żadnych referencji?

– Nie dało się. Firma zbankrutowała.

Pani aspirant pokiwała głową ze zrozumieniem. A potem powiedziała coś, co sprawiło, że Nizam poczuł się tak, jakby go ktoś rozebrał do naga w samym środku Antarktydy. Nie dlatego, że rozumiał, co policjantka mówi – bo nie rozumiał ani słowa. Z zupełnie innego powodu: dlatego, że rozpoznał język.

Jego szefowie w Meszhedzie nie brali pod uwagę wpadki i przesłuchania. Kazali mu udawać Maghrebczyka, ale nie nauczyli go arabskiego.

Aspirant Kokoschka, z figlarnymi iskierkami w oczach, powoli i dobitnie powtórzyła swoją wypowiedź. Z takim samym skutkiem. Jediną reakcją był strach w oczach, który z każdą sekundą przeradzał się w panikę.

Aspirant powiedziała coś do komisarz Herder. Nizam domyślił się, że to po turecku, ale nie rozumiał. Kiedyś pracował na kresach północno-wschodnich, znał kazachski i kirgiski, ale tureckiego wcale.

– Panie Daoudi, czy jak się pan naprawdę nazywa... To naprawdę nieładnie przyjeżdżać do obcego kraju z fałszywym paszportem! – powiedziała komisarz Herder, patrząc na Nizama z wyrzutem.

Po plecach przesłuchiwanego przebiegło stado mrówek – od kości ogonowej do potylicy. Miały temperaturę lodu na Grenlandii i boleśnie kąsały.

Pani komisarz mówiła czystym, uniwersyteckim farsi, z drobnymi naleciałościami akcentu isfahańskiego.

To chyba jakieś orientalistki przebrane za policjantki – pomyślał Nizam.
– *Ale w jaki sposób policja się domyśliła, że jestem z Iranu?*

– Widzę, że tym razem pan zrozumiał! – Aspirant Kokoschka uśmiechnęła się filuternie. – Bardzo się cieszę. Chyba wreszcie znaleźliśmy wspólny język.

– Nnnie... Nie wiem, o czym pani mówi – wykrztusił Nizam ze ściśniętym gardłem.

– Ależ ja doskonale wiem, kiedy ktoś rozumie, co do niego mówię, a kiedy nie! – Aspirant uśmiechnęła się promiennie. – Pani też, prawda, pani komisarz?

Komisarz Herder ochoczo przytaknęła. A aspirant zerknęła do notatek i zapytała o prawdziwy cel przyjazdu do Austrii. Nie po niemiecku. W czystym, hiperpoprawnym farsy. Chyba z akcentem gilańskim.

Nizam znów udał, że nie rozumie. Wysłuchał jeszcze kilkunastu pytań w ojczystym języku, ze wszystkich sił starając się nie reagować. Zachował zimną krew – a przynajmniej tak mu się wydawało – kiedy aspirant Kokoschka poinformowała go, że o istnieniu szpiegów pojmanych przez służby specjalne nikt nie ma pojęcia, więc można z nimi zrobić wszystko, co się tymże służbom podoba, nie wyłączając smarowania miodem i wrzucania w mrowisko. W to ostatnie Nizam nie wierzył, czuł, że to pusta groźba – ale denerwował się coraz bardziej.

Policjantki – albo może orientalistki – dały w końcu za wygraną.

– Zmiana warty – oświadczyła komisarz Herder, wstając z miejsca. – Tamci panowie wypili kawę, trochę odpoczęli i mogą znów wkroczyć do akcji.

Miejsca za biurkami zajęli starzy znajomi: umundurowany szatyn i blondyn w garniturze z Vistuli.

– Panie... mmm... Panie Daoudi, czy jak tam pan się naprawdę nazywa – powiedział pierwszy z nich – sądzę, że powinien pan się z kimś spotkać.

– To konieczne? – zapytał Nizam, starając się, by w jego głosie zabrzmiało śmiertelne zmęczenie. – Ja już nie mam siły. Oskarżacie mnie nie wiadomo o co, mówicie w jakichś obcych językach, których nigdy się nie uczyłem...

– Tak, to ciekawe. – Twarz blondyna w garniturze wykrzywił sarkastyczny grymas. – Jest pan Maghrebczykiem, ukończył pan technikum w Oranie, a nie zna pan języka, w którym prowadzono zajęcia i wypisano

pańskie świadectwo. Za to rozumie pan język kraju, w którym podobno nigdy pan nie był. I bardzo nieudolnie stara się pan udawać, że nie rozumie. Bardzo ciekawy przypadek...

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Nizam uznał, że nie ma wyjścia i musi iść w zaparte.

– Mniejsza z tym. – Blondyn machnął ręką. – Dojdziemy po nitce do kłębka nawet bez pańskiej współpracy, a pan dostanie wyższy wyrok. Na razie poprosimy tutaj pańskiego znajomego. Powiedzmy: starego znajomego, chociaż on jest nieletni. Może sobie porozmawiacie... Oczywiście po niemiecku, on jeszcze nie zna farsi.

Umundurowany szatyn wstał i zniknął za drzwiami. W chwilę później wrócił prowadząc trzynastolatka o czarnych włosach i szaroniebieskich oczach.

Josef Stecker. Dla Nadira i jego ekipy – po prostu Jusuf.

– No to sobie porozmawiajcie – powiedział, wskazując chłopcu wolne krzesło.

– Ale o czym? Przecież ja go w ogóle nie znam. – Nizam postanowił nadal iść w zaparte. Nic innego mu nie pozostało.

– Naprawdę? – Siedzący obok chłopca policjant odsunął się wraz z krzesłem i jednym spojrzeniem ogarnął obu przesłuchiwanym. – Znow pan coś ukrywa.

– Naprawdę. Chyba nigdy w życiu go nie widziałem. No, może gdzieś na ulicy.

– Mhm. A ty, Lukas, też tego pana nie znasz?

Stojący obok biurka blondyn w garniturze spojrzał najpierw na rzekomego Abdellatifa Daoudiego, a potem na policjanta.

– Pan Daoudi najwyraźniej zamierzał panu przypomnieć, podinspektorze, że to nie żaden Lukas, ale Josef. Jednakowoż z nieznanym nam powodów postanowił nie wyprowadzać pana z błędu.

Nizam zagryzł wargi. Znow się wkopał. Po raz czwarty. Najpierw zgodził się udawać Maghrebczyka, nie znając arabskiego, potem prawdopodobnie zostawił jakiś ślad swojego wyjazdu do Weiden, później jakimś nieopatrzonym odruchem zdradził się ze znajomością farsi, a teraz nie potrafił ukryć, że zna Josefa... Coraz gorzej.

– Josef, a ty poznajesz tego pana? – zapytał podinspektor tonem tak łagodnym, jakby proponował płaczącemu pięciolatki lizaczka.

Josef, choć mocno wystraszony, bynajmniej nie płakał. Za to bardzo energicznie pokręcił głową.

– Ciekawe – skomentował blondyn. – Kiedy wchodziłeś, byłem pewny, że się znacie. A teraz co: zanik pamięci?

– Nie znam tego pana – zapewnił Josef, patrząc w podłogę. – Nigdy go nie widziałem.

Podinspektor wstał.

– No trudno. W takim razie zostaniesz u nas jeszcze z godzinę, dopóki mama po ciebie nie przyjdzie. Takie mamy zasady. Nieletnich po... po rozmowie nie wypuszczamy samych. Oddajemy prawnemu opiekunowi albo odwozimy, ale teraz akurat nie ma kto cię odwieźć, musisz poczekać.

Wezwany posterunkowy wyprowadził Josefa, a podinspektor z ciężkim westchnieniem zwrócił się do Nizama:

– No to zacznijmy od początku. Co pan robił tej nocy w Weiden an der March?

II

Podróż na północ. I z powrotem

Walter Reinhardt prawie nie zwracał uwagi na krajobrazy za oknem. Słowacja to malowniczy kraj, ale kapitana absorbowały zupełnie inne sprawy. Służbowe i rodzinne.

Kundschaftsgruppe wysłała aż trzech funkcjonariuszy do wydawnictwa, w którym pracowała jego żona. Obowiązki Helgi, która w tym momencie nie miała szans na urlop, na szczęście nie wymagały jej obecności w firmie; wystarczył komputer i Internet. Problemem były jednak obustronne kontakty. Irańskich hakerów wciąż nie udało się namierzyć, a Reinhardtowi zależało, by żonę i syna ukryć w bezpiecznym miejscu do czasu, gdy cała sprawa zostanie ostatecznie wyjaśniona. Tak więc Helga i Rudi znaleźli się aż w Tyrolu. Chłopiec na ostatnie tygodnie roku szkolnego został objęty nauczaniem indywidualnym, a jego matka kontaktowała się ze swoją firmą za pośrednictwem pewnego ściśle tajnego serwera.

A ślady Greta Winkler odnalazły się w miasteczku Marchegg, niezbyt daleko od Weiden. Dziewczyna wyszła za mąż za Słowaka mieszkającego w Austrii. W kilka lat po ślubie cała rodzina przeniosła się na lewy brzeg Morawy, do wsi Sekule, o kilka kilometrów od miejsca, w którym stykają się granice Austrii, Słowacji i Czech. Zamieszkała u teściów. Małżonkowi chyba nie najlepiej się wiodło w kraju przodków, bo w latach czterdziestych opuścił wioskę i osiedlił się na drugim końcu kraju. Teraz Reinhardt jechał na spotkanie z agentami słowackich służb specjalnych, którzy obiecali pomoc w poszukiwaniach. Oczywiście nie wtajemniczono ich w szczegóły sprawy; fakt bezpłodności Karola Józefa II i konieczność poszukiwania potomków XIX-wiecznego bastarda miały na razie pozostać tajemnicą. Słowakom zaserwowano parę okrągłych, nic niemówiących ogólników. Czy się czegoś nie domyślali – tego już Reinhardt nie był pewien. Wszak nie stanowiło żadnego sekretu, że cesarz Austrii nie dochował się potomstwa, a jego małżonka najprawdopodobniej ma już za sobą klimakterium.

Tajemnicze, nie wiadomo do czego zmierzające działania Irańczyków wciąż spędzały kapitanowi sen z powiek. Nie tylko jemu – całej Kundschaftsgruppe. Nikt nie miał pojęcia, czego Iran może chcieć od Austrii. Dlaczego tajne służby Hafizullaha IV przeszkadzały w poszukiwaniu potomków habsbursko-napoleońskiego bastarda? Dynastia Pahlawi na pewno nie mogła liczyć na osadzenie kogokolwiek ze swoich krewniaków na tronie w Wiedniu. Od blisko dwustu lat, od chwili gdy pułkownik Naser Pahlawi, wielbiciel i naśladowca Napoleona, obalił Kadżarów, Irańczycy poświęcili całą energię jednemu celowi: skupieniu pod swoim berłem wszystkich ludów mówiących językami mniej lub bardziej spokrewnionymi z farski. Temu służyła ideologia wpisująca Zaratustrę na listę czcigodnych poprzedników Mahometa, na równi z Abrahamem, Mojżeszem, Aleksandrem Macedońskim i Jezusem. W ciągu kilku dziesięcioleci Irańczykom udało się opanować Afganistan, odebrać Tadżykistan Rosji, uszczknąć część terytoriów Turkiestanu rosyjskiego i chińskiego, a w końcu przesunąć granicę zachodnią aż do Araratu. Teraz marzyło im się przyłączenie Kurdystanu, najpierw jego części wchodzącej w skład Syromezji (swoją drogą, pomysł Ligi Narodów, by połączyć w jedno państwo Syrię, Liban i Mezopotamię, był dość niefortunny), a potem części tureckiej. Ale co wspólnego z aspiracjami Hafizullaha miała Austria?

Rozmyślaniami o tych wszystkich sprawach mógł się Reinhardt oddawać bez przeszkód, bo prowadzenie samochodu powierzył kierowcy – młodemu agentowi, dopiero co przyjętemu do Kundschaftsgruppe. Chłopak nazywał się Ingmar Svoboda; nazwisko dowodziło, że jego przodkowie bynajmniej nie byli Teutonami. Imię za to nosił germańskie, ale ono wzięło się z fascynacji pewnym skandynawskim skoczkiem narciarskim, której swego czasu uległ jego ojciec. Przodkowie świeżo upieczonego agenta pochodzili zresztą z okolic Żyliny. Tak więc Ingmar miał odwiedzić niewidziane nigdy w życiu rodzinne strony swojego pradziadka.

W Żylinie zatrzymali się na obiad. Do powiatowego miasteczka Martin pozostawało jeszcze tylko dwadzieścia siedem kilometrów, ale oni zdążyli już zgłodnieć. A potem ruszyli w dalszą drogę. Zza zakrętu wyłoniły się wyniosłe mury zamku Mateusza Czaka⁶ we wsi Strečno, górujące nad doliną Wagu – i wtedy usłyszeli nagle syreny policyjnych samochodów. Wyprzedziło ich pięć radiowozów jadących od strony Żyliny, a potem

jeszcze trzy karetki reanimacyjne. Wszystkie auta pędziły na sygnale na złamanie karku, w tym samym kierunku co oni.

– Coś się stało gdzieś w okolicach Martina – stwierdził Svoboda.

– Albo nawet w samym Martinie – dodał Reinhardt.

Prawdą okazało się to drugie. Przy wjeździe do miasta natknęli się na bariery i policjantów kierujących ruchem. A dotarcie do miejscowej komendy policji, gdzie miał na nich czekać kapitan Pavlík z Bratysławy, okazało się niemożliwe.

Reinhardt wyciągnął komórkę i wybrał numer Pavlíka. Słowak zgłosił się po blisko minucie. Austriak zdążył się tylko przedstawić – a potem już tylko słuchał z wyrazem osłupienia na twarzy.

Josef Stecker – a raczej Jusuf, bo tak go teraz nazywali jego towarzysze – aż przebierał nogami z podniecenia. Wreszcie coś naprawdę ważnego! Nie jakieś tam ściągnięcie czegoś z drzewa czy też zabranie komórki trzynastolatkowi oszołomionemu gazem. Prawdziwa akcja! Prawie jak zadanie bojowe oddziału komandosów!

Wejść do budynku o trzynastej czterdzieści osiem – według zegarka Nadira. Wcześniej Abbas wyłączy monitoring. To ważne; kamera musi oślepnąć. Potem Jusuf – właśnie on – wniesie czerwoną reklamówkę z napisem „Steskal” do męskiego WC w podziemiach, obok bufetu. Zamknie drzwi kabiny, wybierze numer komórki Hamida i wyśle esemesem ciąg jedenastu cyfr, które Nadir zapisał mu na małym zielonym karteluszk. Potem wyjdzie na zewnątrz. Na parkingu wsiądzie do samochodu. Zajmie miejsce na tylnym siedzeniu, obok Abbasa. Abbas będzie trzymał w ręku aparat podobny do smartfona. Przycisk w lewym dolnym rogu będzie pulsował czerwonym światłem: trzy mrugnięcia na sekundę, pół sekundy przerwy i znów trzy mrugnięcia, i tak dalej. Abbas poda aparat Jusufowi, a on naciśnie ten guzik. Potem Nadir ruszy z piskiem opon i odjadą z parkingu. Jak ten szeryf z filmu, ku zachodzącemu słońcu, bo najprostsza droga z parkingu prowadzi na zachód. A w półtorej minuty od wciśnięcia guzika usłyszą wielkie bum.

Tymczasem matka w Wiedniu się denerwuje... Teraz już wie, że Jusuf nie wrócił na noc; przedtem nie, bo i ona nie nocowała w domu. Syn od pewnego czasu zastanawiał się, czy przypadkiem nie znalazła sobie kolejnego Austriaka, który obieca jej małżeństwo i przejście na islam,

a potem będzie przepijał jej pieniądze. Ale to już nie jego problem. Matka ostatnio coraz bardziej krzywo patrzyła na jego kontakty z tajemniczymi osobnikami o orientalnym wyglądzie i podejrzewała nie wiadomo co. Nie potrafiła też zrozumieć, że sprawa Iranu jest sprawą Kurdów, którzy są takimi samymi Ariami jak Persowie czy Afganowie. Muzułmanką była raczej marną; Jusuf podejrzewał, że obietnice przejścia na islam, które ojciec składał jej przed ślubem, były dla niej tylko pretekstem, tanim usprawiedliwieniem mało chwalebego związku z niewiernym. Nazywając rzecz po imieniu, stanowiły zasłonę dymną dla niezdrowej fascynacji niebieskookimi blondynami o wytatuowanych przedramionach.

Jusuf, rozważywszy wszelkie za i przeciw, uznał, że Sprawa jest ważniejsza niż rodzina. A zwłaszcza taka, jak zdekompletowana rodzina Steckerów. Nadir obiecał mu wyjazd do Mszhedu. Oczywiście na lewych papierach; przyjaciele dostarczą mu paszport jakiegoś egzotycznego kraju, ktoś z ambasady będzie udawał jego ojca. W Mszhedzie Jusuf nauczy się języka farsy, a potem zostanie agentem służb specjalnych, takim jak Nadir.

A teraz przyczyni się do zdobycia planów niezwyklej broni, którą kiedyś wynalazł pewien szalony austriacki geniusz. Nie dopuści, by przejęli je tutejsi giaurzy, też poszukujący papierów zapisanych ręką tego wariata. Rzec polega na wykonaniu jednej prostej czynności, zwykłym wciśnięciu guzika – ale to może być jeden z najważniejszych ruchów palca we współczesnej historii Iranu.

Potem, kiedy już znajdzie się w Mszhedzie, wyśle matce pocztówkę. Najlepiej z widokiem meczetu Nasera Pahlawiego. A może z jakimś ośnieżonym szczytem Hindukuszu albo Pamiru?

Godzina trzynasta czterdzieści osiem w końcu nadeszła. Nie spiesząc się, udając zwykłego spacerowicza, który po drodze zgłodniał i postanowił kupić sobie kanapkę w bufecie, Jusuf wszedł do budynku. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nikt nie zauważył, że wchodzi z reklamówką, a wychodzi bez niej. A potem jeden ruch palca...

Nadir wcisnął gaz do dechy. Ruszył na zachód, zgodnie z planem, jak najszybciej i jak najdalej. Żeby nie zwalniać na zakrętach i nie tracić czasu na światłach.

W półtorej minuty później Jusuf, niecierpliwie śledzący wskazówki swojego nowego zegarka, odruchowo się skulił. Wyobrażał sobie, że wielkie bum będzie przypominać trzęsienie ziemi.

Nic z tego. Nadir jechał osiemdziesiątką. Znajdowali się już w odległości blisko dwóch kilometrów od feralnego miejsca. Odgłos wybuchu dotarł do nich, ale był mocno przytłumiony, niczym bardzo odległy grzmot.

Co nie zmieniało faktu, że ważne dokumenty z czasów, gdy miasto za ich plecami nazywało się Turčiansky Svätý Martin, właśnie przestały istnieć. Już nikt poza Nadirem i jego towarzyszami nie wie, jak odnaleźć potomków kobiety, która zabrała z Wiednia niemowlę i obraz przedstawiający Matkę Proroka Jezusa wraz z papierami ukrytymi za tym obrazem.

Gdyby jeszcze udało się uwolnić Nizama...

Timotej Pavlík odłożył komórkę na stół i odetchnął.

– Mamy tylko rannych – poinformował. – Nikt nie zginął. Nikomu też nie grozi trwałe kalectwo.

Reinhardt również odetchnął.

– To dobrze. Bo ja wciąż mam wrażenie, że to myśmy niechcący sprowokowali ten zamach. Irańscy hakerzy są wciąż o krok przed nami. Wydawało się, że nasze zabezpieczenia powinny wystarczyć, a oni jednak się dowiedzieli o Martinie. Bo przecież nikt inny nie miał żadnego powodu, by wysadzić w powietrze wasze archiwum. Nie wie pan, czy ktoś podejrzany ostatnio w nim szperał?

Słowak omal nie zerwał się z krzesła.

– Toż wczoraj kierownik zrobił awanturę nowemu pracownikowi, którego przyjął miesiąc temu! Coś podobno leżało nie tam, gdzie powinno. Chłopak przysięgał, że niczego nie ruszał. A kierownik jeszcze go podejrzewał, że nie uważa, otwierając drzwi do magazynku z najstarszymi aktami. Bo farba na drzwiach obok zamka była porysowana, przypuszczalnie innymi kluczami z pęku.

– Albo ktoś majstrował przy zamku – zauważył Austriak.

– Tak czy inaczej, mamy aferę na skalę ogólnokrajową. Zamach terrorystyczny! U nas, na naszej spokojnej Słowacji! Kto by...

Urwał, słysząc pukanie. Do gabinetu, nie czekając na odpowiedź, wszedł młody policjant.

– Panie kapitanie, są wyniki analiz laboratoryjnych – poinformował, kładąc na stole szarą tekturową teczkę związaną białymi tasiemkami.

– Dziękuję. – Pavlík wyciągnął dokumenty z teczki i zaczął czytać. Coraz mocniej przy tym marszczył brwi.

– Dziwne – stwierdził w końcu. – Zupełnie nieznaną substancję wybuchową. Nie zgadnie pan, jakie były główne składniki tej substancji.

– Co takiego?

– Sód, chlor i wyraźne ślady substancji barwiących używanych do produkcji mydła Fa.

– Skoro mają bardzo dobrych hakerów, to może i chemików – zauważył Reinhardt. – Chociaż o materiałach wybuchowych zrobionych z mydła raczej nie słyszałem... Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego Iranowi tak zależy, by przeszkodzić nam w poszukiwaniach.

– A może pan ujawnić, czemu tak wam zależy na znalezieniu potomków jakiejś kobiety żyjącej w XIX wieku, która nawet nie należała do żadnych wyższych sfer, mających wpływ na ówczesną politykę?

– Nie należała, ale miała pewne związki z tymi wyższymi sferami.

– Chyba się domyślam, w czym rzecz. – Słowak uśmiechnął się pod wąsem.

Austriak, nieco zmieszany, dodał, zamierzając uciąć te dywagacje:

– W każdym razie odnalezienie potomków Greta Winkler ma związek ze sprawami jak najbardziej współczesnymi.

Pavlík po raz drugi omal nie zerwał się z krzesła.

– Gre... Greta Winkler?!

– Tak. Wie pan coś o niej?

Słowak nieco się uspokoił, ale mówił z wyraźnym ożywieniem, zupełnie jakby opowiadał o sensacyjnym wydarzeniu, którego świadkiem był przed chwilą:

– Greta Winkler wyszła za mąż za Kristiána Pavlíka ze wsi Sekule. Kristián później osiedlił się tutaj, w Martinie. Najstarszy syn Greta, dziecko nieznanego ojca, przyjął nazwisko ojczyma, a później wywedrował do Polski. Zamieszkał gdzieś na Pogórzu, niezbyt daleko od naszej granicy. My już od dawna nie utrzymujemy kontaktów z tamtą gałęzią rodziny, ale odnajdziemy ich bez problemu. Ich nazwisko pisze się z polską: P-a-w-l-i-k.

– No, to by rozwiązało sprawę – ucieszył się Reinhardt. – O ile ci bandyci znów nas nie wyprzedzą. Nie wiadomo, do czego są zdolni. Myślę, że do wszystkiego.

Okazało się, że mail „nie może zostać doręczony”. Rudi przez chwilę się zastanawiał, czy ma do czynienia z jakąś przejściową awarią poczty

elektronicznej – to się raz na parę miesięcy zdarzało – czy może firma taty znów zmagą się z tajemniczymi hakerami. Wątpliwości rozwiął esemes od Uwego Hannawalda. Porucznik napisał: *Cierpliwosci Rudi tata jest na akcji za granica my wylaczylismy system ze wzgledu na bezpieczenstwo pozdro trzymaj sie Uwe*. Czyli nie można się skontaktować. A Rudi tak bardzo chciał się podzielić swoim odkryciem...

Mówi się trudno. Trzeba będzie poczekać.

Chłopiec włączył telewizor. Skrzywił się na widok logo amerykańskiego kanału z kreskówkami – czy on to naprawdę oglądał poprzedniego wieczora? – i przełączył na Genewę. Często w ten sposób sprawdzał swoją francuszczyznę. Efekt bywał różny, ale od pewnego czasu Rudi miał coraz więcej powodów do zadowolenia. Zorientował się nawet, że „septante” znaczy to samo co „soixante-dix”⁷.

Trafił na serwis informacyjny. Na początku mówiono o zamachu terrorystycznym na Słowacji. Tamtejszy rząd utajnił wszystkie informacje na ten temat, ale dziennikarzom udało się zdobyć jakieś dane dotyczące domniemanych sprawców. Podobno nie byli to zwyczajni terroryści, ale agenci obcego wywiadu. Dlaczego mieliby wysadzić w powietrze akurat archiwum w prowincjonalnym miasteczku Martin – tego do tej pory nikomu nie udało się wyjaśnić.

Drugą z kolei wiadomością były narodziny córeczki Albrechta III, króla Śląska. Wrocławski dwór podał do wiadomości, że najmłodsza latorośl nadodrzańskich Hohenzollernów waży trzy i pół kilograma i że będzie nosić imiona Anna Józefina. Rodzicami chrzestnymi zostaną Joanna Czartoryska, starsza siostra króla Polski, i Paweł Czetwertyński, młodszy brat króla Rusi, tytularny książę Witebska.

Sąsiednia Polska miała na głowie ważniejsze sprawy. W Sopocie król Adam Jerzy IV gościł właśnie szefów państw leżących nad południowym i wschodnim Bałtykiem: Brandenburgii, Prus, Litwy, Inflant i Rosji. Lada chwila miało zostać podpisane porozumienie o ochronie wód. Na razie Jego Królewska Mość przechadzał się po molo w towarzystwie prezydenta Rady Kantonów Konfederacji Litewskiej Bernarda Mickiewicza, który był potomkiem jakiegoś polskojęzycznego poety z południowej Litwy. Jako ciekawostkę ujawniono, że ów prezydent, pochodzący z kantonu nowogródzkiego, nigdy wcześniej nie był nad morzem, nie odwiedził nawet

litewskiej Kłajpedy.

Wielkie rzeczy – pomyślał Rudi. – Połowa mojej klasy też jeszcze nie była. A wybrzeża mamy o parę kilometrów więcej i w naszym Trieście zmieściłoby się z dziesięć Kłajped.

Najazd kamery pozwolił mu dokładnie przyjrzeć się obu mężom stanu i wtedy zauważył, że Adam Jerzy IV – wysoki mężczyzna poruszający się sprężystym żołnierskim krokiem – ma na sobie garnitur od Diora, a Mickiewicz – korpulentny facet średniego wzrostu i w średnim wieku – ubrał się w marynarkę i spodnie z polskiej Vistuli. Zabawne. Byłoby jeszcze ciekawiej, gdyby Litwini mieli firmę odzieżową o światowej renomie i król Polski sprawiłby sobie uszyty przez nią garnitur... Ale nie mają. Są jedynie potentatem w produkcji portmonetek i damskich torebek – firma Kengūra to marka znana na całym świecie.

Prezydent Rady Kantonów sąsiednich Inflant Hendrik Nurmsalu pojawił się na ekranie tylko na moment, promiennie uśmiechnięty do kamer i ściskający dłoń Czartoryskiego.

A Rudi ostatnio dużo myślał o Inflantach. To stamtąd pochodziły listy, które pokazał mu Oskar Linde.

Rudi czuł, że Oskarowi imponuje jego odczytanie, historyczna pasja i dobra znajomość francuskiego. Tyrolczyk był chłopcem małomównym i skrytym, ale nie potrafił ukryć podziwu. Już po kilku dniach powierzył Rudiemu swój największy sekret: listy – a raczej ich fragmenty – pisane do jego prapraprababki przez jakąś przyjaciółkę mieszkającą w inflanckim Dyneburgu. Oskar poświęcił sporo czasu na rozszyfrowanie archaicznej francuszczyzny sprzed dwustu lat, jaką posługiwała się owa tajemnicza kobieta. Nie był pewny, czy wszystko dobrze zrozumiał. Jeśli jednak zrozumiał, to wnioski nasuwały się same, a trzynastoletni Tyrolczyk znał historię wystarczająco dobrze, by takie wnioski wyciągnąć.

Przyjaciółka jego prapraprababki musiała być córką doktora Kesselringa. Szalonego naukowca, który zlikwidował dwie cesarskie dynastie.

Rudi na początku trochę się wzbraniał przed czytaniem tych listów. Uważał, że byłoby to wchodzenie z butami w cudze sprawy rodzinne. Oskar jednak natychmiast rozwiał jego wątpliwości: rodziców stracił, gdy miał sześć lat, państwo Krausowie byli jedynie jego prawnymi opiekunami, żadnymi krewnymi, a on sam – jedynym żyjącym potomkiem owej prapraprababki. Miał prawo dysponować szpargałami znalezionymi

w przepastnej komodzie na pierwszym piętrze rodzinnego domu. Domu, który na razie stał pusty, a on wraz z Krausami jedynie starał się utrzymać go w takim stanie, by rodzinne gniazdo nadawało się do zamieszkania, kiedy dziedzic nazwiska i schedy ukończy osiemnaście lat. Skoro więc postanowił pokazać te szpargały Rudiemu, to Rudi ma prawo je przeczytać.

I Rudi przeczytał. Niestety autorka listów miała zwyczaj pisać wyłącznie po jednej stronie arkusza, a kolejnego – albo może kolejnych – często brakowało. Trudno było się domyślić, czy zaginiony dalszy ciąg listu zawiera coś ważnego, czy może jedynie pozdrowienia.

W pierwszym liście nie było niczego, co mogłoby Rudiego zainteresować, może poza jedną wzmianką – tak ogólnikową, że nie zwróciłyby na nią uwagi, gdyby Oskar wcześniej nie wymienił nazwiska Kesselringa.

Droga Liselotte!

Wreszcie koniec życia na walizkach! Chyba już na dobre zakotwiczyliśmy z Ciocią w Dyneburgu. Jej Kuzyn Georg bardzo nam pomógł. Teraz pozostaje urządzić nasz skromny domek – a potem już tylko uczyć się łątgalskiego. Tu ostatnio wszyscy poszaleli na punkcie tych chłopskich języków. A jest ich aż cztery: łotewski, łątgalski, estoński i võro^o. To się tak właśnie pisze – z tym zabawnym wężykiem nad „o”, jak w nazwisku portugalskiego poety Camõesa. Każdy szlachcic albo mieszczanin za punkt honoru stawia sobie nauczenie się któregoś z nich. Podobno straszliwie je kaleczą, czym wywołują w plebsie niepohamowaną wesołość – ale uczą się i próbują z pospólstwem rozmawiać w tych narzeczach. Cóż poradzisz, to chyba taka moda, która z Niemiec idzie, przez pana Herdera zapoczątkowana. Pewnie i ja będę musiała się za ten tutejszy łątgalski zabrać, by nie uchodzić za staromodną i nudną jak kazania ojca Mildego, superiora tutejszych jezuitów.

Wciąż nie mogę ochłonąć po tym, czego się dowiedziałam o moim kochanym Papie, którego ledwo pamiętam, za którym jednakowoż tęsknię od czasu jego tajemniczej śmierci. Nigdy nie rozumiałam, czemu po zamążpójściu powtórnym Mama postanowiła, że i moje nazwisko zmienionym zostanie. Dopiero teraz mi wytłomaczyła przyczynę. O, gdybyż była milczała do końca! Jakże mi się teraz pogodzić z tym, że biedny Papa, któremu z pewnością rozum się całkowicie pomieszał, winien jest takowych

okropności! Myśl obłąkana, zrodzona w chorej głowie nieszczęsnego szaleńca, tyle spowodowała klęsk! Oblicze Europy zmieniła! Czy to możliwe, by owe niegdyś grzeszne amory cesarza Leopold-

I na tym kończył się pierwszy arkusz. Drugiego, z dalszym ciągiem listu, w komodzie starego domu nie było. Oskar zapewniał, że przyniósł wszystko, co znalazł.

Kolejny list odsłaniał nieco większy rąbek tajemnicy. Tu z kolei brakowało pierwszego i trzeciego arkusza, zachował się jedynie środkowy.

zumiem, co szczególnego widzisz w dziwnym afekcie, jakim mój nieszczęsny Papa w młodości swej zapalał do owej florenckiej Giulietty. Czy Ty aby nie za dużo tych nowomodnych romantyków czytujesz? Cóż była warta ta płocho dziewczyna o ptasim mózdzku, która wzgardziła konkurentem z dobrej, poczciwej rodziny, by ulec występnyemu chuciom mieszkańca pałacu pełnego złota i klejnotów? Toż Leopold był od niej dwakroć starszy – ba! więcej niż dwakroć! – a do tego brzydki! I małżonkę miał, przed Bogiem Wszechmogącym poślubioną! Takież to dziewczę łase było na puste splendory? Czy może złoto okazało się aż tak silną pokusą?

Dla Papy despekt to musiał być wielce dotkliwy. Wiesz przecież, że potem przez lat blisko trzydzieści przed małżeństwem się wzbraniał. Czemuż, ach, czemu wcześniej nie pozwolił sobie tej włoskiej podróży wyperswadować?! Jakże inaczej wyglądałoby jego późniejsze życie! Jakże inaczej potoczyłyby

A więc zawód miłosny i zemsta? Młody Austriak odwiedza Włochy, we Florencji zakochuje się w jakiejś Giulietcie, ale ta zostaje metresą ówczesnego księcia Toskanii, przyszłego cesarza Leopolda II. Może zresztą nawet nie metresą, a jedynie zaspokojeniem chwilowej zachcianki? W ćwierćwiecze później odrzucony amant, wówczas pięćdziesięcioparoletni, jest już – a raczej dopiero – mężem innej kobiety, zapewne znacznie młodszej, ma córeczkę i para się fizyką. Wspomnienie florenckich przeżyć z czasów młodości wciąż mu jednak doskwiera. Jest rok 1815, Leopold II od dwudziestu trzech lat nie żyje, więc zemsta ma osiągnąć innych Habsburgów. Trzeci list rozwiązał wszelkie wątpliwości co do osoby „nieszczęsnego Papy”. Mieszkanka Dyneburga pisała:

Droga Liselotte!

Błagam Cię, zaklinam na wszystkie świętości! Jeśli Państwo Günzel zamierzają jechać do Sankt-Petersburga przez Inflanty, to Boże broń, nie piśnij ani słowa o mojej w Dyneburgu bytności! Nie chcę tu widzieć nikogo,

kto by mię znał przedtem w Austrii! Niech nazwisko nasze zapomnianym będzie! Nie ma już Kesselringów z Wiednia, są jeno Amplerowie z Dyneburga, i niech tak pozostanie na zawsze! Chcemy obie z Mamą za wszelką cenę zapomnieć o

Tym razem nieznaną Rudiemu z imienia córka doktora Kesselringa pisała na arkusikach dwa razy mniejszych. Dalszego ciągu jednak nie było, druga część listu znów gdzieś zaginęła.

Reszta korespondencji – czternaście arkuszy – nie zawierała niczego ważnego.

Oskar, któremu Rudi zaraz na początku ich znajomości zwierzył się ze swojego zainteresowania tajemnicą Kesselringa, teraz postanowił oddać mu te trzy listy.

– Jeżeli one nie wyjaśniają – przekonywał – w jaki sposób Kesselring dokonał zamachu, to przynajmniej wiadomo z nich, dlaczego to zrobił. Mnie one nie są potrzebne. Z Kesselringami nic mnie przecież nie łączy. Po prostu córka tego terrorysty przyjaźniła się z moją prapraprababką, i tyle. Jeżeli w Inflantach żyje ktoś, kto od niej pochodzi, to pewnie nawet nie wie, że jakiś jego przodek wykończył dwie dynastie i wywołał wielką wojnę. Krausów to wszystko w ogóle nie obchodzi. Mnie też nie za bardzo. Mówię ci, weź je.

Rudi, po długim wahaniu, posłuchał. Postanowił nie czekać, aż skończy się jego tyrolska banicja, i od razu poinformować ojca o znalezisku. Zeskanował trzy interesujące go listy i wysłał mailem do ojca. No i okazało się, że ojciec jest nieuchwytny, wykonuje jakieś ściśle tajne zadanie za granicą, a Kundschaftsgruppe najwyraźniej jeszcze nie uporała się z tajemniczymi hakerami. Trzeba poczekać.

W środę Franek Pawlik po raz kolejny wracał ze szkoły okrężną drogą przez las. Nie miał ochoty dreptać poboczem szosy i znosić niedyskretnych spojrzeń przechodniów. Nie chciał, by wszyscy wybałuszali gały na jego podbite oko i rękę w gipsie. A już wyjątkowo głupio się czuł z głową ogoloną do gołej skóry. Zawsze był dumny ze swojej fryzury – a teraz wyglądał jak recydywista wypuszczony z więzienia.

To była naprawdę koszmarna seria nieprzyjemnych zdarzeń. Najpierw, w niedzielę, zaczepił go jakiś dziwny facet. Podszedł do niego zaraz po mszy i nie odczepił się aż do końca – do chwili, gdy Franek skręcił w dróżkę

prowadzącą do furtki rodzinnego obejścia; obecność dziadka, dość krzepkiego mężczyzny, najwyraźniej zniechęciła natręta. Droga do domu kosztowała jednak chłopca sporo nerwów. Nieznajomy przez ponad dwadzieścia minut go zaczepiał, robił głupie uwagi, obrażał go... Franek już zamierzał wyciągnąć komórkę i zadzwonić po dziadka, ale bał się, że wtedy natręt przejdzie od słów do czynów – a to mogło się źle skończyć. Piętnastolatek nie miał szans z muskularnym mężczyzną przewyższającym go wzrostem o głowę. Prawdopodobnie straciłby komórkę i parę zębów.

A w poniedziałek bandyci napadli na ich dom. Pozostawili po sobie rozbite meble – szafa, stół, kredens – i zniszczony zegar ścienny. Dziadkowi złamali nos, Frankowi rękę. Najmłodszy członek bandy, mniej więcej trzynastoletni, podbił mu jeszcze oko. Nie wiadomo, o co im chodziło – bo nie ukradli niczego poza starym obrazem Matki Boskiej, pamiętającym jeszcze czasy Napoleona. Czyżby jacyś złodzieje dzieł sztuki? Ale ten obraz nie miał jakiejś szczególnej wartości! Ot, takie sobie malowidło...

W dwa dni później, mimo złamanej ręki, postanowił sprawdzić, czy prawdziwe są pogłoski o pojawieniu się pierwszych kurek w jodłowym lesie na wzgórzu. No i miał pecha. Kurek było jak na lekarstwo, a za to przytrafiło mu się spotkanie z tymi trzema wariatkami...

Bo to na pewno były wariatki. Jaka normalna dwudziestoparoletnia kobieta chwyta nastolatka i wycina mu szeroką „ścieżkę“ na środku głowy? Franek na początku myślał, że to po prostu złodziejki, i czując na ramionach żelazny uścisk mocnych dłoni o krótkich, choć jaskrawo polakierowanych paznokciach, z trudem powstrzymywał się od śmiechu na myśl o tym, jak będą między siebie dzielić te jedenaście dukatów i trzydzieści dwa grosze z jego portmonetki, albo jak będą próbowały sprzedać w komisie jego komórkę. Potem, kiedy najwyższa z nich przejechała dłonią po jego gęstych czarnych włosach, chłopcu przemknęło przez głowę, że ma do czynienia z niewyżytymi nimfomankami o skłonnościach nieco pedofilskich. Tak właśnie pomyślał: nieco. Nie mógł ich zachowania nazwać jednoznacznie pedofilią, bo już nie czuł się dzieckiem. Miał metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, a pod nosem kiełkował mu delikatny czarny puszek.

A tymczasem te trzy zbikowane seksbomby – bardzo atrakcyjne, Franek musiał to przyznać – były w najlepszym razie fetyszystkami. No chyba że obcinały włosy każdemu, kto się napatoczył, by sobie zrobić materace, ale w to raczej trudno było uwierzyć.

Zaraz po przyjściu do domu zgolił przetrzebioną fryzurę maszynką elektryczną dziadka. Starszy pan, mocno łysiejący, nie chodził do fryzjera, bo uważał, że nie ma z czym; regularnie golił resztki bujnej ongiś czupryny, stojąc przed dużym owalnym lustrem w pokoju. Teraz wnuk pod jego nieobecność skorzystał z dziadkowego sprzętu.

To było przed tygodniem. W tę środę Franek po powrocie ze szkoły szybko zjadł obiad i poszedł nad Białą. O pływaniu ze złamaną ręką nie było mowy, ale mógł przynajmniej posłuchać śpiewu słowików. To już ostatnie dni – tylko patrzeć, jak nadejdzie dzień świętego Wita, a „na święty Wit słowiki cyt“, jak mawiał dziadek. Franek lubił ptaki: słowiki, zięby, kosy, drozdy... Ich śpiew – teraz, kiedy wciąż nie mógł ochłonąć po napadzie bandytów na rodzinny dom – znakomicie koił nerwy. Tak więc leżał sobie Franek na trawie, od niechcienia śledząc wzrokiem białe cumulusy i słuchając słowików, które śpiewały w najlepsze, wcale nie przejmując się tym, że do wieczora jeszcze daleko. Od czasu do czasu siadał, sięgał zdrową ręką po butelkę coca-coli, pociągał z niej łyk albo dwa, po czym znów kładł się na trawie. Słyszał tylko słowiki, nie zwracał uwagi na żadne inne odgłosy – nawet na plusk wody w niewielkim rozlewisku od starą wierzbą, gdzie aż roiło się od żab i traszek. Nie usłyszał też cichego stąpania trampków na gumowej podeszwie; miękka trawa niemal całkowicie tłumiała odgłos kroków. Dopiero okrzyk „Siema, Dyzio Marzyciel!” wyrwał go z odrętwienia.

Szymek Suwała przysiadł obok Franka na trawie.

– Ty tu się byczysz, a tam cała wieś główkuje, czy to na was napadli, czy wy na kogoś. Najechało się gliniarzy, że ani policzyć. I jeszcze jakieś byczki w czarnych ciuchach, z bronią maszynową, chyba antyterroryści...

Franek zerwał się na równe nogi.

– Nie ściemniasz?!

– Jak bum, bum! Idź zobacz sam!

Franek szybko pobiegł do domu. Już na miedzy koło rozwidlonej gruszy przekonał się, że Szymek nie ściemniał. Na podwórku rzeczywiście stały radiowozy, a obok nich jakiś cywilny samochód – z tych bardziej wypasionych, wart chyba ze sto średnich pensji. Za nim były jeszcze dwa inne, których obecność chłopiec odkrył dopiero na miejscu; wcześniej zasłaniała je pergola z powojnikami. Uzbrojeni mężczyźni, jedni ubrani na niebiesko, inni na czarno, stali pośrodku całej tej flotylli, przestępując z nogi

na nogę, wyraźnie znudzeni. A matka i dziadkowie sterczeli przy samej furtce, niecierpliwie zerkając na zegarki.

– No, jesteś wreszcie! – powitała go matka.

– Co się dzieje?

– Nie wiem, nie powiedzieli nam. Podobno mają do ciebie ważną sprawę. Oni i jeszcze ten ktoś. – Pawlikowa wskazała ten najdroższy samochód. – On czeka w samochodzie, ale nie pozwalają podchodzić.

Zaprowadziła go do pokoju, gdzie czekało już czterech mężczyzn ubranych w garnitury.

– Kapitan Michałowicz, Agencja Wywiadu – przedstawił się jeden z nich.

– A to są panowie Reinhardt i Svoboda. Reprezentują służby Cesarstwa Austrii. I jeszcze podporucznik Kłosek, oczywiście od nas. Nawiasem mówiąc, kapitan jest synem kierowcy, który zginął w wypadku koło Białej Niżnej. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda?

Oszołomiony Franek uściskał dłonie czterech mężczyzn. Wciąż niczego nie rozumiał. Musiał mieć wyjątkowo głupią minę, bo Reinhardt przez chwilę miał trudności z zachowaniem powagi.

– To może pan kapitan – Michałowicz wskazał na Reinhardta – wyjaśnij ci, o co chodzi. Włączymy tylko... Zaraz, można by na twoim komputerze? Widzę, że ma trochę większy ekran, będzie widać lepiej niż na laptopie.

– O ile tego mojego rzęcha da się jeszcze odpalić – mruknął Franek, który tymczasem zdążył nieco ochłonąć. – Bo przedwczoraj stawiał opór. Włamywacze chyba od razu się na nim poznali, nawet nie ruszyli.

– Bo to najwyraźniej nie był napad rabunkowy – stwierdził Reinhardt. Mówił po polsku bardzo dobrze, niemal bez śladu obcego akcentu. – Myśmy myśleli, że chodziło o ciebie, ale skoro jesteś cały i zdro... no, prawie zdrowy, to chyba też nie. Czyli wciąż nie wiemy, w czym rzecz. Ale najważniejsze, że dotarliśmy do celu. Operację Greta możemy uznać za uwieńczoną powodzeniem.

Jeszcze jakaś Operacja Greta? A cóż to takiego? Franek poczuł nagle lekki zawrót głowy. Napad na jego dom – tu, w Polsce, tak daleko od Wiednia – miałyby mieć coś wspólnego z jakąś akcją austriackich tajnych służb, w dodatku prowadzoną najwyraźniej za wiedzą i zgodą polskiego wywiadu?

Posłusznie uruchomił komputer. Reinhardt wsadził do stacji pen drive'a francuskiej firmy Laplace i otworzył jakąś prezentację.

– Usiądź, zanim się przewrócisz z wrażenia – poradził chłopcu.

Franek usiadł.

– Niemiecki podobno znasz dość dobrze? – upewnił się Austriak.

– Dosyć. Mam szóstkę. A u pani Tokarskiej to jak szóstka w Lotto.

– No to patrz.

Na ekranie pojawił się napis: „Napoleon Franz Joseph Karl von Habsburg-Bonaparte Franz II”. A obok drugie nazwisko: Greta Winkler. Owa Greta miała syna imieniem Adam. Potem Reinhardt kliknął i wtedy okazało się, że od drugiego roku życia Adaś nosił nazwisko swojego słowackiego ojczyma: Pavlík. Kolejne kliknięcie – i na ekranie pojawiło się to samo nazwisko w polskiej wersji: Pawlik.

Franek poczuł, że zaczyna się pocić. Czyżby...?

Po paru kolejnych kliknięciach ekran wypełnił napis czarną majuskułą: FRANCISZEK PAWLIK.

– Od chwili gdy twój ojciec zginął w wypadku, jesteś jedynym obok cesarza Karola Józefa II męskim przedstawicielem dynastii von Habsburg-Bonaparte – podsumował uroczyście kapitan Reinhardt.

– A w Europie jest taki zwyczaj, że członkowie rodów panujących nazywają się nawzajem kuzynami – usłyszał Franek za plecami znajomy głos. – Witaj, kuzynie.

Franek zerwał się z miejsca i stanął twarzą w twarz z Jego Królewską Mością Adamem Jerzym IV Czartoryskim.

Lokator komnat z widokiem na Kolumnę Zygmunta wyglądał jak człowiek, któremu udał się świetny dowcip.

– A mówiłem kilka tygodni temu, że jeszcze kiedyś się spotkamy! – przypomniał, uśmiechając się od ucha do ucha.

Franek miał wrażenie, że za chwilę upadnie na podłogę z jodłowych desek... albo nawet, zanim to się stanie, roztopi się jak śnieżka rzucona na kaloryfer, zamieni w kilkadziesiąt litrów gorącego potu, przecieknie przez dywan i pomiędzy szparami w podłodze spłynie do piwnicy. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że twarze gości, matki i dziadków wirują wokół niego jak na karuzeli. Oparł się o biurko, omal nie przewracając komputera. Zamknął oczy...

Habsburg. Franz von Habsburg-Bonaparte. *Witaj, kuzynie.*

Nie, to chyba halucynacje. Pewnie udar słoneczny.

– Może wody? – zapytał król. W jego głosie dało się wyczuć

rozbawienie.

Ktoś – prawdopodobnie Michałowicz – posadził chłopca z powrotem na krześle.

– Lepiej już?

Nowo odkryty Habsburg zdobył się tylko na ledwo zauważalne skinienie głową.

Reinhardt usiadł obok niego i cierpliwie czekał na ustąpienie objawów szoku.

– No, chyba nie trzeba będzie jechać do szpitala – stwierdził w końcu. – Jak tam serce, w porządku?

Franek przytaknął już nieco bardziej energicznie.

Austriak przystąpił do wyjaśnień. W kilku zdaniach odłonił kulisy niedawnych wydarzeń – oczywiście tych, które dla niego samego nie były niedocieczoną tajemnicą.

– Wiadomość o tym napadzie z ubiegłego tygodnia o mało nie doprowadziła paru ludzi u nas do ciężkiego zawału. Od pewnego czasu zmagaliśmy się z hakerami, którzy przechwytywali nasze rozmowy i pocztę elektroniczną. W końcu ktoś wywołał pożar w archiwum w Weiden an der March, gdzie poszukiwaliśmy dokumentów dotyczących syna Grety Winkler. Wtedy odkryliśmy, że to sprawka wywiadu irańskiego. Nie mogliśmy zrozumieć, czego Iran mógłby chcieć od Austrii. Potem był zamach bombowy na archiwum w Martinie na Słowacji. Na szczęście nikt nie zginął. Tamci wciąż nas wyprzedzali o krok...

– Ale chyba nie chodziło o mnie? – zauważył Franek. – Przecież żyję, jestem tutaj.

– A oni zabrali tylko obraz Matki Boskiej – dodał Reinhardt z miną wyrażającą zarazem zdumienie i kompletną bezradność.

– Czyli musiało chodzić o coś zupełnie innego – uzupełnił Svoboda. – Ale o co?

Tymczasem kapitan Michałowicz, teraz nagle jakby trochę zmieszany, zmienił temat.

– Wasza Królewska Mość...

– Przestań, od czasów Korpusu Kadetów jesteśmy na ty – przerwał mu Czartoryski. Młody monarcha był zresztą znany z dość swobodnego sposobu bycia, od którego odstępował jedynie w sytuacjach bardzo oficjalnych.

– No dobra – zgodził się kapitan. – Myślę, że księciu Franciszkowi –

w tym momencie Franek poczerwieniał jak burak – należą się od nas przeprosiny. Od Agencji Wywiadu, ale i od naszego dowcipnego monarchy, który wpadł na taki frywolny pomysł. Bo to nie ja wymyśliłem ten specyficzny sposób pozyskania materiału genetycznego niezbędnego dla potwierdzenia pokrewieństwa naszego księcia z dynastią Habsburgów.

Frankowi coś zaczęło świtać. Poczerwieniał jeszcze bardziej i odruchowo przejechał dłonią po wygolonej przed paroma dniami czaszce.

– Widzę, kuzynie, że już wiesz, o co chodzi. – Adam Jerzy IV roześmiał się. – Kiedy na biologii mówili o DNA, nie poszedłeś na wagary.

Kapitan Michałowicz uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak, owe trzy muskularne dziewczyny w typie księżniczki Xeny to nasze agentki. Mam nadzieję, że kiedyś w przyszłości Wasza Książęca Mość, już jako cesarz Austrii, nie uzna tego incydentu za *casus belli*. To znaczy...

– Wiem, co to jest *casus belli*, ja czasem czytam książki – przerwał mu Franek. – Mniej więcej jedną na tydzień. Ale wojna polsko-austriacka jest niemożliwa, chyba że Słowacy pozwolą na przemarsz wojsk.

– Słuszna uwaga – zauważył z uśmiechem Michałowicz. – A wiesz – zwrócił się do Czartoryskiego – coś mi się obilo o uszy, że Iza też dużo czyta?

Uszy Franka wyglądały tak, jakby za kilka sekund miała z nich wytrysnąć fontanna krwi. Oczywiście wiedział, o jaką Izę chodzi. Młodsza od niego o rok Izabelę Czartoryską, siostrę króla, widział kilka razy w telewizji.

Adam Jerzy IV postanowił wybawić go z kłopotu i przejść do finału.

– W takim razie zapraszam do Warszawy – zwrócił się do rodziny Pawlików – a potem... *gute Reise nach Wien!*

Epilog

Baranina, przyrządzona przez Hamida na sposób choraskański, była wyjątkowo smaczna. Jusuf bez skrępowania oblizał palce, potem poprosił o dokładkę, zjadł i zrobił to samo, co za pierwszym razem.

– A nie zauważą, że ten mój paszport jest lipny? – zapytał, sięgając po dzbanek z sokiem.

– Jaki znów lipny?! – obruszył się Nadir. – Paszport jest w porządku. Normalny paszport obywatela Cesarstwa Iranu. Władze wydały i nikogo za granicą nie obchodzi, że człowiek o takim imieniu i nazwisku nie istnieje. Nawet wiza z polskiej ambasady w Moskwie jest legalna. Taki małolat jak ty nie musi się po nią zgłaszać osobiście, wystarczy rodzic albo opiekun. No a podróż na trasie Meszhed–Moskwa... Wiesz, w tamtych stronach wszystko da się załatwić. Przyjechałeś do Polski legalnie, a jeszcze bardziej legalnie odlatujesz.

– Aha, jasne...

Jusuf chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie drzwi sąsiedniego pokoju gwałtownie się otworzyły. Abbas wpadł z impetem, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden muskularny bohater filmów akcji, rzucił na stół plik pomiętych kartek, po czym puścił kwiecistą wiązaną wymyślnych przekleństw, na przemian po niemiecku i w farsy.

– Co się dzieje? – zdziwił się Hamid.

– Lipa! Wunderwaffe Kesselringa to jedna wielka lipa! – Abbas omal się nie zachłysnął z wściekłości. – Wiecie, co ten niby-geniusz zrobił?! Skonstruował katapultę i wystrzelił z niej bombę termobaryczną! Z jakąś przystawką do efektów świetlnych! Rozumiecie?! Zwyczajna, badziewna bomba termobaryczna! Nic, czym można by zbombardować Delhi albo Ankarę! Nic, z czego warto by zrobić raketę balistyczną! Szlag by to trafił! Nizam na darmo siedzi w austriackim pierdłu!

Nadir poderwał się z krzesła i natychmiast opadł z powrotem na siedzenie. Jusuf upuścił wylizywany właśnie talerz. Hamid, gwałtownie wstając, przewrócił krzesło.

Abbas w bezsilnej złości tłukł pięścią w blat stolika, klnąc tym razem na

przemian w farsi i w baszkardi. Jego pełne wściekłości okrzyki i uderzenia w stół zdawały się odbijać echem od ścian.

Pozostałych też dławił bezsilny gniew. Więc kłapa na całej linii. Wysilek włożony w podsłuchy i śledzenie korespondencji elektronicznej tajnych służb, spalenie archiwum w Weiden, eksplozja w Martinie, napad na dom Pawlików, mozolne rozszyfrowywanie zapisków Kesselringa, który zamiast niemieckiego użył klasycznej greki – wszystko psu na budę. Ich doniosły wkład w przyszłe pasmo sukcesów Iranu okazał się bańką mydlaną, a ta właśnie rozprysła się i znikła bez śladu.

– No rzeczywiście – Nadir odezwał się wreszcie zdławionym głosem – bombami termobarycznymi Paktu Sueskiego nie pobijemy. – Wstał, przez chwilę nerwowo wyłamywał palce, po czym stanął w oknie i zapatrzył się na krzaki dzikiego bzu po drugiej stronie ulicy.

Zapadło grobowe milczenie, przerywane tylko miarowym tykaniem ściennego zegara.

Nadir podszedł do okna i oparł się o parapet. Hamid stanął obok niego i przycisnął czoło do szyby. Stali tak w milczeniu – aż nagle Hamid gwałtownie się wyprostował.

– Nadir! Ty widzisz to co ja?! – zapytał.

– O co chodzi? – Nadir nie widział niczego szczególnego. Cicha boczna uliczka, paru przechodniów, jeden samochód na minutę...

– To jest najspokojniejsza uliczka w Rzeszowie. W promieniu pół kilometra ani jednego sklepu czy knajpy. Co tu robi samochód dostawczy?

Nadir zmarszczył brwi.

– No, faktycznie. Ale może jakiś kierowca tu mieszka i wpadł po drodze, żeby odwieźć zaku...

Nie skończył. Drzwi wejściowe nagle z hukiem wyleciały z framugi.

– Ręce do góry! – usłyszeli rozkaz wydany w języku farsi.

– *Hände hoch!* – krzyknął do Jusufa jeden z mężczyzn w kominiarkach.

Nikt nie stawiał oporu. Wyloty luf skutecznie zniechęcały do wykonywania nieostrożnych ruchów.

Skucie całej czwórki kajdankami zajęło antyterrorystom mniej niż minutę. Jedynym, któremu unieruchomiono wyłącznie ręce, był Jusuf. Polacy widocznie uznali, że trzynastolatek nie potrafi kopać z półobrotu jak pewien nieco już zapomniany aktor z Oklahomy. I mieli rację. Chłopiec po prostu usiadł w kucki na podłodze, przez chwilę patrzył to na swoje kajdanki, to na

Nadira – aż w końcu dotarło do niego, że stalowe obręcze to nie halucynacja i że Nadir nie jest wszechmocny. Wtedy po prostu się rozpłakał.

Okazało się, że zasób perszczyzny polskich komandosów ograniczony był do owego „ręce do góry”. Od razu przeszli na niemiecki.

– Jak myślicie, co nam może zaoferować Jego Cesarska Mość Hafizullah IV w zamian za uwolnienie waszej dzielnej drużyny? – zapytał dowódca. – Bo jeżeli nic...

– To mamy dość długą listę przestępstw popełnionych na terytorium trzech państw – dokończył inny komandos, patrząc na Nadira błękitnymi oczami przez wycięcie w kominiarce. – Nielegalne podsłuchy, przechwytywanie korespondencji elektronicznej, kradzież telefonu komórkowego, wywołanie pożaru w instytucji państwowej... To w Austrii. Zamach terrorystyczny na Słowacji. Włamanie, pobicie i kradzież w Polsce. W sumie uzbiera się na dożywocie.

Nadir nie odpowiedział.

Dowódca podszedł do stołu.

– A teraz zobaczmy, co to za papierkowa robota była wykonywana w tym przytulnym domostwie – powiedział. – Mamy czas, zdążymy ich dowieźć do Warszawy, zanim się ściemni.

Brał do ręki kartkę po kartce, a jego brwi unosiły się coraz wyżej.

– No to już wiemy, o co chodziło w tej rozmowie, którą udało nam się podsłuchać kilka dni temu – odezwał się po chwili milczenia. – Że niby TO już na pewno nie wpadnie w ręce CIA, że ku chwale Iranu uprzedziliście wuja Sama. Austriacy nie mieli pojęcia, dlaczego im wchodzić w paradę, co was mogą obchodzić zawiłości genealogii... A wy szukaliście cudownej broni Kesselringa!

Podszedł do Nadira i poufale poklepał go po ramieniu. Agent tajnych służb Hafizullaha IV skulił się jak obłany lodowato zimną wodą.

– Ale widzicie – dowódca szeroko się uśmiechnął – Austriakom potrzebni byli aktualni właściciele tego obrazu, który zdjęliście ze ściany w Jankowej. To, co za obrazem, w ogóle ich nie obchodziło. To tylko wam, naiwne baranki, wydawało się, że cały świat zapragnął nagle wejść w posiadanie Wunderwaffe Kesselringa.

– A o chłopaku, któremu złamaliście rękę, niedługo usłyszycie – dodał niebieskooki. – W areszcie będziecie mieć telewizor.

– Z kilkunastoma niemieckojęzycznymi kanałami – uzupełnił dowódca. –

No, zbierajmy się. Wojtek, zabezpiecz papiery. A naszych ptaszków za kark i do więźniarki.

Nieco później, już w samochodzie, niebieskooki zapytał:

– A jak pan myśli, kapitanie? Te zapiski Kesselringa ujrzą światło dzienne, czy może Austriacy je utajnią i zamkną w sejfie?

Kapitan roześmiał się.

– Może nie utajnią. Syn Reinhardta byłby niepokieszony. Ostatnio nie spał po nocach, tylko główkował nad tym zamachem Kesselringa. Koniecznie chciał się dowiedzieć, jak on to zrobił. Dobrze by było, gdyby tatuś zadbał o zaspokojenie tej bezinteresownej naukowej ciekawości.

Maciej Żytowiecki

RACHUNEK

Marek Zawadzki zatrzymał służbową Czajkę na miejscu przeznaczonym dla dygnitarzy Związku Komunistycznych Republik Azjo-Europejskich. Nie był dygnitarzem, jednak dzięki bliskiej znajomości z Władimirem Potiomkinem (zbieżność nazwisk przypadkowa), wypożyczono mu jedno z aut ambasadora w Tunezji. Nie wziął kierowcy tylko dlatego, że bardzo lubił prowadzić, a obowiązki korespondenta i tłumacza niemal stale obecnego przy dyplomatach rzadko pozwalały mu na tę przyjemność. Samochód miał oczekiwać na parkingu przez trzy dni, aż do powrotu Zawadzkiego.

Po opuszczeniu kabiny dwa razy sprawdził zamki w drzwiach, łypiąc podejrzliwie na znudzonych bagażowych, oczekujących przy wejściu na lotnisko. Wzdrygnął się, kiedy chłodny wiatr połaskotał go przez grubą sztruksową marynarkę i czarną koszulkę polo. Ostatni akord sezonu turystycznego wybrzmiał dwa tygodnie wcześniej i lotnisko Enfidha Zine El Abidine Ben Ali świeciło pustkami. Wyciągnął jeszcze z bagażnika dużą torbę podróżną i ruszył spacerowym tempem, opędzając się od chmary młokosów oferujących odpłatną pomoc.

Chwilę zajęło mu odnalezienie się w przepastnych wnętrzach kompleksu i przejście do hali odpraw podróżnych z bloku komunistycznego, gdzie przywitany został przez mężczyznę pozbawionego niemal rysów twarzy, a z pewnością jakiegokolwiek mimiki.

- Papiery – usłyszał Zawadzki, wyciągając dokumenty.
- Nazywam się... – zaczął i nie skończył.
- Cel podróży?

– Zostałem wylosowany na audiencję u Pierwszego Przewodniczącego, wizytującego Gdynię w ramach obchodów siedemdziesiątej rocznicy wybuchu Drugiej Wojny Światowej – wyrecytował, pokazując czerwoną kartę zapisaną elegancką cyrylicą.

Ze względu na skomplikowaną sytuację polityczną wiele korytarzy powietrznych zostało zamkniętych dla maszyn ZKRA-E, w związku z czym

podróż wydłużyła się w ostatnich latach do sześciu godzin, na co zmuszony do częstych wizyt służbowych ambasador Potiomkin ciągle narzekał. Zawadzki przeciwnie. Leciał pierwszy raz od pięciu lat, kiedy to został delegowany do roli, jaką obecnie pełnił. Sam przed sobą musiał przyznać, że nie pamiętał już dobrze Gdyni, Warszawy...

Silniki wibracyjne samajlotu wprawiały siedzenia pasażerów w delikatne drgania, usypiały monotonnym buczeniem i Marek z trudem opanowywał chęć zamknięcia powiek. Z kieszeni marynarki wyciągnął list od siostry. Odczytał te kilka zapisanych zdań, próbując równocześnie domyśleć się treści ukrytych pod czarnymi kreskami naniesionymi przez cenzora. To była pierwsza od miesiący wiadomość, jaką wysłała mu Józefina, i nie wiedział, co myśleć. Wcześniej karty były czernią markera i potrafił odczytać jedynie króciutkie strzępy informacji; tym razem otrzymał całkiem klarowną wiadomość. Odczytał ją jeszcze dwa razy, próbując dostrzec znaczenia ukryte pomiędzy wersami.

Cieszyła się z jego przybycia, i tyle.

Wiedział, że to nieprawda...

Miał jednak coś, co mogło poprawić ich stosunki. Od ambasadora otrzymał imię i nazwisko wysoko postawionego Urzędnika w Komitecie Podróży Zagranicznych, który mógł odzyskać dla niego zaufanie siostry.

Wyciągnął nogi na tyle, na ile pozwalał kapsułkowy moduł w samajlocie, i pozwolił ponieść się do krainy snów.

Gdyńskie lotnisko przywitało go chłodem, przy którym pożegnalny tunezyjski wiatr był miłą pieszczotą. Po przebieżce do wnętrza budynku i kwadransie oczekiwania przy terminalu na bagaże rozcierał ręce w przerwie między jednym a drugim dymkiem. Wiatraki wywietrzników w ścianach sterczały nieruchomo, przywodząc na myśl symbol zakazanej religii, niektóre obrośnięte pajęczynami, inne wygięte albo nadłamane. Niewielkie pomieszczenie przeznaczone dla oczekujących wypełniali podobni mu, niecierpliwi i chyba nieprzyzwyczajeni do tutejszych zwyczajów, podróżni. Każdy przyssany do cygarety, jakby życie od tego zależało, głowy otoczone dymnymi aureolami.

Zgasił peta w popielniczce i zakaszłał.

– Przepraszam, czy można włączyć przewiew? – zwrócił się do faceta w mundurze, który spod wciśniętej na czoło czapki popatrywał pośepnie na oczekujących bagaży.

- Nie można.
- Przecież...
- Obywatelu, nie robić kłopotów. Czekać.
- Jestem...
- Czekać.
- Szefie...

– Panie władzo się zwracać. – Brwi zmaterializowały się spod daszka czapki, ściągnięte w punkt na szczycie nosa. – Czemu obywatel robi problemy? Trzeba palić było? Nie wie, że cygaretki reglamentowane i jak zabraknie to kłopoty?

Przy popielniczkach zdążyła się już uformować kolejka. Kilkoro oczekujących pasażerów dogaszało papierosy, inni poklepywali się nerwowo po kieszeniach, poszukując paczek, żeby zliczyć ich zawartość.

Zaszumiały rozsuwane drzwi. Z ciemnego korytarza wyłoniła się przysadzista kobieta w eleganckim mundurze. Lśniący materiał skrzypiał nieprzyjemnie przy każdym ruchu. Stała, biorąc się pod boki, i zakrzyknęła:

– Obywatel Zawadzki Marek!
– Jestem – wymamrotał zainteresowany. – Czy coś się stało?
– Problematyk – mlasnął mundurowy w czapce. – Zawsze trafi się jakieś zepsute ziarno.

– Kowalski, milczeć – warknęła. – Obywatelu Zawadzki, prosimy.

Marek skinął przepaszająco głową i ruszył śladem pani oficer. Obcy w rodzinnym kraju. Niepomny panujących obyczajów turysta, tylko przejazdem i proszący o wybaczenie...

Minęło pięć lat od dnia, kiedy zostawił za sobą rodzinne miasto, zamieniając teren dawnej Polski, a dzisiaj część ZKRA-E, na neutralną i pogodną Tunezję. Co prawda nie z własnego wyboru, a z partyjnego nadania, odleciał jednak z poczuciem ulgi. Ulgi, której się wstydził. Dlatego nie chciał rzucać się w oczy, nie chciał robić kłopotów... Tym bardziej że dzisiaj wszystko, o czym próbował zapomnieć, zdawało się powracać wielką, niepowstrzymaną falą.

Znaleźli się w niewielkim pokoju. Krzesło i stół przyspawany do podłogi, lustro na jednej z kremowych ścian i żarówka smętnie uwieszona drutu – ot, całe wyposażenie. Była jeszcze torba, którą Marek Zawadzki znał doskonale. Tyle że spruć i nacięć na bokach nie pamiętał. Nie pamiętał też, żeby

nadawał ją z otwartymi zamkami. A już na pewno poskładał dokładnie ubrania.

– Siadajcie.

Posłuchał. Rozparł się na siedzisku, założył nogę na nogę, splótł dłonie na kolanie i czekał. Celnik stała nad nim z miną nieprzeniknioną, niby wyrytą w kamieniu ręką prymitywnych ludów. Z czarnymi paciorkami oczu wetkniętymi w lśniące tłuszczem policzki. Z dłońmi jak bochny chleba i piersiami niby miechy maszyny parowej. Wielka i potężna golemica udawała człowieka.

Celnik wpatrywała się w Zawadzkiego.

Zawadzki wpatrywał się w sufit.

Do pokoju wszedł mężczyzna o aparycji łasicy, niosąc sporej wielkości karton. Odstawił pakunek obok rozprutej torby, zasalutował i pozostawił ich bez słowa. Milczenie przedłużało się.

– Przepraszam, w jakiej sprawie? – Cisza wreszcie dała się we znaki turyście.

– Paszport obywatela – rozkazała głosem nieznoszącym sprzeciwu. Dała dowód podzielności uwagi, gdy odczytując dane z dokumentu, zapytała jeszcze o cel wizyty.

– Audyencja u Pierwszego Przewodniczącego, który w tych dniach gościć będzie w Gdyni.

Uniosła teatralnie brew i skinęła palcem; bez słowa wyciągnął zaproszenie. Odczytała wypisane cyrylicą zdania, poszukała znaków wodnych i innych zabezpieczeń, podstawiając papier pod światło żarówki.

– To prawdziwy zaszczyt dla obywatela.

– Jestem zaszczycony.

Nagle chwyciła karton i odwróciła go płynnym ruchem, wysypując zawartość. Kiść bananów klapnęła o blat, za nią paczka sypanej kawy, puszka kakao, sześć tabliczek czekolady, a na końcu tunezyjska bukha w zdobnej butli. Ta grzmotnęła solidnie, aż nadkruszyło się denko.

– Taki zaszczyt, a obywatel przemycy kontrabandę?

Połatana taśmą samoprzylepną torba skrzypiała przy każdym kroku. Pozbawiona paska ciążyła, mimo że trzymał ją w splecionych dłoniach, przytuloną do klatki piersiowej.

Przywykł już do pogody, a przynajmniej nie odczuwał więcej zimna. Chciał tylko jak najprędzej opuścić teren lotniska Wielkiej Komunistycznej

Idei i znaleźć się w centrum miasta, w rodzinnym domu, u siostry. Jak najprędzej opuścić to cholerne miejsce, zapomnieć o nader osobistym badaniu, któremu poddała go celniczka. Umyć się.

Idąc śpiesznym krokiem, co rusz zerkał na port lotniczy, oddalający się z każdą sekundą. Budynek na pozór przypominał wielki kopiec kreta, ale kiedy kolejny samajlot wśród prychnięć śmierzącego gazu wyrwał się grawitacji, Zawadzki stwierdził, że się pomylił. Patrzył oto na wielkie gównno z powtykanymi badyłami udającymi anteny. Gównno zrobione pośrodku niczego. Oddalone od najbliższego postoju taksówek o dobre dwa kilometry. Na horyzoncie majaczyły Rurowce – grube pępowiny, którymi pędziły pojazdy grawitacyjne publicznego transportu. Dalej budynki prawie jak zęby z amerykańskiej reklamy – równe, ale szare. Jaki szalony urbanista zaplanował to przekłete miejsce, nie miał pojęcia.

Po drodze, ekwilibrystycznie balansując bagażem, wysupłał aparat komórkowy – prawie niezniszczalną służbową Motorolę. Wpisał kod odblokowujący, żeby sprawdzić zasięg, choć wiedział, że żadne obce fale nie mają prawa przekroczyć granic ZKRA-E. Żadnego Internetu, przekazów satelitarnych telewizji, żadnych zepsutych myśli Zachodu. Bo nie wolno zakłócać spokoju obywatela. Niech obywatel żyje pod bezpiecznym, szczelnym kloszem zakłócaczy, odcinającym płynącą powietrzem dezinformację wroga.

Tymczasem słońce przepchało się pomiędzy tłustymi brzuszyskami chmur, złocąc wąskie pasy traw wyrosłe wśród pól szarego betonu. W nagłym blasku ożyły plansze ogłoszeniowe, sławiące Tunguskie Objawienie i ukazujące wymalowane pastelami oblicze Lenina.

Marek Zawadzki przystanął, by odetchnąć. Ułożył torbę na butach, zwyczajem pozostałym z czasów, kiedy handlował dewocjonaliami na nielegalnej giełdzie.

Plakatowy towarzysz Lenin uśmiechał się życzliwie, otoczony przez dzieci w wieku szkolnym. Na plakacie też jaśniało słońce i nawet Pierwszy Przewodniczący zdjął czapkę, ukazując łysinę umoszczoną w gnieździe brązowych włosów. Broda sterczała w szpic, zęby lśniły bielą. Dzieci też promieniały szczęściem. I bielą. Dalej rozciągały się rzędy wymalowanych pastelami obrazów: Lenin rozdaje kwiaty, Lenin otwiera ZeppęStacje, Lenin sadi drzewo, Lenin niesie ogień i dziękuje przyjaciołom z gwiazd.

Oficjalna legenda mówi, że w styczniu 1908 roku, kiedy Władimir Iljicz

Uljanow osiedlił się w Genewie, pracując dniami i nocami nad „Materializmem a empiriokrytycyzmem”, usłyszał zew Roju. Zgodnie z zaleceniami gwiazdnych przybyszy, z niewielką grupą wybrańców zorganizował transport we wskazany rejon. Podróż należała do niebezpiecznych, ale dzięki odwadze i pomysłowości śmiałkowie przeniknęli granicę ówczesnego Carstwa, przedarli się przez dzikie ostępy, aby oczekiwać na przybycie towarzyszy z nieba.

Dzisiaj Tunguska, która rozbłysła ponad sto lat temu, chociaż otoczona kultem, pozostaje najpilniej strzeżonym sekretem Związku. Trwanie Idei Równości oparte jest zarówno na filozofii Pierwszego Przedstawiciela, jak i technologicznej subwencji Roju. Rój wpiera i radzi. Rój nigdy nie zdradzi.

Musimy strzec naszych granic, mówił Lenin z plakatu. Zachód chce wykraść nasze cuda.

Szklana piersiówka krążyła pomiędzy taksówkarzami... Mężczyźni nudzili się. Nie rozmawiali. Patrzyli na siebie albo gdzieś daleko. Głównie gdzieś daleko.

Jeden z kierowców oparł się plecami o swojego Lezewuta, który przyjął go miękko, rozbujany na poduszce powietrznej stale wytwarzanej pomiędzy podwoziem a szosą. Dzięki temu wynalazkowi wprowadzenie aerolotu w ruch poziomy wymagało jedynie drobnej emisji gazu, co w dobie wyczerpywania złóż mineralnych miało niemałe znaczenie. Oprócz tego umiejscowienie rur wylotowych na każdym z boków pojazdu sprawiało, że ów miał niewiarygodną manewrowość. Tyle że kierowcy cierpieli często na migreny, ponieważ ich siedziska musiały być umieszczone na obrotowych stelażach.

Drugi szofer westchnął, pogładził trzydniowy zarost, podrapał się i machnął ręką, jakby właśnie zakończył przydługą dysputę. Zmęczonym głosem pożegnał kompanów i ruszył do swojego pojazdu.

Trzeci zapalił i patrzył ni to na pierwszego, ni to gdzieś w dal.

– Panowie, który z was zabrałby mnie do centrum – zapytał Zawadzki, stawiając torbę między mężczyznami.

Ci popatrzyli na niego jak na robaka.

– Panów nie uświadczy. Są obywatele – rzucił oparty taksjarsz.

– Obywatele... pomożecie? – zaryzykował turysta.

– Mnie do centrum nie po drodze. – Palacz machnął ręką i odwrócił się.

Patrzył w dal.

– Jaka ulica? – zapytał pierwszy. Uważnie posłuchał odpowiedzi

i pokręcił głową. – Nie, nie podjadę. Mogę o dwa kilometry bliżej, to sobie podejdziecie, co?

– Bardzo dziękuję. Wezmę.

– Rachunek to będzie – porachował prędko w pamięci – ćwierć kilo szynki albo cztery podwawelskie.

– Nie mam przy sobie...

Palacz wypatrujący czegoś na horyzoncie prychnął, ale niczego więcej nie dodał. Splunął i ruszył ślamazarnie do swojego aerolotu.

– W kartkach się płaci.

– Nie mam. Dopiero przyleciałem.

Pierwszy, a teraz już ostatni z oczekujących taksówkarzy westchnął ciężko.

– A co masz?

– Tylko torbę.

– Dżinsy są?

Taryfiarz wystawił go całkiem blisko rodzinnego domu, a że po wymianie barterowej waga torby stała się znośna, Marek Zawadzki żwawo kroczył centralną ulicą miasta, którą do końca lat siedemdziesiątych nazywano jeszcze Świętojańską.

Przeszedł koło sklepowych witryn, pobieżnie oglądając asortyment. Widział haki na mięso u rzeźnika, wieszaki u krawca, czyste półki u piekarza oraz kwaciarnię pełną tulipanów. Minął zbiegowisko wywołane przez mężczyznę opasanego sznurem z rolkami papieru toaletowego. Patrzył na napisy wymalowane na szybach i kartki wywieszane w drzwiach, słuchał ujadających psów i warkotu publicznych transportowców sunących tubami rozpostartymi ponad dachami budynków. Zaszedł do baru mlecznego, gdzie podjadł kromkę chleba z masłem i solą, a zapił wodnistym kompotem – posiłek bezkartkowy.

Odwlekał wizytę w rodzinnym domu, chociaż sam przed sobą tłumaczył, że tak nie jest.

Józefina Zawadzka imię otrzymała na cześć Józefa Stalina, męczennika za sprawę, który na osobistą prośbę Lenina poszedł głosić komunistyczne idee wśród plemion afrykańskich, a którego ciała nigdy nie odnaleziono. Marek urodził się, kiedy Józefina miała lat cztery. O tym, co stało się z ich rodzicami, nie wiedział. Nigdy o tym nie rozmawiali. Zawsze był on i była Józefina. Rodzeństwo trafiło do ośrodków pomocowych, gdzie siostra

zaczęła aktywnie działać w partyjnej młodzieżówce, wkrótce zostając przewodniczącym Koła i reprezentantem rejonu. Młodszy brat wolał w tamtym czasie lać po pyskach kolegów albo podszczypywać koleżanki.

Mijały lata. Rodzeństwo Zawadzkich stanęło przy taśmie produkcyjnej w fabryce przecieru pomidorowego. Marek wciąż niewiele udzielał się na partyjnych zebraniach, unikając odpowiedzialności za przyszłość zakładu, zaś sława Józefiny rosła. Dzielna i silna. O wiecznie zakasanych rękawach, włosach ukrytych pod kwiecistą chustą, czterokrotnie przekraczała wyznaczone przez dyrekcję normy.

Pamiętał, że niewiele wówczas rozmawiali. Kiedy wracali do przydzielonego domostwa, bez słowa jedli proteinowy kleik, oglądali Dziennik Telewizyjny, Myśl Dnia i Teatr Telewizji, po czym szli spać, żeby wyszykować się na piątą rano, kiedy zaczynali zmianę w fabryce uszczelek.

W wieku dwudziestu pięciu lat Józefina przeszła kryzys. Załamania wśród obywateli ZKRA-E nie występowały i nie występują, jak to dzieje się czasem w neutralnej Tunezji. Żaden szanujący się komunista nie powiedziałby, że ma depresję, że brak mu siły do pracy albo odczuwa niepokój. Natomiast Józefina w wieku dwudziestu pięciu lat, oglądając Dziennik i żując chleb maczany w mleku, wypowiada zdanie, jakiego nigdy nie spodziewał się usłyszeć.

To nie ma sensu, powiedziała. Tyle tylko. Nic więcej, ale...

Przeraził się wtedy. Chociaż wypowiedziała tę godną pożałowania opinię po cichu, pod nosem i w ich kawalerce, Marek aż zeszywniał, czując, jak czas staje w miejscu, powietrze przestaje krążyć, a krew niemal rozsada żyły. Proteinowy kleik wysechł całkowicie, zanim znowu zdolny był poruszyć łyżką. Czekał. Całą noc czekał... Jednak Spec służby nie zapukały do ich drzwi.

Od dnia kiedy wypowiedziała tę pamiętną sentencję, Józefina jeszcze bardziej zaangażowała się w działalność partyjną. Z początku sądził, że musiał ją źle zrozumieć, jednak po kilku miesiącach wszystko stało się jasne.

– Marku, wysłuchaj mnie – poprosiła, kiedy kładli się spać na regulaminowych pryczach o regulaminowej godzinie dwudziestej drugiej.

– Słucham ciebie – potwierdził wpatrzony w oleiste plamy na suficie.

– Chcę czegoś więcej od życia.

– Przecież masz pracę, dach nad głową, masz jedzenie i realizujesz się w aparacie partyjnym... – Zamilkł. – Wychodzisz za mąż?

- Chciałabym wyjechać.
- Opuszczenie przydzielonego dystryktu jest nielegalne.
- Chciałabym pojechać poza granice Związku...

Zerwał się z łoża. Jednym susem pokonał szerokość pokoju i położył dłoń na ustach Józefiny.

- Cicho – nakazał. – Nie wolno.

Pokręciła głową. Delikatnie uchwyciła dłoń brata, odsunęła i ucałowała. W kącikach oczu zaległy łzy, na ustach zagościł cień uśmiechu.

- To nie żarty – zaprotestował. – Martwię się o ciebie.
- Dziękuję, ale nie musisz. Nikt nas nie słyszy.
- Ale aparaty nasłuchowe...

– Nie słuchają od lat. Muszą oszczędzać energię, dlatego każdej nocy stosują zaciemnienia. Jedynym dobrem naturalnym, jaki jeszcze mamy, jest gaz, stąd od lat próbują nim napędzać wszystko. Ropy prawie nie ma, z elektrowniami też problemy, a że od kilkunastu lat nie utrzymujemy stosunków z państwami przeciwnymi Idei, brak towarów i surowców z zewnątrz. Powinieneś udzielać się więcej w partii. Ciekawe rzeczy można usłyszeć w kuluarach. – Zachichotała.

- Dlaczego chcesz wyjechać?

– Oczekuję więcej od życia – oznajmiła całkiem poważnie, po czym obróciła się na drugi bok i zasnęła.

Dzień później oznajmiła, że zgłosiła swoją kandydaturę na stanowisko korespondenta przy ambasadorze Związku Komunistycznych Republik Azjo-Europejskich i wkrótce wyjedzie. Zapewniła, że nie zapomni o bracie i najprędzej jak się da, ściągnie go do Tunezji. Po kilku tygodniach na adres domowy przyszło pismo z nominacją. Na druczku nie widniała jednak Józefina, ale Marek Zawadzki.

Odstawił szklankę na stolik, ledwie umoczywszy usta w paskudnej herbacie. Przełknął, założył nogę na nogę, pochylając się przy tym ku rozmówcy. Otworzył usta, ale słowa utkwily gdzieś w gardle. Odsunął się więc i raz jeszcze sięgnął po herbatę. Zrezygnował. Odstawił szklankę. Schował dłonie do kieszeni spodni, nie mając pojęcia, co innego mógłby z nimi zrobić.

Każdy mebel w kawalerce – spora szafa, komoda, a nawet para materaców – wyglądał i zajmował to samo miejsce na przestrzeni kilku metrów kwadratowych, co pięć lat temu. Ale już pomarańczowy klosz lampy

przekształcił się w kokon obrośnięty pajęczynami, zaś firany pożółkły i pociemniały do tego stopnia, że trudno było odróżnić je od zasłon.

– Zatrzymałaś mój materac – stwierdził, żeby odegnać ciszę.

Siostra wstała, prostując niewidzialne zmarszczki na krochmalonej kiece. Podeszła do szafki, zaklekotało szkło.

– Dokwaterowali kogoś – oznajmiła, rozlewając złotą wódkę do kieliszków. Usiadła ciężko, ciężej niż niegdyś, ale też było jej teraz jakieś dziesięć kilogramów więcej. – Prędko połapali się, że pół dwuosobowej kwatery jest nieużywane. Wypijmy.

Wypili.

– Co u ciebie? – zagaił.

– Przecież wiesz.

– Niewiele mogłem odczytać z twoich listów.

– Cenzura. – Wzruszyła ramionami.

– Co tam pisałaś, że musieli użyć takich ilości korektora?

Nie odpowiedziała z początku. Spojrzała tylko posepnie i wstała, żeby rozlać następną kolejkę. Czy dawniej ręce też jej się tak trzęsły? Czy czas przemija w odmienny sposób, zależnie od długości i szerokości geograficznej? Miał wrażenie, że pięć lat w Tunezji nijak miało się do pięciu lat w tym miejscu.

– Wypijmy.

Wypili.

– Ta praca należała do mnie, Marku. Nawet nie wiesz, jak długo się starałam, ile walczyłam w strukturach, żeby zostać zauważoną. Żeby dostać szansę. To nie jest kraj dla ludzi. Dla żadnego człowieka. Młodego czy starego.

– Nie prosiłem o to.

– Nie prosiłeś, ale i nic nie powiedziałeś. Pomyłka albo nie... Nie zareagowałeś.

– Przyjechałem to naprawić.

– Nie kłam. Przyjechałeś, bo cię wylosowano na audiencję u jaśnie pana wielmoży miłościwie nam panującego. Pewnie znowu coś dostaniesz, kiedy ja będę chorować, gnić, umierać.

Odstawił pusty kieliszek. Podeszedł do siostry i ujął jej dłoń.

– Spójrz na mnie – poprosił. – Wydostanę cię stąd.

Pawilon zdawał się ciągnąć bez końca. Z megafonów rozmieszczonych

pod ścianami rozbrzmiewała melodia przepojona podprogowymi komunikatami, a pod sufitem rozpościerała się ogromna sieć przewodów – kolejny przejaw technologii Roju. Śliskie i tłuste, przypominały kiełbasiane kiszki, którymi pędziły ciemne, bliżej nieokreślone kształty. Idąc, mijał setki urzędników zamkniętych w boksach ze sklejki, ślęczących nad maszynami liczącymi, przekładających tony papieru pomiędzy biurkami. Ludzi ukrytych za mundurami i twarzami wypranymi z emocji niby porcelanowe maski. Sprawdzany po trzykroć, za każdym razem słyszał te same pytania, wypowiedane z jednaką manierą i intonacją.

Ostatnia ze strażników doprowadziła go do zaciemnionego pomieszczenia, gdzie miał oczekiwać spotkania z Wiecznie Żywym Przywódcą. Tutaj nie było megafonów, muzyki, żadnych ludzi. Tylko on. Stał więc wsłuchany w pulsowanie podłogi ruchomego pawilonu – centrum zarządzania całym komunistycznym imperium. Ku pokrzepieniu serc i wzmocnieniu woli.

Usiłował nie myśleć, nie pamiętać, jednak umysł uparcie wracał do poranka, kiedy odwiedził wskazanego przez ambasadora wysoko postawionego Urzędnika Komitetu Podróży Zagranicznych. Wciąż widział niebieskie oczy zatknięte w psiej twarzy blondyna, słyszał słowa wypowiedane cierpliwym głosem.

– Nie mówcie do mnie „towarzyszu”, nie bądźmy tak oficjalni, bo to nie jest oficjalne spotkanie, da?

Wpatrywał się w zdjęcia uwieszone na ścianie gęsto jak orderzy na piersi sowieckiego generała. Wetknięte pomiędzy ciężkie, żelazne szafy, lśniły kolorami. Na każdym inne ubite zwierzę. Niedźwiedź brunatny z pyskiem ubrudzonym posoką, a w tle niewielki wodospad. Jeleń zdający się spać głęboko wśród gęstych traw. Rudogrzywy lew z podkulonymi łapami, ułożony na plecach wśród żółtych piasków. Dzik rozpruty na stole w otoczeniu myśliwych. I wszędzie te spokojne oczy wiernego psa, Wysokiego Urzędnika KPZ z czterolufową strzelbą. Takie szczere i dobre spojrzenie.

– Mówcie mi Władimir, da?

Marek pokiwał wtedy głową. Nic nie powiedział. W ogóle niewiele mówił na tym spotkaniu, bo Władimir wszystko wiedział za niego.

– Znamy Wołodę Potiomkina z dawnych, dobrych czasów... Byliśmy razem w służbach, wiesz? – Urzędnik pokręcił głową. – Pewnie nie...

Ambasadorzy raczej nie chwalą się koneksjami tego rodzaju. Zatem znamy Wołodię, znamy bardzo dobrze i fakt, że on zwraca się do nas w sprawie tego rodzaju, i żeby pomóc wam, takim, a nie innym sposobem, świadczy, że cenieni jesteście wysoko. Dlatego też siedzicie dziś w tym fotelu, w tym pokoju. Dlatego możecie oglądać naszą twarz i nasze zdjęcia, które tak przykuły waszą uwagę. – Chichocze. – Jest coś pięknego w triumfie myśli nad dzikim zwierzem, da? Nie odpowiadajcie. Widzę, że się zgadzacie, Marku. – Urzędnik wydobył z szuflady humidor, otworzył wieczko, z lubością wachając zawartość, i na sam koniec wyciągnął opasłe cygaro, które dłuższy czas rozpalał w ciszy. – Wybaczcie, że nie częstujemy. Nasze ostatnie.

– Chciałbym...

– Da, da – rzucił, prostując się w siedzisku. – Wiemy, czego chcecie. Włodzia uprzedził nas, a my podjęliśmy odpowiednie kroki.

– A więc?

– Niestety wasza siostra nie kwalifikuje się do wymiany paszportu.

– Przecież ambasador...

– Dość. – Pogroził palcem. – Powiecie jeszcze za dużo i będziemy tego wszyscy żałować, da? Sprawa jest dosyć prosta. Wasza siostra wykazała w ostatnich latach sporo zachowań niegodnych prawdziwego komunisty. Nic strasznego, zapewniamy. Jest wszak nadal wolnym człowiekiem, ponieważ ten światły ustrój daje szansę, nawet jeżeli obywatel troszeczkę zbłądzi. Do pewnej granicy, oczywiście.

Zawadzki głośno przełknął ślinę.

– W każdym razie, na chwilę obecną, jeżeli nie dokona korekty myślenia, a na początek choćby nie powściągnie odrobinę języka, nie będziemy mogli dla niej nic zrobić.

– Chodzi o listy?

– Listy? – Zdał się być autentycznie zaskoczony. – Nie. Nie. Absolutnie w żadnym wypadku.

Przejechał na krześle do najmniejszej i najzwyczajniej wyglądającej z żelaznych szaf. Jedynej pozbawionej kolorowych diod, dwuskrzydłych drzwi, a składającej się wyłącznie z szuflad. Odnalazł w jej wnętrzu akta grubości książki telefonicznej. Poślinił palec i zaczął wertować zawartość.

– Tutaj raport. – Postukał palcem w stos kartek. – W pięcioletniej korespondencji ani słowa o Związku Komunistycznych Republik Azjo-

Europejskich. Treść listów to w głównej mierze wyrzuty natury osobistej i siedemnaście obelg pod waszym adresem. Oczywiście musiało to zostać ocenzone. Wyobraźcie sobie, gdyby taki list wpadł w ręce jakiejś pozałowania godnej zachodnioeuropejskiej albo amerykańskiej dziennikarzyny? Już widzimy artykuł w jednym z ich obrzydliwych szmatławców na temat stosunków społecznych wśród komunistów i postawioną tezę, że nie jest w naszym raju tak pięknie i różowo, jak przedstawia to propaganda. Na dodatek pełnicie istotną funkcję przy ambasadorze. – Westchnął.

– Wracając jednak do meritum... Nie, wasza siostra nie zawiniła pismem, ale mową. Była ostrożna, ale przecież wiecie wszyscy, że słuchamy. Domy, które otrzymujecie, nie są prywatne, należą do wszystkich. Nie dziwcie się więc, że słuchamy. Nie kryjemy tego.

– Rozumiem. – Marek poczuł się zmęczony.

– Nie wińcie siostry, przyjacielu. Nie wińcie.

Nie wińcie, nie wińcie... Ostatnie zdanie ich rozmowy grzmiało w głowie Zawadzkiego, kiedy nastąpiła jasność. Półmrok zastąpiły rzędy krwistoczerwonych chorągwi, a czarność podłogi okazała się miękkim dywanem. Zagrzmiała L'Internationale i ruszył ku podium.

Wypięta pierś i rozbłyśnięte oczy, a na skroniach pot. Marek Zawadzki, jak dziesięć tysięcy wylosowanych przed nim, na własne oczy miał zobaczyć Wielkiego Wodza. Zaszczyt przeznaczony nielicznym. Któż wie, jakie to emocje rodzą się w czerwonych sercach, kiedy obywatel ma możliwość uściskać dłoń bohatera, legendy...

Nikt nie zagląda pod skórę, nie przenika kości czaszki i nie bada szarej tkanki mózgowej, gdzie rodzą się myśli i uczucia. Nikt nie wiedział, co Marek Zawadzki w tamtej chwili czuł.

Marek Zawadzki czuł smutek. Był z siostrą i jej zmartwieniami. Był z jej smutkiem i załamaniem. Dotykał nienawiści, którą do niego pałała. Był z Józefiną Zawadzką, zamiast stać dumny i wzruszony przed Włodzimierzem Leninem.

Prawie nie widział smukłego mężczyzny w garniturze i nieodłącznej czapie. Nie dostrzegał niezwykłych istot przemieszczających się prędko pomiędzy sztandarami ani nie słyszał ich niezwykłego gwiazdowego języka.

Staął przed Pierwszym Przewodniczącym, pochylił głowę; ten kazał mu się wyprostować. A później położył dłoń na ramieniu Marka i szepnął na

ucho słowa otuchy.

– Tak. Tak. Tak – powtarzał Marek jak mantrę, nie widząc długich przewodów ciągnących się z gniazdek w szyi Lenina. Nie słyszał klikania maszynerii.

Słuchał słów Lenina.

Słyszał też Urzędnika w swojej głowie.

I nadal był z siostrą. Dlatego kiedy Pierwszy Przewodniczący przestał mówić, oczekując zwyczajowego życzenia, Marek Zawadzki mógł poprosić tylko o jedno... O przydziałowego Lezewuta? Albo limuzynę w Tunezji? O dodatkowe kartki dla kogoś bliskiego? Czy wycieczkę w góry albo może na plażę dawnej Bułgarii? Może o przeniesienia na inne stanowisko? Albo, tak zwyczajnie, o podwyższenie pensyjki?

– Żeby rozpatrzyli pozytywnie podanie siostry o paszport – poprosił.

Wtedy uchyliła się zasłona, a Pierwszy, który dawał otuchy, zawrócił i zbliżył się do owego kogoś, kto pozostał skryty i czekał.

Kliknęło. Przeskoczyła jakaś zapadka. Cicho uderzył dzwoneczek jak w maszynie do pisania. Za zasłoną na krótką chwilę rozbłysło, ukazując drugiego Włodzimierza Lenina. Starego i powykęcanego, usadzonego na tronie z igieł, oplecionego plastikowymi przewodami. Napęczniałego niby purchawa. Śliskiego i zdeformowanego jak ślimak. O twarzy zniekształconej i tłustych ustach, które rozwarte ukazały różowy język. Kliknęło i na języku pojawiła się karteczka.

Lenin z plakatów, ten dodający otuchy, ten smukły i wieczny, wziął biały kartonik od grubasa i podał go Zawadzkiemu. To była wizytówka. Najzwyczajniejsza ze zwyczajnych. Pozbawiona jakichkolwiek upiększeń, zadrukowana równo czcionką, z jednym słowem pośrodku: LENIN

Marek Zawadzki oczekiwał na samajlot. Stał samotnie, pozbawiony bagażu, którego resztki rozdał za tę albo inną przysługę. Zapalił papierosa, ostatniego z paczki. Transport był opóźniony, ale jemu nigdzie się nie spieszyło. Wiedział, że kiedy wejdzie do kabiny i dalej, do kapsuły, jego gdyńska historia dobiegnie końca. Nigdy nie powróci.

Poszedł do Urzędnika. Pokazał mu wizytówkę od Lenina i zapytał, czy jednak nie da się czegoś zrobić. Mężczyzna o oczach psa nie odpowiedział. Wyciągnął teczkę Józefiny z szuflady, otworzył i wyrwał wszystkie papiery ściśnięte pomiędzy tekturowymi okładkami. A później wrzucił je do śmietnika.

– Rozpatrzono pozytywnie. Nie ma przeciwności, aby Józefina Zawadzka otrzymała paszport i prawo wyjazdu do Tunezji – oznajmił, po czym podszedł do wielkiej żelaznej szafy, tej z czerwonymi i niebieskimi diodami. Stał blisko i nie otwierając drzwi, zaczął głośno zawodzić. – Wielki kalkulatorze Roju! Wielki kalkulatorze Roju! Wielki kalkulatorze Roju!

I potem:

– Wielki kalkulatorze Roju, prosimy o rachunek.

– Czego potrzebujecie? – Z szafy zagrzmiał metaliczny głos.

– Mamy możliwość wystawienia dodatkowego paszportu?

Zaszumiało i zaklekotało. Rozbłysły lampki.

– Brak miejsc. Ustalona ilość paszportów obecnie w użyciu. Liczby muszą się zgadzać.

– Sami widzicie. – Urzędnik westchnął ciężko, odwracając się do petenta.

– Decyzja pozytywna, ale nie mamy możliwości wydania dokumentu.

Usiadł ciężko i podrapał się po brodzie wpatrzony w wizytówkę Wielkiego Wodza. Oczy mu się zaszklily.

– Chyba że... – zaczął.

– Tak? – Zawadzki podchwycił prędko, czując napływ adrenaliny.

– Jest pewna możliwość. W tym wyjątkowym przypadku można coś zrobić... Otóż wystarczy, że znajdziecie kogoś gotowego dobrowolnie zrzec się paszportu, a w powstałą lukę nie wejdzie nikt inny, prócz osoby przez was wskazanej. – Uśmiechnął się życzliwie. – Miejsce zatrzymamy dla waszej siostry, da? Możemy dopilnować, jeśli podacie nam teraz nazwisko takiego obywatela, co złoży swój dokument. To jak? Znacie kogoś?

Marek Zawadzki dogasił papierosa. Wracił sam.

Dawid Juraszek

PIERWSZA EUROPEJKA

Wszystko w tym hotelu było małe. Pokoik na końcu wąskiego korytarzyka mierzył może ze cztery kroki na sześć, dwa wąskie łóżeczka rozdzielone były przestrzenią ledwo wystarczającą do położenia kłapek, z okienka zaś rozciągał się widok na inne okienka. Co rano w drodze do łazienki witał ich spuszczone lub przenikliwy wzrok lokatorów sąsiednich pokoików. Musiano słyszeć ich w nocy – a może tak tylko sobie roili, podekscytowani sami sobą. W obskurnej windzie cisnęli się razem z przybyszami z całej Europy, których do (nie)sławnego gmachu *auberge* „Le d’Artagnan” przy Rue Morgue nie przyciągała bynajmniej bliskość płynącej ściekami Sekwany, by wreszcie z ulgą wyjść na tętniące tłumami i gwarem ulice Paryża.

Do ostatniej chwili nie miał pewności, czy ona przybędzie. Wprawdzie pokazała mu w sieci bilet na pociąg, ale jeszcze kilka dni przed przyjazdem pytała dramatycznie, czy nie jest psychopatą, czy jej nie zabije... Rodzicom o niczym nie powiedziała; według oficjalnej wersji pojechała do przyjaciół w Londynie, inaczej by jej z domu nie puścili. Chciała, ale bała się.

On sam był zdenerwowany. Nigdy wcześniej nie spotkał się z kobietą w podobnych okolicznościach, nie miał pojęcia, ile to, kim była w wirtualu, będzie miało wspólnego z tym, kim się okaże w realu. Nie potrafił też przewidzieć, jak wypadnie on sam. Musiał przygotować wszystko na jej przybycie, załatwić hotel, co w Paryżu bywa sporym wyzwaniem, sprawdzić się jako przewodnik po mieście, i nie zawieść jej rozbudzonych oczekiwań. Swoich także.

Z pociągu wyłoniła się w długiej sukience rodem z powieści Jane Austen, szerokim uśmiechem maskując niepewność. Przytulili się, wymienili parę zdawkowych uwag, jak gdyby nigdy nic poszli do metra. Później nie ukrywali przed sobą, że oboje bali się tego spotkania – ona do ostatniej sekundy nie wiedziała, czy go objąć, czy też podać rękę, on, jak najlepiej dopasować się do image’u, który wykreował podczas długich rozmów

w sieci. Jadąc z Gare du Nord do hotelu, oboje musieli dawać z siebie wszystko, by sprawiać wrażenie wyluzowanych. W myślach wyrzucał sobie wciąż, że jest ostatnim draniem, ale za każdym razem, gdy kołysanie wagonu przyciskało doń jej podatne ciało, udawało mu się na nowo zapominać, że za jego radość ktoś inny zapłacił rozpaczą.

Pracując od kilku lat w Europie, niezliczoną ilość razy patrzył na piękne europejskie dziewczyny i zastanawiał się, jakie z każdą z nich mógłbym spędzić życie (i jaką noc). Zaczął rozmawiać z nimi w sieci; te rozmowy tylko utwierdzały go w przekonaniu, że życie przecieka mu przez palce, że coś musi się zmienić, choćby na chwilę. Oszukiwał się, że jeden skok w bok wystarczy, że poznawszy smak ust Europejki, z poczuciem spełnienia i winy, wróci do swojej chińskiej dziewczyny i będą żyć razem długo i szczęśliwie. Zaczął ją zdradzać. Nie fizycznie – w myślach. Ale te myśli wytyczyły drogę, która doprowadziła go do wagonu metra, gdzie jego gorące ramię przyciskało się do równie gorącego ramienia Europejki.

Powiedziała, że musi odpocząć po podróży z Anglii. Zsunęli łóżka, położyła się, opuściła powieki. Ale czekała. Krągłe ramiona emanowały ciepłem. Dotknął gładkiej skóry. Odpowiedziała na dotyk, przyciągnęła go. Jej tak bliska twarz, półprzymknięte oczy i półotwarte usta zostaną z nim na zawsze.

Miała jasną wizję, co chce w Paryżu robić. Przygotowała się, przeczytała relacje podróżnicze, opisała mu, dokąd chce iść, co chce zwiedzić, czego skosztować. Jej plan obejmował wszystko, od chrupiących bagietek, przez chińskie zabytki kolonialne, stragany z tanimi ubraniami i sklepy pamiątkarskie, po pieczone kasztany na placu Pigalle. Cukierkowy park rozrywki Sinoland zbyła machnięciem ręki, podobnie świecące pustkami muzea, wciąż bez skutku domagające się od swoich chińskich odpowiedników zwrotu zagrabionych eksponatów, ale Wersal odwiedzić musieli – choć oboje obawiali się, że będzie to dla nich krępujące doświadczenie.

Spacer po ruinach zespołu pałacowego niegdysiejszych francuskich królów bolał go, kiedy był tu poprzednio, i teraz na nowo, wcale nie mniej. Pomyśleć, że to jego rodacy, półtora wieku temu, splądrowali perłę architektury Paryża, że chiński kolonialny korpus ekspedycyjny wpadł tu z bronią i ogniem, niweczając po wsze czasy słynne cuda Wersalu, w tym budowle wzniesione w stylu orientalnym przez najlepszych wschodnich

architektów... To paliło go do głębi i nie miał za złe Europejczykom, którzy tyle razy wcześniej, dowiedziawszy się, że jest Chińczykiem, uprzejmie, acz z widocznym poruszeniem przypominali (czy raczej wypominali) mu przewiny przodków. Ale ona – ona nic nie mówiła, i był jej za to wdzięczny. Ten długi milczący spacer pośród ruin przeszłości, gdy rozmawiały ze sobą tylko ich splecione w uścisku palce, zbliżył ich do siebie najbardziej.

Od tamtej pory, wychodząc na miasto, cały czas trzymali się za ręce (*ni zhen ke'ai* mówiła z uśmiechem za każdym razem, gdy brał jej dłoń w swoją). Próbowali lokalnych specjałów, zwiedzali atrakcje, szukali pamiątek po okazjnych cenach, przebierali w ubraniach lub po prostu szli przed siebie. Paryż przygarnął ich z typową dla siebie niesforną nonszalancją.

Ale poza całą tą rozrywką, całą tą zabawą, było coś poważniejszego, co szło za nią, więc i za nim, jak cień. Kilka tygodni wcześniej u jej mamy zdiagnozowano raka. Mogła tylko czekać na efekty akupunktury – albo spróbować przyspieszyć je modłami. Prowadził ją więc od jednego kościoła do drugiego i patrzył, jak jej pociągła twarz zamyka się w skupieniu, gdy dłonie łączą się w modlitwie, a usta szepczą niezrozumiałe słowa.

A potem wracali do hotelowego pokoiku, śpiąc na wyrywki, budząc się razem albo budząc się wzajemnie, próbując tego i owego, rozmawiając o tym, czego próbowali, czego jeszcze chcą spróbować, a czego jednak nie spróbują, śmiejąc się z tego, co sobie muszą myśleć sąsiedzi, i zastanawiając się, czy ktoś im wreszcie zwróci uwagę. Więcej w tym było beztroskiej niewinności niż samolubnej bezczelności. Mimo różnicy wieku oboje zachowywali się jak dopiero smakujący dorosłość smarkacze.

Bo oboje nimi byli.

Nie chciał wracać do ojczyzny. Imperium kolonialne Chin należało już do historii, Europa rosła w siłę, wielu jego rodaków z zakłopotaniem odkrywało, że dzieje zachodniej cywilizacji śmiało mogą iść w zawody z dziejami cywilizacji chińskiej, że dawni europejscy myśliciele mieli do powiedzenia rzeczy, o których nie śniło się chińskim filozofom, że odwieczne zdawałoby się odkrycia i wynalazki, jak kulistość Ziemi, beton czy okulary, dotarły do Chin właśnie z Zachodu. Przyszłość miała rozegrać się tutaj i czuł się wyróżniony, że może służyć jako pomost między Zachodem a Wschodem. Praca na europejskiej wyższej uczelni, lekcje z młodymi Niemcami studiującymi jego ojczysty język oraz momentami trudne, ale zawsze frapujące życie na obczyźnie dawały mu poczucie

szczęścia. Jego dziewczyna nie podzielała tego sentymentu. Po kilku latach pracy w Tybindze miała dość Europy, chciała wracać do rodzinnego miasta w Chinach i tam zakładać rodzinę. Coraz częściej nie mogli znaleźć wspólnego języka, wspólnych zajęć, wspólnej radości. Ich życie seksualne przestało istnieć, nie czuli się ze sobą naturalnie, we wzajemne relacje wkradła się podejrzliwość, znużenie, gorycz. Stali się zakładnikami nieaktualnych planów na przyszłość, które już dawno przestały być wspólne, a jednak wciąż kłamstwem pętały im ręce.

Znalazł wreszcie w sieci dziewczynę, która miała wszystko to, czego szukał. Angielka z Maidstone pod Londynem – ładna, mądra, otwarta. Jej niebieskie oczy, długi piegowaty nos i czarująca bezpośredniość chwyciły go za serce. Mówiła po chińsku lepiej niż on po niemiecku; dużo lepiej nawet niż przeciętny Europejczyk, uczący się mowy Konfucjusza od podstawówki. Rozmawiali w sieci za każdym razem, gdy jego dziewczyna wychodziła na zajęcia. Te rozmowy ukazały mu Europę, której nie znał. Zrozumiał, w jak niewielkim stopniu doświadczył dotąd lokalnej kultury, nie mając tak naprawdę osobistych relacji z Europejczykami, nie nawiązując przyjaźni, nie próbując romansów. Nagłe uprzytomnienie sobie przetrzeźnienia straconego czasu, którego już nigdy nie odnajdzie, nie pozwalało mu swobodnie zamknąć oczu nocą, zaczerpnąć oddechu w dzień.

Chiny nie były jej obce: wcześniej spędziła kilka miesięcy na praktykach zawodowych w Wuhanie i Chengdu. To dało jej perspektywę, pewien dystans przeniknięty nie zrodzoną z ignorancji nieśmiałością, a pewnością wiedzy z pierwszej ręki. Jej stoicki niemal spokój, trzeźwe spojrzenie na europejskie sprawy, bardziej swobodne, nieco uszczypliwe nastawienie do rzeczywistości działały nań jak odtrutka po miazmatach pożenionej z fałszywą skromnością nacjonalistycznej arogancji pewnej części europejskiego społeczeństwa, która swoim jedynie słusznym krzykiem skutecznie zagłuszała rozsądniejszych rodaków.

Nie pamiętał, kto wpadł na pomysł, by jechać razem do Paryża. Była to jedna z tych decyzji, które samoistnie rodzą się między dwojgiem ludzi. Wcześniej kilka razy odwiedził Paryż, lecz nigdy dotąd nie zdołał się nim w pełni nasycić. Plany powoli nabierały kształtu; przymierzała się już do kupna biletu na pociąg. On miał odpowiadać za zorganizowanie noclegu. Wszystko szłoby cudownie, gdyby każdej rozmowy nie przerywał im odgłos otwieranych drzwi. Wciąż był w pułapce. Wymarzona Europejka nie

wiedziała, że jest w związku, jego dziewczyna nie wiedziała, że usilnie szuka od tego związku ucieczki. Okłamywał je obie i okłamywał siebie, uporczywie udając przed samym sobą, że to będzie tylko ten jeden raz. I ciągle nie wiedział, jak zrealizować to paryskie marzenie. Odpychał myśl, że nie może wiecznie uciekać od decyzji, że czasu na jej podjęcie ma coraz mniej.

Kilka tygodni przez spotkaniem w Paryżu nastąpiła wreszcie chwila, której oboje z jego dziewczyną się obawiali, ale której nieuchronne nadejście przeczuwali. Chwila rozstania. Cierpienie po obu stronach, choć nie udawał, że to on był ofiarą tych koniecznych słów. Ale gdy jej ból był konsekwentny i jednorodny, jego mieszał się z ulgą, poczuciem winy i niepewnością, jak odnaleźć się w obcej mu wolności. Momentami czuł, że nie wytrzyma tej huśtawki nastrojów, że znienawidzi część samego siebie, i do tego z wzajemnością.

A teraz – teraz brał z piękną Angielką wspólne rozchichotane prysznice w jednej z ciasnych kabin wieloosobowej hotelowej łazienki. Rozmawiali bez przerwy, posługując się słowami, spojrzeniami, dotykiem. Była z nim bardziej szczerą niż on z nią. Nie w paryskim hotelu straciła dziewictwo (czy też zyskała kobiecość) – spała wcześniej z dwoma Chińczykami w Londynie. Nie pozostawili po sobie dobrych wspomnień, po tamtych przypadkowych spotkaniach czuła się brudna. Ale nie zamierzała ustawać w poszukiwaniach, w przygotowaniach. Chciała znów przespać się z Chińczykiem, takim jednak, z którym łączyłoby ją coś więcej. Mówiła też, że europejscy mężczyźni są w łóżku prostytutkami. Za bardzo wierzą, że liczy się tylko rozmiar. Brak im finezji. Chińczycy – zachwycała się – braki w wielkości nauczyli się nadrabiać techniką, grą wstępną, uczuciami, które stanowią preludium do trwałego, szczęśliwego związku. Jak liczne inne europejskie stereotypy na temat Chińczyków ten również działał na jego korzyść i nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu. Ale nie szło tylko o seks. To Chińczyka chciała za partnera, za męża. Nie, nie teraz. Na pewno nie przed zakończeniem studiów, a najlepiej tak pod trzydziestkę, gdy nie będzie już musiała żałować, że czegoś w życiu nie spróbowała. To właśnie ich łączyło: strach przed żałowaniem w przyszłości czegoś, co było w zasięgu ręki, a do sięgnięcia po co zabrakło odwagi.

Na tle chińskiej architektury Paryża, obłożącym z czerwonej farby majestatem rywalizującej z arogancją lśniących nowością wysokościami, w aureoli potarganych przez kapryśny wiatr włosów, wyglądała pięknie. Na

jednym ze zdjęć jej krnąbrne kosmyki zdają się oplatać wywinięte okapy wież katedry Shengmuyuan. Sama też lubiła to zdjęcie; po powrocie wrzuciła je na swój profil na stronie, gdzie się poznali. Po jej figurze znać było, że w przyszłości może się roztyć. Szerokie biodra teraz były ponętne, ale za lat kilkanaście... To jednak nigdy nie miał być jego problem.

Wracając na Gare du Nord w przepelnionym wagonie metra, nie mogli się od siebie oderwać – tłok stanowił doskonały pretekst, by publicznie napawać się we dwoje swoją bliskością. Na samym dworcu było jeszcze goręcej; świadomość, że to koniec, podkreśliła ich. Postanowili zrobić coś szalonego, po raz ostatni. I zrobili. Kiedy próby niepostrzeżonego wymknięcia się z toalety dla niepełnosprawnych okazały się porażką, skwitowała to krótko: „hao ganga!”. Ale ich zakłopotanie nie brało się tylko ze zdziwionych spojrzeń przechodzących obok toalety ludzi; źródłem zakłopotania było całe pożegnanie. Czekali na odjazd pociągu, czekając zarazem, aż coś się między nimi uformuje i wyrazi, a jednocześnie bojąc się dokładnie tego samego. A może powód był inny, bardziej prozaiczny – nie wiedzieli, jak się pożegnać, co powiedzieć, jak się dotknąć ten ostatni raz.

Wcześniej planowali, że następnym razem wybiorą się do Rzymu, Drezna, Warszawy... Ale przeczuwali oboje, że „następny raz” nigdy nie nastąpi. Dlaczego? Dlatego, że życie musiało ich rozdzielić. Konstelacja okoliczności, która sprawiła, że to spotkanie stało się możliwe, nie miała szans już więcej się powtórzyć.

Odchodząc, nie obejrzała się za siebie.

Potem, już w swoich domach, jeszcze przez kilka miesięcy często rozmawiali w sieci, czule, blisko... W tych rozmowach coś się kryło, tuż pod powierzchnią. Ale potem i to się skończyło. Został im tylko początek, bez ciągu dalszego, bez konkluzji.

Wyznała raz, że kiedy czasem wspomina Paryż, kiedy myśli o nich, o nim, czuje w sercu dziwny ucisk. Co to jest, co to znaczy, pytała. Nie chciał powiedzieć; nie chciał wiedzieć.

Była jego pierwszą Europejką. I nie mogła być ostatnią.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

SZABLĄ I WĄSEM.

Antologia opowiadań sarmackich

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

ŚWIATY RÓWNOLEGŁE

Antologia opowiadań fantastycznych

Sekcja literacka ŚKF w akcji

Jaki los czeka małą dziewczynkę i jej ojca osamotnionych w postapokaliptycznym zimowym świecie? Czy genetycznie udoskonalony detektyw rozwiąże sprawę brutalnych morderstw? Co wydarzyło się na L'Isle d'Escargot, jak kończy się przywołanie ducha Chopina i kim naprawdę jest syn śląskiego alchemika, który od najwcześniejszego dzieciństwa ma wrażenie, że wszyscy prócz niego żyją z jakąś straszną tajemnicą?

W „Światach równoległych” znajdziemy opowiadania zarówno autorów znanych i nagradzanych, jak i debiutantów. Znajdziemy SF twarde i humorystyczne, grozę, groteskę, kryminał oraz fantasy w różnych odcieniach. Wszystkie te teksty łączy jedno – udowadniają one, że jeśli szukać gdzieś literackich talentów, to przede wszystkim w Śląskim Klubie Fantastyki.

ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13”

to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów

na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych.

Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

DO DIABŁA Z BOGIEM

Antologia opowiadań fantastycznych

Opium dla ludu w 10 odsłonach

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przyszłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, TOMY I, II, III i IV

Jedwab i porcelana to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. *Biały tygrys* i *Niebieski smok* (nowe wersje) oraz *Czerwony ptak* i *Czarny żółw* (prapremiery).

Konrad T. Lewandowski: Most nad Otchłanią

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłani?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy i zubożonych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

Maciej Żytowiecki: Szuje, mątwy i straceńcy

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Andrzej W. Sawicki: Kolce w kwiatach

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

PRZYPISY

- [1](#) Biblia Tysiąclecia
- [2](#) Obłudnik, pozorny wyznawca Allacha
- [3](#) Odstępca
- [4](#) Kungur Tagh (7649 m n.p.m.) – szczyt w południowo-wschodnim Pamirze, obecnie na terytorium ChRL.
- [5](#) Kundschaftsgruppe – wywiad austriacki, powstały w XIX w.
- [6](#) Mateusz Czak – żyjący na przełomie XIII i XIV wieku węgierski możnowładca, zwany panem Tatr i Wagu. Jego konflikt z królem Karolem Robertem (zięciem Władysława Łokietka) dał początek teorii, według której Czak ucieleśniał dążenia niepodległościowe Słowaków. Zdaniem historyków teoria ta nie znajduje oparcia w faktach.
- [7](#) *Septante* i *soixante-dix* – dwie różne formy francuskiego liczebnika 70. Pierwsza z nich używana jest w południowej Francji, w Belgii i we francuskojęzycznych kantonach Szwajcarii.
- [8](#) *Võro* – język ugrofiński używany przez ok. 70 000 ludzi w południowo-wschodniej Estonii. Przez niektórych językoznawców uważany jest za dialekt estońskiego.

Spis treści

Karta redakcyjna

Krzysztof Kochański PAROWY HYCEL

Hanna Fronczak JEDEN NA MILION

Przemysław Hytroś JAK MACIEK WOJNĘ WYGRAŁ

Iwona Kowalczyk DRAHIM

Przemysław Karbowski KLĄTWA BISKUPA KACZMARKA

Stanisław Truchan OPERACJA GRETA

Prolog

I

II

Epilog

Maciej Żytowiecki RACHUNEK

Dawid Juraszek PIERWSZA EUROPEJKA

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

PRZYPISY